

GEORGE DAWES GREEN

ZABIJ GO, MAMO

Z angielskiego przełożył Jacek Manicki

Tytuł oryginału The Juror

Mojemu Ojcu spacerującemu zawsze po dąbrowie i przygrywającemu sobie na kobzie

Mojej Matce zawsze promieniującej miłością

Oraz moim ukochanym: Bratu i Siostrze —

Robowi, Om, Burch i Alyce,

zawsze mi dokuczającym

Podziękowania

Legion życzliwych doradców...

Glenn Brazil z Federalnego Centrum Szkoleniowego Organów Ścigania w Brunszwiku w stanie Georgia przybliżył mi metody prowadzenia obserwacji i podsłuchu. Jim Koster przejrzał mój arsenał. Bob Stapleton, emerytowany starszy oficer dochodzeniowy New York State Troopers, pomógł mi śledzić Nauczyciela.

Konsultacją w sprawie aspektów procedury sądowej stosowanej w sprawach kryminalnych służyli mi: mój stary przyjaciel Tony Maccarini; Jim Rooney, pierwszy zastępca prokuratora okręgowego okręgu Putnam w stanie Nowy Jork; John Sweeney, jr, sędzia sądu okręgu Putnam; Stephen Saracco, zastępca prokuratora okręgowego Manhattanu; George Buchhert z biura szeryfa okręgu Orange; także sędzia Ronald Adams z okręgu Glynn w stanie Georgia.

Porad medycznych udzielili mi doktor Erika Newton, doktor Amy Gelfand, doktor Kirk Hochstetler oraz Maryland Dulaney, ekspert w dziedzinie farmakologii.

Na mój dobór ptaków, owadów i muzyki wpłynęła niezrównana erudycja Julia de la

Torre. Tim Groover i Rick Hood pielęgnowali ze mną orchidee, a Susann Craig projektowała kostiumy. Angela Tribelli pomagała mi we włoskim, Leo Iterregui w hiszpańskim, a Margo Dannemiller w mam. Alex Mason rysował smoki. Spośród innych współsprawców wymienić muszę Timothy Horana, Ann Clark, Joela Ettingera, Thalię Broudy, Julię Jarvis oraz Crystal Chamberlain.

Na koniec, kilka Aniołów Najzarliwiej Czczonych w głupiej głowie tego pisarza. Moja agentka Molly Friedrich i jej asystentka Sheri Holman, które nie bały się Jaskiniowca. Mój wydawca, Jamie Raab. Również ci, którzy wspierali mnie dobrym słowem: Drew, Ellen, Paula, Daniel, Larry, Nancy, Keith oraz cała banda Wandy, jak również hard-rockowa, zapierająca dech w piersiach Kellie Parr.

Słowa tutaj nie wystarczą.

ROZDZIAŁ 1

Werniks, szpachla, trociny, węgiel drzewny, glina, mech, sierść, farba, воск, terpentyna, atrament, cedr

EDDIE, siedzący na galerii dla publiczności, pochyla się w przód. Kandydatka na przysięgłą 224 powiedziała przed chwilą coś, czego nie dosłyszał, czego, jeśli chodzi o ścisłość, nie dosłyszał nikt z obecnych na tej sali sądowej. Sędzia Wietzel prosi ją, by przysunęła sobie bliżej mikrofon.

Przysięgłą 224 bierze mikrofon za szyjkę i przyciąga go do siebie. Potem odchrząkuje. Ma silne, spracowane dłonie — nie pasują do niej.

Przenosi wzrok na podsądnego, Louiego Boffano.

— Nie wydaje mi się — mówi. — Nie.

— Jest pani pewna? — pyta sędzia Wietzel. — Nigdy pani nie widziała pana Boffano? W gazetach? W telewizji?

— Nie, sir.

Wietzel obrzuca ją kpiącym spojrzeniem.

— Czytuje pani gazety?

Pochlebcy z pierwszych rzędów rechoczą radośnie. Pieprzony Wietzel — myśli Eddie. Uważa się za Bóg wi co. Jak to patrzy na przysięgłą! Jakim aroganckim ruchem sięga po młotek, żeby uciszyć salę!

Ale przysięgłą 224 nie pęka.

— Czytuję gazety, kiedy mam czas — mówi spokojnie.

— Czyli jak często?

— Nigdy.

Eddie'emu podoba się ta kobieta. Wygląda na zmęczoną życiem, ale nie daje się zahukać sędziemu Wietzelowi; ma

9

wspaniałe, ogromne szare oczy. Podoba mu się, jak przesuwiają się powoli i nagle zatrzymują na czymś — tak jakby na tej sali sądowej było mnóstwo wspaniałych rzeczy zdolnych przyciągnąć wzrok. Dla Eddie'ego zaś jest to po prostu zwyczajna sala sądowa unurzana w ludzkich brudach.

— Jestem samotną matką, wysoki sędzie — ciągnie kobieta. — Chcę zostać rzeźbiarką. W dzień pracuję zawodowo, a po powrocie do domu zajmuję się synem. Wieczorami, jeśli zostanie mi trochę czasu, rzeźbię. Trudno mi więc znaleźć wolną chwilę. Czuję się ostatnią ignorantką przyznając, że nie jestem na bieżąco z tym, co się dzieje na świecie, ale tak to już jest, nie mam czasu.

Ona musi pochodzić z jakiejś innej planety — myśli Eddie. Z jakiegoś świata, gdzie wszyscy mają takie oczy i wszyscy ciężko pracują, i zajmują się swoimi dziećmi, a wieczorami wyżywają się artystycznie, wyjmują dłuta i rzeźbią, kurczą — aż pewnego dnia jedna z tych istot wsiada w raketę, przemierza połowę wszechświata i ląduje tutaj, w tym szambie, i nie zdaje sobie nawet sprawy, że powinna się bać.

Siedzi tutaj — myśli Eddie — otoczona wszystkimi tymi padalcami w trzyczęściowych garniturach, barakudami o sercach pompujących pomyje, które rozszarpia ją zębami na sztuki, jeśli tylko ktoś im szepnie słówko — a ona tylko patrzy na nich, mruga tymi wielkimi szarymi oczami, i nic — to cała jej obrona, nic dodać, nic ująć.

Eddie uświadamia sobie, że zaczyna odczuwać coś w rodzaju sympatii do przysięgłej 224.

Ale Wietzel ściąga brwi.

— Chce pani powiedzieć, moja droga, że nic nie słyszała o tej sprawie?

224 odwraca głowę i podnosi na niego wzrok.

— No nie. Coś tam... słyszałam.

— A podzieliłaby się pani tym z nami?

— Powiedziałam wczoraj synowi, że dostałam wezwanie na dzisiejsze rozmowy kwalifikacyjne do składu ławy przysięgłych. A więc może nie będę mogła po niego przyjechać. Bo zwykle to robię, A on na to: „O rany, mamó, to może

10

załapiesz się do tego wielkiego procesu mafii”. „Jakiego wielkiego procesu mafii?”

— spytałam. A on powiedział: „No wiesz, tego Louiego Boffano... mają go sądzić za kropnięcie paru facetów”.

Wzbierający wrzód służalczego rehotu z galerii.

Eddie zerka na swojego szefa. Louie Boffano siedzi plecami do galerii. Eddie widzi tylko fragment jego policzka. Ale ten fragment wypucza się teraz nieco i Eddie domyśla się, że Louie obdarza kandydatkę na sędziego przysięgłego jednym ze swoich osławionych uśmiezków z gatunku „a niech mnie diabli”.

Ale ona jakby tego nie zauważała. Nie speszona ciągnie:

— Syn wyjaśnił mi, że kropnąć kogoś — to to samo, co go zabić. „OK, to rozumiem — powiedziała — ale kim jest ten Louie Boffano?” A on powiedział, że muszę być naprawdę ograniczona, skoro tego nie wiem. „OK, masz rację, jestem ograniczona — odparłam. — Kto to jest?” A on na to: „Mamo, przestań, przecież to Wielki Spaghetti-O”.

Wietzel stuka nawet dosyć energicznie swoim młotkiem, ale brzmi to jak werbel, gdy kłown łąduje na zadku. Sala trzęsie się od śmiechu. Prawnicy, dupki z prasy, gapie — cała ta szumowina pieje z zachwytu. Sam Wietzel pasuje się ze swoimi ustami, usiłując je unieruchomić. A za stołem podsądnego ryczy szef Eddie'ego. Głowę odrzucił do tyłu tak daleko, że widać jego twarz do góry brodą. Chce nam wszystkim pokazać, jak dobrze się bawi. Pokazać, jak Louie Boffano uwielbia być nazywany Wielkim Spaghettim-O.

Jedyną osobą, która się nie śmieje, jest przysięgła 224. Jej szare oczy błędzą wciąż po sali i chłoną całą scenę, a w tym, co igra teraz na jej twarzy, Eddie rozpoznaje nie rozbawienie, lecz dumę. Ona jest po prostu dumna z rezolucji swojego dzieciaka. Mniej więcej tak samo czuł się on, Eddie, kiedy jego córka uczęszczająca do liceum Mamaroneck uhonorowana została wyróżnieniem za wyniki w nauce.

Wietzel wali młotkiem i ryczy:

— Ostrzegam, że jeśli zaraz nie zapanuje spokój, każę opróżnić salę!

Och, Wietzel, Wietzel. Wsadź sobie swoje gówniane przestrogi z powrotem w dupę, gdzie ich miejsce. Za żadne skarby nie opróżniłbyś tej sali. Tak samo jak Louie Boffano przepadasz za widownią. Moglibyśmy się tutaj obrzucać tortami, moglibyśmy stroić do siebie miny, a tobie prędzej serce by pękło, niżbyś opróżnił salę.

Wietzelowi udaje się wreszcie przywrócić ponurą, głuchą ciszę, o którą tak się dopominał, i pyta:

— Czy myśli pani, że to, co powiedział pani syn, wpłynie na werdykt, jaki wyda pani w tej sprawie?

— Nie.

— Nie żywi pani sympatii ani też żadnych uprzedzeń wobec podsądnego?

— Mój syn ma dwanaście lat, wysoki sędzie.

Eddie zerka na stół oskarżyciela. Michael Tallow, prokurator okręgowy z Westchester, szepcze coś do jednego ze swoich fagasów.

Eddie widzi, jak unosi przy tym nieznacznie bark.

Tak jakby wzruszał ramionami.

To znaczy, że ją bierze. Chryste!

W dziewięciu na dziesięć procesów o morderstwo biała samotna matka z Westchester gwarantowałyby prawie orzeczenie „niewinny”. I do tego artystka? To przesądzałoby sprawę. I ta jej idiotyczna południowoamerykańska torba. O Chryste, to tak, jakby od razu wypisać żółtymi wołami na wielkiej białej fladze: BŁAGAM, WYSOKI SĄDZIE, OCH, BŁAGAM, WYPUŚCIE TEGO BIEDNEGO, NIEWINNIE PRZEŚLADOWANEGO PANA SPA-GHETTI-O NA WOLNOŚĆ.

W dziewięciu sprawach na dziesięć prokurator okręgowy nawet by nie spojrzął na takie naiwne kobieciątko.

Ale to jest proces organizacji.

Ten jeden raz Tallow będzie szukał właśnie takich wrażliwych duszyczek. Kogoś na tyle staroświeckiego, by miał świadomość, że uderzenie syndykatu to nie jakaś sprzeczka między oprychami, lecz nadal morderstwo. Kogoś, kto mógłby rzeczywiście pożałować tego szczura Salvadore Rig-

gia i jego rozpuszczonego wnuka, kogoś na tyle naiwnego, by uronił łzę, kiedy wdowa po tym facecie zajmie miejsce dla świadków i zacznie się zgrzytanie zębami.

Asystent Tallowa równie nieznacznie kiwa głową.

Znaczą przyklepane; wzięli ją.

I to wkurza Eddie'ego. Podoba mu się ta przybyszka z kosmosu. Głupia, ale coś w niej jest. Eddie współczuje jej, że będzie się musiała taplać w tym gnoju. I co z tego, że między Louiem Boffano a Salvatore Riggim doszło raz do małego upuszczenia złej krwi, co to ją może, u diabła, obchodzić? Puściliby ją do domu, do dzieciaka, do jej rzeźb i małych, codziennych kłopotów.

Dlaczego te wielkie, szare oczy mają chłonać całą tę zgniliznę?

Puście ją!

I, na Boga, Wietzel jakby słyszał nieme błaganie Ed-die'ego. Chociaż raz w swoim życiu Wietzel robi coś porządnego, sprawiedliwego i dobrego. Spogląda na 224 z wyżyn swojego ołtarza i mówi:

— Może pani zrezygnować. Jeśli pani chce. Idiotyczny uśmiezek zaczyna wykwitać na twarzy Ed-

die'ego.

Sędzia ciągnie:

— Postaram się poprowadzić ten proces sprawnie, ale z pewnością potrwa on co najmniej kilka tygodni. A na czas narady będzie pani, wraz z całą ławą przysięgłych, izolowana od świata zewnętrznego. Sąd jest w pełni świadom, ile uciążliwości niesie tego rodzaju proces dla niektórych przysięgłych. Powiedziała pani, że jest samotną matką, że ma niełatwą sytuację finansową. To mi wystarczy. Jeśli powie pani, że zasiadanie w składzie rady przysięgłych będzie dla pani zbyt dużym obciążeniem, zwolnię panią z tego obowiązku.

No, Wietzel! Wiesz, Wietzel, zbierałem się, żeby któregoś dnia skasować tę twoją paskudną gębę, ale teraz może tego nie zrobię. Za ten okrucieństwo, jaką okazałeś mojej słodkiej 224.

Ale 224 nie wstaje i nie wychodzi. Wciąż tam siedzi.

Spuściła oczy i najwyraźniej zastanawia się. Bardzo się zastanawia.

O, Chryste! Ty durna cipo! Zmywaj się stąd, ale już!

Kobieta podnosi wzrok i pyta sędziego:

— A gdybym się zgodziła wejść w skład ławy przysięgłych, to byłabym, hmmm, byłabym bezpieczna?

Wietzel marszczy czoło. Sam chyba jest zaskoczony, że jeszcze stąd nie czmychnęła, ale bierze się w garść i mówi:

— Naturalnie, że będzie pani całkowicie bezpieczna. Pozwolę sobie jeszcze raz powtórzyć, że jak dotąd żadnemu przysięgłemu uczestniczącemu w procesie w okręgu Westches-ter nie stała się krzywda. Nie oznacza to, że nie podejmujemy stosownych środków ostrożności. Na przykład, pomimo że izolowania was przez cały okres trwania procesu nie uważam za konieczne, wydałem instrukcje, by wszystkich przysięgłych dowożono codziennie pod gmach sądu z miejsca pobytu znanego tylko im i kierowcy i odwożono tam po zakończeniu posiedzenia sądu. Anonimowość będzie miała pani zapewnioną. Nikt nie pozna pani nazwiska. Nawet ja go nie znam. Ale zawsze będę do pani dyspozycji. A gdyby się zdarzyło, że ktoś chciałby wpłynąć na pani werdykt w tej sprawie, wystarczy mi o tym powiedzieć, w cztery oczy, w moim gabinecie, a osoby te pociągnięte zostaną natychmiast do odpowiedzialności w całym majestacie prawa. Tak więc pod tym względem może się pani czuć całkowicie bezpieczna.

Och, niech mnie ktoś uszczypnie — myśli Eddie. Wietzel, ty kupo śmierdzącego łajna, uszczypnij mnie. 224 zaciska z namysłem usta, jej nieziemskie szare oczy błyszczą.

— No, dobrze — mówi — a więc myślę, że chyba uda mi się załatwić kogoś do opieki nad synem. Na czas, kiedy będę izolowana.

— I wyraża pani zgodę na wejście w skład ławy przysięgłych?

— Mhm, tak, wyrażam. Tak.

Do Eddiego dociera, że ma oto przed sobą najgłupszą kobietę, jaka stąpała kiedykolwiek po ziemi.

14

— Gratuluję wzorowej postawy obywatelskiej — mówi Wietzel — i proszę o stawienie się na tej sali jutro, celem przesłuchania przez oskarżenie i zespół obrońców. Dziękuję, na razie jest pani wolna.

Przysięgła 224 wstaje. Wygląda na wyczerpaną. Podjęcie tej szlachetnej, kretyńskiej decyzji nie przyszło jej łatwo. Jest oszołomiona i nie wie, w którą stronę się skierować. Woźny daje jej znak, rusza więc posłusznie za nim. Jest drobną kobietą. Chód ma niewystudiowany, niemal chłopięcy, ale jakby trochę rozkołysany. Może to pozostałość z dzieciństwa, kiedy marzyła o karierze gwiazdy filmowej. Albo może ma zawroty głowy po przesiedzeniu tutaj całego dnia, bo tyle czekała na wywołanie.

Tak czy inaczej, ten chód ujmuje Eddie'ego.

Odprowadza ją wzrokiem, obserwuje wdzięczną nieregularność tego kołysania.

I nagle spostrzega, że Louie Boffano odwraca głowę. Tylko na moment, żeby zerknąć na kogoś siedzącego po drugiej stronie galerii dla publiczności.

Louie Boffano przygryza zębami dolną wargę. Wyraz takiego zafasowania nigdy chyba nie gościł na twarzy tego faceta. Chce, żeby ktoś, kto siedzi tam na górze, zauważył to jego spojrzenie.

Potem odwraca wzrok. I nikt nie wie, że Louie Boffano przekazał tym spojrzeniem pewien sygnał.

Jeśli ta ci odpowiada, to ja nie mam nic przeciw. Jest twoja.

Eddie wychyla się ze swego miejsca, by spojrzeć w bok.

Mężczyzna, do którego skierowane było przesłanie Louiego, siedzi w ostatnim rzędzie galerii, prawie w samym rogu po przekątnej. Wśród maniaków rozpraw sądowych, nikt. Jest ubrany w pastelowy golf, nosi przyciemniane okulary i ma przyklejone jasne sumiaste wąsy. Nie wyróżnia się zupełnie niczym. Siedzi zapatrzony w pustkę. W powietrze. Sprawia wrażenie pogrążonego w czymś, co można by uznać — jeśli się nie zna Vincenta, tak jak zna go Eddie — za najzwyklejsze w świecie zamyślenie.

15

Nagle wstaje.

Eddie spuszcza wzrok na własną pięść spoczywającą na kolanach i myśli: „No, ty bezmózga cipo, tego właśnie chciałaś? A więc się doigrałaś. I kto ci teraz pomoże?”

Kiedy znowu podnosi wzrok, miejsce, gdzie przed chwilą siedział Vincent, jest puste.

Eddie odlicza w myślach do dwudziestu. Potem wstaje i przepycha się, jak najciszej może, wzdłuż rzędu widzów, w kierunku przejścia. Głowę ma spuszczoną, mija strażnika, pcha ogromne drzwi i wychodzi na korytarz. Przecina szybkim krokiem

paskudny hol.

Idzie zająć się tym, za co mu płacą.

ANNIE siedzi w starym subaru i czeka, aż jej syn Oliver obejrzy sobie dokładnie sprzączkę pasa bezpieczeństwa. Oliver zawsze dokładnie wszystko ogląda. Patrzy długo nawet na najprostsze zadania, zanim zabierze się do pracy. Czasami patrzy tak długo, że zapomina, co miał zrobić.

Buja w obłokach. Doprowadza tym Annie do szału.

— Oliver! Ruszamy. Chłopiec zapina wreszcie pas.

Annie wycofuje wóz z podjazdu pani Kolodny i skręca w Ratner Avenue.

— Hej, wiesz co? — odzywa się do syna. — Byłeś dzisiaj gwiazdą.

— Chrzaniisz. Byłem dzisiaj denny. Wiesz, gdzie jest już Jesse w Dragon Raiderze? W Piątej Kopule... doszedł tam wczoraj wieczorem. Mnie nie udaje się dowlec nawet do Drugiej Kopuły, żeby jakiś Troll Niewolnik nie zrąbał mi po drodze dupy. Jesse i Larry mówią, że jestem opóźniony w rozwoju, bo nie potrafię znaleźć Elixiru Niewidzialności.

— Może ten Elixir Niewidzialności jest w Zburzonej Fortecy?

— Znowu pudło — mówi Oliver. — Larry twierdzi, że jest w Zachodnim Shire. W tym pokopanym Zachodnim Shire.

16

— To może Nintendo nie jest twoją najmocniejszą stroną i powinieneś skoncentrować się na czymś innym.

— To nie Nintendo, mamó. To Sega.

— Może powinieneś obrać sobie jakąś inną specjalność. Dajmy na to odrabianie lekcji.

— Tak, racja — mówi Oliver. — Bez wątpienia.

— Albo może Jesse próbuje cię sprowadzić na manowce. Może wcale nie ma żadnego Elixiru Niewidzialności.

— Fakt, ten gnojek to kłamliwy kojot.

— Nie powinieneś tak mówić o kolegach.

— Bez wątpienia.

Dojeżdżają do jeziora i skręcają w lewo, w Old Willow Avenue. Mijają budynek miejskiej biblioteki, w którym kiedyś mieściła się kaplica. Jesień zaczyna dopominać się o swoje. Rdzawe i rubinowe plamy w koronach sykomor nad brzegiem jeziora.

OHver wyciąga z kieszeni gumę balonową Boogera. Studiuje opakowanie. Odwija listek ze sreberka. Ogląda go ze wszystkich stron. Wkłada do ust.

— Tak czy inaczej — odzywa się do niego Annie — byłeś dzisiaj gwiazdą. Gwiazdą sądu okręgowego. Spytali mnie, czy kiedykolwiek słyszałam o Louiem Boffano, a ja powiedziałam, że od syna, który nazwał go Wielkim Spaghet-tim-O i wywołało to huragan śmiechu.

— O rany! Naprawdę wzięli cię do tej sprawy?

— Klamka jeszcze nie zapadła. Mijają dom pogrzebowy Cardiego.

— I zgodzisz się? Będiesz sędzią przysięgłym w tej sprawie? Na głowę upadłaś, mammo?

Słuszne pytanie.

Był taki moment tam, na miejscu dla świadków, kiedy chciała już poprosić sędziego o zwolnienie z tego obowiązku, argumentując, że ma syna na wychowaniu i szefa, który grozi jej linczem, jeśli nie wykręci się od udziału w procesie. A do tego zbliża się termin otwarcia wystawy jej rzeźb w galerii Inez.

Potem, kiedy powiedziała, że się zgadza, wszyscy uznali

2 — Zabij go. mammo

17

pewnie, że jej odbiło. Tak właśnie pomyślała sama o sobie. Do jakiego innego wniosku mogłaby bowiem dojść?

— Jeszcze nie wiem — odpowiada. — No bo widzisz, zginął nie tylko stary ojciec chrestny. Zabili również jego wnuka. Miał czternaście lat. Chyba myślałam o tobie. Chyba pomyślałam sobie, że to mój obowiązek. Zawsze ci powtarzam, że trzeba być odpowiedzialnym, i w ogóle. Prawda?

— Jasne.

— Rozumiesz, o co mi chodzi?

— Jasne.

— No, dobrze, chcesz poznać prawdę? Może pomyślałam sobie, że to będzie ekscytujące. Chyba zaczynam mieć dosyć tego codziennego kieratu. To znaczy... pomysł nie należał raczej do tych najgenialniejszych, prawda?

— Mamo, czy to prawda? Naprawdę będziesz sędzią przysięgłym na procesie Louiego Boffano? Niech no tylko Jesse się dowie.

— Nie. Jesse niczego się nie dowie. Ani nikt inny. Nawet tobie nie powinnam była mówić. Posłuchaj, Oliver, to, że jestem sędzią przysięgłym w tej sprawie, to tajemnica. Nikt nie zna mojego nazwiska. Nawet sędzia. Zwracają się do mnie po numerze. Jestem całkowicie anonimowa — wiesz, co to znaczy?

— Jasne. To znaczy, że nie zamieszczą twojej fotografii w „Weekly World News”. Dla Louiego Boffano to żadne utrudnienie. Jak będzie chciał ciebie znaleźć...

— Och, przestań. Nie odważyłby się. Jest nawet na to specjalny termin, takie coś nazywa się manipulacja. Wiesz, co by mu groziło, gdyby go przyłapano na próbie zmanipulowania sędziego przysięgłego?

— Co?

— Poszedłby do więzienia.

— Przecież i tak już siedzi w więzieniu. Prawdopodobnie nie wyjdzie stamtąd do końca życia. No więc co ma do stracenia?

— OHver. To poważna sprawa. Nie jakaś gra. Fakt, że

18

chyba zwariowałam, że się zgodziłam, ale wcale nie dlatego, że to niebezpieczne... nie dlatego. Po prostu dlatego, że to będzie takie uciążliwe. Pan Slivey mnie zabije, jak wezmę urlop w pracy. I nie będę mogła oglądać w telewizji niczego, co dotyczy procesu. Ani czytać o tym w „Reporter Dispatch”. Będziesz to musiał wycinać, żeby mi nic nie wpadło w oko.

— Przecież ty i tak nigdy nie czytasz tej gazety, mamo.

— Wiem, ale mimo wszystko.

— Zawijasz w nią tylko różne rzeczy.

— Wiesz, lepiej dmuchać na zimne. A kiedy skończy się proces i zaczniemy posiedzenia, zostanę odizolowana od świata zewnętrznego. To znaczy, że na jakiś

czas będę zmuszona zamieszkać w motelu. Ty będziesz musiał spędzić ten czas u pani Kolodny.

OHver jest bliski zadławienia się swoją gumą.

— U pani Kolodny? Znaczy się nocować tam? Mamo, powiedz, że żartujesz.

— Zapewniam cię, że nie żartuję. Owszem, będziesz tam nocował. I to nie jedną noc.

— A ile?

— Nie wiem. Dopóki nie uzgodnimy werdyktu. Może nawet tydzień. Nie mam pojęcia.

— Tydzień? Dlaczego? Wyjdziecie, wróćcie i powiecie: „Winny”. Powiecie: „Usmażyć delikwenta”. Ile to może potrwać?

— Nie wiem.

— Sześć sekund?

— Może. Ale może i tydzień.

— Cały tydzień z panią Kolodny?! Mamuśka, czemu ty mi to robisz?

Annie wzrusza ramionami.

Droga rozwidła się i Annie skręca w Seminary Lane, biegnącą od jeziora pod górę. Po prawej dwa wielkie, dwupiętrowe budynki z widokiem na wodę. Po lewej przytulniejsze domki. Annie zwalnia i skręca w podjazd prowadzący do ich małego bungalowu.

19

— OK — zwraca się do Olivera — masz dwie minuty na zmianę ubrania, a potem zabieram cię ze sobą do pracy.

— Mamo! — Spanikowany skowyt. — Umówiłem się z Jessem na boisku pod kościołem...

— Nic na to nie poradzę. Obiecałam panu Sliveyowi. Muszę tylko wypełnić parę zamówień. Nie zajmie nam to więcej jak godzinkę...

— Mamo, za godzinkę to już będzie ciemno. Kurza twarz, zmarnowałam całe popołudnie u pani Kolodny, a ty mi teraz mówisz...

— Dwie minuty, ty marudny smarku. No, sprężaj się.

NAUCZYCIEL czeka w czerwonym lotusie S4. Z mag-nusa leci concerto grosso A-dur Vivaldiego. Zaparkował w bocznej uliczce odbiegającej od Seminary Lane. Skrzyżowanie ma dwieście jardów przed sobą. Samochód stoi w cieniu lipy, pod bajecznie błękitnym niebem. Z głośniczka telefonu komórkowego płynie głos informatora:

— Samochód o numerach JXA-385 jest zarejestrowany na Annie Laird. Adres: 48 Seminary Lane, Pharoah, stan Nowy Jork. Coś jeszcze?

— Tak — mówi w przestrzeń Nauczyciel. — Ta kobieta ma syna. Chłopak ma dwanaście lat i powinien chodzić gdzieś tu w okolicy do podstawówki albo szkoły średniej. Mógłbyś się czegoś o nim dowiedzieć?

— Mogę spróbować.

— Tylko bez naciskania, nie na siłę. Jak nie da się dyskretnie, to sobie odpuść.

Szelest poruszonych powiewem wiatru liści. Ich cienie drżą na czerwonej masce samochodu. Obok przejeżdża dziewczyna na rowerze. Długonoga, może szesnastoletnia. Jej uda pracują jak tłoki. Chyba podziwia jego wóz. Czy nie za bardzo rzucam się w oczy — przemyka przez myśl Nauczycielowi — w tym jaskrawoczerwonym lotusie na takiej zwyczajnej uliczce? Czy nie ryzykuję niepotrzebnie?

Owszem, ryzykuję.

20

Gwiżdże, wtórując fletowi.

Słyszy brzęczyk telefonu komórkowego i sięga po niego.

— Tak.

— Vincent! — To głos Eddie'ego. — Ona wychodzi teraz z domu.

— Z dzieciakiem?

— Tak. Z dzieciakiem.

— Nie widzą ciebie?

— Nie. Parkuję kawałek dalej. OK, teraz wsiadają do jej samochodu.

— Ostrożnie. Dzisiaj w sądzie wydawała mi się jakaś spłoszona. Może sprawdzać,

czy ktoś za nią nie chodzi. Jeśli pojedzie w twoją stronę...

— Nie pojedzie. Skręciła w twoją, Vincent... i cholernie się śpieszy.

— Jedzie pod górę?

— Tak.

— Wsiądź jej na ogon, Eddie.

— Dobra.

— Ale nie zbliżaj się za blisko. Jak ją zgubisz, nie będzie tragedii, zdejmemy ją kiedy indziej. Byle cię tylko nie zauważyła.

Nauczyciel rozłącza się i czeka.

W chwilę później dostrzega samochód Annie Laird przemykający Seminary Lane. Widzi ją tylko przez mgnienie oka. Jej przybladły wdzięk.

Zaraz potem przejeżdża wóz Eddie'ego.

Nauczyciel rusza, ale nie jedzie za nimi. Skręca w przeciwną stronę, tam skąd nadjechali, w dół wzgórza. Mija parę domów po prawej, potem ciąg drzew i widzi już pordzewiałą skrzynkę na listy Annie. Zwalnia. Omiata wzrokiem okolice. Porośnięty drzewami stok, który opada ku jakimś dużym budynkom i jezioru. W zimie, kiedy drzewa nie mają liści, musi się stąd roztaczać wspaniały widok, ale na razie wciąż ustronnie tu i zacisznie. Sto jardów dalej, po tej samej stronie drogi co bungalow Annie, widać następny dom, a między nimi gustowny drewniany płotek.

21

Nauczyciel skręca w podjazd Annie. Wjeżdża do samego końca, pomiędzy dom Annie a starą drewnianą szopę na jego tyłach.

Cisza tu i spokój.

Przypina sobie telefon do paska spodni. Wyjmuje ze schowka pistolet Heckler & Koch P7 i wsuwa go pod marynarkę, w kaburę pod pachą. Sięga pod siedzenie i wyciąga stamtąd lekarską torbę.

Kiedy rusza w stronę bungalowu, w koronie wielkiego drzewa, pod którym przechodzi, odzywa się przedrzeźniacz. *Mimus polyglottus*, jego ulubiony ptak.

Po dwóch splekanych, betonowych schodkach na tylną werandę. Siatkowe drzwi skrzypią, kiedy je otwiera. Gniazda os nad nadprożem: czuć tu starymi glinianymi

garnkami. Potem obraz nędzy i rozpaczy na werandzie. Stara sofa z kłębami sterczącego z niej włosia. Trup lodówki, jakieś opony, kij do gry w lacrosse'a i maska do kompletu. Dwa rowery w przyzwoitym stanie. Jeden męski, z ramą, drugi damski. Czyli zarządzają sobie rowerowe przejażdżki, matka z dzieckiem, OK. Może któregoś dnia wybierzemy się z nimi.

Sforsowanie zamka nie zajmuje mu więcej jak pół minuty.

Wkracza do dużej, przestronnej kuchni. Stawia swoją torbę na laminowanym blacie kuchennego stołu i wyciąga z niej skaner pisma Musteka oraz notebook Toshiba.

Wczytuje do pamięci spis numerów leżący obok telefonu. Szpera w wysokim biurku i znajduje kilka listów, parę rachunków, zaproszenia na otwarcie wystawy w galerii. To również wczytuje skanerem.

Jednak luźne, rozsypane blankiety starych rachunków telefonicznych po prostu zabiera. Właścicielka nawet się nie zorientuje, że zniknęły.

Śrubokręcikiem Phillipsa odkręca pokrywę ściennego telefonu. Za płytkami drukowanymi umieszcza małe, czarne urządzenie z wychodzącymi z niego dwiema parami przewodów. „Wieczna pluskwa”. Do podsłuchu zarówno rozmów telefonicznych, jak i tego, co się dzieje w kuchni. Jedna para przewodów jest już dołączona do superczułego

22

mikrofonu Lartela. Drugą parę łączy równolegle do przewodów telefonu i dokręca zaciski.

Od pracy odrywa go brzęczyk telefonu komórkowego. Dzwoni Eddie.

— Zatrzymała się na szczycie wzgórza, Vincent. Ze dwie mile od ciebie. Duży, stary budynek z szyldem „Usługi dewocyjne, Inc.” na froncie. Parking przed budynkiem pusty. Chyba wszyscy poszli już do domu. Weszła z dzieciakiem do środka. Miała klucz.

— Gdzie jesteś?

— Stoję kawałek dalej. Zawróciłem. Jestem gotowy.

— Co ona, twoim zdaniem, tam robi?

— Nie wiem — przyznaje Eddie. — To chyba coś w rodzaju kościoła. Może się modli. Może z niej jakaś maniaczka religijna. A ty wiesz?

Nauczyciel uśmiecha się.

— Ona jest w pracy, Eddie.

— No tak, rzeczywiście. Przecież pracuje u jakiegoś guru, który posuwa ją pewnie w każdy czwartek po południu. Vincent, powinieneś ją sobie odpuścić. Nigdy nie wiesz, co takiej pieprzonej dewotce strzeli do głowy. Wszystkie one są porządnie szurnięte, nie myślą normalnie...

No to się ją obłaskawi — myśli Nauczyciel — z boską prostotą.

— Mówię ci — ciągnie Eddie — ona mi się nie podoba. Wietrzę kłopoty.

— Nie, Eddie, to, co wietrzysz, to twój własny strach. Nauczyciel przerywa połączenie.

W przytulnym, zabałaganionym pokoju telewizyjnym odsuwa na bok stertę starych gazet i egzemplarzy „Sztuki w Ameryce” i znajduje ściennie gniazdko. Odkręca pokrywkę i instaluje we wnęce mikrofon Hastingsa 3600 podłączony do ekranowanego nadajniczka.

Dostrzega fotografię na ścianie. Jakiś facet o psich oczach wlepia sentymentalne spojrzenie w obiektyw. W tle kryta słomą chałupa, kozy i pole kukurydzy. Ma na sobie koszulę w gwatemalski deseń ikat.

23

Brat? Kochanek?

Nauczyciel przypomina sobie, że Annie miała ze sobą w sądzie gwatemalską torebkę. Wczytuje fotografię skanerem.

Potem bierze swoją torbę i wchodzi na górę, na poddasze bungalowu, gdzie Annie i jej syn mają sypialnię.

ANNIE ma mantrę na takie jak ta chwile:

Gdybym była teraz procesorem, procesorem danych i tylko procesorem danych, za dwie godziny od tej chwili mogłabym zostać artystką.

Powtarza ją w myślach jeszcze raz. Zamyka oczy. Koncentruje się.

Gdybym była czystym i nieskalanym urządzeniem do przetwarzania danych...

Splata i rozprostowuje palce. Potem otwiera oczy i bierze się do roboty.

Staje się fanatycznym demonem szybkości i wprowadza pierwsze zamówienie w

minutę i trzydzieści siedem sekund, a następne w pięćdziesiąt sześć sekund.

Większość zamówień jest na: „Przegnać Szatana precz!” — nowy, dwukasetowy album z nagraniami kazań hiperrozentuzjasmowanego wielebnego Calvina Minga.

Inni proszą o jego starsze złote nagrania:

„Te grzechy musisz z siebie zmyć!” oraz „Powiedz Tak! Tak! Tak! Tak! Tak! Jezusowi!”

Jeden ruch i koperta rozdarta, drugi szybki ruch i zamówienie wysunięte. Niektórzy bazgrzą jak kura pazurem i Annie potrafi to odcyfrować tylko dzięki temu, że czyta adresy na wycucie, nie angażując w to mózgu. Jej palce śmigają po klawiaturze niczym chmara komarów.

Jeszcze osiemnaście zamówień i już mnie tu nie ma, jestem wiatrem wiejącym tam, na zewnątrz.

Nie traci czasu na rozpamiętywanie, jak nienawidzi tej pracy. Wie, że jeśli pozwoli sobie choć na chwilę takich refleksji, będzie zmuszona wstać i wściekła krążyć tam i z powrotem po pokoju, waląc co chwila pięścią w biurko

24

i krzycząc: „Powiedz Nie! Nie! Nie! Nie! Nie! tej gównianej robocie!” I śmiertelnie wystraszyć Olivera, który siedzi spokojnie w kącie i duma nad pracą domową z matematyki.

Co by to zresztą dało? Wcale nie zamierza rezygnować z tej posady. Odpowiadają jej nienormowane godziny pracy. Slivey może i jest ostatnim dupkiem, ale daje jej tu wolną rękę, a ponieważ Annie zna się na prowadzeniu interesów lepiej od niego, to chociaż marudzi, jednak przymyka oko na częste przypadki nieprzestrzegania przez nią dyscypliny.

No więc Annie stuka, wali w te klawisze, nabiera rozpędu. Kiedy znudzony Oliver wyskakuje z jakimś głupim dziecięcym pytaniem, bezmyślnie udziela mu głupiej dorosłej odpowiedzi, nie wypadając z tempa. Kiedy Oliver wstaje i zaczyna jakąś zabawę, która polega na wykonaniu trzech podskoków na jednej nodze, odwróceniu się i rzuceniu samolocika wykonanego z arkusza papieru podaniowego w podobiznę naszego dobrotliwego najwielebniejszego Calvina Minga, ona wymrukuje tylko:

— Oliver. Siadaj. Matma.

Nie traci czasu i wkrótce pozostają jej jeszcze tylko cztery zamówienia.

W tym momencie dzwoni telefom.

— Cholera! Slivey.

— Zostawiłem ci stosik... — zaczyna.

— Właśnie go wklepuję, panie Slivey. Zostawię je na pańskim biurku.

— W porządku. A o której dotrzesz do pracy jutro?

— Jutro wcale nie dotrę. Przecież pan wie. Muszę być w sądzie.

— No, nie, żartujesz. Chyba ci powiedziałem, żebyś się z tego jakoś wykręciła.

— Powiedział pan. Ale tego nie zrobiłam. To mój obywatelski obowiązek, panie Slivey.

— Twój obywa-telski o-bo-wią-zek? — parska. Głośny, pogardliwy poświst powietrza. — Mmm-hmmm. A zapomniałaś o swoim obowiązku wobec Pana?

25

— Nigdy nie zapominam o Panu, panie Slivey. — On płaci mi pensję.

— A kto zajmie się zamówieniami? Kto się zdoła połapać w twoim systemie wprowadzania danych...

— Corinna może...

— Corinna? Z Corinny jest pieprzona idiotka.

— Panie Slivey!

— Powiedz, że nie masz czasu. Mówię poważnie. Powiedz sędziemu, że pracujesz tutaj dla Pana. Powiedz...

— Muszę tam iść.

— Annie...

— Niech będzie pochwalony, panie Slivey. Annie odkłada słuchawkę.

Spogląda nienawistnie na te cztery ostatnie zamówienia.

I kiedy wreszcie ma je już wprowadzone i wydrukowane, przenosi to wszystko na biurko Corinny i tam zwała.

Jestem wolna. Tak jakby. Na krótką chwilę.

Podchodzi cicho do Olivera, który siedzi i pisze coś zawzięcie. Zgląda mu przez ramię. Niepokonany Auxbar i jego wierny jaszczur-rumak pędzą przez Tunel Przeklętych.

Oliver podnosi na nią wzrok.

— Co?

— Matma.

— To, to na angielski. Praca domowa z angielskiego.

— Tak, prawda była. Idziemy.

— Już, mamó? Na pewno nie chcesz tu jeszcze trochę zostać? To miejsce to taka Blast-O-Rama...

NAUCZYCIEL otwiera drzwi szopy, w której mieści się pracownia Annie. Szukając po omacku kontaktu, czuje wonie używanych przez nią materiałów. Werniks, szpachla, trociny, węgiel drzewny, glina, mech, sierść, farba, wosk, terpentyna, atrament, cedr: rozpoznaje te zapachy jeden po drugim. Znajduje w końcu kontakt i zapala światło.

Istne pobożowisko. Wszędzie rzeźby w rozmaitych stadiach zaawansowania. Walające się między nimi narzędzia.

n6

Wzrok Nauczyciela błądzi niezdecydowanie po tym bałaganie, aż wreszcia zatrzymuje się na rzeźbach pod przeciwległą ścianą.

Niezbyt przypominają rzeźby. To po prostu rząd skrzynek, jakby po pomarańczach, z tym że szpary między deseczkami są pozatykane, a same deseczki powalane czymś i polakiero-wane. A pod każdą skrzynką wisi krótka, zalotna spódniczka.

Nauczyciel podchodzi bliżej i nad jedną ze skrzynek dostrzega przyklejony taśmą do ściany nagłówek z gazety:

KARDYNAŁ O'CONNOR ZAPEWNIŁ: BÓG JEST MĘŻCZYZNĄ

Nauczyciel wsuwa rękę pod spódniczkę zwisającą z tej skrzynki. Maca na oślep i po chwili jego palce natrafiają na coś ciężkiego, okrągłego i włochatego. To coś jest duże jak grejpfrut i wisi tam w ciemnościach. Nauczyciel sunie palcami po włochatej powierzchni i natrafia na drugą dużą kulę umieszczoną w tym samym woreczku co pierwsza.

Dwa wielkie włochate jądra.

Jaja Pana Boga?

Nauczyciel wybucha śmiechem. Ściska jedną z kul. Nasza przysięgła ma poczucie humoru.

Dzwoni Eddie i mówi:

— Vincent, wyszła. Z dzieciakiem.

— W porządku.

Nauczyciel ściska jeszcze raz z rozbawieniem jaja Pana Boga i przechodzi do następnej skrzynki.

— Jeśli pojedzie w tę stronę — pyta Eddie'ego — to ile będę miał czasu?

— Dwie, trzy minuty.

Nad następną skrzynką wisi kartka ze szkicownika oznajmiająca: „Alzheimer. Dla mamusi”. Nauczyciel wsuwa rękę pod spódniczkę. Natrafia dłonią na wgłębienie; to wewnątrz czaszki.

— OK — odzywa się znowu Eddie — rusza z parkingu. Nie widzi mnie. Kieruje się w twoją stronę.

27

W jego głosie pobrzmiewa coś w rodzaju rozdrażnienia.

— Eddie?

— Co?

— Co o niej myślisz? Chwila ciszy.

— Jak to, co o niej myślę? Nic o niej nie myślę.

— Jesteś wobec niej jakiś opiekuńczy.

— Opiekuńczy? Po prostu uważam, że będą z nią kłopoty. To, według mnie, jakaś pieprzona zakonnica.

— Ale aż taką zatwardziałą zakonnica raczej nie jest, prawda? Ma przecież dziecko. Prowadzi jakieś tam życie seksualne. Nie sądzisz, Eddie, że nawet seksowna z niej babka?

— Nie wygłupiaj się. To pieprzona mamuśka.

— I te oczy. Nie wydają ci się seksy?

— Vincent, zmywaj się stamtąd. Ona szybko jedzie.

Palce Nauczyciela przesuwają się po spękanej, ceramicznej powierzchni tego wgłębienia-czaszki. W szparach coś rośnie. Jakby mech. A grzbiet nadgarstka łechtają mu strzępki pajęczyn. Alzheimer. Popadający w zapomnienie, rozpadający się.

— Moim zdaniem ona jest seksowna — mówi do Ed-die'go — a do tego inteligentna.

— Tak? Wielkie gówno na patyku.

— Tworzy rzeźby, których nie widać. Które można poznawać tylko zmysłem dotyku.

— Wielkie parujące gówno — mruczy Eddie. Następna skrzynka nosi nazwę „Sen o ostrzeganiu” i ten

tytuł intryguje Nauczyciela, ale nie ma już czasu na pomacanie. A więc szykuje się jeszcze jedna wizyta. Trzeba się na to przygotować. Cofa się.

Zainstalowanie „wiecznej pluskwy” w drugim telefonie zajmuje mu niecałą minutę.

Wychodzi i cicho zamyka za sobą drzwi.

Wycofuje swojego S4 z podjazdu i rusza Seminary Lane. Najpierw w dół, potem małe wzniesienie i na jego szczycie, tuż przed ponownym zanurkowaniem, zerka we wsteczne

lusterko i widzi w nim przez mgnienie oka Annie Laird wracającą z dzieckiem do domu starym subaru.

ANNIE i OHver siedzą tego wieczoru po kolacji w pokoju Olivera na pięterku, skapani w akwaryjnej poświacie padającej z ekranu monitora jego komputera. Oliver walczy z miseczką lodów. Annie z joystickiem.

— Co to za miejsce? — pyta Annie.

— Zamkowy Stołp.

— Co to jest stołp?

~ — Nie wiem, mamó. To część zamku. Stołp i już. No, wiesz.

— O Boże, a to co za jedni?

— Nie panikuj. To Trolle Niewolnicy. Nie bój nic.

— Odnoszę wrażenie, że ci panowi chcą mnie zabić.

— To ślamazary, mamó. Ruszają się jak muchy w smole. Użyj miecza, nic ci nie zrobią. Nie! Nie idź tędy!

— Ratunku! A to co? •' — To zapadnia! Nie!

— Co? Gdzie ja jestem? OHver!

i — Nie bój się, mamuśka. Idą na ciebie? Wal po nich.

— Gdzie? Gdzie? Co mam... idą!

— Ten przycisk. Tutaj, naciśnij ten przycisk! O właśnie! Teraz rozwal tego drugiego! Przyszpil jebańca!

— OHver!

— Chciałem powiedzieć: skubańca, wal w niego! Mamó! Gdzie ty idziesz?

— Nie wiem! Ratunku! Jak się zawraca?

— Tutaj! Tym! Masz go! Tak! O, tak! i — Tak!

** — W porządku, mamuśka! | — Nie żyją?

— Nie żyją.

> — Udało mi się?

i — Jesteś górą. Jak się czujesz?

' — Dobrze.

29

— I prawidłowo.

— Wolę nie myśleć o wdowach po tych tutaj Trollach Niewolnikach. Wiem, że dzisiaj wieczorem małe dzieci Trolli Niewolników będą opłakiwały swoich ojców, ale czuję się świetnie. Bardzo rześko. Święty Jezu! Co to?!

— Pająk, mamó. Nie ma się czego bać. To tylko Śmiercionośny Pająk.

NAUCZYCIEL siedzi w kucki i obserwuje światła w oknach domu Annie.

Nagle słyszy znowu tego przedrzeźniacza, lekko schrypnięte, szybkie, ostre nuty. Spogląda w górę. Śpiew ptaka dolatuje chyba z pobliskiego buku. Tego na skraju kępy drzew, na skraju trawnika. Nauczyciel patrzy w górę. Przygląda się bacznie ciemnym gałęziom drzewa.

Uznaje, że da się na nie wdrapać.

Zaczyna się wspinać.

Cień ptaka ulatuje w noc.

Nauczyciel pnie się zwinnie, spiralnie okrążając pień, pomimo że do pleców ma przytroczone dwie ciężkie skrzynki. Dwie oliwkowe skrzynki po amunicji kaliber 50, każda zamaskowana konstrukcją z gałązek, gliny i liści, tak żeby wyglądała na coś w rodzaju gniazda wiewiórek.

Nauczyciel zatrzymuje się dwadzieścia stóp nad ziemią, skąd ma dobry widok na bungalow. Następnie wpełza na konar i zawiesza na nim jedno z gniazd. W gnieździe tym znajduje się bateria akumulatorów. Ciągnie przewód od tej baterii dalej wzdłuż konaru, po czym zawiesza drugą skrzynkę po amunicji.

Tymczasem przedrzeźniacz znowu się odzywa. Śpiewa czyściej niż tamten po południu. W linii melodycznej więcej jest uduchowienia, więcej głębi. Nocą przedrzeźniacz zawsze wznosi się na wyżyny arcyzmu.

Nauczyciel otwiera wieko drugiej skrzynki. Wewnątrz znajduje się pięć odbiorników ICOM 7000, dostrojonych do trzech „wiecznych pluskiew” założonych w trzech tele-

\

fonach Annie, oraz do ekranowanych nadajniczków z pokoju telewizyjnego i dziecięcej sypialni. Nauczyciel przetyka przez otwór w skrzynce po amunicji pięć giętkich anten i ciągnie je wzdłuż gałęzi, na której leży, zabezpieczając co parę cali taśmą.

Cztery z odbiorników podłączone są do multipleksera Motoroli. Nauczyciel wsuwa sobie miniaturową słuchawkę do lewego ucha, a wtyczki przewodu do gniazdek multipleksera, i z płyty czołowej cyfrowego tunera wybiera kanał 1, dostrojony do częstotliwości 143,925 megaherca. Kuchnia.

Słucha. W nieregularnych odstępach czasu słyszy ciche, dźwięczne ping. Przeciekający kran.

Sięga do przełącznika kanałów. Pokój chłopca.

Trafił.

Słyszy komarze pobzykiwanie muzycznego podkładu gry komputerowej i głos Annie:

— Zabić to? Jak mam toto zabić?! Jest większe ode mnie! Teraz odzywa się ze śmiechem dzieciak:

— Śmiercionośnym Pająkom trzeba poobcinać wszystkie nogi!

Annie:

— Co?!

I snik-snik jakiejś komputerowej broni.

Salwy śmiechu w lewym uchu Nauczyciela. Jego prawe ucho wychwytuje tymczasem dźwięki z otoczenia, ledwie dosłyszalny, rzeczywisty śmiech dziecka dolatujący bezpośrednio od strony domu.

— Giń! — piszczy Annie. — Dlaczego nie giniesz?!

— Mamo! Uważaj! Orki!

— O Boże, ratunku! Snik-snik. Snik-snik.

— Aaaaaiiiiiieeeeeee...! — krzyczy Annie. Komputer wygrywa jakąś pogrzebową melodyjkę.

— Pajacujesz — mówi Oliver.

Ale prosi ją, żeby została i zagrała jeszcze w jedną grę. Jednak Annie nie zostanie. Mówi, że ma coś do zrobienia.

31

Nauczyciel dostrzega jakieś poruszenie w oknie na pięterku bungalowu. Miga mu przez moment brązowa koszula Annie, a potem słyszy stukot jej obcasów na schodach.

Sięga do przełącznika kanałów i wybiera kuchnię. Słyszy, jak Annie nuci pod nosem melodyjkę z gry komputerowej. Widzi ją w podświetlonym na żółto kadrze kuchennego okna. Annie zatrzymuje się przed lodówką. Na tle okna, tego prostokąta światła, opadają zakosami trzy liście. Annie pociąga długi łyk z jakiejś butelki. Stoi, nie rusza się. Patrzy w nieprzeniknione ciemności za oknem. Nauczyciel słyszy jej westchnienie. Nawet z tej odległości widzi, że kobieta ledwie trzyma się na nogach

— słania się ze zmęczenia.

Naraz Annie bierze się w garść. I przenosząc ciężar ciała na palce stóp, z wymuszoną sprężystością wychodzi przed dom. Puszczając siatkowe drzwi, które zamykają się z trzaskiem za nią same, i pochłania ją mrok panujący na podjeździe. Po chwili błyska światło w szopie-pracowni. Annie wchodzi tam i zamyka za sobą drzwi.

Minutę później z tranzystorowego radia leci już piosenka Joan Armatrading.

Nauczyciel wyciąga słuchawkę z ucha i wtyczkę jej przewodu z gniazdka.

W skrzynce po amunicji obok multipleksera spoczywa telefon komórkowy.

Nauczyciel podnosi słuchawkę i wystukuje na klawiaturze numer.

Jego kochanka, Sari, odzywa się na pierwszy sygnał.

— Tak?

— Sari! Co u ciebie?

— Mam chcię — odpowiada. Nauczyciel słyszy przez telefon cichy szelest i wyobraża ją sobie, jak przeciąga się w pościeli. — Au ciebie? — pyta Sari.

— To samo — mówi jej prawie szeptem. — Ponieważ jednak myślę o tobie na okrągło, to napalony jestem non--stop. A więc to nie nowina. Za to nowiny, prawdziwe nowiny... cóż, te nowiny nie są pomyślne.

Siedzi okrakiem na konarze, oddychając chłodnym, won-

nym powietrzem, nie spuszczać oka z pojedynczego, wąskiego okienka pracowni Annie. Nie widzi jednak samej Annie. Tylko ruchliwy cień zajętej pracą kobiety.

— Co to za nowiny? — pyta Sari. Zniża głos. Domyśla się, co to za nowiny.

— Nie mogę dzisiaj do ciebie wpaść — mówi Nauczyciel. — Mam jutro bardzo ważną prezentację i dzisiaj wieczorem muszę przeświecić klientkę.

— Gdzie jesteś?

— Tęsknię za tobą — mówi Nauczyciel.

— Gdzie jesteś?

— W trasie. Chyba gdzieś w okolicach wioski Pharoah.

— Nie słyszę silnika.

— Bo się zatrzymałem. Siedzę na łonie natury. Dookoła drzewa i światło w czyimś

oknie i czuję się bardzo samotny. Wyobrażam sobie ciebie, jak leżysz w łóżku, wiem, że mrużysz teraz oczy, i wiem, że jesteś wkurzona jak diabli, i naprawdę bardzo mi przykro. Jesteś bezapelacyjnie najpiękniejszą kobietą świata, a jeśli ktoś słyszy, jak tu z tobą rozmawiam, to weźmie mnie jeszcze za jakiegoś włamywacza, wyjdzie ze strzelbą, usłyszysz huk, i nigdy już nie poznam twojej matki...

Sari śmieje się z przymusem.

— Naprawdę tak mi przykro — mówi Nauczyciel. Odczekuje chwilę, by dotarło do niej, co powiedział,

a potem pyta:

— No więc jak, Sari, nie gniewasz się?

— Właściwie to nie. Sama nie wiem, dlaczego ja to wszystko znoszę, Eben. Ty cały czas pracujesz.

— Ja... Kocham... tę pracę — Nauczyciel mówi powoli, cicho. W tym momencie na tle okna pracowni przesuwa się sylwetka Annie Laird. I znowu. Annie przechadza się tam i z powrotem, czeka na natchnienie. — Ale brakuje mi ciebie, Sari. Musimy wymyślić jakiś sposób, żebym mógł spotykać się z klientami, pozostając jednocześnie w tobie.

Tym razem śmiech Sari jest szczery. Napięcie słabnie nieco.

3 - Zabij go. mamó

33

— Spróbujemy w czwartek? — pyta Nauczyciel.

— A może jutro? — Ale Sari nie kończy słowa „jutro”. Może peszy ją błagalna nutka we własnym głosie.

— Jutro? Niestety. Jutro jem kolację z tą samą klientką. Światło w oknie pracowni Annie migocze. Przystąpiła do

pracy. Ta noc, ten drozd, to drzewo benzoesowe, ta precyzyjnie dostrojona głębia pulsu, wszystkie te szeleszczące wokół niego liście...

ROZDZIAŁ 2

Musisz bez przerwy okazywać jej swoją miłość

ANNIE bezskutecznie szuka miejsca do zaparkowania w Soho. Tu i ówdzie natyka

się na lukę między stojącymi zderzak w zderzak samochodami, ale każde takie miejsce jest strzeżone przez zazdrosny hydrant. W końcu daje za wygraną i zostawia starego subaru wystającego kufrem na przejście dla pieszych. Co ma być, to będzie. Jak często zdarza mi się taki wypad? Zmarnuję cały słoneczny dzień krążąc w kółko i szukając miejsca do zaparkowania?

Galeria mieści się przy Zachodnim Broadwayu. Annie skręca w Spring i kieruje się na wschód. Nie śpieszy się. Zagląda do sklepików ze starzyzną, szykownych butików. Podziwia najnowsze graffiti na trotuarze. Zwalnia przed piekarnią, a potem jeszcze raz, mijając sklep z rzadkimi gatunkami kawy.

Teraz, kiedy już tu nie mieszka, podoba jej się to miasto.

Para zakochanych w kawiarnianym ogródku. Siedzą ramię w ramię, czytają. Przechylają książki, podstawiając je pod padające z ukosa promienie słońca, mężczyzna gładzi machinalnie koniuszkami palców przedramię kobiety. Annie szuka w sobie śladów zazdrości. Jakichkolwiek ukłuć tęsknoty. I być może wyczuwa tylko jakiś niewielki, podskórny skurcz lub dreszczyk.

A potem, idąc już Zachodnim Broadwayem, doznaje kolejnego dreszczu emocji, kiedy zbliżający się z naprzeciwka piękny chłopak o gotycko sklepionych kościach policzkowych zerka na nią ciekawie. Odruchowo odwzajemnia

35

mu to spojrzenie. Chłopak mija ją, a ona zwalnia, a nawet nachodzi ją pokusa, by obejrzeć się ukradkowo przez ramię — tylko po to, żeby sprawdzić, czy on się obejrzał.

Ale takie emocje szybko się ulatniają.

Serce ściska jej się naprawdę przed witryną sklepu z drogimi zabawkami, kiedy jej wzrok pada na skomplikowanego, mechanicznego smoka. Kłęb dymu bucha potworowi z błękitnozielonych nozdrzy. Za takiego stwora OHver zaprzedałby duszę. Omal nie wchodzi do środka, żeby zapytać o cenę. O mały włos nie naraża się dobrowolnie na prawdopodobną reprimendę:

Skoro już pani pyta, proszę pani, to wolelibyśmy pani nie upokarzać.

Odrywa jednak wzrok od wystawy i przyśpiesza kroku. Zbliżając się do skrzyżowania z Prince Street, nie pamięta już o zabawce, nie pamięta o zakochanych ani o chłopaku, który na nią spojrzał, jest beztroska i znowu rozgląda się ciekawie dookoła. Przechodzi na drugą stronę ulicy, a potem skręca do wielkiego budynku. Wbiega lekko po schodach na drugie piętro do galerii Inez Gazarraga. Na ścianie

frontowej sali wystawiane są tutaj trzy prace Annie, fragment większej ekspozycji grupowej zatytułowanej „Hermetyczne wizje”.

Wita skinieniem głowy siedzącą za biurkiem przy wejściu Lainie, pracownicę galerii, i kieruje się do biura Inez na zapleczu.

Naraz, na samym skraju pola widzenia, miga jej coś czerwonego. Zatrzymuje się.

Jakieś czerwone plamy przy jej pracach, jej Macanych Skrzyniach wiszących na ścianie. Serce zaczyna jej walić. Zaciska mocno powieki.

Nie. To niemożliwe. Nie widziałaś tego, wydawało ci się tylko.

Otwiera oczy. Obok każdej ze skrzynek widnieje małe czerwone kółko. Przenosi wzrok z jednego na drugie. W sumie trzy kółeczka. Nie jakieś wieloznaczne półkola, nie „ta praca wzbudziła zainteresowanie”. To pełne, płonące, czerwone słońca.

36

Sprzedane.

Och, pobiec za podskakującą czerwoną piłką, śpiewając: sprzedane! sprzedane! sprzedane!

Piosenka ta odbija jej się przez chwilę w głowie słodko, w rytm pulsującej krwi, dopóki za jej plecami nie rozlega się śmiech Lainie. Potem z biura wytacza się Inez i mówi jej do ucha:

— A więc wreszcie coś, cholera, utargowałaś. No i najwyższy czas. Chodź.

Wprowadza Annie do swojego biura.

— Nazywa się Zach Lyde. — Inez przypala papierosa, wydmuchuje nos w chusteczkę, a potem ociera nią sobie brodę. Odchyła się wygodnie na oparcie fotela. Była kiedyś modelką ze stajni „Vogue”. Była belle damę sans merci bitni-kowych poetów i abstrakcyjnych ekspresjonistów. Teraz waży dwieście osiemdziesiąt funtów, jest gruboskórna i jeśli musi, potrafi być opryskliwa. — Często go tu widuję — ciągnie schrypniętym głosem — sporo o nim słyszałam. To szanowany człowiek. Jest troszkę, sama nie wiem, jest bardzo uprzejmy, ale onieśmiela ludzi, wiesz, o co mi chodzi? Zna się na rzeczy. Przepada za niektórymi minimalistami — Marden, niektóre prace Neo-Geo, Alice Aycock. Ostatnio kupił trochę Christy Rupp. Nie interesują go ci zarozumiali, sztywni kowboje. Powiadają, że ma własną wspaniałą kolekcję, ale kupuje przeważnie dla znajomych. Znaczący dla wielkich kolekcjonerów, słoneczko. Wielkich, wielkich, wielkich palantów.

— Na przykład?

— Dla ludzi, o których pewnie nie słyszałaś.

— Ale skoro są wielkimi kolekcjonerami...

Inez ściąga brwi. Zagląda do żółtego notatnika, który leży przed nią na biurku.

— Sato Yasuke? Słyszałaś o takim?

— Nie.

— Yoshida Yasei?

Annie potrząsa przecząco głową.

— W porządku, OK — mruczy Inez — a taka znana osobistość jak Mori Shoichi?

37

— Nic nie rozumiem — mówi Annie. — Moje knoty jadą do Japonii?

Inez wzrusza ramionami.

— Tego ci nie powiem. Mam tutaj tylko zapisane nazwiska.

— Nie spytałaś, gdzie trafią moje...

— Spytałam go i nie odpowiedział wprost. No, wiesz. Jeszcze się rozejrzy. Poszuka odpowiedniego domu. Takie tam mydlenie oczu...

— I nie naciskałaś? — pyta Annie. — Wystarczyło ci to?

— Cóż, jeśli wziąć jeszcze pod uwagę czek na dwadzieścia cztery tysiące dolarów, z czego ty dostajesz dwanaście, to owszem. Wystarczyło aż nadto.

Inez uśmiecha się. Annie też próbuje uśmiechu, ale na jej twarzy dalej gości niepokój.

— Słuchaj, mała — ciągnie Inez — może do ciebie jeszcze nie dotarło. Sprzedałaś właśnie trzy swoje skrzynie potędze. Powinnaś kwiczeć z radości jak prosiak. Powinnaś sikać po nogach.

— Jestem, jestem zachwycona — mówi Annie. — Tylko że chciałabym wiedzieć, w czyje ręce trafiają moje prace. Nie rozumiem, kim jest ten facet. Kolekcjonerem? Pośrednikiem? Kto to taki? Z czego żyje?

Inez znowu wzrusza ramionami.

— Zdaje się, że prowadzi jakąś agencję pośrednictwa. Ma biuro przy Maiden Lane, ale chyba nie trzyma się niewolniczo tego zajęcia. Wiem, że para się kolekcjonerstwem. Więcej nie potrafię ci powiedzieć. Aha, czasami podróżuje. Zobaczył u mnie na ścianie ten młynek modlitewny i zaczął mi opowiadać o Nepalu, i mówię ci, Annie, kiedy ten człowiek opowiada...

— To co?

— To zapominasz, o co pytałaś. Patrzysz tylko na niego z rozdziawioną gębą. — Inez wybucha śmiechem. — Sama się przekonasz. Poznasz go. Powiedział mi, że chce z tobą współpracować.

— Co to znaczy?

38

— Zabij mnie, a nie wiem. Powtarzam tylko jego słowa. Wyświadczyć mi pewną przysługę, OK? Będziesz z nim miała bezpośredni kontakt, niech tam. Ale nie puść mnie z tej okazji w trąbę.

Annie jest wzburzona.

— Inez, ja cię kocham — mówi.

— Och, tak mnie wzruszyłaś, że za cholerę nie wiem, co odpowiedzieć. Ale jak kiedyś będziesz się szykowała do otwarcia swojej wystawy w Luwrze, to perspektywa przejścia do historii może ci przewrócić w głowie...

— Inez!

— Sama jestem sobie winna.

— Tak, Inez.

— Jak mnie zdradzisz, to cię przejadę. Rozgniotę na placek.

Krzywi się. Wydyma wargi, co sprawia, że naciągają się jej obwisłe policzki. Wstaje z fotela, wspiera się zaciśniętymi pięściami o blat biurka, pochyla w przód, a Annie przychodzi na myśl szarżujący traktor firmy John Deere. To rozgniecenie na placek staje się całkiem realne.

Ale Inez wręcza jej tylko ze śmiechem czek na dwanaście tysięcy dolarów.

Rozmawiają jeszcze kilka minut, ale Annie zaczyna odpływać. Coś tam papła, ale sama nie wie, co. Ma w torebce dwanaście tysięcy. A jeszcze więcej w perspektywie. Zaczyna karierę. Całuje na pożegnanie Inez, potem Lainie, winda, hol, drzwi, pośród

wirów świeżego powietrza wychodzi na ulicę. Ma w torebce dwanaście tysięcy dolarów, a w głowie pustkę, skrajna, z niczym nieporównywalna ekstaza sukcesu...

— Annie Laird? Ogląda się.

To ten mężczyzna o gotyckich kościach policzkowych, ten sam.

— Mijaliśmy się niedawno... — zaczyna nieznajomy.

— Pamiętam.

— Ale kiedy dotarło do mnie wreszcie, że to pani, byłem

39

już na Broome Street. A poza tym miałem umówione spotkanie u Pauli Cooper. Ale zaraz potem przybiegłem tutaj.

Ma brązowe źrenice z żółtymi cętkami. Ma też ujmujący krzywy uśmiech.

— Cieszę się, że jeszcze panią złapałem — ciągnie mężczyzna.

Annie przygląda mu się zaintrygowana.

— Nazywam się Zach Lyde — przedstawia się mężczyzna.

Mój mecenas?

Ten dzieciak jest moim mecenasem?

— Kupiłem kilka pani prac — mówi Zach Lyde.

— Tak — bąka Annie. — Mam, eee, czek w torebce. Czuje się jak najmłodsza, najpocziwsza siostra z bajki.

W momencie szczęśliwej odmiany losu, z kieszeniami pełnymi złota.

— Wiem, że nie zapłaciłem za nie tyle, ile są warte — mówi Zach — nawet w przybliżeniu, zdaję sobie z tego sprawę. Ale to nie ja ustalałem cenę. Z tym że może kupię coś jeszcze od pani, a wtedy jestem gotów zaoferować o wiele więcej...

— Skąd pan mnie zna? — pyta Annie. — Nie pamiętam, żebyśmy się spotkali.

— Inez pokazała mi pani zdjęcie. W katalogu.

— Aha.

— Rzeczywistość przerasta moje oczekiwania.

Annie zapomina podziękować za komplement. Kiwa tylko głową i spuszcza wzrok. Niezręczne milczenie. Na tro-tuarze, obok jego miękkich włoskich mokasynów widnieje jedna z tych idiotycznych „biegnących fasolek”, którymi jakiś uliczny artysta ozdabia wytrwale przez szablony całe Soho. Annie patrzy na nią mrużąc oczy. Gdzie w tym wszystkim sens? Dwanaście tysięcy dolarów. Mecenas, który sam jest dziełem sztuki. Jej skrzynki rozproszone po całym świecie...

No właśnie.

40

— Japonia? — pyta. Podnosi na niego wzrok i ciągnie: — Naprawdę wysyła pan moje prace do...

— Prawdopodobnie.

— To czy jeszcze kiedyś je zobaczę?

— Och, oczywiście. — Ten przekrzywiony, uspokajający uśmiech. — Chciałaby pani o tym porozmawiać? Znalazłaby pani chwilę czasu na wspólny lunch?

— Teraz?

Zach Lyde nie spuszcza z niej oczu. Annie spogląda na zegarek.

— Jedenasta trzydzieści — mówi. — O drugiej muszę być w domu, na północy stanu. Wchodzę w skład ławy przysięgłych.

Zach wzdycha współczująco. Potem się uśmiecha.

— Nie chciałbym, żeby się pani przeze mnie spóźniła.

— Ale przegryźć coś na jednej nodze, czemu nie? Jasne.

Tak więc Zach Lyde zabiera ją na przekąskę z owoców morza do restauracyjki, do której wchodzi się od Sullivan Street. Siedzą pod malowniczym klonem o szkarłatnych liściach, w ogródku skrytym za drewnianą, porośniętą winem kratką. Kelner zna chyba dobrze Zacha. Czy da się coś zrobić, pyta, z jego biednym, schorowanym phalaenopsisem, który hoduje w domu? Zach sprawia wrażenie przejętego.

— Co mu jest?

— Liście żółkną — mówi kelner. — Po brzegach.

— Wygląda na to, że go podtopiłeś — mówi Zach Lyde. — Spokojnie. Zaniedbaj go

trochę, nie podlewaj, obserwuj, co się będzie działo.

Kelner kiwa z zatroskaniem głową i odchodzi.

Zostają w ogródku tylko we dwoje. Wiatr tu nie dociera, ale słońce owszem. Pada na posadzkę z cegieł za plecami Zacha.

Annie kosztuje ahi póki na crostini z pieprzem aioli. Prawdopodobnie coś pysznego, ale jak może poświęcić całą uwagę delektowaniu się smakiem? Zach Lyde mówi:

41

— OK. Chce pani zatem wiedzieć, dokąd idą pani prace. Inez pewnie wspominała pani o moich japońskich przyjaciołach. To biznesmeni... w pewnym sensie. Często dla nich kupuję. W dziewięciu przypadkach na dziesięć są zadowoleni z moich nabytków.

— No dobrze, kupują, ale z jakim przeznaczeniem? — pyta Annie. — Do domu. Do biura, co z tym robią?

— Czasami kupują do swoich kolekcji. Czasami wysyłam im tylko zdjęcia, a same prace zostają tutaj.

Annie robi wielkie oczy.

— Nawet ich nie oglądają?

— Zaraz to pani wytłumaczę. Powinna się pani orientować w naturze tej zabawy. Tych ludzi nie da się nazwać miłośnikami sztuki. Mają dobre oko, są rzutcy, inteligentni. Ale to biznesmeni. Ma pani jakieś ogólne pojęcie o Japonii?

— Nie.

— Sztuka współczesna jest tam teraz formą lokaty kapitału. Ponieważ nie posiada ściśle określonej wartości, ponieważ jej wartość jest taka nie ustabilizowana, tak atrakcyjnie płynna, staje się rodzajem waluty.

— No, nie, nie, zgubiłam się.

— Pozwoli więc pani, że wyjaśnię to na przykładzie. Przysuwa twarz nieco bliżej.

— Przypuśćmy — mówi — że pan Kawamoto zaciąga dług u pana Okity. Kawamoto jest bogatym przemysłowcem, Okita to biznesmen innego rodzaju, jakuzą. Kimś, kogo my nazwalibyśmy może gangsterem. Ale on nie jest, bynajmniej, jakimś bandytą. Jakimś nieokrzesanym prostakiem. Nic z tych rzeczy. Jest ujmującym człowiekiem, jest kulturalny, cieszy się poważaniem otoczenia. No więc

w jaki sposób Kawamoto spłaca temu człowiekowi dług? Naturalnie nie gotówką — to zwróciłoby uwagę władz w Tokio. On obdarowuje Okitę dziełem sztuki. Może jakąś małą rzeźbą młodego nowojorskiego artysty. Niezbyt cenną. Wartą jakieś pół miliona jenów. Pięć tysięcy dolarów. Ale kto by tam patrzył na metkę z ceną? Okitę ujmuje dobra wola dłużnika. I tylko szczęśliwemu zbiegowi okoliczności

42

należy przypisać fakt, że w ciągu roku wartość pracy niepomiarowo wzrasta.

Pewnego dnia wiceprezes firmy Kawamoto dzwoni do Okity i proponuje mu za tę rzeźbę dwadzieścia milionów jenów. To kupa forsy, nie da się ukryć, ale firma może odpisać sobie tę sumę od podatku, podciągając ją pod koszty reprezentacji. Okita nie ma, naturalnie, ochoty rozstawać się z tym sentymentalnym skarbem, ale w końcu, acz niechętnie, przyjmuje ofertę. Dług zostaje spłacony — spłacony przy wydatnej pomocy japońskiego podatnika. Wszyscy są zadowoleni. W tym artysta, który może się teraz pochwalić sześciocyfrową ceną osiągniętą na międzynarodowym rynku dzieł sztuki. No i jak się pani podoba ta kombinacja?

— A co z rzeźbą? — pyta Annie. — Co robią z rzeźbą? Wyrzucają ją?

— Dlaczego mieliby wyrzucać? Jest przecież warta dwieście tysięcy dolarów.

— Ale nie naprawdę.

— Ależ tak. Naprawdę. To bardzo ważne, żeby dobrze mnie pani zrozumiała. Ja im tam wysyłam najlepszą sztukę świata. Najśmielszą, najbardziej poruszającą, najoryginalniejszą. Dzieła artystów, którzy mają niewątpliwy talent, a brakuje im tylko umiejętności kreowania własnej kariery. I tu właśnie wkraczam ja.

Odpowiednia recenzja w „Art-forum”, we „Flash Art”, właściwy, mały kącik w „Hamp-tons”, właściwy dział w „Basel Artfair and Dokumenta”. A co do tej kotłowniny w Japonii? To tylko umacnia naturalne wartości. Tak czy inaczej, jest to, cóż, jest to moje zmartwienie. Proszę mnie je zostawić. Pani rola to siedzieć w swojej pracowni i tworzyć swoje skrzynki.

Oczy Annie miotają iskry.

— Moja rola? No, fajnie, miło wiedzieć, że ktoś mnie jeszcze zauważa. Słuchaj no pan, panie Lyde...

— Proszę mi mówić Zach.

— Słuchaj... %

— A ja mogę mówić pani Annie?

— Może mi pan mówić, jak się panu, cholera, podoba. Ale nie wydaje mi się, żebym chciała mieć cokolwiek wspólnego z tymi, tymi...

— Podejrzanymi sponsorami? Czy to właśnie tak panią wzburzyło? „Przykro mi, księżę — mówi Rafael — ale jest pan zepsuty i gotuje swoich wrogów w oleju, sądzę więc, że lepiej usunę się w cień...”

— Ja mówię tylko...

— Annie — przerywa jej Zach — dlaczego, twoim zdaniem, ja się tym zajmuję? Dla pieniędzy? Nie mam z tego żadnych pieniędzy. Nie potrzebuję ich. Dobrze mi się wiedzie.

Pojawia się kelner. Sunie bezgłośnie przez taras, ale Zach Lyde unosi lekko rękę i nie odrywając oczu od Annie mówi:

— Nie teraz, Davidzie. Proszę. Kelner wycofuje się.

Zach Lyde pochyla się ku Annie jeszcze bardziej.

— Robię to po to, żeby takie jak ty artystki mogły wchodzić do swoich pracowni i komponować spokojnie swoje skrzynki, nie martwiąc się, że nie będą miały czym nakarmić dzieci. Rozumiesz? Żebyś mogła do woli popuszczać wodze fantazji. I żeby nie cierpiało na tym twoje życie osobiste. Żeby nie spędzali ci snu z powiek wszyscy ci idioci ze światka artystycznego, te trutnie. Żebyś mogła pracować.

Nagle odrywa od niej oczy. Parska. Potrząsa głową.

— Ale dobrze, to twoja kariera. Zatrzymaj sobie swoje skrzynki. Zatrzymaj też czek, potraktuj go jako grant... dowód mojego uznania. Życzę szczęścia.

Odwraca się, szuka wzrokiem kelnera.

— Panie Lyde — mówi cicho Annie.

— Zach.

— Zach. Jesteś bardzo przekonujący, wiesz? — Annie próbuje się uśmiechnąć. — Wszystko przez to... przez to. Boże! Że to tak nagle. Chyba trochę potrwa, zanim się z tym oswoję. I to tyle. — Spuszcza oczy na zwijki wędzonego łososia. Śmieje się.
— Powiedziałam ci już, jak mi to smakuje? Ale już chyba nie mogę.

— W porządku. Zresztą musisz już iść. Masz tę rozprawę w sądzie, prawda?

— Ach tak. Rzeczywiście. Zapomniałam. Z obłoków na ziemię. — Annie kręci głową. — Ale żałuję, że muszę iść. Wydaje mi się, że mamy wiele tematów do rozmowy, to znaczy przykro mi, żałuję, że...

— Będzie jeszcze okazja.

— Tak.

— Na przykład kolacja.

— Co?

— Zjesz ze mną dzisiaj wieczorem kolację, Annie?

OLIVER jedzie na rowerze. Głowę ma wysoko zadartą, patrzy w korony klonów cukrowych, którymi wysadzana jest Church Street, w te rozedrgane liściaste jaskinie.

— Oliver! — rozlega się w pewnej chwili ostrzegawczy krzyk jadącej za nim matki. Chłopiec przenosi wzrok na drogę, i stwierdza, że zjechał na lewą stronę jezdni...

Zjeżdżają obok siebie z góry w kierunku jeziora. Do skrzyżowania, gdzie wznosi się stary kamienny budynek biblioteki i gdzie Church Street spotyka się z Old Willow Avenue.

Ohver zwalniając nie dotyka ręcznego hamulca, chybotrze tylko przednim kołem.

Zatrzymują się, żeby przepuścić kilka samochodów jadących Old Willow. Potem przecinają drogę i podskakując na porośniętych pożółkłą trawą wertepach, docierają do szlaku rowerowego biegnącego brzegiem jeziora.

— To kupisz mi nowy rower? — woła Ohver przez ramię do matki.

— Ohver! — upomina go Annie.

— Nie, naprawdę, chciałbym nowego mongoose'a, mam, czemu nie?

— Ja nie żartuję. Zamknij się.

— A kto nas tu słyszy, mamusia?

— Nie w tym rzecz. Buzia na kłódkę.

45

Mijają statuę Hannah Stoneleigh, bohaterki Pharoah z czasów wojny o niepodległość, brązową postać przywierającą do brązowego konia i krzyczącą coś brązowym

krzykiem.

— To może powerbooka? — pyta OHver.

— Co?

— Powerbooka. To taki komputer z wbudowaną myszą...

— Wiem, co to jest.

— Kupisz mi?

— Nie. A jak piśniesz komuś słówko, słyszysz, to każę ci wbudować taką mysz w gębę.

— Mamuśka!

— Co?

— To wcale nie było śmieszne.

— Bo nie miało być.

— Było głupie.

— No i dobrze.

— Ha, ha, ha! — przedrzeźniają Oliver. — Ha! Ha, ha! Staje na pedałach i przyspiesza. Owiewa go bryza znad

jeziora. Po bokach śmiga w pędzie spalona słońcem trawa. „Ha, ha, ha!” — krzyczy, zostawiając matkę coraz bardziej z tyłu. Myśli o życiu ze słynną mamuśką. Kupimy sobie dom Dillsów na Horsepound Ridge i Juliet będzie przychodziła do nas na basen.

— Gazu, mamo! — woła przez ramię.

Wkrótce potem jadą razem Seminary Lane. Mijają Shaw-na Cardiego, który pozdrawia ich ruchem głowy i elektronicznym klaksonem swojego roweru, krótkim, suchym, przypominającym pierdnięcie. Oliverowi robi się głupio, że jeździ w towarzystwie matki. Ale Shawn Cardi ma swoje problemy. Po pierwsze jest roztargniony. A po drugie jego matka jest dyrektorem miejskiego domu pogrzebowego. Oliver odpowiada mu więc zdawkowym skinieniem głowy i pochyla się znowu nad kierownicą roweru, tak jakby jechał na harleyu, i przemyka mu przez myśl, że już bardzo niedługo rzeczywiście będzie jeździł harleyem. A do tego będziemy mogli kupić dużo ziemi, prawda? A na terenie swojej posiadłości nie

będzie mi potrzebne prawo jazdy, no

46

nie? Teoretycznie mógłbym zacząć jeździć na harleyu choćby jutro.

Widać już dom. Mijają wymuskany trawniczek państwa Zoellerów oraz ich trawnikowego trolla (całą trójką Oliver pogardza). I już ich zapuszczone podwórko. Skręca w prawo i wpada w podjazd tuż przed mamą. Zajeżdża za dom i pod drzewem zeskakuje. Prowadzi rower do werandy i sięga już do klamki siatkowych drzwi, kiedy nagle spostrzega czaszkę.

— Jasna cholera — mówi. — A to co?

Głupie pytanie — widać przecież, co to jest. Ludzka czaszka powieszona na siatkowych drzwiach.

Staje za nim mama. Oliver słyszy, jak wstrzymuje oddech.

Przy czaszce dynda jakaś metka, coś jak tabliczka identyfikacyjna w prosektorium. Napis na niej głosi: OLIVER LAIRD.

I nagle Oliver czuje, jak coś wwierca mu się w skroń, w ucho i rozpryskuje po szyi. Odwraca się na pięcie. Kolejna strużka wody trafia go między oczy. Zamachowczyni siedzi na drzewie. Juliet.

— Jesteś zabity.

Juliet wygląda zza pnia, mierząc do niego z karabinu maszynowego Superpolewacz. Zielonooka, rudowłosa Juliet, najlepsza przyjaciółka mamy. Mrużąc oczy patrzy wzdłuż lufy zgrywając muszkę ze szczerbinką.

— Padnij, jesteś zabity.

— To nie fair! — krzyczy Oliver.

— Nie fair? Fakt. Śmierć nie jest fair.

— Jestem nie uzbrojony! — Oliver już otwiera usta, żeby dalej protestować, ale wpada w nie strumyk wody.

— Czas umierać, Oliver.

Oliver wzrusza ramionami i puszcza rower, który przewraca się na ziemię. Sam osuwa się na kolana i powoli pochyla w przód. Składa się w scyzoryk. Zerka w górę i na boki. Juliet zeskakuje z drzewa. Jest wysoka, mierzy ponad metr osiemdziesiąt.

Figurę ma chłopcę, ale nie pozbawioną paru miękkih, peszących go kobiecych krągłości. Kiedy plotkuje

47

z mamą OHvera albo kiedy dokazuje z Oliverem, przygarbia się, rozluźnia. Ale Oliver widział ją, jak flirtowała z mężczyznami w restauracji i raz na pikniku, i jeszcze raz na parkingu z nowym lekarzem stażystą-rezydentem ze szpitala, w którym pracuje. Prostowała się wtedy na całą wysokość, a nawet odchyłała trochę do tyłu, i kołysała lekko na boki, rozmawiając kołysała się jak wąż, i Oliver pragnął, aby od czasu do czasu powstała w ten sposób z nim.

— Czyja to czaszka? — pyta ze swojej zgiętej pozycji zabitego.

Juliet ściska jego matkę, ale nadal trzyma Olivera na muszce karabinu.

— Twoja, zwyciężony. Nie potrafisz odczytać własnego nazwiska? — mówi Juliet, a potem pyta mamę Olivera: — No, co to za rewelacyjne nowiny?

— Hej, to prawdziwa? — pyta OHver zrywając się z ziemi i zdejmując czaszkę z siatkowych drzwi. — Skąd ją masz?

— Dostałam od lekarza z neurochirurgii.

— Przyjaciela?

— Nie twój interes. Chciałby być moim przyjacielem. A ta czaszka to nie taki zły pomysł. W każdym razie lepsza od kwiatów.

— A on ci się podoba?

— Jesteś niesamowicie wścibskim smarkaczem.

— A tak. Jestem. — OHver porusza szczęką czaszki i naśladuje skrzypienie nie naoliwionych drzwi. — Ach, ach, ach. No to podoba ci się czy nie?

— Jak może mi się podobać, skoro jest rezydentem na neurochirurgii? Zdajesz sobie sprawę, jak nieprawdopodobnie nudni potrafią być rezydenci z neurochirurgii?

— Mhmmm.

— Gdybyś miał przed sobą dwie godziny życia i spędził je z rezydentem neurochirurgii, wydawałoby ci się, że to były dwa lata. Możesz sobie zatrzymać tę czaszkę, jeśli obiecasz, że nie wyniesiesz jej do szkoły czy gdzieś. Posiadanie tego nie jest chyba legalne.

— Hurra! Dzięki.

Juliet znika za węglem domu i po chwili wraca, prowadząc rower, który gdzieś tam ukryła.

— Ha, od razu wiedziałam, że twój spaczony, mały mózdzek ucieszy się z takiego prezentu — mówi. A potem znowu zwraca się do mamy: — No, co to za nowiny?

— Dostała trzy czerwone plamy — wtrąca się OHver. Juliet nie kojarzy.

— No właśnie — mówi mama. — Trzy czerwone plamy.

— I będzie miała więcej — dopowiada Oliver.

— Złapaliście różyczkę? — Juliet rozkłada ręce. OHver i mama uśmiechają się od ucha do ucha. Czaszka

też szczyrzy zęby.

— Sprzedałam trzy prace — oznajmia wreszcie mama. Juliet opada szczęka.

— Annie!

— Bardzo wpływowemu kolekcjonerowi. On prorokuje mi... — Annie wyłamuje sobie palec. Nie potrafi znaleźć odpowiedniego słowa. — Boże, supergwiazdorstwo!

Z szeroko otwartych ust Juliet wydobywa się prznikliwy pisk.

— iiiimmmiiiiiiiiiii!

— Cicho! — mówi mama.

— Annie!

Mama kładzie sobie dłoń na biodrze i zarzuca tym biodrem.

— Mam w kieszeni dwanaście tysięcy dolarów.

— ANNIE!

Juliet podskakuje w górę. Dopada do mamy, ujmuje jej policzki w swoje duże dłonie i ścisza je tak, że usta mamy układają się w rybi pyszczek.

— ANNIE! TO TAKIE... CHOLERNIE... NIEWIARYGODNE...

— Ciii! — upomina ją mama.

Mama podnosi ręce i nadstawia dłonie do przyklepania. Juliet wali w nie pięściami. Jest taka podniecona, że nie wie, co robi. Mama chwytą ją ze śmiechem za przeguby,

Zabij go, mamo

49

próbuję powstrzymać, ale Juliet wyrywa się i bierze mamę w objęcia. Okłada ją pięściami po plecach. Jest o wiele wyższa od mamy i musi się schylać. Przestaje walić mamę po plecach i na odmiannę ściska ją z całych sił. Puszczą oko do Ohvera, wyciąga jak mackę swoją długą rękę, chwytą go za szyję i zaczyna dusić, zapominając, że przecież już go dzisiaj zabiła.

NAUCZYCIEL siedzi w pozycji półłotosu w swoim starym, jednopokojowym domku. Koncentruje się na sala-gramach, które namalował na błyszczącej drewnianej podłodze.

Piramida czerwonych krążków.

Bierze głęboki oddech. Puraka.

Zaczerpnięte w płuca powietrze spływa spiralnym korytarzem kręgosłupa, drogą, którą Czarny Łoś nazywał czerwoną drogą, aż do mrocznego stawu i rozłożystego, białego drzewa cyprysowego.

Rechaka. Wydech.

Bierze następny wdech. Puraka.

Jeden z czerwonych krążków zaczyna się unosić. Czerwona sfera, lekka i malutka jak oset, a w środku tej sfery jego ojciec. Ojciec jest pijany. Leży rozwalony na dywanie w piwnicy domu w Bay Ridge, w piwnicy, którą nazywali rupieciarnią. Śpiewa swoim lirycznym barytonem „Cinta di Fiori” Belliniego. W kącikach ust bielą się kropelki piany.

Nauczyciel robi wydech. Rechaka. Sfera kołysze się, odpływa.

Jej miejsce zajmuje kolejna sfera. Zagląda w nią.

Widzi siebie w kuchni tego samego domu w Bay Ridge. Stosy brudnych talerzy, zapleśniałe resztki jedzenia, obraz nędzy i rozpacz. Smaruje musztardą kromkę chleba. W lodówce znajduje kawałek starego salami. Odrywa nadpsuty koniec — pomarszczona skórka. Odwraca się i widzi na chlebie karalucha brodzącego w musztardzie. Przesuwa powoli rękę i zatrzymuje ją nad karaluchem. Szybki ruch,

i już trzyma go pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym. Delikatnie. Insekt przebiera wściekle w powietrzu unurzany-mi w musztardzie kończynami, ale te nigdzie go już nie niosą.

Rechdka. Odpędza tę wizję.

Wdech. Unosi się kolejna sfera.

Matka, krzycząca pod drzwiami łazienki, kopiała w nie. Drzwi otwierają się gwałtownie. Ojciec sra, a na kolanach trzyma otwarty tom Tomasza z Akwinu. „No, czego tam znowu, księżniczko?” — mówi do matki. Wstaje z kibla. Od dupy odrywa mu się kawałek gówna w kształcie łyzy i spada na deskę klozetową. Nie podciągając spodni, które płaczą mu się wokół kostek nóg, postępuje krok do przodu. Próbuje napluć matce w twarz, ale chybia. Uśmiecha się do syna i zamyka drzwi.

Nauczyciel ustawia oddechem wszystkie trzy krążki w piramidę, dwa na dole, jeden na górze. Szlifuje przez chwilę geometrię i w końcu uzyskuje nieskazitelną, nienaganną figurę.

Wtedy ją wdycha.

Wstaje.

Odtwarza taśmę automatycznej sekretarki. Sari. Znowu Sari. Sari po raz trzeci.

Podchodzi do konsoli i wybiera kanał pierwszy, kuchnię Annie. Słucha. Jej gość, ta lekarka, nadal tam jest, rozmawiają wesoło i pokój Nauczyciela wypełnia się ich śmiechem. Dobrze być z nimi. „Mistrz podróżuje codziennie nie opuszczając swego domu” — mówi Lao-tse.

Kobiety rozmawiają o Zachu Lyde.

ANNIE jest przerażona.

— Marszczona? O, nie. Tylko nie marszczona.

— Czemu nie? — pyta Juliet. Wciąż się śmieje. — To taki seksowny ciuch. Tak w niej seksownie wyglądasz...

— Juliet, przestanieś wreszcie? Nie chcę wyglądać seksownie. Ten człowiek jest moim potencjalnym mecenasem, a nie potencjalnym...

— Czym?

— No, przyjacielem... czymkolwiek.

— Ależ skąd! Oczywiście, że nie, Annie. Jest tylko wspaniały, mądry, bogaty jak Krezus. Nie spełnia twoich norm. Ale bardzo miło z twojej strony, że zgodziłaś się z litości na randkę z tym biednym...

— To nie randka! NIE RANDKA. A poza tym opuściłaś pewność siebie oraz poczucie humoru i nie wspomniałaś o jego kościach policzkowych.

— Wspaniale! Właśnie tak! Wkładasz tę marszczoną szmatkę, mała. I nie bądź przy nim nieśmiała...

— Nie jestem nieśmiała.

— Jesteś.

— Jestem skryta.

— Jesteś milczek.

— Nie lubię paplać w towarzystwie mężczyzn i to wszystko.

Juliet wybucha śmiechem.

— Paplać? Nazywasz to paplaniem? — Niewyraźnie wymawia słowo: paplać. Annie widzi, że przyjaciółka jest bardziej niż wyczerpana. Siedzi w kuchennym bujanym fotelu, trąkocze i pcha jeden po drugim do ust lorna doony Olivera, rozgryzając je z głośnym chrzęstem. Jest nadpobudliwa. Nie sięga po filiżankę herbaty, lecz rzuca się na nią. — To nie paplanie, Annie, to sztuka. Najpierw mówisz coś, co nadyma jego ego. Potem mówisz coś wabiącego, coś, co go do ciebie przyciąga. Potem chytrym, małym, subtelnym sztychem dziurawisz jego balon. Potem znowu kadzisz jego głupiutkiemu ego, potem go odpychasz, przyciągasz, odpychasz, przyciągasz, odpychasz, przyciągasz, odpychasz, dopóki go tą metodą nie urobisz tak, że zacznie tańczyć w kółeczko, zakręci mu się w głowie, potknie się i padnie ci do stóp.

— I co potem?

— Potem powiedz mu, że ci przykro, że go podziwiasz, ale nigdy nie będzie dla ciebie niczym więcej, jak mecenasem — i Annie, musisz mi potem wszystko opowiedzieć,

52

bo jak nie, to cię zamorduję, kochanie ty moje. — I Juliet urywa wybuchając nową

salwą śmiechu.

— Hej, Jul!

— Co?

— Kiedy ty ostatnio spałaś? Pytanie to sprawia Juliet kłopot.

— Spałam w sensie snu? A nie zamknięcia na chwilę oczu podczas przeprowadzania tracheotomii? Wiesz, że nie pamiętam? Co my dzisiaj mamy?

— Środę.

— Naprawdę? Bujasz.

— Nie bujam.

— Jesteś pewna?

— Jestem.

— No więc wiem, że przespałam parę godzin z poniedziałku na wtorek. To nie tak dawno.

— Jezu, to co ty tu robisz? Trzeba było walnąć się do łóżka...

— Nie. Musiałam wpaść, kiedy dostałam od ciebie tę wiadomość. Widzisz, Annie, aż się wierzyć nie chce, że ty nigdy nie przestałaś marzyć, chciałaś tworzyć sztukę i tworzyłaś ją, zaparłaś się, pomimo że kosztowało cię to wiele wyrzeczeń, i teraz wreszcie...

— Zaparłam się, bo jestem stuknięta, Juliet.

— Dzwoniłaś już do Sliveya? Rzucasz robotę?

— Nie mogę zrezygnować z tej pracy.

— Możesz!

— Wszystko jeszcze palcem na wodzie pisane.

— Nieprawda! Od jutra możesz się poświęcić wyłącznie robieniu swoich skrzynek.

Annie śmieje się.

— Od jutra na pewno nie. Jutro idę do sądu.

— O Boże, zapomniałam. Jak to wygląda?

— Dobrze, nudno. Prawnicy zarzucili mnie masą pytań. Wzięli mnie.

— Do czego?

— Do jakiegoś procesu. Trochę inaczej to sobie wyob-

53

razałam, ale teraz, to znaczy po tym wszystkim, dochodzę do wniosku, że potrzebne mi to było jak dziura w moście.

— Wycofaj się.

— Już za późno.

— Wycofaj się.

— Juliet, ty się musisz trochę przespać, słonko.

— Nie da rady, idę z Henrim do kina.

— Zwariowałaś.

— Zabiorę twojego berbecia, jeśli chce.

— To zależy od tego, kto będzie siedział za kierownicą.

— OK, Henri poprowadzi. Ale słuchaj, Annie, muszę ci opowiedzieć, co się wydarzyło wczoraj w nocy.

— No, co takiego?

— Nie tylko tobie zdarzają się przygody.

— Co się stało?

Twarz Juliet przybiera ten wyraz, który poprzedza u niej wszelkie rozmowy o seksie

— wargi robią się jej cieńsze, powieki trzepoczą figlarnie. Zniża głos.

— Gdzie on jest?

— OHver? W swoim pokoju. Nie usłyszysz nas. — Annie przysuwa się bliżej. — No?

— Wczoraj w nocy. To znaczy około drugiej nad ranem, wezwano mnie na dół do izby przyjęć. Rana postrzałowa. Powinien to załatwić rezydent czwartego roku, ale go wcięło, chyba walnął się gdzieś spać, no więc spadło to na mnie. Chyba żebym obudziła lekarza dyżurnego, ale tego zawsze się wystrzegam. No więc wtaczają tego chłopaka na wózk. Czarny, koło dwudziestki. Oczy ma szeroko otwarte. Jest

pobudzony. Jest wspaniały.

Juliet pociąga łyk herbaty.

— Zgadniesz, którego pielęgniarkę miałam do pomocy? — podejmuje.

— Henriego?

— Czasami dają mu dyżur razem ze mną. Strach ich oblatuje, kiedy sobie pomyślą, jaka jestem bez niego. No więc jest on i jeszcze jeden pielęgniarkę. Rozcinam chłopakowi spodnie nożyczkami. Nie nosi nic pod spodem. Ma

54

przestrzelone udo. Wlot tutaj, wylot tutaj — czysta, łatwa robota, właściwie rutyna, jeśli nie brać pod uwagę, kto patrzy na to jego udo. Annie, on miał najpiękniejszego kutasa, jakiego w życiu widziałam. Nie za dużego, ale jak... jak ten gładki, czarny kamień, jak go nazywają?

— Onyks?

— Właśnie, onyks. I te dwie guzowate żyły, jak pędy winorośli... Leży mu na udzie wskazując w dół na ranę i leciutko pulsuje. A na końcu się rozszerza... w takie jakby skrzydła, jak kobra, jak śpiąca kobra...

Obie rumienią się, przybliżają do siebie twarzami i chichoczą dziko, ale Juliet wciąż się obawia, że OHver może coś usłyszeć, i kładzie palec na ustach.

— Ciiii.

To wywołuje kolejny atak śmiechu.

— A Henri nie wiedział, czy patrzeć na tego kutasa i podziwiać, czy obserwować mnie, czy nie skrewię. Ale niech mnie diabli, jeśli zamierzałam skrewić. Obeszłam wózek, żeby podłączyć chłopakowi kroplówkę, a ten się odzywa: „O, cholera. To dla tych, co są za starzy, żeby jeść, tak? Co nie mają zębów?” A ja na to: „Ja mam zęby. Mogę jeść. I zaraz cię pożrę. Jak masz na imię?” „Richard” — odpowiada. Ma nieprawdopodobnie białe zęby, i nogi się pode mną uginają. „Leż spokojnie, Richard — mówię — i daj mi ją podłączyć”. A on: „Sprowadźcie tu lekarza”. „Ja jestem lekarzem” — mówię. A on: „O, cholera! Ty? O, cholera! To już nie żyję”. Zaczynam oczyszczać ranę, a on pyta: „Co o tym myślisz?” „Wygląda mi na to — mówię — że zrobiłeś coś głupiego i wdepnąłeś w kłopoty, Richardzie.” A on: „Jak dorwę tego skurwysyna, który mi to zrobił, to przywiozę go tu wam w torbie. A ty ją otworzysz i wylejesz go stamtąd”.

Ale ja słucham go tylko jednym uchem, bo udo jest trochę spuchnięte i zaczynam się zastanawiać, czy to czasem nie hematoma, czyli czy nie utworzył się zator i krew tętnicza gdzieś się tam nie zbiera. Kładę mu dłonie na udach, bo czasami można wyczuć naprężenie. No i czuję

55

to naprężenie pod palcami, ale, Annie, ten facet jest taki umięśniony, twardy jak skała, no i nie wiem, może to tylko te jego mięśnie. Muszę porównać to naprężenie z naprężeniem w drugim udzie. No więc biorę go za oba uda, a on patrzy na mnie i mówi: „Wiesz co? Miły masz dotyk”.

Ale ja już wiedziałam, że to mu się podoba, Annie. Bo kiedy go tak trzymałam, ten kutas zaczął mu...

— Nie! — syczy Annie.

— Naprawdę! To znaczy, to znaczy zaczął się na moich oczach unosić i był taki piękny... no, wiesz, ten czubek jak kobra... jak rozpostarte skrzydła...

Przez chwilę krztuszą się ze śmiechu.

— Patrzyłam przez chwilę na tego kutasa, a kutas na mnie, a potem spojrzałam na Henriego, a on też patrzy, a Richard leży sobie z rękami pod głową, z takim rozanielonym uśmiechem od ucha do ucha, o tak, tak...

Juliet odchyła się do tyłu i przez chwilę śmieje prosto w sufit. Potem podejmuje:

— Ale zaparłam się, że muszę doprowadzić do końca to badanie. Trzymam mu więc ręce na udach, badam, a ten kutas dalej wstaje i wstaje. Zaczęłam się czerwienić, a wiesz, jak ja się czerwienię. Zdaje się, że zrobiłam się purpurowa, i Annie, mówię ci, taka byłam podniecona, że chciałam go już złapać w garść. Ale chłopak wyciągnął rękę i położył prawą dłoń na mojej. I mu darowałam. „Jak ci na imię?” — pyta mnie. A ja spoglądam na niego i mówię: „Hematoma”. „Jak? — pyta. — Tak masz na imię? Hematoma? Co to znaczy?” A ja na to: „To znaczy, że będziesz miał operację, Richardzie. Do widzenia, Richardzie”.

I kazałam go zawieźć na chirurgię, zrobili mu tam fas-ciotomię i więcej go nie widziałam.

OLIVER żałuje, że podsłuchiwał. Że leżał w sypialni mamy z uchem przy zimnej drewnianej podłodze i słuchał opowieści Juliet. Teraz ma mętlik w głowie. Siedzi za swoim

56

biurkiem i usiłuje odrabiać matkę, ale myśli wciąż mu się rozbiegają.

Z grupy baletnic z Marina City Ballet cztery mają więcej niż 16 lat, 35% ma między 10 a 16 lat, trzy mają od 7 do 9 lat, a jedna jest czarną, kołyszącą się i unoszącą kobrą z jednym okiem, i wszystkie baletnice zbierają się wokół niej i próbują chwycić ją w garść...

I myśli znowu o tym, co Juliet powiedziała o siusiaku tego chłopaka, jakie miał rozpostarte skrzydła, jaki był piękny... i coś ściska go w dołku.

Jest dla mnie za stara. Chodzi z dojrzałymi, dorosłymi facetami, co jej po takim smarkaczu jak ja?

Ale może pieniądze coś pomogą. Jeśli mama stanie się naprawdę bogata, to będę mógł kupić dom przy Orchard Road, obok domu Juliet, cały dom tylko na przyjęcia, i każdy tam przyjdzie, bo będę synem Annie Laird, i będę miał harleya, i prywatne boisko do lacrosse'a za domem, i przyjdzie nawet Laurel Paglinino, ale jej nie wpuszczę, nikogo nie wpuszczę, bo będę chciał być sam z Juliet...

Jezu! Już po tych myślach poznać, jaki ze mnie głupek i dzieciak, ale nie da się ich zatrzymać, nie obchodzi ich, jakie są głupie, i biegną sobie, gdzie chcą...

— OHver!

— Hę?

— Chodź, zbieraj się. — Mama wchodzi po niego po schodach. — Skończysz u pani Kolodny.

To go ściąga z obłoków na ziemię.

— Zaraz! Przecież powiedziałaś, że mogę przenocować u Jessego!

— Cóż, przykro mi. Matka Jessego cię nie chce. Za smarkaty jesteś. Pójdiesz do pani Kolodny.

— Mamo! Nie!

Annie pochyła się nad nim, zakrywa sobie rękami usta i zniża głos, naśladowując ducha z kulą na łańcuchu:

— Dooo paaani Koo-looo-dnyyyy.

57

— Mamo! Zalewasz, prawda?

Annie leciutko wybija mu dłońmi werbel na czubku głowy (zawsze zachowuje się jak jego starsza siostra, kiedy jest u nich Juliet).

— Dałeś się nabrać, co? — mówi. — Prawda jest taka, że Juliet zabiera ciebie i Jessego do kina, a potem przenocujesz u Jessego. Może być? Randka z Juliet? Podkochujesz się w niej, prawda? No, to rusz tyłek. Ja też mam randkę.

— Zdawało mi się, że mówiłaś, że to spotkanie w interesach.

— Och, racja. Rzeczywiście. W interesach. I tylko w interesach. Pośpiesz się.

ANNIE je kolację w L'Auberge Conques. Do posiłku piją wino Domaine des Comtes Lafon, ale ją upaja czekoladowe ganache. Poza tym ostre, wonne powietrze, kiedy po kolacji idą do samochodu, księżyc baraszkujący pomiędzy chmurami. Swobodny, elegancki śmiech Zacha Ly-de, kiedy gmera w dwudziestu zawieszonych na kółku kluczykach w poszukiwaniu tego właściwego. Również zapach jego płóciennej marynarki, kiedy przytrzymuje drzwiczki wozu.

Jadą, a elegancki samochód Zacha Lyde wypełnia Vivaldi.

Na skrzyżowaniu, niedaleko Katonah, Annie widzi w świetle reflektorów kozła, który wsparł łeb o górną belkę drewnianego ogrodzenia. Zwierzę patrzy na nią zwięzonymi źrenicami i przekrzywia głowę, jakby pod wpływem pasji koncertu na dwoje skrzypiec Vivaldiego. Świat pełen jest takich niespodziewanych przeblysków piękna, jak mógł chociaż przez chwilę wydawać się jej tak wstrętny?

Annie pyta Zacha, jak zaczął kolekcjonować sztukę, a on odpowiada:

— Na Maiden Lane, niedaleko mojego biura, był taki stary, rozpadający się mur z pustaków, koło którego przechodziłem codziennie w drodze do pracy i z powrotem,

58

i pewnego dnia coś przyciągnęło mój wzrok. Podeszedłem tam, żeby popatrzeć z bliska, i zobaczyłem miasto. Zbudowane we wgłębieniu muru. Było to coś w rodzaju maleńkiego akropolu wzniesionego z gliny, z miniaturowymi glinianymi kolumnami. I tympanonami. I skrzydłami glinianych schodów biegnących w górę i w dół. I to wszystko w tym murze. Wszędzie dookoła graffiti i plakaty zespołów rockowych, „Zdechły kutas mojej siostry” i tak dalej, i góry śmieci, no, wiesz, puszki po piwie poupychane w szczeliny w tym murze — a tu naraz idealne miasto.

Zacząłem rozpytywać i w końcu odszukałem gościa, który zbudował to miasto. Takiego bezdomnego faceta, który przesiadywał na stopniach kościoła. Znalazłem mu dom, znalazłem mu mecenasów, znalazłem mu galerię. Dalej jest głupi, ale nie

musi się już martwić o jedzenie i spanie. Może budować swoje miasta. A większości ich i tak nikt nigdy nie obejrzy. W każdym razie to mnie wciągnęło.

W światłach reflektorów migają skrzynki pocztowe, kasztanowce, czerwone stodoły. Fragmenty przydrożnego pejzażu wybiegają im naprzeciw, a potem zostają z tyłu. Wszystko w rytm Vivaldiego. Annie nie przepadała dotąd za Vivaldim, ale dziś wieczorem wydaje jej się wspaniały. Andante, skrzypce i wiolonczela maszerujące ramię w ramię, sprowadza na Annie senność. Ma ochotę zwinąć się w kłębek w fotelu i złożyć głowę na ramieniu tego mężczyzny.

Przestań. Wydaje ci się, że to zabawne, idiotko? Chcesz się rozklejać i czulić już pierwszego wieczoru? Och tak, chemia wrze. Pograż się. Wywołaj tu potop i niech porwie twoją szansę na zrobienie kariery, bo ty nie potrafisz nad sobą zapanować. Bo kochasz te kości policzkowe. Bo szalejesz na punkcie jego samochodu i jego krzywego uśmiechu, i religii, i tych głębokich, brązowych oczu, o Chryste.

Siedź prosto, worku gówna.

Annie prostuje się.

Kusi ją, żeby mu wyznać, jak przed chwilą korciło ją, żeby położyć mu głowę na ramieniu.

59

PRZESTAŃ, WORKU GÓWNA.

— Wiesz — odzywa się Zach — co najbardziej podobało mi się u tego artysty? To sięganie wstecz, cofanie się od dzisiejszego miasta do miasta, które było przed nim. To sięganie wstecz, sięganie w głąb, do struktur, które leżą u podstaw całego tego chaosu — to najbardziej mnie ekscytuje w najlepszej sztuce. I dlatego tak mi się spodobały twoje Macane Skrzynki, Annie! Macanie w ciemnościach, w tym łonie, cóż to innego, jak nie sięganie wstecz? Lao-tse twierdzi, że wracanie jest ruchem Tao. Wracanie! Odnoszę wrażenie, że to, co nazywamy mądrością...

Urywa. Uśmiecha się.

— Boże, za dużo mówię.

— Mnie to nie przeszkadza — odzywa się Annie. — Nieczęsto mam okazję porozmawiać z ludźmi o... o tak szerokich horyzontach.

— Chciałaś powiedzieć: o takim bałaganie w głowie.

— Wymieniłeś jakieś nazwisko. Lao-tse? On zapoczątkował jakąś religię, prawda?

— Taoizm. Chociaż niektórzy utrzymują, że był postacią mityczną.

— Jesteś taoistą?

— Nie wiem — mówi Zach ze śmiechem. — Lao-tse twierdzi, że kiedy głupi człowiek słyszy o Tao, śmieje się w głos. I to, to mi pasuje do mnie. Ale z drugiej strony pociąga mnie jego filozofia. Stań się doliną — mówi — przestań walczyć z tą... tą strukturą, losem, czymkolwiek... a wszystko samo do ciebie przyplynie.

Dojeżdżają do skrzyżowania i Annie mówi:

— Tutaj w lewo.

Zach zerka na nią. O nic nie pyta, skręca, gdzie mu kazała. Oboje wiedzą już dobrze, że Annie zaprasza go do domu.

— Denerwuje mnie to światło — mówi Annie, kiedy są już w jej pracowni. — Zaczekaj chwilę. Zapalę świece.

60

Zach patrzy na rząd ukończonych Macanych Skrzynek na przeciwległej ścianie.

— Ale wtedy nie będę widział... Och, ale chyba nie muszę. Annie wygrzebuje z szuflady zapałki i zapala świecę.

— OK. — Pociąga za linkę wyłącznika lampy i gasi górne światło. Zapala drugą świecę i stawia ją w oknie. Płomyk chybotuje się. Na zewnątrz wieje dosyć silny wiatr i w pracowni powstaje przeciąg.

Zach stoi teraz przy skrzynkach. Ogląda się na Annie i pyta:

— Która?

Annie zapala trzecią świecę.

— Wszystko jedno. Którakolwiek.

— Są takie same jak te z galerii? Sięga się pod spód i...?

— ...zdaje na zmysł dotyku. Tak. Zach wybiera „Sen o ostrzeganiu”.

Tylko z obserwacji jego znikającej dłoni, nerwowych, odkrywczych uśmiezków, które przemykają co i rusz przez ściągniętą skupieniem twarz, Annie domyśla się, na co natrafia kolejno jego dłoń. Najpierw na cynkowe dno klatki dla ptaków. Potem odnajduje otwór i przesuwa się przezeń. Jest w klatce i odkrywa tam klawiaturę komputera. Charakterystyczny skręt nadgarstka, by palce mogły dotknąć klawiszy.

Na każdy klawisz nasunięty jest kapturek z papieru ściernego.

Annie obserwuje Zacha.

Zach wsuwa rękę głębiej i dotyka prętów klatki. A potem malutkich, cynkowych drzwiczek. Potem zerwanej kłódeczki. Sięga jeszcze głębiej i przesuwa palce przez drzwiczki klatki. Wyczuwa lekki prąd powietrza wytwarzany przez mały wentylatorek, ale nie może przecisnąć przez drzwiczki całej dłoni.

Kłęka na jedno kolano. Jego oczy, które do tej pory nie patrzyły na nic, skupiają się teraz na Annie.

— Cudowne — mówi. — A swoją drogą, to nie sen. Możesz wysłać ostrzeżenia. Od dzisiaj rzuć wszystko i poświęć się wyłącznie tworzeniu.

61

Annie rumieni się.

Ale Zach również jest zarumieniony.

— To... — ciągnie — ...to trochę krępujące.

— Co?

— No bo muszę sięgać pod tę sukienkę i wymacy-wać... — wybucha śmiechem
— ...twoją prywatność.

Wyraz twarzy Annie układa się w głupawy uśmieszek. Usiłuje nad tym zapanować, ale nie może. Patrzy na Zacha, tak dobrze na niego patrzeć. Podchodzi niepewnie do dużego fotela na biegunach, wyściełanego miękkimi, rozkosznie wygodnymi poduchami. Siada. Przyjmuje swobodną pozę. Zaczyna się śmiać.

— Pomacaj tamtą — mówi.

— Którą?

— Tamtą! — Pokazuje palcem na pracę „Kardynał O'Connor zapewnia: Bóg jest mężczyzną”.

— Już ją macałem — mówi Zach.

— Nie, tej jeszcze nie.

— Macałem — powtarza.

— Nie, skąd! Dopiero ją skończyłam. To znaczy...

— Macałem ją wczoraj.

Zach uśmiecha się. Ale uśmiech Annie zaczyna przygasać. Jest oszołomiona.

— Wczoraj? Wczoraj jeszcze cię nie znałam.

— Ale byłem tutaj — odpowiada.

Żart? Jakiś żart? Może to jakiś żart albo aluzja, której ona nie rozumie. Wysila umysł. Ale Zach już się nie uśmiecha, zbliża się do niej i atmosfera uległa zmianie, Zach ma inny wyraz twarzy, zimny i niepokojący. Świat zaczyna się strzępić po brzegach i Annie myśli w panice: „Ohver!” Ale zaraz przypomina sobie, że dziś wieczorem Olivera nie ma w domu, o tej porze powinien już być u Jessego. A więc w porządku, Ohver jest bezpieczny, ale ten obcy człowiek nadal blokuje jej drogę do drzwi, a ona musi się przecież jakoś stąd wydostać, tylko dokąd ucieknie? Nieważne, dokąd. Przede wszystkim musi wstać z tego fotela i chwycić coś, co może jej posłużyć za broń. Zaczyna się podnosić...

62

— Zostań tam, gdzie jesteś, Annie.

Zach szarpie za linkę przy lampie. Błyska górne światło. Razi Annie w oczy. Zach bierze stołek i stawia go przed nią. Siada na nim okrakiem.

— OK, posłuchaj mnie teraz. — Głos ma łagodny. — Grozi ci niebezpieczeństwo. I twojemu synkowi również.

— Oliverowi? Jakie niebezpieczeństwo? Gdzie mój syn...

— Jest u Jessego w domu, o ile wiem?

— Błagam — mówi Annie.

Głos Zacha Lyde jest tak cichy, że niewiele różni się od szeptu.

— To nadzwyczajne dziecko, prawda? Pamiętasz, jak graliście wczoraj w tę komputerową grę? Dragon Riders? I szedł na ciebie pajak, ty wpadłaś w panikę, a Oliver powiedział: „Nie bój się, mamuśka”. Pamiętasz to?

Annie otwiera usta, a jej oczy wypełniają się łzami.

— Skąd... — głos ją zawodzi. Próbuje jeszcze raz. — Skąd wiesz?

— Kiedy usłyszałem, jak się oboje śmiejecie, przysiągłem sobie, że zrobię, co w mojej mocy, aby go przez to przeprowadzić. Annie. Słyszysz, co mówię? To dla

niego niebezpieczny okres. Może pobłądzić, może ulec złym wpływom, popełnić jakiś dziecięcy błąd. Możemy go stracić. — Pstryka palcami. — O, tak, i już.

Annie śledzi powidok tego pstryknięcia. Zach ciągnie:

— Musi jakoś przewyciężyć to swoje niezdecydowanie. Marzenia to nic złego, ale on musi się też nauczyć działać. Ale chyba się nauczy. Daj mu czas, a poradzi sobie. Myślę, że będzie szczęśliwy i twórczy, i przystojny; myślę, że pewnego dnia zaroi się tutaj od twoich wnucząt. Twoja przyjaciółka Juliet też będzie bezpieczna. Masz kuzynkę w Titus-ville na Florydzie, prawda? Jej też nic się nie stanie. Wszyscy, na których ci zależy, będą bezpieczni jak w kościele. Rozumiesz mnie? Skiń głową. No. Rób, co mówię.

Annie kiwa głową.

— A tobie — tobie pozostaje tylko czekać. W porządku? Czekać i jeszcze raz czekać, zachowywać cierpliwość i dalej

63

czekać, aż pewnego dnia poproszona zostaniesz o wypowiedzenie jednego słowa. Dokładnie jednego. Wiesz, jakie to słowo? Annie siedzi jak sparalizowana. Patrzy.

— Wiesz? Nie wiesz? — ponagla Zach. — No? Domyślasz się, co to za słowo?

Annie kręci powoli głową.

Zach mruży oczy. Pochyla się ku niej i mówi cicho i spokojnie:

— Niewinny.

NAUCZYCIEL przypomina sobie, co Annie mówiła dzisiaj Juliet: „Nie jestem wstydliva, jestem skryta”.

Nie zwierza się ze swoich zamiarów. Nie obnosi się ze swoimi kłopotami.

„Nie lubię paplać w towarzystwie mężczyzn” — powiedziała.

Jest kobietą tak skrytą, że nawet swoje dzieła sztuki trzyma w ciemnościach — w tych dyskretnych, czarnych skrzynkach. Chodzi jej o to, by ten, kto maca w jednej z jej skrzynek, czuł się intruzem, robił to ze skrepowaniem. By odnosił wrażenie, że narusza czyjąś prywatność.

Ona nie podaje niczego na tacy.

A jednak on właśnie ją wybiera na swoją orędowniczkę w sali posiedzeń ławy

przysięgłych. Żeby tam tłumaczyła po dobroci, przekonywała, grzmiąca gniewnie i nie zaprzestawała wywierania presji, dopóki pozostali przysięgli nie skapitulują.

Nauczyciel podchodzi do kwaterowego okna pracowni. Spogląda w wietrzną noc. Nie naciskać. Spokojnie. Dać jej teraz trochę czasu.

Ale nie daje mu spokoju pytanie: „Czy akurat ją musiałem wybrać? Chyba zwariowałem”.

„Chyba zwariowałem, wybierając Annie Laird” — myśli i uśmiecha się.

64

ANNIE nie rozumie, dlaczego tak tu ciemno. Gdzie się podziało światło? W pracowni jest ponuro, mroczno, szaro. Słyszy własny napięty oddech. Rozgląda się i stwierdza, że lampa się pali. Ale jej światło jest jakieś przytłumione. Palą się również świece. Trzy świece. Płomyk jednej drży, chy-bocze się i pulsuje. Skąd się wzięły te świece? Po jakie licho je zapalała i dlaczego nie dają tyle światła, żeby mogła wszystko wyraźnie widzieć?

— Annie. — Cichy głos, suchy jak cykanie konika polnego, kojący. Dobiega teraz gdzieś zza jej pleców. — Annie, słuchasz?

Annie zamyka oczy.

— Musisz mnie wysłuchać.

Annie nie może odpowiedzieć, nie jest w stanie dobyć z siebie głosu. Bierze kolejny wdech i w końcu udaje jej się wyszeptać:

— Słucham.

— Bo nie masz innego wyjścia, Annie. Jeśli chcesz, możesz zaczekać, aż wyjdę, a potem wezwać policję. Albo nawet FBI. Przed upływem godziny przyślą tutaj agenta. To gotowi do poświęceń, prawi ludzie i zapewniam cię, że zrobią wszystko, by cię ochronić. Ciebie i twoje dziecko.

Milknie na chwilę. Nie śpieszy mu się.

— Ale wiesz, Annie, co będą musieli z tobą zrobić? Znowu milknie i odzywa się dopiero wtedy, kiedy widzi

przeczący ruch głowy Annie.

— Najpierw zabiorą cię i OHvera do bezpiecznego domu. Natychmiast po zakończeniu procesu obejmie was Program Ochrony Świadców. Wiesz, co to takiego,

prawda? Na jego mocy rozpoczniecie nowe życie. Gdzieś daleko stąd. Nowe nazwiska. Może nawet nowe twarze — chirurgia plastyczna. Również nowa, atrakcyjna praca w zawodzie, jaki sobie wybierzesz. Czyli przy... przetwarzaniu danych, zgadłem?

Ale będziesz musiała zapomnieć o sztuce. Bo obiecuję ci, że jeśli wystawisz kiedykolwiek swoje rzeźby w jakiegokolwiek galerii na świecie, to obojętne, jakie

5 — Zabij go, mamo

65

nazwisko przyjmiesz oraz jaki zawód sobie obierzesz, my będziemy wiedzieli, że to ty. I przyjdziemy, i znajdziemy cię. A zresztą nie, wystawiaj swobodnie swoje prace w Whitney Biennial. Urządź ekspozycję w MOMA. Bo my i tak cię znajdziemy. Wszędzie. Znajdziemy cię na końcu świata. Sięga do kieszeni na piersi, wyjmując mały notes i podaje go jej.

— Otwórz to.

Annie patrzy na notes. Nie porusza się.

— Proszę cię, nie każ mi powtarzać wszystkiego po dwa razy — mówi Zach. — Musimy ze sobą współpracować. Nie ma innego wyjścia.

Annie otwiera notes. Na pierwszej stroniczce wklejono wycinek z gazety. Zastrzelono człowieka... jakiegoś niepozornego, skromnego faceta, pod spodem nagłówek:

DOMNIEMANY CAPO MAFII ŚWIADKIEM OSKARŻENIA

Sam artykuł oddarto.

Annie nie zna tej twarzy. Nie wie, po co jej to pokazano. Zach każe jej przewrócić stronę. Robi to i widzi następny wycinek — nekrolog. A w nim informacja, że zmarły, Harold Brown, był właścicielem wypożyczalni kaset wideo w Lincoln, w stanie Nebraska. Że wszystko wskazuje na to, iż „odebrał sobie życie”. Nekrologowi towarzyszy kolorowe zdjęcie przedstawiające kogoś w trumnie, wykonane polaroidem.

— To ten sam człowiek — mówi Zach. — Nasz „domniemany capo mafii”. Objął go, naturalnie, Program Ochrony Świadców. Nic mu to, oczywiście, nie pomogło. Zastanawiasz się, jak znaleźli go wrogowie? Domyślasz się? Według mnie ktoś musiał założyć podsłuch w telefonie jego matki. Ktoś bardzo cierpliwy i wytrwały. Przewróć stronę.

Ale Annie drżą palce i nie może oddzielić tej stroniczki od następnej. Zach sięga zza jej pleców i robi to za nią.

66

ŚMIERTELNY WYPADEK W CELULOZOWNI

W SAVANNAH

— O, z tym tutaj — mówi — z tym była taka sprawa, że po pierwsze nie powinien pracować przy maszynach. Był dzieckiem ulicy. Co on wiedział o maszynach? Dlaczego Program Ochrony Świadców zrobił z niego maszynistę? — Annie słyszy teraz głos Zacha tuż przy swoim uchu. — I skąd im przyszło do głowy, że na jedną małą chwilę wolno go zostawić bez ochrony?

Przewraca kolejną stronę.

— A spójrz na nią.

Ziarnista fotografia frontowych schodów jakiegoś urzędowego budynku. Schodzi po nich samotnie jakaś kobieta.

— Linda Berlin. Nie powinna była zeznawać. To moja wina, bo chyba potrafiłbym jej to wyperswadować, ale nie spróbowałem. Nie przypuszczałem, że to tak zdenerwuje moich kolegów, i zlekceważyłem sprawę. I zobacz, do czego to doprowadziło. Odwróć stronę.

Znowu musi jej pomóc.

Annie widzi fotografię pary uśmiechniętych starszych ludzi. Zdjęcie w rodzaju tych, jakimi wymieniają się bliscy na Boże Narodzenie; zamieszczono je w tej gazecie pod nagłówkiem:

ZAGINIĘCIE MAŁŻEŃSTWA Z THOMPSONVILLE

— Jej rodzice — mówi Zach.

Po pierwszym ataku oszołomienia, dezorientacji, w głowie Annie trochę się przejaśnia.

— Czekaj — odzywa się. — Chwileczkę, skąd, u diabła, mogę...

— Skąd możesz wiedzieć, czy te fotografie są prawdziwe? — wpada jej w słowo Zach. — Zdaje się, że o to chciałaś spytać. A więc nie możesz tego wiedzieć.

Bierze notes z jej kolan.

— Masz rację — mówi — to głupie, prawda? Jak dziecinna gra w „pokaż i powiedz”. Niczego nie dowodzi.

67

Wsuwa notes z powrotem do kieszeni na piersi.

— Chciałem ci tylko przemówić do rozsądku, Annie. Nic więcej. Gdybym mógł ci przynieść czyjaś głowę, czyjaś głowę w pudełku, zrobiłbym to. Chcę ci tylko przemówić do rozsądku. Bo jeśli mi się to nie uda, jeśli nie potrafię cię przekonać, że mówimy poważnie, jeśli postanowisz powiadomić policję... to Louie Boffano pójdzie na dno, a ja razem z nim, a kogoś tobie bliskiego spotka nieodwracalna krzywda, i to za co? Za nic. Bezsensowne cierpienie w imię głupiej zemsty. Będą mieli rację, jeśli mnie później usmażą, zasłużę sobie na to. A więc proszę, Annie, proszę cię. Uwierz mi.

Annie podnosi wzrok i widzi, że Zach, siedzi przed nią teraz w kucki. Twarz ma ogromną, wypełnia całe pole jej widzenia.

— Uwierzysz mi? — pyta. — Pomożesz?

Annie słyszy, jak jej oddech staje się urywany, zamiera.

— Nie mogę. Ale mogłabym... po prostu... się... rozplakać. Jestem płaczka. Zaczę płakać, usuną mnie ze składu ławy przysięgłych i...

— Myślisz, że sędzia, widząc, iż płaczesz, wyprosi cię z sądu?

— Będzie... będzie musiał. Zach kręci głową.

— Gdyby nawet do tego doszło, zaczęlibyśmy wietrzyć jakiś podstęp z twojej strony.

— O Boże, nie, nie pisnęłabym słówka, przysięgam...

— Annie, wiem, że nie próbowałabyś nikomu szkodzić, jednak mielibyśmy ten cień wątpliwości. I wiem, że przez to na kogoś ci bliskiego dopadłaby jakaś tragedia...

— Nie, błagam! Błagam, posłuchaj...

Zach nieznacznym ruchem ręki nakazuje jej milczenie. Wstaje, podchodzi do ławeczki stojącej pośrodku pracowni i siada na niej.

— To nie jest wyjście. Szkoda. Wyjście jest tylko jedno. Jesteś nam potrzebna.

— Ale ja nie mogę. Jeśli on jest winny, to nie mogę.

Błagam! Nie znasz mnie, ja nie umiem kłamać. To łatwo poznać. Gdybym powiedziała, że tego nie zrobił, chociaż w duchu byłabym przekonana, że zrobił, to wszyscy zorientowaliby się od razu, że kłamię. A on ich przecież zabił, prawda?... Zabił tego starego człowieka i tego chłopca, zabił ich obu! Prawda? Zach uśmiecha się.

— Za dużo tu chyba filozofowania, jak na mój gust.

— Ja tylko cię pytam! Jest winny! Prawda? Zabił wiele osób. On...

— On jest członkiem organizacji, Annie. Owszem, oskarża się go o kilka morderstw. Ale te jego tak zwane ofiary w większości same były zbrodniarzami.

— Ale nie to dziecko.

— Chłopiec zginął przez przypadek. Nawet Louie Bof-fano nie zabiłby z premedytacją dziecka. Co do starego, to chybabyś po nim nie zapłakała? Uroniłabyś łzę po takim zimnokrwistym mordercy, jakim był Salvatore Riggio? Bo zapewniam cię, Annie, że on by nie zapłakał...

Zaczyna dzwonić telefon. Na ten dźwięk dreszcz paniki przepływa po plecach Annie.

— Co, co mam robić? Zach podaje jej chusteczkę.

— Otrzyj łzy. A potem odbierz. To prawdopodobnie twoje dziecko.

— Co mam powiedzieć?

— Co chcesz. Powiedz, że jesteś zdenerwowana. Powiedz, że randka się nie udała.

Wyciąga rękę, żeby pomóc jej wstać. Annie odtrąca ją, wstaje o własnych siłach. Wlecze się na nogach jak z waty w kąt pracowni i podnosi słuchawkę.

— Tak?

— Mama?

— Tak.

— Wszystko u ciebie w porządku?

— Tak.

— Mamo, co się stało?

Annie pociąga nosem.

— Nic. Wieczór mi się nie udał. Przez tego faceta. Ale już dobrze.

— Co on ci zrobił, mamó? Annie wstrzymuje oddech i mówi:

— Nic nie zrobił, tylko... jak się tam sprawujesz, Oliver?

— Powiedziałaś, że zadzwonisz.

— Przepraszam. No więc? Co tam słyhać, mama Jes-sego się na ciebie nie skarży?

— Nie.

— No to dobrze.

— Mamó, dziwny masz głos. Czy ten facet dalej chce kupić twoje skrzynki?

— Mniejsza z tym. Śpij dobrze, OK? Zobaczmy się jutro. Przyjadę po ciebie pod szkołę.

Odkłada słuchawkę.

— Jeśli już o tym mowa — odzywa się Zach — to nadal zamierzam kupić twoje skrzynki. Te trzy z galerii na pewno. I te również... jeśli dogadamy się co do ceny.

— Nic z tego — mówi Annie. — Nie sprzedaję ich, prędzej...

— Nalegam. Chcę coś dla ciebie zrobić. Mam świadomość, że wobec strachu, jaki teraz przeżywasz, nie ma to dla ciebie większego znaczenia, ale mimo wszystko.

Wstaje.

— Annie! Przykro mi, że cię nastraszyłem. Gdybym miał jakikolwiek wybór, jakiś wybór... Wiem, że to będzie dla ciebie czas ciężkiej próby. I osamotnienia. Ale, proszę, ani pary z ust. Nikomu. Bo narażasz życie każdego, komu powiesz.

Rozumiesz?

Annie patrzy niewidzącym wzrokiem w przestrzeń. W końcu pociąga nosem i Zach uznaje to za potwierdzenie.

— Jeśli będę się chciał z tobą zobaczyć, przyślę kogoś. Kogoś, kto powie: „Spotkaliśmy się w piekarni”*. Rób wtedy, co ci każe. No, powtórz: co ci powie?

— Spotkaliśmy się w piekarni.

— Annie, nawet się nie obejrzysz, jak będzie po wszystkim. A potem nasze drogi już nigdy się nie przetną.

Zach podchodzi do drzwi i otwiera je. Powietrze, które wdziera się do środka, jest ostre i chłodne. Płomyki trzech świec przygasają, potem rosną i znowu przygasają.

Zach zatrzaskuje za sobą drzwi.

Świece uspokajają się i Annie słyszy pomruk uruchamianego silnika. Słyszy też tryumfalne tony Vivaldiego. Dumne, świadome, z założenia dominujące. Ani jednej niepotrzebnej, nie przemyślanej nuty, konsekwentna dyscyplina. A potem muzyka i mruczenie silnika odpływają w dał, pozostawiając ją w pomieszczeniu rozsadzonym ciszą, sam na sam z bezradnością i rzucającymi cienie rzeźbami, z biciem własnego serca i pustką w głowie.

SLAVKO CZERNYK siedzi tego wieczora w starej wannie wspartej na szponiastych łapach, bo jego sknero-waty administrator do tej pory nie włączył centralnego ogrzewania, i tylko w ten sposób można się rozgrzać. Wynurza z wody nogę i zaciska palce stopy na kurku ciepłej wody. Przekręca go.

Do wanny leci rozkoszny wrzątek.

Slavko żuje nikotynową gumę, ćmiąc jednocześnie lucky strike'a. Na krawędzi wanny stoi szklaneczka jima beama (z kropelką miodu). Slavko trzyma nad wodą książkę. Książka nosi tytuł „Wybór poezji Dereka Walcotta”. Wszedł w posiadanie tej książki, bo kiedyś kobieta, którą kochał, powiedziała mu, że Derek Walcott jest, kurczę, największym poetą wszech czasów. Był w tej kobiecie zakochany. Nadal jest. Trzyma więc tę książkę w łazience naprzeciwko swojego biura, i zawsze, kiedy tu zagląda, żeby się odesrać albo wykąpać, otwiera „Wybór poezji Dereka Walcotta” i robi kolejne podejście do ukulturalnienia swojej osoby.

Teraz też wpatruje się w wiersz.

Wiersz budzi w nim pusty śmiech.

Wiersz niesie następujące przesłanie:

71

...i czytaj, dopóki strona, na którą pada blask lampy, nie obróci się w biały zastój obojętności połyskującej tęczową promienistością śmigła. Kołując jak my, nie zaspokoją swojej miłości!...

Slavko mruży oczy. Wraca do początku i zaczyna jeszcze raz. Nadal nie chwyta sensu. Przekręca książkę do góry nogami i czyta:

...i czytaj, dopóki strona, na którą pada blask lampy, nie obróci się w biały zastój obojętności połyskującej tęczową promienistością śmigła. Kołując jak my, nie zaspokoją swojej miłości!...

Nic z tego. Slavko pociąga sążnisty łyk jima beama, zaciąga się głęboko lucky strike'em i przewraca stronę.

W biurze, po drugiej stronie korytarza, rozlega się dzwonek telefonu.

Kogo tam diabli nadali — zastanawia się Slavko. Kto może dzwonić o tej porze do Agencji Detektywistycznej Slavka Czernyka?

Pewnie Biuro Ochroniarskie Grassmana. Są na obserwacji i nawalił im zmiennik, a więc Slavko, kochany, rusz tyłek i pofatyguj się tu, co? Skasujesz osiem dolców na godzinę siedząc z Billem Farmerem w zimnym jak cholera mercurym zephyrze, obserwując drzwi ciemnego motelu po drugiej stronie ciemnej uliczki i słuchając przez całą noc koncertu na dwa instrumenty dęte w wykonaniu chrapiącego i popierdującego do taktu Billa Farmera, no jak, Slavko?

Cała chromolona noc, długa jakby gówno przez morze włókl, co ty na to, no, Slavko?

Nie.

Nie, dziękuję, wolę już posiedzieć tutaj i czytać, czytać, dopóki strona, na którą pada blask lampy, nie obróci się w biały zastój obojętności połyskującej tęczową promienistością śmigła. No, wiecie, o co mi chodzi.

72

Drugi dzwonek.

Slavko zsuwa się po dnie wanny i zanurza po samą brodę w wodzie.

A może to dzwonią z hotelu Caruso, że jestem im potrzebny do czuwania nad spokojnym snem delegatów na zjazd listonoszy. Jak w zeszłym tygodniu. Calutka noc w holu na składanym metalowym krzeselku. Ze wzrokiem wlepionym w automat do coca-coli, na wypadek, gdyby się okazało, że to przebrany morderca wykańczający masowo pracowników poczty.

O czwartej nad ranem miał już nadzieję, że to rzeczywiście on.

Trzeci dzwonek.

Nic z tego, chłopaki. Aż tak to mi forszy nie trzeba. To znaczy nie pogardziłbym, diabli wzięli już mieszkanie, a niedługo wykopią mnie i z tego zawszonego biura, ale

tak czy inaczej... jak tylko wyleżę z tej wanny, to od razu wskakuję do wyrka i lulu.

Włącza się automatyczna sekretarka.

Slavko słyszy swój chrypliwy sznapsbaryton, który burczy z taśmy: „Tu Agencja Detektywistyczna Czernyk. Nie ma nas chwilowo w biurze... ”

Własny głos brzmi mu jak coś pośredniego pomiędzy skrzekiem skacowanej iguany a skrzypieniem drzwi do piwnicy.

Podnosi lucky strike'a do ust, zaciąga się lekko, a potem, trzymając papierosa między dwoma palcami, zsuwa się razem z głową pod wodę. Ale nadal słyszy swoje chrypienie z automatycznej sekretarki.

I naraz jakiś inny głos, nie tyle głos, co miodopłynny, śpiewny szept. Slavko wynurza się gwałtownie spod wody i wyskakuje z wanny.

Anielski głos dyktuje nazwisko swojej właścicielki. Sari Knowles. Cóż za piękne imię! I numer jej telefonu. Mówi:

— ...potrzebuję, hmmm, mogę potrzebować waszej pomocy... w pewnej sprawie... znaczy: to chyba nic pilnego i wiem, że już późno, ale gdybyście mogli...

73

— Halo!

— Halo? Pan Ser-nik?

— Czernyk. „Cz” jak cza-cza. Ja, eee... proszę chwileczkę poczekać, właśnie wyszedłem z wanny, byłem, byłem po drugiej stronie korytarza, proszę poczekać...

— Przepraszam, nie wiedziałam, że pan tam był, to znaczy...

— Nie szkodzi. Nie szkodzi.

Ależ tu lodownia! Slavko zamyka drzwi na korytarz. Kładzie się na materacu rzuconym na podłogę i naciąga na siebie kołdrę. Przykrywa się nią razem z głową, a w nogach coś chrzęści i szeleści. Pod kołdrą leżą razem z nim wczorajsza gazeta, paczka cisteczek Oreo i zapomniany numer „Penthousa”. Oraz telefon.

— No to słucham panią. W czym mogę pomóc?

— Sama nie wiem.

— Ma pani jakieś kłopoty?

— Nie. Nie z prawem ani nic z tych rzeczy. Jestem, jakby tu... — milknie.

— Jest pani mężatką?

— Eeee, nie.

— Przyjaciół?

Kobieta wstrzymuje oddech.

— Tak.

— Problem?

— Mhm.

— Nie wie pani, gdzie on jest?

— Ale nic mu nie grozi, on tylko...

— Podejrzewa pani, że może być z kimś innym?

— Nie wiem, co on robi. — Kobieta jest bliska płaczu. — Nic mi już nie mówi. To znaczy: jest, jest, bardzo zapracowany. Zarządza agencją pośrednictwa i, sama nie wiem, chyba ma dużo pracy. Mówi, że ta kobieta to jego nowa klientka.

— I jest pani troszkę zazdrosna?

— Cholera, nie. To nie w moim stylu. Wie pan, zdaję sobie sprawę, jak już późno, powinnam była zaczekać z tym do jutra, ale nie mogę, nie mogę myśleć o niczym innym,

74

nie mogę spać. Chyba powinnam reagować rozsądniej. Jestem kobietą interesu, prowadzę własną agencję podróży. Jestem odpowiedzialna... to znaczy powinnam...

— Nie, ja wszystko rozumiem. Czasami tak bywa. Mogę o coś panią spytać, panno...

— Sari Knowles. Sari.

— Sari. To raczej osobiste pytanie i pewnie nie zechcesz mi na nie odpowiedzieć, ale, ale czy chodzisz do psychoanalityka?

Brak odpowiedzi.

— Pytam tylko dlatego — podejmuje Slavko — że kiedy przechodzi się takie...

— Ale jeśli on rzeczywiście z kimś się spotyka, to co by to zmieniło? Rozumie pan,

gdybym go straciła — w jej głosie pojawia się nutka paniki — to co by to była za różnica, czy jestem normalna, czy nie?

Slavko zna ten ton. Kiedy słyszy ten ton przez telefon, wie od razu, że ma klientkę. Czujesz, jak drżą ściany? Czujesz, jak twoje życie uczuciowe zaczyna walić się wokół ciebie w gruzy? Odnosisz wrażenie, że ściany twojego życia uczuciowego za chwilę runą, a w powstałą pustkę wedrze się samotność?

Wtedy wykręcasz numer prywatnego detektywa.

Dochodzisz bowiem do wniosku, że tym, co cię zabija, jest niewiedza. I wydaje ci się, że na twoją dolegliwość pomoc może tylko doza prawdy. Dzwonisz więc do detektywa, żeby odnalazł tę prawdę.

Jest to, nie da się ukryć, głupie posunięcie.

Prawda jest taka, że żaden detektyw nie ma szans ustalić tego, czego naprawdę chciałabyś się dowiedzieć.

Prawda jest taka, moja panno, że kiedy kruszą się i walą ściany twojego związku uczuciowego, to żaden prywatny detektyw ich nie podeprze.

I gdybym był uczciwym człowiekiem, od razu bym ci to powiedział. Gdybym był uczciwym człowiekiem, odłożyłbym teraz słuchawkę.

— A więc jak mogę ci pomóc, Sari? — pyta Slavko. — Czym mogę służyć?

75

ANNIE siedzi na łóżku. Jest trzecia nad ranem. Telewizor gra. Powtórka Gong Show — najweselszy, najsympatyczniejszy wypełniacz, jaki udało jej się znaleźć. Annie nie ogląda programu. Wpatruje się w płamę na ścianie nad telewizorem, w stary zaciek. Na ekran zerka tylko w momentach, kiedy uderzają w gong. Bardzo by chciała, żeby robili to częściej. Reszta programu nie dociera do jej świadomości.

Pałają się wszystkie światła. Włączona jest każda lampa w domu. Gra też radio — stacja tradycyjnego reggae z Nowego Jorku, z linią basu zdudnioną, obciążoną na skutek kiepskiego odbioru.

Kiedy włączała telewizor, zapomniała wyłączyć radio.

Zastanawia się, czy wypada jechać po Olivera. Nie, jest za późno. Postawiłaby na nogi cały dom Jessego. Zrobiła Oliverowi wstyd przed kolegą. Lepiej poczekać do rana. Jest bezpieczny, nic mu nie grozi. Jest bezpieczny. Zaczeka do rana.

Odnosi wrażenie, że Gong Show już się skończył i w telewizorze leci teraz jakiś inny program, ale nie potrafi się zmobilizować do opuszczenia wzroku na ekran, by sprawdzić jaki.

Dzwoni telefon.

Ty sukinsynu, co ci się jeszcze przypomniało? No, co? Jakaś pogrożka, którą niedostatecznie jasno wyraziłeś? Jakaś nowa tortura, której chcesz mnie poddać...

Ale to może być Oliver.

Podnosi słuchawkę.

— Tak?

Trzaski i stuki. Chwila ciszy, a potem głos:

— Cześć, Annie. Co słyszać? Żółw!

— Pracujesz? — ciągnie głos. — Może masz jakąś rozbieraną randkę, co...

— Żółw! Jezu, co u ciebie?

— W porządku. — Nie jest pewna, czy dobrze go usłyszy.

— Zaczekaj! — krzyczy, rzuca się do radia i wali na

76

oślepek w klawisz wyłącznika, sięga do telewizora i też go wyłącza. Dom pogrąża się nagle w głębokiej ciszy, nie licząc trzasków zakłóceń wydobywających się ze słuchawki telefonu. To połączenie z górami Gwatemali. Żółw, jeśli już dzwoni, to zawsze z biura Guatel w Huehuetenango, ni to osady, ni miasteczka, do którego ma najbliżej z małego puebla, gdzie prowadzi swoją klinikę. — Nie za dobrze cię słyszę — mówi Annie.

— A teraz?! — krzyczy Żółw.

— Teraz dobrze! — krzyczy Annie.

Jest tak uradowana, że słyszy jego krzyk, iż z trudem powstrzymuje szloch.

— Musiałem przywieźć jednego dzieciaka do tutejszego szpitala — mówi Żółw — i pomyślałem o tobie, że nie rozmawialiśmy od... jak dawna?

— Nie pamiętam — przyznaje Annie. — Od wiosny? Od wiosny.

— I co u ciebie? — pyta Żółw.

— Jakoś leci — odpowiada Annie. Ale głos jej się załamuje.

Narażasz życie każdego, komu powiesz.

Nie wolno jej tego zrobić. Musi go jakoś spławić. Zanim wymknie mu się coś, z czego Zach Lyde mógłby wywnioskować, kim jest, gdzie mieszka.

Zach Lyde może teraz podsłuchiwać.

Podsłuchuje? Jest tutaj w tej chwili, obserwuje mnie, przyciska ucho do słuchawki...

Oczywiście, że podsłuchuje.

A więc rozłącz się.

Ale Żółw zadzwoni drugi raz.

To wyłącz telefon z sieci.

Nie, zna Żółwia. Żółw zacząłby się niepokoić, gdyby nie mógł się do niej dodzwonić. Wsiadłby w najbliższy autobus do Guatemala City, stamtąd w samolot do Stanów...

— Annie, czy ty nie miałaś czasem wystawiać swoich prac w tej galerii? O ile pamiętam, otwarcie wystawy planowano na zeszły miesiąc?

77

Wiesz, co masz zrobić.

— I jak tam? — ciągnie Żółw. — Te dupki ze świata artystycznego poznały się już na tobie? Wiedzą, jaka jesteś dobra?

Miej to już za sobą.

— Hej, Żółw! Nie chcę z tobą rozmawiać.

Syczenie, powolny charkot na linii. Odgłosy przywodzące na myśl pustynne zwierzęta, chore i spragnione, łańcuch skamlących zwierząt stąd aż do Gwatemali.

— Co? — odzywa się w końcu Żółw. — Nie w porę zadzwoniłem?

— Nie ma odpowiedniej pory. Posłuchaj: było coś między nami przed kilku laty. A od tamtego czasu próbowaliśmy pozostać przyjaciółmi, ale się nie udało, prawda? Jest tu ktoś teraz ze mną. Rozumiesz? I nie jest zachwycony tymi telefonami. OK? A jeśli mam być szczerą, to ja też nie.

Tylko te trzaski. Ciągną się tak długo, że Annie zaczyna już podejrzewać, iż po tamtej stronie odłożono słuchawkę... i nagle słyszy, jak Żółw wypuszcza z płuc powietrze i

bąka:

— Uuu. Jezu! Boże! Przepraszam, Annie.

Na miłość boską — myśli Annie — zachowuję się jak ostatnia, a ty mnie za to przepraszasz. To przede wszystkim dlatego nam ze sobą nie wyszło, Żółw. Jesteś dla mnie, cholera, za dobry.

— Już w porządku, nic takiego się nie stało — mówi mu na głos. — Ale daj mi teraz spokój. OK?

NAUCZYCIEL leży na łóżku w starym, jednopokojowym domku i pogrążony w półśnie prowadzi nasłuch na kanale 4: jej sypialnia. Słyszy, jak Annie odkłada słuchawkę na widełki. Spodziewa się usłyszeć teraz jej płacz, ale nic takiego nie następuje.

Zdaje sobie sprawę, że pozbycie się przyjaciela nie przyszło jej łatwo. Jest z niej dumny.

Słyszy skrzypnięcie łóżka i skrzyp podłogowej deski. Potem kroki. Annie wychodzi na korytarz i idzie na dół po schodach.

78

Ach, Annie — myśli — czemu się teraz trochę nie prześpisz, kochanie? Wiem, że jesteś roztrzęsiona. Ale rano zobaczysz wszystko w jaśniejszych barwach.

Wszystkim nam przydałoby się trochę snu.

Przełącza się na kanał 1. Kuchnia. Słyszy szelest śliskiego materiału. Jej zakiet? Tak, zakłada zakiet. Drzwi od podwórka. Potem cichy skrzyp drzwi siatkowych. Potem przez chwilę nic. Nauczyciel podkręca siłę głosu. Słyszy lodówkę, tykanie zegara. Potem rozrusznik silnika jej samochodu.

— Annie — mruczy. — Och, wracaj, dziewczyno. Idź do łóżka.

Kładzie lekko dłoń na słuchawce telefonu. Zaraz zadzwoni Eddie.

Eddie na wszelki wypadek czuwa dziś wieczorem na posterunku niedaleko jej bungalowu. Na wypadek, gdyby Nauczyciel źle ją ocenił, na wypadek, gdyby wpadła w panikę i zachciało jej się uciekać. Ale Nauczyciel wie, że ocenił ją właściwie.

Rozlega się brzęczyk telefonu. To Eddie z meldunkiem:

— Ona wyjeżdża, Vincent, wsiadła do samochodu. Nie wiem, dokąd.

— Ja wiem — mówi Nauczyciel.

— Dokąd?

— Do domu Jessego Grabowskiego. Tam gdzie nocuje dzisiaj jej dzieciak.

— Jedzie po dzieciaka? Chce prysnąć?

— Nie sądzę, Eddie. Myślę, że po prostu chce być blisko niego.

EDDIE jedzie dziesięć minut później przez pogrążone we śnie osiedle na wzgórzu i w pewnej chwili dostrzega samochód Annie zaparkowany przy krawężniku, naprzeciwko skrzynki pocztowej opatrzonej nazwiskiem GRABOWSKI.

Widzi jej sylwetkę. Annie siedzi w samochodzie. Eddie mija ją szybko i melduje przez telefon:

— Zgadza się, jest tutaj.

79

Ale nie otrzymuje odpowiedzi. Vincent znowu przysnął. Eddie musi powtórzyć:

— Ona tu jest.

— Dobrze — odzywa się Vincent.

— Tak jak mówiłeś.

— Mhm.

— Ale mimo wszystko nie kapuję.

— Czego nie kapujesz?

— Nie kapuję, co ona, kurwa, kombinuje. Znaczy: po jaką cholerę siedzi w samochodzie pod domem, w którym śpi jej dzieciak?

— To tajemnica — mówi Vincent.

— Czemu tam nie wejdzie i go nie zabierze?

— I pobudzi wszystkich? Aha — myśli Eddie. Fakt.

Ale zastanawia się też, skąd, u diabła, Vincent wie, co tu jest grane? Przecież Vincent nie ma dzieci. Jak może znać duszę rodzica lepiej od Eddie'ego? Bo Eddie ma córkę, czternastoletnią, którą praktycznie sam wychowywał. Vincent nie ma nic. Vincent nie ma nikogo, a więc skąd to wie? Jak to się dzieje, że ten skurwysyn zawsze wszystko

wie?

— Hej, Vincent!

— Co? — odmrukuje zaspany głos.

— Pozwól, że poproszę cię o radę.

— Mnie o radę? Moja rada to iść spać. O nią możemy być spokojni, wierz mi. Wkrótce sama wróci do domu.

— Nie, musisz pomóc mnie.

— W czym?

— Chodzi o moją córkę. Roseanne. Westchnienie.

— No, dobrze.

— Wiesz, że ma czternaście lat?

— Byłeś blisko. Ma piętnaście, Eddie.

— Co?

— Twoja córka ma piętnaście lat. Niedawno były jej urodziny. Posłałem jej prezent.

80

— No popatrz, jak ten czas leci, Vincent. Mówisz o tych wrotkołyżwach? Uwielbia je.

— Cieszę się.

— Vincent, dostałeś od niej liścik z podziękowaniami?

— Dostałem.

— Tak? No to w porządku, a teraz posłuchaj tego. Wzywają mnie do szkoły, rozumiesz? Szkolny lekarz. Idę, i słyszę, że robili Reseanne badania lekarskie. Te okresowe. I, słuchaj dobrze, stwierdzili, że jej srom, rozumiesz... jej wargi sromowe... wargi sromowe jej cipki, cipki mojej córki...

— Co jej wargi sromowe?

— Że ona ma je przekłute. I że ma w nich kółeczka. Po jednym w każdej. I że te kółeczka są spięte taką malutką klódeczką. Tak że nikt nie może się dostać do jej cipki, jak nie ma kluczyka. Ona ma, kurwa mać, piętnaście lat, Vin-cent. Słyszysz? I

wiesz co? Ona nie ma kluczyka do tej kłódeczki. Ma go jej chłopak. Wracam do domu i mówię: Roseanne, powiedz mi nazwisko tego chłopaka. Nie — mówi. Gadaj, jak się nazywa ten książę między mężczyznami — mówię. Milczy. Posłuchaj, Roseanne, moje drogie, pieprzone dziecko — mówię — czy ja cię kiedyś uderzyłem? Nie — odpowiada. A powinienem! — mówię. Ty porębana psycholko, powinienem ci wybić tę głupotę ze łba! Kłódką na cipce! A ona dalej nie chce mi powiedzieć, jak się nazywa ten gówniarz. No i co ja mam robić, Vincent, tracę dzieciaka, co ja mam, do diabła, robić?

Eddie jedzie główną ulicą Pharoah. Stożki światła z ulicznych lamp. Samotny wóz policyjny na patrolu. W słuchawce telefonu rozlega się cichy głos Vincenta:

— Nie wiem, Eddie. Może znajdzie dziecku matkę?

— Tak? A gdzie ja znajdę jakąś porządną kobietę? Taki odpychający typek jak ja?

— Nie jesteś taki odpychający.

— Gruby, gęba z jednej strony cała pokiereszowana, co ty mi tu wciskasz?

— Masz w sobie wiele cech, które można pokochać, Eddie. Pogadaj z którymś z naszych przyjaciół. Na przykład

6 — Zabij go, mamó

81

z D'Apolitem. Prowadzi ten nocny klub. Ustawi cię zjedną ze swoich dziewczyn.

— Dostyc miałem już w życiu tych pieprzonych dziwek! Matka dziewczyny była pieprzoną dziwką! Pieprzona Rita, nie przypominaj mi o Ricie, Vincent.

— W porządku. Ważne jest tylko to, czy kochasz swoją córkę?

Zadaje to pytanie swoim natchnionym szeptem, którego czasami używa.

— Tak — mówi Eddie.

— No to myślę, że ona z tego wyrośnie. Musisz tylko bez przerwy okazywać jej swoją miłość. Prędzej czy później pozbędzie się tej kłódeczki. Do tego czasu będziesz przynajmniej wiedział, że nie puszcza się na prawo i lewo. Teraz daj mi spać, Eddie.

ROZDZIAŁ 3

Kiedy jesteś z tym mężczyzną, nie obawiasz się niczego

ANNIE siedzi pewnego ranka na sali sądowej. Przewraca stronicę zapisu, to samo czynią pozostali. Zupełnie jak na szkolnym teście: A TERAZ PRZECHODZIMY DO NA-STPNEJ STRONY.

Z taśmy leci głos Louiego Boffano. Został zarejestrowany przez mikrofon ukryty na zapleczu warsztatu szewskiego w Queens. W przeważającej części nagranie przypomina te zaszumione strzępki rozmów prowadzonych w paśmie CB, które nakładają się czasem na fonię telewizora. Bez pomocy zapisu Annie nie zrozumiałaby z tego więcej niż kilka słów. Nawet mając zapis trudno doszukać się sensu w bełkocie Louiego.

„No to powiedziałem, wiesz, powiedziałem, no co, co, co do cholery jest grane, przychodzi? Przychodzi na spotkanie? No i wiesz, Paulie. On na to, że nie, nie przychodzi. Nie przychodzi, nie chce cię widzieć. Mówię: OK. To jak jest, kurwa, z Carbone Construction? A on mówi, że gadał z tym Wiltonem”.

Teraz głos Pauliego DeCicco, chrząszczący, wymrukuje coś, co według zapisu brzmi: „Kim?”

„A może... Waltonem — mówi Louie. — Kurwa mać. No, wiesz. Wilton, Walton, czy jakoś tak, nie wiem. Znasz faceta?”

Tym razem zapis daje za wygraną i stwierdza, że Paulie DeCicco odpowiada: „NIEWYRAŹNIE”.

„Nie wiem — nawija dalej Louie. — Nie wiem, Paulie.

83

Ale jeśli on dla mnie pracuje, ten Wilton czy Walton, to nie wiem. A ty wiesz?”

„To śmieć” — chrypi Paulie.

„Kto? Walton?” — pyta Louie.

„Kto?” — mówi Paulie.

„Albo Wilton, albo nie wiem... znasz faceta?”

„Nie (NIEWYRAŹNIE). Rozmawialiście, nie rozmawialiście o Vicie?”

„Vito — mówi Louie. — Wiesz, co ja o nim myślę? I oni wszyscy, to pieprzone kutasy. A tamci, tamci, Paulie, tamci są w porządku. Ale tutaj wszystko się zaczyna pieprzyć. Minchiar

Paulie DeCicco wydaje jakiś skrzekliwy odgłos.

Annie nie ma zielonego pojęcia, o czym mówi Louie Boffano.

Być może jej rozkojarzenie bierze się z niewyspania.

Ale jest niemal przekonana, że na tej sali sądowej nie ma osoby, która by rozumiała, o czym on mówi. Chociaż nikt nie ma zamiaru się z tym zdradzić.

Wszyscy wpatrują się ze skupieniem w zapis, wszyscy przewracają strony — wszyscy z wyjątkiem Annie i Louiego Boffano.

Louie wygląda na znudzonego. Nie zwraca najmniejszej uwagi na taśmę. Annie obserwuje go. Louie postukuje piórem o notatnik. W pewnej chwili uśmiecha się do jakiejś myśli, która przemknęła mu przez głowę. Oddziera róg kartki z notatnika, zgniata go w kulkę i pakuje sobie do ust. Plujka, robi plujkę. Wszyscy są tak pochłonięci pracą, ale nie Louie, klasowy zgrywus.

Odchyła się do tyłu i wysuwa język, celując w sufit — a tam, na czubku jego języka, niespodzianka: mała, żółta plujka.

Ale wszyscy są tak zaabsorbowani czytaniem, że nikt tego nie zauważa, nikt się nie śmieje.

A więc po chwili Louie chowa język wraz z plujką do ust. Siada prosto. Spogląda na przysięgłych. Annie spuszcza

84

natychmiast wzrok na stronicę zapisu, ale robi to za późno: Louie Boffano zauważył, że go obserwowała.

I w tym momencie, spośród całego tego niezbornego bełkotu odtwarzanego, z taśmy, Annie wychwytuje jakiś przeblýsk sensu.

Louie Boffano mówi:

„No, pytam ciebie, Paulie, czy ten durny palant myśli, że się przede mną schowa? Bo Salvadore tak się wydawało, pamiętasz? Chromolonemu Salvadore Riggowi, pieprzonemu niepokonanemu, nie? Wszyscy mówili, że jest niepokonany. Pamiętasz? Że nie można go zabić. Nie rusza się, skubany, na krok z domu i ma dwudziestu zasranych goryli, i to zasrane ogrodzenie pod napięciem. Forteca, Paulie. Ale potem gadam z Nauczycielem i on mi mówi: Nie chce człowiek zginąć? Nie wychodzi człowiek z domu? No to co? Wykopiemy tunel. Pamiętasz, Paulie?”

„(NIEWYRAŹNIE)” — odpowiada Paulie.

„Powiedziałem Nauczycielowi, OK — mówi Louie — chcesz, to kop ten tunel, kop tunel. Załatw skurwysyna! Jezu!”

„Tak, to było zabawne” — mówi Paulie.

„Dla Salvadore Riggia to wcale, cholera, nie było takie zabawne — mówi Louie. — Co w tym, cholera, zabawnego dla takiego gnojka, który nie chce przyjść, nie chce się ze mną zobaczyć, próbuje się ukrywać przed Louiem Boffano? Mam rację?”

„(NIEWYRAŹNIE)” — mówi Paulie.

„(NIEWYRAŹNIE)” — mówi Louie.

„(NIEWYRAŹNIE)” — mówi Paulie.

Annie znowu podnosi wzrok znad tekstu i stwierdza, że Louie ma zamknięte oczy. Jego adwokat, Bozeman, krzywi się jeszcze po zainkasowaniu tego ciosu. Pewnie się go spodziewał, ale mimo wszystko się krzywi. I kącikiem oka Annie zauważa, jak siedzący obok niej przysięgły powoli, bezwiednie kręci głową.

Annie wie, że zanim proces dobiegnie końca, będzie słuchała tego fragmentu taśmy jeszcze wiele razy.

85

Powiedziałem Nauczycielowi, OK, chcesz, to kop ten tunel, kop tunel. Załatw skurwysyna! Jezu!

Ty idioto! Czemu od razu nie roztrąbiłeś tego na cały świat, nie wystosowałeś formalnego oświadczenia, nie zamieściłeś ogłoszenia w „Timesie”? Nie mogłeś powstrzymać tego długiego ozora? I Annie ma świadomość, że zanim proces dobiegnie końca, będzie musiała wypracować sposób na odkręcenie gafy strzelonej przez tego nadętego bufona.

SLAVKO siedzi w łoży restauracji Croton Dam Diner z tą oszalamiającą anielicą, Sari Knowles.

— A więc podsumujmy — mówi. — Chcesz, żebym ustalił, gdzie spędza nocę? Czy sypia z tą klientką?

— Tak.

— Masz jakieś podejrzenia?

— W związku z czym?

— Z tym, dokąd wychodzi. Sari kręci głową.

— No, a on mówi, że dokąd? — naciska Slavko.

— Nie wiem, do pracy. Załatwiać interesy. Mówiłam ci już, prowadzi agencję pośrednictwa.

— A dlaczego mu nie wierzysz, kiedy twierdzi, że tym właśnie się zajmuje?

Sari zastanawia się. Przygryza dolną wargę.

Musi zdawać sobie sprawę, jaka z niej sztuka. Te włosy, te miodowobiałe włosy opadające obfitymi puklami na ramiona. Odbijają się w lustrze obok. Odbijają się w lustrze po przeciwnej stronie sali. Zdają się błyszczeć przez cały ten południowy obiad. Ona musi mieć tego świadomość. Kucharz, który łypie na nią pożądliwie, dwaj kierowcy ciężarówek, którzy mruczą coś między sobą i rzucają jej ukradkowe spojrzenia... Sari nie zwraca na nich najmniejszej uwagi, ale musi zdawać sobie sprawę, jak działa na otoczenie.

Prawdopodobnie zdążyła już do tego przywyknąć.

Prawdopodobnie nie wyobraża sobie, że mogłoby być inaczej.

86

Slavko dostrzega wyrazistość kreski zaznaczającej wykrój oka, świeżość makijażu. Klasyczny kostium od Donny Ka-ran z apaszką Hermesa — dziewczyna dba o to, by wyglądać oficjalnie, a jednocześnie swobodnie. Być może żyje w oku emocjonalnego cyklonu, ale nie da tego po sobie poznać kucharzowi.

Sari upija łyżeczek herbaty, wzrusza ramionami i mówi:

— Nie wiem, dlaczego mu nie wierzę. Myślisz, że powinnam mu ufać?

— A jego o to pytałaś?

— Czy powinnam mu ufać? Czy mnie nie okłamuje? Nie.

— Dlaczego?

Sari mruga oczami.

— Miałabym go zapytać, czy mnie okłamuje?

— Właśnie.

— Nie mogę.

— Dlaczego?

— Ty go nie znasz.

— A do czego mi to potrzebne?

— Bo gdybyś go znał, nie zadawałbyś takich pytań.

— Dlaczego?

— Czy w ten sposób rozmawiasz ze wszystkimi klientami?

— W ten sposób rozmawiam z moimi ewentualnymi klientami. Tak. Może się okazać, że to śliska sprawa. Próbuję tu znaleźć jakiś punkt zaczepienia. Próbuję wysondować, gdzie kończą się konkrety, a gdzie, gdzie...

— A gdzie zaczynają się babskie rojenia — podpowiada Sari.

— Właśnie. Ale jeśli uważasz, że jestem męczący...

— Och, nie, pytaj dalej — mówi Sari i rozkłada na moment ręce, jakby chciała w ten sposób pokazać, że nie ma nic do ukrycia. — Nie chcę, żeby mój przyjaciel dowiedział się o moich... niepokojach, wątpliwościach, czy jak to nazwać, bo, no sam wiesz. Bo wtedy pomyśli sobie, że jestem słaba.

— A ten twój przyjaciel... a swoją drogą, jak on się nazywa?

87

— Eben Rackland.

— Eben? To zdrobnienie od Ebenezera? Sari wzrusza ramionami.

— Po prostu Eben.

— Mhm. A więc ten Eben pogardza słabymi ludźmi?

— Cóż, nikt nie lubi słabości, prawda? Zazdrości i w ogóle? Nie sądzę, żeby ktoś...

— Ty też nie lubisz słabych ludzi, Sari?

Sari obrzuca go spojrzeniem: A co to ma do rzeczy? Slavko zadaje sobie to samo pytanie. Coś się tego uczeplił, Slavko? Jakiś uraz? Bo raz Juliet, podczas tej wycieczki na Wyspę Bannermana, napomknęła, że nie lubi słabych ludzi, a ty pomyślałaś, że pije do ciebie? I teraz chcesz wiercić o to dziurę w brzuchu tej klientce?

Ale nie cofa pytania i po chwili Sari odpowiada:

— No cóż, chyba nie, to znaczy siła pociąga mnie bardziej niż słabość. Pewnie.

— Rozumiem. A ten Eben Rackland? Uważasz go za silnego?

— On jest potężny — odpowiada bez wahania Sari. — Tak.

— Co to znaczy: potężny?

Na miłość boską, Slavko, zbastuj wreszcie. Co, zazdrosny jesteś o tego przyjaciela Sari? Masz chrapkę na tę klientkę? Całkiem możliwe, ty mały padalcu. Tak jak ten tam śliniący się kucharz. Bardzo dobrze, bardzo profesjonalnie, Slavko. Ty też na pewno jesteś w jej typie. Nie ma wątpiliwości, że całe życie szukała takiego wścibskiego, niskiego (jeśli nie kurdupłowatego), łysiejącego, szpanującego nieudacznika.

Mimo wszystko, głuchy na te szyderstwa głosu wewnętrznego, brnie dalej. To silniejsze od niego.

— Chcesz przez to powiedzieć, że gdyby był, gdyby był tu z nami, po prostu rozerwałby mnie na sztuki?

To pytanie wyraźnie ją intryguje.

— Rozerwał na sztuki? Ja nie... Eben nie krzywdzi ludzi. O to ci chodziło?

88

— Ja tylko próbuję dociec, dlaczego nie dasz w tej sprawie za wygraną. Facet jest wspaniały, nosi wspaniałe biblijne imię, ale mu nie ufasz. Nie możesz być szczęśliwa z kimś, kogo nie darzysz zaufaniem. Prawda? Dlaczego więc nie puścisz go kantem? Nie znajdziesz sobie kogoś innego? No?

Sari wpatruje się w swoją herbatę. Chyba usiłuje powstrzymać łzy.

— Miałaś kiedyś obsesję? — pyta w końcu. — Na czymś punkcie.

Nie czeka jednak na odpowiedź. Ciągnie:

— Nie lubię o tym rozmawiać. Czuję się wtedy głupio, jak dziecko. Mówiłam już, że prowadzę własną agencję podróży, interes idzie dobrze, nigdy wcześniej nie miałam problemów z samooceną. Wmawiam sobie: no i co z tego, że dużo pracuje nocami, jest widocznie pracoholikiem, i co z tego? Kiedy jest ze mną, kocha mnie. Kiedy indziej znowu myślę: Nie. On musi kogoś mieć. I odchodzę od zmysłów. Ale Eben... kiedy jesteś z Ebenem pięć minut, nie masz wątpiliwości, że ten człowiek rozumie. Kiedy jesteś z tym mężczyzną, nie obawiasz się niczego. Powiedziałam, że jest

potężny? Jest potężny psychicznie. Och, ty tego nie pojmujesz. Odebrałam sobie życie, chyba bym się zabiła, gdyby miał mnie opuścić. Ale ty nie... czy to ma dla ciebie jakiś sens?

— Owszem, ma — mówi Slavko.

Sari osusza sobie oczy. Tusz zostaje na serwetce. Czarne smugi. Po co ona tak grubo się maluje — zastanawia się Slavko — skoro niepotrzebny jej żaden makijaż? Nosi go dla niego? Kim jest mężczyzna, który tak ją rani, kim może być ten sukinsyn?

— Wiem, co przeżywasz — odzywa się Slavko. — Sam przez to przechodziłem.

Kładzie dłoń na jej ręce, a ona przekręca ją i chwyta go mocno za przegub. Ale zaraz puszcza. I jeszcze nie przeszedłem — dodaje w duchu Slavko.

89

OLIVER siedzi z Jessem w swoim pokoju przed ekranem monitora komputera. Oliver rysuje smoka. Pracuje nad jego kłębem, ale kieł nie wychodzi mu jak trzeba. Jest za ładny, za niewinny, za mały — zwyczajny ząbek.

— Coś ty — prycha Jesse. — To ma być kieł. Wielki kieł.

— Tak? — mruczy Oliver. — Chcesz wielkiego?

— Wielkiego.

Oliver klika myszką na palecie barw i przesuwa kursor z powrotem na rysunek. Spomiędzy tylnych łap smoka zaczyna wyrastać krwistoczerwony fallus.

— Ty zboku — mówi Jesse. Ale chichocze patrząc na rozrastający się organ.

— Taki wystarczy?

— Większy!

Oliver owija tym czymś szyję smoka jak lassem.

— No, tak! — mówi Jesse. — Teraz to rozumiem. Pęk jaskrawożółtych wąsów.

— A to co?

— Liszaje — mówi Oliver. — Smocze liszaje.

— Zaczekaj, daj mnie! — mówi Jesse i sięga po myszkę.

— Nie, ty zaczekaj! — mówi Oliver. Zabiera się do ozdabiania smoczego członka liśćmi. Z niewiadomego powodu przerabia go na drzewo o dziesiątkach gałęzi i liści.

Jesse próbuje wyrwać mu myszkę, ale Oliver odpycha go jedną ręką, a drugą porusza i klika myszką, zapelniając ekran coraz większą liczbą zielonych liści. Obaj chłopcy ryczą ze śmiechu.

W pewnej chwili Oliver podnosi wzrok i widzi stojącą w progu mamę.

Jej twarz ma ten dziwny, zgorzkniały wyraz, goszczący tam już od kilku dni.

— Co on tu robi? — pyta mama. Oliver przestaje się śmiać.

— Jesse? Jak to...

— Miałeś odrabiać lekcje.

Głos mamy wionie chłodem. Nigdy nie mówi takim tonem, chyba że jest naprawdę zła. A nawet wtedy nie przy jego kolegach.

90

— Mamo, dopiero... nawet nie ma jeszcze szóstej... Nie muszę...

— Musisz robić, co ci każe. Przede wszystkim musisz się pożegnać z kolegą.

Oliverowi krew napływa do policzków.

— Mamo, to nie w porządku. My dopiero... — ton jego głosu opada o oktawę.

— Do widzenia, Jesse — oznajmia kategorycznym tonem mama.

Jesse schodzi po schodach jak zbity pies. Olivera pieką oczy. Przełyka z trudem ślinę.

— Mamo, nie rozumiem, dlaczego to zrobiłaś.

— Kto, do diabła, pociął gazetę?! — wybucha matka. Wymachuje gazetą. Na pierwszej stronie ziejie prostokątna dziura.

— Ja — przyznaje Oliver. Unika wzroku matki.

— Och, doprawdy? Ty? A już myślałam, że to pan Slivey się tu zakradł i wyciął. O czym był ten brakujący artykuł?

Mówi tak ostrym tonem i z taką jadowitością, że Oliver gapi się tylko na nią i nie może dobrać z siebie głosu.

— Dotyczył procesu, prawda? — podejmuje matka. — Przejrzałam całą gazetę i nie mogę znaleźć niczego o procesie.

— Mamo, przecież sama mi kazałaś. Powiedziałaś, żebym wycinał wszystko o

procesie.

— O, Jezu! — Matka przewraca oczami. — Nie słuchasz mnie nigdy. Nigdy nie robisz tego, o co cię proszę, to dlaczego akurat teraz, do jasnej cholery, musiałeś posłuchać? Gdzie ten artykuł?

Oliwer waha się.

— Gdzie on jest?

— Nie ma, podarłem, na kawałeczki.

— Dlaczego?

— Kazałaś mi!

— Nie kazałam ci robić konfetti! Czy ja ci, do cholery, mówiłam, żebyś robił konfetti?!

91

Oliwer się rozkleja. Wpatruje się we własne kolana, na które skapują, jedna po drugiej, łzy.

— Mamo, przecież powiedziałaś mi...

— Co powiedziałam?

— Mamo, tobie nie wolno nic wiedzieć. Nie wolno ci, nie wolno czytać gazet, nie wolno oglądać telewizji, jesteś...

— Zamknij się! Smarkaczu jeden! Mów, co tam było napisane!

— Nie wiem! Tam było napisane... zaraz. Pisali, że był jakiś facet, chyba facet z policji, pisali, że był, odtwarzali jakąś taśmę...

— Co było na tej taśmie?

— Przecież ty tam byłaś, mamo. Czemu pytasz mnie?

— Napisali, że co było na tej taśmie?

— Nie wiem. Chyba coś o tym, że Boffano powiedział jakiemuś facetowi, aby kopał... tunel... i... i zabił go.

— Twierdzili, że Boffano jest winny?

— Nie, nie wiem.

— Co pisali? Pisali o dowodzie przekonującym, o dowodzie niezbitym, no?

— Co? Nie rozumiem.

— Przekonującym. Nie znasz słowa: przekonujący? Co pisali?

— Pisali... pisali tylko, że wszyscy siedzieli cicho.

— Ale co starali się zasugerować? — Matka trzyma go teraz za ramiona. Ścisną je, wpija się w nie paznokciami. Trochę to boli, ale nie to jest najgorsze. Bardziej przeraża go jej głos. — Sugerowali, że on jest winny?

— Nie wiem. Mamo!

— Z kim o tym rozmawiałaś?

— O procesie? Z nikim! Przecież prosiłaś mnie, żebym nie rozmawiał.

— Tak? To już cię o to nie proszę. Teraz mówię: spróbuj porozmawiać z kimś o procesie, a wiesz, co zrobię? Wezmę twój rower i przejadę po nim samochodem, i wezmę twój komputer, i wywalę go przez okno, a potem, przysięgam na Boga, wejdziesz tu na górę i zabiję cię. Zabiję. Słyszysz?

92

— Tak.

Puszcza go. Wstaje. Oliver ociera twarz zgięciem ręki i pociąga nosem. Ale matka chwytą go pełną garścią za włosy i przechyla jego twarz do światła.

— Co to za wyglupy? Myślisz, że jak nie ma tu mężczyzny, to możesz się zaraz mazgać? Niedoczekanie. Koniec z tym. Od dzisiaj koniec.

ROZDZIAŁ 4

„przestawiany z miejsca na miejsce jak ten głupi osioł...”

ANNIE obserwuje tydzień później Bozemaną, adwokata Louiego Boffano, mężczyznę o sympatycznym, sumiastym wąsach i ślicznych, żółtych zębach, który wypytuje ostrożnie koronnego świadka.

— A więc, panie DeCicco — mówi — zeznał pan w śledztwie, że Louie Boffano miał „problem” z Salvatore Riggim, czy to prawda?

Paulie DeCicco ma imponującą, bezwłosą czaszkę, głowę jak urwista góra. Wygląda na człowieka myślącego, nawet mądrego — przynajmniej dopóki nie otworzy ust.

— Hę?

— Czy nie zeznał pan, że Louie Boffano został hurtownikiem handlującym kokainą i heroiną? — pyta Bo-zeman.

— A, tak.

— A skąd pan to wie?

— Byłem z nim, kiedy on zaczął się tym zajmować.

— Był pan jego wiernym porucznikiem, zgadza się?

— Porucznikiem? Nie.

— Nie był pan...

— Byłem kapitanem.

— Przepraszam. Kapitanem. A więc, kapitanie DeCicco, od kogo Louie kupował kokainę? Zechciałby pan sięgnąć do wspomnień?

— Od Cali.

— Od kartelu Cali?

94

— Tak.

— Z Kolumbii w Ameryce Południowej?

— Tak.

— A heroinę? Kto tutaj był dostawcą?

— Ndrangheta.

— To grupa z Włoch, jak rozumiem?

— Uhu, z Kalabrii.

— Grupa powiązana z mafią?

— Hę?

— Czy pańskim zdaniem Ndrangheta ma powiązania z mafią?

— Moim zdaniem to sama grupa jest mafią.

- Ale wracając do Salvadore Riggia, był on głową rodziny Carmine, tak?
- Zgadza się.
- A rodzina Carmine była też pańską rodziną?
- Tak.
- I Louie Boffano również należy do rodziny Carmine?
- Tak.
- Ale Salvadore Riggio nie pochwalał kontaktów pana Boffano z kartelem Cali i Ndrangheta...?
- Miał opory.
- OK. Proszę nam powiedzieć jeszcze raz, panie DeCicco: z czego wynikały te opory?
- Nie wolno było handlować narkotykami. Takie było prawo.
- Ma pan na myśli niepisane prawo rodziny?
- Zgadza się.
- Dlaczego to prawo obowiązywało, panie DeCicco?
- Nie wiem.

Bozeman staje przy barierce oddzielającej boks ławy przysięgłych od sali. Podkręca wąsa i obrzuca przysięgłych rozbawionym spojrzeniem.

- Jakieś dziwne to prawo, nieprawdaż? Panie DeCicco? W organizacji przestępczej?
- Nie wiem.

— Bądźmy sprawiedliwi. Wydaje mi się, że wszyscy tutaj

95

próbujemy sobie wyobrazić Savadore Riggia jako tego... tego krzyżowca prowadzącego krucjatę przeciwko narkotynom... — Szmer śmiechu na sali sądowej.

— Nazwalibyście państwo SaWadore Riggia antynarkotykowym krzyżowcem?

Z miejsca zrywa się Tallow, prokurator okręgowy.

— Sprzeciw. Nie sądzimy tutaj Salvadore Riggia. Bozeman wzrusza ramionami.

— Oskarżenie usiłuje przedstawić Salvadore Riggia jako wzorowego obywatela celem wywołania emocjonalnego uprzedzenia do mojego klienta.

Sędzia podtrzymuje sprzeciw.

— Co jest, do cholery? — mruczy Louie Boffano. Jest to pomruk, ale na tyle głośny, że wszyscy słyszą. Sędzia Wietzel nachyla się do mikrofonu.

— Nie dosłyszałem, panie Boffano. Zechciałby pan powtórzyć?

Louie Boffano obdarza go promiennym uśmiechem.

— Raczej nie.

— Uprzedzam pana jeszcze raz — mówi sędzia — żeby opinię o sposobie przebiegu rozprawy zachował dla siebie.

— Zaraz, przecież ja się staram, wysoki sędzie. Naprawdę się staram.

Wietzel czerwieni się.

— Może pan kontynuować przesłuchanie świadka, panie Bozeman — mówi. — Ale proszę o powstrzymanie się od nakłaniania pana DeCicco do oceny względnej moralności pana Riggio.

Bozeman zwraca się do Pauliego:

— No dobrze, faktem jest, że niepisany kodeks rodziny Carmine zakazywał handlu narkotykami na wielką skalę.

— Tak.

— Jaka była kara za złamanie tego prawa?

— Śmierć.

— I zeznał pan, że pan Boffano jest członkiem rodziny Carmine, od kiedy go pan zna?

— Tak.

96

— Dwadzieścia trzy lata?

— Tak.

— Był dobrym żołnierzem rodziny?

— Nie wiem, chyba tak.

— A mimo to chciał odejść od tej głęboko zakorzenionej tradycji trzymania się z dala od narkotyków?

— Tak.

— Dlaczego?

— Dla pieniędzy.

— Dla dużych pieniędzy?

— Tak.

— W którymś miejscu swoich zeznań twierdzi pan, że była mowa o zyskach rzędu miliarda dolarów?

— To znaczy: to była tylko rozmowa.

— Cóż, ja też czasami rozmawiam o zarabianiu pieniędzy, panie DeCicco. Ale nie rozmawiam o zarobieniu miliarda dolarów.

— Nie? A co, miliard to dla pana za mało? A tak, zapomniałem, przecież pan prawnik.

— Panowie! — Sędzia Wietzel krzywi się.

Ale Bozeman chichocze przyjaźnie, jego żółte zęby połyskują, a sumiasty wąs lekko podryguje.

— To bardzo zabawne, panie DeCicco — mówi. — Ma pan poczucie humoru.

DeCicco wzrusza ramionami.

— Bardzo dowcipne — mówi Bozeman. — A więc może zmobilizowałby pan swój dowcip i przypomniał sobie, kto zapoczątkował całą tę rozmowę?

— He?

— Kto zaproponował panu Boffano wejście w narkotykowy interes?

— Eee, nie wiem.

— A ja myślę, że pan wie.

— Sprzeciw! — ryczy Tallow.

— Och, rzeczywiście, ma pan rację — przyznaje rozkosznie Bozeman. — Mój błąd,

mój błąd. Panie DeCicco, czy nie zeznał pan wczoraj, że strategię negocjacji z kartelem

Zabij go, mamó

97

narkotykowym Cali zaproponował człowiek znany panu tylko pod pseudonimem Nauczyciel?

— Może, ale on nie...

— I czy nie był to ten sam Nauczyciel, który miał kilka pomysłów na ułożenie się z Ndranghetą?

— Tak, ale on...

— I czy nie był to ten sam Nauczyciel, który zaproponował Louiemu Boffano, że przekopie tunel do domu pana Riggio i zabije go?

— Tak.

— Kim jest ten Nauczyciel, panie DeCicco?

— Nie wiem.

— Czy znajduje się na tej sali?

— Nie wiem.

— Jak wygląda?

— Nie wiem.

— Nigdy go pan nie widział?

— Nie.

— Rozmawiał pan z nim kiedyś?

— Tak. Ale nosił maskę.

— Dlaczego nosił maskę?

Paulie DeCicco wzrusza ramionami.

— Może panu nie ufał? — podpowiada Bozeman.

— Wydaje mi się, że nie.

— Tak się panu wydaje?

— Tak. No, bo raz Louie powiedział mi, że Nauczyciel mi nie ufa. Że podejrzewa mnie, iż podkabluję.

— I to podejrzenie okazało się prorocze, nieprawdaż, panie DeCicco?

— Chyba tak.

— Podkablował pan, i dlatego...

— Sprzeciw! — woła Tallow.

— To słowa świadka, wysoki sędzie — mówi Bozeman. — Nie moje.

Wietzel oddala sprzeciw.

— Tak jak to przepowiedział Nauczyciel, odwrócił się pan plecami do rodziny, panie DeCicco, zgadza się?

98

— Tak.

— Zresztą Nauczyciel często miał rację, prawda?

— Chyba tak.

— Czy rodzina zarobiła dużo pieniędzy na tych narkotykowych transakcjach?

— Tak.

f. — Zgodnie z przewidywaniami Nauczyciela? •— Tak.

— Czyli to bardzo obrotny facet?

— Tak.

— I nikt nie wie, kim jest? , — Louie Boffano wie.

— Ktoś jeszcze?

— Nie wiem.

— I pewnego dnia ten Nauczyciel powiedział, że może wykopać tunel do domu Salvadore Riggia celem zamordowania go?

— Właśnie.

— A pan Boffano powiedział: „OK, chcesz, to kop ten tunel, kop tunel”. Zgadza się?

— Zgadza.

— Mimo wszystko Nauczyciel był szefem, mógł robić, co chciał, prawda?

— Chwileczkę... Nauczyciel nie był szefem.

— Czyżby? Pamięta pan chociaż jeden przypadek, kiedy nie postąpiono tak, jak doradzał Nauczyciel?

— No, pamiętam, weźmy na przykład mnie. Znaczy Nauczyciel mi nie ufał, a Louie i tak mnie przy sobie trzymał.

— Chce pan powiedzieć, że pomimo swoich podejrzeń Nauczyciel pozwolił panu Boffano korzystać dalej z pańskich usług?

Przez salę sądową przetacza się fala śmiechu.

— On nie miał nic do gadania! — obrusza się Paulie DeCicco. — Louie był szefem! On wydawał rozkazy!

— Chciał pan, zdaje się, powiedzieć, że Louie wypowiadał rozkazy?

99

— A co to za różnica?

— Wie pan, co to jest marionetka, panie DeCicco? Tallow zrywa się natychmiast z miejsca.

— Sprzeciw!

— Przepraszam, przepraszam — bąka Bozeman podchodząc do swojego stołu. — Przeformułuję to pytanie.

Zatrzymuje się przy stole i bierze z niego jakąś papierową torbę. Wsuwa do torby rękę i zwraca się do świadka:

— Panie DeCicco, czy wie pan, co to jest? Wyjmuje rękę z torby. Ma na niej szmacianą pacynkę.

Z czarnymi włosami, sumiastym wąsem i marsem na czole. Wykonaną na obraz i podobieństwo swojego mistrza, pana Bozemana.

Bozeman unosi ją w górę.

— To jest marionetka, prawda? — pyta. Pomruk potwierdzenia z sali.

Marionetka pochyla się, spogląda z góry na pana Bozemana i mówi skrzekliwym

głosem:

— Wcale nie! Ja jestem szefem! Ty jesteś marionetką! Ponad ryk śmiechu wybija się stukot młotka sędziego

Wietzela. Sędzia jest wściekły.

— Panie Bozeman! Panie Bozeman!

— Louie Boffano nie był marionetką! — wrzeszczy Pau-lie DeCicco.

Marionetka patrzy przez chwilę na Pauliego, kiwając ponuro głową, a potem odwraca się do swojego mistrza i fuka gniewnie:

— To prawda! Naprawdę!

— Panie Bozeman! — krzyczy sędzia Wietzel.

Dopiero teraz Bozeman z udawaną skruchą upycha pacynkę z powrotem do papierowej torby. Ale pacynka wyrywa mu się jeszcze, wystawia z torby głowę i krzyczy:

— Przepraszam, wysoki sędzie!

— Panie Bozeman — grzmi sędzia — próbuje pan robić cyrk z tej rozprawy?! Udzielam panu ostrzeżenia, a jeszcze jedno i... no, dobrze! Spokój! Cisza!

Seria uderzeń młotka.

100

— Zamierzam wszcząć przeciwko panu postępowanie dyscyplinarne, panie Bozeman, za to niepoważne przedstawienie. Jeszcze jeden taki wybryk, a usunę pana z sali, jasno się wyrażam?

Ale Annie nie rozumie, co go tak wyprowadziło z równowagi. Jej zdaniem Bozeman bardzo dobrze to odegrał. Zerka na przysięgłych po swojej lewej i po prawej ręce, ciekawa, czy im też się podobało.

Ale dostrzega tylko niepewne uśmieшки na ich wargach.

Och, pofolguj sobie — myśli. Roześmiej się. Ten sukinsyn Bozeman podsunął ci przed chwilą pomysł, nad którym warto popracować, prawda? Musisz siedzieć taka nadęta, nie możesz raz na jakiś czas docenić nieco prymitywnego żartu, skoro miał się przyczynić do oczyszczeniu niewinnego człowieka z zarzutów?

NAUCZYCIEL, nie zważając na siąpiący kapuśniaczek, siedzi w pozycji półłotosu

na dachu grobowca rodziny Bof-fano i obserwuje nadchodzących. Brat Louiego Boffano, Joseph, i jego goryl kluczą ścieżką wijącą się między marmurowymi aniołami.

Joseph ogląda się co chwila. Jest zdenerwowany. Ale on zawsze jest nerwowy. Zwłaszcza poza granicami swojego terytorium, czyli Astorii. Chociaż to właśnie Astoria jest miejscem, gdzie prawdopodobnie pewnego pięknego dnia zarobi kulkę — może na własnym podjeździe albo w delikatesach na rogu, albo może trzy domy dalej, pod drzwiami swojego brata Louiego.

A kto wie — myśli Nauczyciel — czy nie we własnej sypialni, jak nieodżałowany SaWadore Riggio.

Nauczyciel naciąga na głowę kaptur. Pasuje jak ulał, ma otwory na oczy i usta. Czeką, aż goście znajdą się wewnątrz ogrodzenia otaczającego grobowiec, aż Joseph przeżegna się niedbale i podejdzie do schodków. Wtedy Nauczyciel wstaje i spogląda na nich z góry.

— Cześć, Joseph — mówi.

101

Obaj mężczyźni sięgają odruchowo pod marynarki po broń. Rzucają nerwowe spojrzenia na lewo i prawo, ale żadnemu nie przychodzi do głowy, żeby spojrzeć w górę. Joseph wbiega po schodkach grobowca, by schronić się w niszy wejścia.

Licha to jednak kryjówka.

Z gałęzi czerwonego klonu ocieniającego strop Nauczyciel zrywa nosek, podwójny liścień klonu. Trzyma go przez chwilę nad błyszczącym celem, łysą głową Josepha, i puszcza. Nosek opada wirując, niczym miniaturowa, samonap-rowadzająca się bomba. Ale w ostatniej chwili zbacza z kursu. Prześlizguje się przed oczami Josepha. Ten cofa odruchowo głowę i wali potylicą o marmur grobowca.

— Kurwa!

— Spokojnie, Joseph. Spokojnie — odzywa się Nauczyciel.

Joseph odwraca się na pięcie i zadziera głowę. Gapi się na Nauczyciela swoimi małymi oczkami wiewiórki. W trzęsących się dłoniach trzyma wymierzony w niebo półautomat.

Nauczyciel uśmiecha się do niego z góry.

— Gdybym chciał cię zabić — mówi — zrobiłbym to od razu. Leżałbyś już teraz

zamknięty na kłódkę w tym domu wiecznego spoczynku. Wolałbyś półkę nad swoją świętej pamięci matką czy pod nią?

— Złaż, cholera, z krypty mojej kurewskiej rodziny.

— Chciałeś chyba powiedzieć: z kurewskiej krypty mojej rodziny. Dostrzegasz różnicę?

Nauczyciel zauważa, że ochroniarz Josepha, Frankie, zaciska mocno usta, aby się nie uśmiechnąć. Dobrze. Jak na goryla, nawet rozgarnięty z niego okaz. Bystry chłopak o twarzy charta. Spokojny, oszczędny w ruchach, z pewnym poczuciem humoru.

Wyróżnia się w tym ogromnym stadzie osłów i baranów tworzącym rodzinę Boffano.

— Jak się masz, Frankie — zwraca się do niego Nauczyciel.

Frankie wzrusza ramionami.

— Jakoś leci.

102

— Chodzisz jeszcze z tą Irlandką?

— Z Molly? Tak, skąd pan...?

— Ktoś mi pokazywał zdjęcie. Niezła jest. Uważaj, łap. Nauczyciel podnosi długie, brązowe, kartonowe pudełko.

Zrzuca je ostrożnie na dół.

— Cholera — klnie Frankie. Ale łapie pudełko i otwiera je. W środku znajduje orchideę.

— *Lycaste Virginalis skinneri* — mówi Nauczyciel. — Świeżo ścięta. Czujesz ten zapach? Połóż ją dziś wieczorem przy poduszce, kiedy będziesz się kochał z Molly. Dziewczyna rozerwie cię na kawałki.

— No, nie, coś takiego, Frankie — mruczy Joseph — masz teraz, kurwa, osobistego kwiaciarza. — A potem zwraca się do Nauczyciela: — Słyszałeś, co powiedziałem? Powiedziałem: złaż, do kurwy nędzy!

Nauczyciel przytrzymuje się podstawy kamiennego anioła w narożniku dachu grobowca i spuszcza się zręcznie po ścianie. Trafia czubkiem buta w oko kratki z kutego żelaza zdobiącej małe okienko, chwytą się parapetu i zsuwa na ziemię.

— A w ogóle, coś ty tam robił na górze? — pyta Joseph. Nauczyciel nie odpowiada.

||•) — Chciałeś sprawdzić, czy mnie nie śledzą? — ciągnie Joseph. — Posłuchaj, pierdolcu. Gdyby mnie śledzili, sam bym o tym wiedział.

— Joseph! Powiedz wreszcie, po co chciałeś się ze mną widzieć.

— Po co? Bo słyszę, że kombinujesz coś, kurwa, z ławą przysięgłych.

— Ach, o to chodzi. Cóż, dziękuję, że przyszedłeś zaoferować mi swoją pomoc.

Joseph unosi palec.

— Przymknij się, śmierdzielu. Wkurza mnie to twoje inteligenckie pieprzenie.

— Słucham cię.

— Zabraniam ci się wpierdalać w jakieś machloje z przysięgłymi. Za duże ryzyko.

103

— Wolisz pewne interesy, Joseph? Dajmy na to, twój brat idzie na resztę życia do Attiki, a ty stajesz na czele rodziny?

— Mój brat wyjdzie, dupku.

— O ile wiem, odtwarzali dzisiaj jakąś taśmę...

— A kogo tam obchodzi jakaś zaszracona taśma! Bozeman tak się z tą taśmą rozprawił, że nie wyglądało to wcale na żadną gadkę o morderstwie. Wyglądało na pieprzony Mup-pet Show. Mówię ci: nie wpierdalał się do tego procesu. Ci faceci, Tallow, pieprzony okręg Westchester — to amatorzy. To nawet nie FBI. To nawet nie pieprzone RICO, to zwyczajne lokalne palanty, co to pozują na federalnych kowbojów i próbują się wykazać na jakiejś gównianej wydumanej przez siebie sprawce o morderstwo.

— To dobrze, Joseph, byle tak dalej. Ale mówiono mi, że Bozeman sam twierdzi, iż przegramy tę gównianą sprawkę o morderstwo.

— Ubezpiecza swoją dupę.

— A ja ubezpieczam dupę twojego brata. Joseph mruży oczy w cieniutkie szparki.

— No, a który to przysięgły, skurwielu? Nauczyciel uśmiecha się do niego.

— No — mówi Joseph. — Lepiej odpowiadaj, jak cię pytam. Dopóki mój brat siedzi, ja jestem szefem rodziny.

— Ale nie moim.

— Rodzina ci płaci...

— Sporo dostaję od twojej rodziny, Joseph, ale mimo to nie jesteś moim szefem. Twój brat wie, co robię.

— Fakt, owinąłeś sobie mojego brata dookoła kutasa. Swojego małego, sflaczałego kutasa. Ale ze mną ci nie wyjdzie. Nie podobasz mi się. Nie podoba mi się twoja pieprzona zaduszkowa maska. Dlaczego, kurwa, nie pokażesz gęby?

— „Najlepszym z władców — powiada Lao-tse — jest ten, o którego istnieniu nie wiadomo”.

— Że co powiada? Ty głupi gnojku! Nic mi się w tobie nie podoba. Nauczyciel, Nauczyciel, chromolony wszyst-

104

kowiedzący. Nie podoba mi się to, w co wrabiasz moją rodzinę. Nie podoba mi się to całe gównno, w jakie wpychacie nas ty i mój brat. Te gówniane konszachty z Ndranghetą, te gówniane konszachty z Cali. I wiesz, co mi się jeszcze nie podoba? Nie podoba mi się terroryzowanie obywateli.

— Och, Joseph, jaką ty masz wrażliwą duszyczkę. To jakieś niedopatrzenie, że nie kanonizowali cię za życia...

Frankie chichocze.

Joseph postępuje krok i staje nos w nos z Nauczycielem.

— Pozwól, że postawię jasno jedną sprawę, skurwielu.

— OK, Joseph. Jedną sprawę. Wal.

Rozdęte nozdrza Josepha drżą. Oddech ma nieświeży i przykra woń zalatująca mu z ust przedostaje się pod maskę Nauczyciela.

— Jak wyślą mojego brata na północ, to lepiej pryskaj, kurwa, gdzie pieprz rośnie. Lepiej schowaj się na dnie tego pieprzonego oceanu, ty w dupę kopany pedale.

OLIVER wraca na rowerze z cośrodowego popołudniowego treningu lacrosse'a. Kiedy wprowadza rower na werandę, słyszy dzwonek telefonu w kuchni. Mama odbiera.

— Słucham...? Cześć, Juliet...

Zazwyczaj, odbierając telefon od Juliet, mama od razu zaczyna chichotać — ale tym

razem tak nie jest. Tym razem jej głos pozostaje matowy i zimny jak lód.

— Nie. Dziś wieczorem? Nie...

— Naprawdę? Przepraszam, zapomniałam...

Oliver wchodzi do kuchni. Mama zasłania dłonią mikrofon słuchawki i mówi do niego bez słowa powitania:

— Pozbieraj wszystkie swoje brudne ubrania. Jedziemy do pralni samoobsługowej.

Oliver rusza przez pokój telewizyjny do schodów. Ale zatrzymuje się w połowie drogi. Chce posłuchać.

— Nie, Juliet, to miło z twojej strony — mówi mama — ale dzisiaj wieczorem muszę zrobić pranie.

— Wszystko w porządku...

105

— Nie, ten facet okazał się... no, nie wyszło...

— Juliet, powtarzam ci, że nie jestem w nastroju do...

— No i mam mnóstwo roboty...

— Tak, wierzę ci. Wierzę, że to wspaniała historia. Ale wiesz, ja... ja naprawdę nie jestem jej ciekawa. To znaczy nie chcę słuchać o jeszcze jednym twoim małym wypadzie. Zabawnie opowiadasz, ale... czy ty nigdy nie próbowałaś związać się z kimś bliżej? Albo inaczej, nie znudziły ci się te przelotne przygody?

Oliver stoi w pokoju telewizyjnym i patrzy na plecy mamy. Mama opiera się o framugę drzwi i patrzy w zapadający zmierzch.

— Nie, nie... — mówi.

— Nie...

— Nie, na miłość boską. To według mnie bezduszny seks. Jakieś ciała, jakieś liczby, czy ty nigdy nie wydorosłejesz?

— No i dobrze, Juliet, to nie moja sprawa, a więc mi o tym nie opowiadaj. Nie chcę tego słuchać i szczerze mówiąc, nie chcę, żeby mój syn wysłuchiwał tych wszystkich wypaczonych...

— Nie, to ty jesteś męcząca. Myślisz, że możesz tu sobie przychodzić, kiedy ci się

spodoba, i opowiadać mi jakieś perwersyjne historyjki, to jest twój sposób na życie? Posłuchaj, ja nie...

Stoi przez chwilę i milczy, potem odsuwa słuchawkę od ucha. Oliver słyszy urażony pisk telefonicznego sygnału. Mama odwiesza słuchawkę. Potem odwraca się szybko i spostrzega go. Twarz ma czerwoną, rozognioną. Ale kiedy się do niego odzywa, jej głos jest nadal chłodny i spokojny:

— Nie patrz tak na mnie.

SLAVKO Czernyk czuwa na posterunku. Siedzi w swoim samochodzie i obserwuje luksusowy dom Ebena Racklanda. Walczy z sennością. Słucha stacji WFAN. Dziś wieczorem ożywiona debata: czy system pensji/premii drużyny New

106

York Giants zapewnia optymalne wynagradzanie zawodników formacji ataku/obrony w ustawieniu ofensywnym? Chyba każdy nowojorski kibic walczy od miesięcy ten problem. Do radia dzwonią faceci o ilorazie inteligencji końskiej podkowy i wygłaszają dwudziestominutowe dysertacje.

Slavko wbija sobie kłyckie głęboko w oczodoły, próbując wykorzenić stamtąd znużenie i senność. O Jezu! Która to godzina? 8.35. Dopiero? O północy zjeżdżam na bazę, żeby nie wiem co. Tutaj nic się nie wydarzy.

Slavko jest przekonany, że obserwację wymyślili słudzy piekła, jako największą z możliwych tortur dla śmiertelnika.

Slavko odkręca termos i nalewa sobie kawy.

Jakiś gość w radio mądrzy się: „Szkopuł w tym, Jerry, że w kontraktach wieloletnich jest nadmiar klauzul dotyczących wyników zawodnika, a zwłaszcza...”

Slavko wali kolanem w klawisz wyłącznika. Zamyka temu durniowi gębę. Siedzi w ciszy. Znowu odkręca termos. Dolewa sobie kawy. Spogląda na zegarek: 8.36. O Jezu!

Do dupy z takim życiem!

Naturalnie, jeśli będę cierpliwy, to w końcu umrę i zacznę wszystko od nowa. No, a jak mi nie przyznają premiowej kolejki? Zważywszy, że tak sromotnie spieprzyłem obecne podejście?

Nalewa sobie następny kubek kawy.

Jakieś niespokojne przeczucie, ale nie ma pojęcia, co je wywołało. Cień? I nagle ktoś puka w szybę od strony pasażera.

Aż podskakuje, ale jakimś cudem udaje mu się utrzymać w dłoniach termos.

Okazuje się, że to Sari. Uśmiecha się do niego. Slavko wyciąga rękę i odblokowuje drzwiczki.

— Co ty tu robisz? — pyta, kiedy Sari wślizguje się na fotel obok niego.

— Zaraz. Jestem twoim pracodawcą — odpowiada Sari. Dzisiejszego wieczoru ma na sobie zwyczajne dzinsy i bawełnianą koszulkę. Jednak nie jest przez to ani o odrobinę

107

mniej wspaniała niż ostatnim razem. — Chciałam sprawdzić, czy zarabiasz na swoje honorarium — ciągnie. — Pomyślałam sobie też, że może jesteś głodny. Że może zjadłbyś kanapkę.

— Dzięki, ale Jezu...

— Tak, a poza tym wychodziłam z siebie siedząc w domu sama.

— Gdzie twój samochód?

— Przecznicę stąd. Nie chciałam, żeby on mnie zobaczył. Jak się sprawuje mój chłopczyk? Jest dzisiaj grzeczny?

Sari spogląda w oświetlone okno Ebena. Ale kiedy Slavko nie odpowiada, przenosi wzrok z powrotem na niego.

— Mogę tu z tobą posiedzieć? To znaczy, czy to nie...

— Możesz.

Slavko wdycha z lubością zapach jej perfum i wprost chłonie wzrokiem gesty długich, zwinnych rąk. Wstyd mu tego samochodu, tego przerdzewiałego po dach forda grana-da rocznik 1980, którego nazywa Ochlapusem i który jest przesiąknięty smrodem tysięcy lucky strike'ów i spalin przenikających latami do kabiny. Po podłodze, pod butami Sari walają się jakieś reklamy, te śmieci z poczty, tłuste serwetki po hamburgerach i dwie butelki po piwie. Pod jego stopami, tam gdzie podłoga przerdzewiała po prostu na wylot, ziele dziura sześć cali na dwa. Zazwyczaj jest przykryta kawałkiem starego linoleum, ale dzisiaj, kiedy szukał gorączkowo świecdolarówki, żeby zapłacić za wjazd na autostradę, musiał chyba przesunąć ten

kawałek linoleum, bo go tam teraz nie ma, więc jest zmuszony zasłaniać dziurę butem. Żeby Sari nie zauważyła przesączającego się od spodu światła.

Chociaż ona i tak by tego nie zauważyła. Nie obchodzi jej to. Jedyne, jaka ją obchodzi, to oświetlone okno Ebena Racklanda.

— Wiem, że to nieładnie go szpiegować — odzywa się Sari. — Ale dzięki temu poczuję się może lepiej. Po prostu będąc tutaj. Hej, chcesz tę kanapkę? Z rostbefem. Nie wyglądałaś mi na wegetarianina.

— Sari!

108

— Co?

— Nie wydaje mi się, żeby twój przyjaciel tam był. Sari spogląda znowu w okno. Potem przeczesuje szybko

wzrokiem parking przed domem.

— Nie, musi być w domu — mówi. — Jego samochód stoi.

Pokazuje na pięknego czerwonego lotusa.

— Ten wóz stoi tam, od kiedy tu podjechałem. Czyli od piątej — mówi Slavko.

Sari zastanawia się chwilę.

— Może nie poszedł dzisiaj do pracy? — odzywa się w końcu. — Ale on tam jest, panie Czernyk. Godzinę temu telefonował do mnie z domu.

— Naprawdę? Miałaś mi mówić Slavko. Co powiedział?

— To samo, co zawsze. Że przeprasza, dużo pracy, ta nowa klientka, nie da rady się wyrwać...

— Światło w tym oknie zapaliło się o 6.37 — przerywa jej Slavko. — Zaczekaj. — Wyciąga z kieszeni marynarki mały, czarny terminarzyk i otwiera go. — O 6.37 i dwanaście sekund, według mojego zegarka.

— I co z tego?

— O 6.42 i dwanaście sekund, czyli dokładnie pięć minut później, zapaliło się światło na ganku. O 6.52 i dwanaście sekund światło na parterze.

— I co to...

— To znaczy, że tych świateł nie zapalał twój przyjaciel, chyba że spotykasz się z elektronicznym przekaźnikiem czasowym. Przez cały wieczór nie dobiegł stamtąd naj-marniejszy dźwięk, nic się nie poruszyło, nie przemknął żaden cień, zupełnie nic. Nie wydaje mi się, żeby ktoś był w środku.

— To gdzie jest Eben?

— Cóż, to jest pytanie.

Naraz Sari otwiera drzwiczki. W blasku zapalającej się lampki sufitowej Slavko widzi wyraźnie jej zaciętrzewienie.

— Lepiej dla niego, żeby tam był — wywarkuje Sari. Wysiada z samochodu, zatrząskuje za sobą drzwiczki

109

i maszeruje podjazdem do werandy domu. Wdusza energicznie przycisk dzwonka.

Slavko bierze kanapkę, którą mu przyniosła. Zaczyna ją odwijać z papieru.

Obserwuje Sari, która nie odrywa palca od przycisku.

Dziewczyna zaczyna walić pięścią w drzwi. Woła kochanka, żeby jej otworzył.

Slavko kręci głową i myśli: Nie, kochanie, jego tam nie ma. Nasz Ebenezerek bawi się w kotka i myszkę, bawi się w kotka i myszkę z własnym życiem. To jeden z wiadomego gatunku facetów. Złe wieści. Zawsze. Z tych facetów. Jestem pewien, że podczas najbliższej waszej rozmowy wyjaśni ci przekonująco swoje zachowanie, ale cokolwiek powie, nie wierz mu, Sari.

OLIVER siedzi w pralni samoobsługowej na składanym plastikowym krzeselku i próbuje się uczyć. Ale trudno mu się skupić, a to przez grzechot automatycznych pralek i suszarek oraz przez tamtą bandę pięciorga wymoczkowatych dzieciaków, które bawią się w jakąś odmianę Amerykańskich Gładiatorów. Pchają jedno drugie na ściany pralni. W końcu Oliver zamyka z rezygnacją podręcznik i bierze postrzępione, pomazane kredkami czasopismo „Highlights for Children”.

Po chwili odkłada je i bierze magazyn „People”.

Potem zaczyna się bawić sznurkami ściągacza swojej kurtki, okręcając je sobie wokół nadgarstków. Wpatruje się przy tym w kotłowaną za szybką maszyny pralniczej.

Matka dzieciaków prosi, żeby przestały rozrabiać. Zupełnie jakby mówiła do ściany.

Co za baba i co za pomiot wydała na ten świat! Bachory są, jeden w drugiego, tak niesamowicie blade, że niemal przezroczyste.

OHver bierze podręcznik do matmy, zeszyt, przechodzi na drugą stronę sali i sadowi się koło własnej matki.

Mama przerzuca stertę gazet. „Times”, „Post”, „News”, „Reporter Dispatch”, „News-Times”. W każdym szuka

110

tylko artykułów o procesie, reszta jej nie interesuje. Czyta. Nic nie mówi, jej twarz nie wyraża niczego.

— Hej, mammo!

— Tak?

Mama odrywa wzrok od gazety i spogląda na niego, ale tak, jakby go wcale nie widziała. Potem powraca do lektury artykułu.

— Czekałem, aż będziesz w lepszym nastroju — mówi Oliver.

— Mhm.

t — Ale widzę, że to może trochę potrwać, co? |i — Mhm.

— Muszę ci to pokazać.

OHver wyjmuje z zeszytu klasówkę z matmy i podsuwa ją mamie. Na kartce aż się roi od poprawek naniesionych agresywnym czerwonym atramentem.

W górnym rogu wynik: 37.

Mama zerka na pierwszą stronę. Zagląda na drugą.

— OK. Dobrze. — Oddaje mu klasówkę.

— Musisz to podpisać — mówi OHver.

— Nie mam długopisu.

— Masz — OHver podaje jej swój. Mama podpisuje. Oddaje mu klasówkę i długopis i powraca do przerwanej lektury.

— Mammo, będziesz pamiętała, że podpisałaś? Jak ona do ciebie zadzwoni?

— Jak kto do mnie zadzwoni?

— Moja nauczycielka.

— Dobrze.

— Nie zapomnisz?

— Nie.

— Mamo, nic nie powiesz? Uciułałem tylko trzydzieści siedem.

Bez odpowiedzi.

— Trzydzieści siedem punktów na sto możliwych, mamo.

— Chcesz coś ode mnie usłyszeć? — Mama rzuca mu gorzkie, przygważdżające spojrzenie i ciągnie: — Staraj się tak dalej.

111

Powraca do przewracania stronic gazety i na tym upływa jej prawie minuta.

Matka przezroczystych bachorów zaczyna wyciągać swoje pranie z suszarki. Jej pomiot nadal obija się o ściany.

Mama składa gazetę, którą przeglądała. Odkłada ją na krzeselko obok.

— Co ja mam powiedzieć, Oliyer? — mówi. — Mam powiedzieć: „Och, Oliver, nie starasz się. To nie takie trudne, dlaczego się nie przyłożysz do nauki?” To chcesz usłyszeć? Tylko po co mam strzępić język? Wiesz to tak samo dobrze jak ja, wiesz, na co byłoby cię stać, gdybyś tylko przysiadł fałdów. Ale tobie się nie chce. Ty wolisz sobie rysować smoki, a na resztę gwizdziesz. Reszta jest nieciekawa. Siedzisz więc w klasie, gapisz się tępo na test z matematyki i marzysz, że chciałbyś zostać artystą, jak twoja mama. Że chciałbyś zostać wyrolowany, jak twoja mama. Co tam, że nigdy nie będziesz miał pieniędzy? Co tam, że będziesz się czuł jak ostatnia szmata, kiedy zepsuje ci się samochód, a ty nie będziesz miał pieniędzy na naprawę? Kto by się tym zajmował? Ty jesteś artystą. Możesz sobie siedzieć i przyglądać się, jak żyją inni. Aż do śmierci.

Mama mówi coraz głośniejsze i głośniejsze, a jej głos jest ostry jak brzytwa i jest to najdłuższy monolog, jaki Oliver słyszał kiedykolwiek z jej ust. Ich suszarka wyłączyła się i w pralni nie działa już żadna maszyna. Wymoczkowate smarkacze porzuciły swoją durną zabawę i gapią się teraz na mamę jak turyści. Nawet ich matka przerwała wyładowywanie swojego prania i patrzy z taką samą bezczelnością.

— Co tam — ciągnie mama — że każdą ważną decyzję w twoim życiu podejmują za

ciebie ludzie, których nawet nie znasz? Debilowaci kustosze i kolekcjonerzy, którzy nie potrafią odróżnić dzieła sztuki od tapety na ścianie. Ohver, jeśli tak myślisz, to co ja... co ja mam robić? Chcesz, żeby te sukinsyny mówiły ci, że nie przepuszczą cię do następnej klasy, bo nie zaliczyłeś matematyki? Co ja mam robić? Nikt nie może się postawić tym skurwysynom, tylko ty sam. Musisz być twardy. Jeśli chcesz pozwolić tym sukin-

112

synom, żeby mówiły ci, kim jesteś, to ja nie mogę ci pomóc. Nie mogę ci pomóc! Mogę ci tylko pokazać, co zrobili ze mną.

— Mamo — bąka Oliver.

— Co dalej ze mną robia.

— Mamo!

— Co?

— Musisz... przestać.

Mama milknie. Patrzy na niego szeroko rozwartymi oczami.

OHver wstaje. Zeszyt i książka do matmy zsuwają mu się z kolan na podłogę, ale on nie zwraca na to uwagi, tylko mija upraną rodzinę wytrzeszczającą gały i podchodzi do drzwi. Pcha je i zanurza się w jesienny mrok. Kieruje się w stronę supermarketu Grand Union. Tam zatrzymuje się przed jakąś witryną, gdzie stoi jakiś idiotyczny mechaniczny konik dla małych dzieci. Płacze, nie może się powstrzymać. Modli się w duchu, żeby nie przechodziły tędy czasem jakieś dzieciaki ze szkoły. Stoi tak ze zwieszoną głową, wstrząsany spazmami, i jakiś starszy gość pyta, czy nic mu nie jest.

— Nic — odpowiada.

— Na pewno?

— Proszę dać mi spokój, dobrze? — wkłada w swoje słowa trochę opryskliwości podsłuchanej u mamy, i to działa, zniechęca faceta. Po chwili podnosi wzrok i widzi mamę podchodzącą do subaru z koszem prania pod pachą i jego książkami w drugiej ręce.

ANNIE wrzuca pranie i książki do bagażnika samochodu. Zatrząskuje klapę i rusza w kierunku Grand Union. Podchodzi do Ohvera, który wciąż patrzy na tego konika z wystawy, zupełnie jakby chciał się na nim przejechać.

— Oliver — mówi szorstko. Jej głos roznosi się echem po ciemnym parkingu.

— Co?

— Chodź. Idziemy!

8 — Zabij go. mamó

113

Wchodzą do Grand Union. Annie przemierza przejścia między półkami, Oliver wlecze się jej śladem. Przejście za przejściem. Annie ma awersję do żywności, więc wrzucenie czegoś do koszyka wiąże się u niej każdorazowo z wysiłkiem woli. Żadnych świeżych warzyw. Nie chce jej się ich krajać. Ale ryż Rice-A-Roni, czemu nie, cztery opakowania. Nie jadła ryżu Rice-A-Roni od pewnego lata spędzonego u ciotki w Pittsburghu. Tacka mrożonych obiadów Lean Cuisine i pizza Stouffera. Oliver wlecze się za nią ze zwieszoną nisko głową. Raz czy dwa Annie pyta go, co ma wziąć, ale jemu jest wszystko jedno. Zatrzymują się przy zbożowych płatkach śniadaniowych. Gruby, puciołowaty facet w wiatrówce Day-glo nie może się precisnąć obok ich wózka, i Annie odsuwa wózek, żeby zrobić mu przejście.

— Wybieraj, co chcesz — mówi do OHvera. Oliver wzrusza ramionami.

Annie chwyta z irytacją pudełko corn chexów i wrzuca je do wózka.

— Hej, ja panią znam — rozlega się czyjś głos. Annie odwraca się. To ten puciołowaty. Złamany nos.

Kość policzkowa jakby wgnieciona do środka jakimś gigantycznym kciukiem. Uśmiecha się przyjaźnie do OHvera.

— Pani jest tą artystką — mówi facet. — Damą od skrzynek.

Chichocze wesoło. Ale skąd ją zna? Prawdopodobnie z tej małej wystawy, którą miała zeszłego roku w bibliotece w Pharoah.

— Z biblioteki? — pyta Annie.

— Z piekarni, nie pamięta pani? Spotkaliśmy się w piekarni.

Annie traci oddech. Co robić? W głowie ma pustkę, nie wie, jak zareagować.

Brzydal spogląda na Olivera.

— To pani chłopak? — pyta. OK. Chce, żeby odprawiła Olivera.

— Hej, kochanie — zwraca się Annie do syna — potrzeba nam trochę... jak się

nazywają te mrożonki?

114

— Robopopsy? — mamrocze Ołiver.

— Przynieś parę opakowań. Ołiver rusza. Idzie jak lunatyk.

Kiedy jest już daleko, mężczyzna mówi:

— Jutro. Wczesnym rankiem. Wie pani, gdzie jest Park & Ride? W Banktree? W bok od drogi 684?

— Mm. — Annie kręci głową.

— Na pewno pani wie.

— Wiem.

— Niech pani tam czeka. Podjadę i wsiądzie pani do mojego wozu. OK?

— Dobrze.

— Dobrze się pani czuje?

— Tak.

— Nieszczególnie pani wygląda.

— Nic mi nie jest.

— Co powiedziałem?

— Park & Ride w bok od 684. Mam czekać, czekać, a potem... wsiąść do pana samochodu.

— Zgadza się.

Mężczyzna robi ruch, jakby chciał się oddalić, ale tego nie robi.

— Niech pani posłucha — mówi — nie ma się czego bać. On się panią zaopiekuje. Niezły z niego gość. To znaczy: potrafi być nieprzyjemny. Dostaje świra, jak ktoś mu się sprzeciwia. Ale jak będzie go pani we wszystkim słuchała, nic pani nie grozi.

Annie stoi nieruchomo i próbuje uspokoić swój oddech.

— Ja też mam dzieciaka — ciągnie mężczyzna. — Córkę. Trochę starszą od niego. Rozumiem, przez co pani teraz przechodzi.

Z tymi słowami odwraca się i rusza przejściem między półkami, pchając przed sobą swój wózek.

— Jak się pan nazywa?! — wola za nim Annie. Mężczyzna odwraca się.

— Słucham?

— Jak się pan nazywa?

115

— A po co pani moje nazwisko? Skąd mogę... nie mogę pani powiedzieć.

— To jak się mam do pana zwracać?

— Wszystko jedno. Jak pani chce. Może mnie pani nazywać... — Mężczyzna rozgląda się chwilę, aż w końcu zatrzymuje wzrok na półce z płatkami śniadaniowymi John-ny Appleseed. — Dla pani mogę być Johnny Appleseed, mnie tam bez różnicy.

Wraca Oliver z dwoma paczkami robopopsów.

— OK, Johnny — mówi Annie. — Dziękuję ci. Za to, co powiedziałeś, dziękuję. — Jeśli uda mi się zaskarbić sobie i OHverowi ich sympatię — myśli — jeśli dam im się lepiej poznać, to może zastanowią się dwa razy, zanim wyrządzą nam jakąś krzywdę.

SLAVKO patrzy, jak Sari wsiada do samochodu, zatrząskuje drzwiczki i ukrywa twarz w dłoniach. Wtedy podaje jej brudną chusteczkę. Ma tylko tę jedną. Nie wie, co powiedzieć, siedzi więc cicho. Chętnie by ją przytulił, ale to też chyba nie wypada.

Sari bierze się wreszcie w garść, oddycha głęboko i potrząsa ze smutkiem głową. Slavko uznaje, że to odpowiedni moment, aby się odezwać. Ale właśnie w tym momencie jej usta znowu wyginają się w podkowkę. Zaraz potem z oczu tryskają łzy i Sari, klnąc, zaczyna walić piąstkami w deskę rozdzielczą.

Odzyskanie utraconej równowagi zajmuje jej sporo czasu.

— Powiedz coś — prosi w końcu.

— Co?

— Cokolwiek. Mów do mnie. Opowiedz mi coś.

— O czym mam ci opowiedzieć? Długa chwila milczenia.

— Opowiedz mi o niej — odzywa się w końcu Sari.

— Znaczy o kim?

— Mówiłeś, że też przez to przechodziłeś. A więc kim ona była? Czy była patologiczną kłamczynią? Jak ten mój sukinsyn?

116

— Nie. Ona była... ona mnie po prostu nie kochała. Jest lekarką. Rezydentem w szpitalu St. Ignatiusa, wiesz, gdzie to jest? Ma na imię Juliet. Chodziliśmy ze sobą jakiś czas, niedługo, miesiąc, góra dwa.

— Jak dawno to było?

— Prawie rok temu.

— Jezu! I ty nadal o niej myślisz?

— Och nie, już nie tak jak kiedyś. Teraz potrafi minąć pięć albo nawet i sześć sekund, a ja o niej ani razu nie pomyślę.

Sari chichocze, pociąga nosem.

— A dlaczego nie odwzajemniła twojej miłości? — pyta

go-

— Wierzyć się nie chce, prawda?

Slavko sięga nad kolanami Sari do schowka. Uchyła drzwiczki i wyciąga stamtąd piersiówkę jima beama.

— Nie lubię pić w pracy — mówi — ale nie jestem pewien, czy jeszcze pracuję. Chcesz łyka?

Sari kiwa nieznacznie głową. Slavko odkręca nakrętkę i podaje jej flaszkę. Dziewczyna pociąga z gwinta. Slavko jest zaskoczony zachłannością, z jaką przysysa się do szyjki.

— Slavko — mruczy Sari oddając mu butelkę — jeśli trudno ci o tym mówić...

— Nie, trudno to było przez to przejść. Ale mówienie? Ani mnie ziębi, ani grzeje. — Zasysa potężny łyk, żeby nie być od niej gorszym. — Ona chciała kogoś innego. Nie wiem nawet, po co w ogóle ze mną zaczynała. Może wydawało jej się, że mam wesołe usposobienie.

— Bo ty jesteś wesoły, Slavko. I inteligentny.

— O, tak, na pewno.

— Nie, naprawdę.

— Nie jestem nawet w przybliżeniu inteligentny. Ale nie przez to mnie rzuciła. Ona po prostu... ona chciała jakiegoś poetę albo kogoś w tym stylu. Słyszałaś o Dereku Walcotcie?

— Nie.

— Ja też bym nie słyszał, ale kazała mi go czytać. To

117

czarny. Pochodzi z Karaibów, ma tańczącą duszę, jest czystą seksownością, pisze te swoje wiersze, których nie daje się nawet czytać, jest typem faceta, o jakiego jej chodzi, jest poetą, i OK, i w porządku, rozumiem, ale skoro tak, to dlaczego nie zostawiła mnie w spokoju?

— Przecież cię zostawiła, nie?

— Tak. Kiedy było już za późno. Kiedy już się w niej zabijałem.

Slavko wzrusza ramionami. Zaczyna opowiadać Sari o tym zabijaniu, pociągają na zmianę z butelki, a kiedy spogląda znowu na zegar wmontowany w deskę rozdzielczą, stwierdza ze zdumieniem, że jest już jedenasta, że dwie godziny minęły jak z bicza strzełił.

Teraz Sari opowiada mu o tym, jak pierwszy raz zauważyła pewną oziębłość w zachowaniu swojego Ebena.

— Ale to taka subtelna zmiana, że pomyślałam, iż coś sobie uroiłam, wiesz, jak to jest?

— Wiem — mówi Slavko. — O Jezu, znam to dobrze. Masz nadzieję, że ci się coś uroiło, ale tak naprawdę, to wiesz, że coś jest nie tak. Wiesz, że przegrywasz.

— Niby wszystko jest słoneczne i idealne — mówi Sari — ale to czujesz, zupełnie jakby powiew zimnego wiatru muskał ci twarz...

— Właśnie — przytakuje Slavko.

— I wiesz, że nadciąga wielki, lodowaty sztorm i wszystko się zmieni i wszystko przepadnie.

— Tak — mruczy Slavko.

— Zostało coś jeszcze? — pyta Sari.

— Cóż, wydaje mi się, że kiedy już raz poczujesz ten chłód, to nie pozostaje ci nic...

Sari kładzie mu rękę na ramieniu.

— Nie, pytałam, czy zostało jeszcze trochę jima beama.

— A. Jakiś łyczek.

— To pij ty.

— Nie, ja... mnie już wystarczy.

Sari osusza butelkę, ociera usta i mówi:

— Ale masz rację, nic już nie poradzisz. Nic. Nic, nic,

118

nic, nic, nic. No wiesz? Wszystko słoneczne, wszystko cudowne. A potem to, ten chłód.

Kiedy Slavko znowu spogląda na zegar, jest pierwsza w nocy, a oni siedzą oboje zsunięci nisko w fotelach, dotykając się kolanami.

I Slavko uświadamia sobie, iż jej obecność, jej oddech wypełniający kabinę, jej dźwięczny, czarujący głos i napór jej kolana na jego kolano sprawiają, że zaczyna mu stawać. Nie odczuwa jednak bólu, bo alkohol w połączeniu ze swobodą tej rozmowy osłabiły wzwód.

Sari opowiada mu o facecie, z którym spotykała się przed trzema laty, facecie, który był perkusistą w jakiejś garażowej kapeli, i o tym, jak długo trwało, zanim się zorientowała, że on wcale nie pozuje na próżnego, że naprawdę jest próżny.

A potem zmienia nagle temat.

— Wiesz, muszę ci coś powiedzieć. Domyślasz się, co?

— Co?

— Wydaje mi się, że jakoś to przeżyję. Wybuchą śmiechem.

— To znaczy: przed chwilą nie byłam tego taka pewna. Ale nie da się ukryć, że czuję się dobrze. No wiesz. Sama nie wiem. Może to dlatego, że jestem z tobą i tak miło mi się z tobą gawędzi.

— Mnie z tobą też, Sari.

— Dlaczego uważasz się za słabego?

— Co?

— Pytałam, dlaczego uważasz się za słabego.

— A czy ja powiedziałem, że uważam się za słabego?

— Wczoraj, kiedy powiedziałam, że nie lubię słabych mężczyzn, dziwnie zareagowałeś.

— Naprawdę?

— Odnoszę wrażenie, że uważasz się za przegranego.

— Tak? Doprawdy? Toż ja wprost bucham pewnością siebie.

— Och!

— Nie sądzisz, że powinienem, będąc detektywem?

119

— Owszem, powinieneś. Pić mi się chce.

— A może to dlatego jestem takim marnym detektywem? Sari sprawdza jeszcze raz, czy w butelce na pewno nic nie zostało.

— Ani kropelki. Nie jesteś marnym detektywem.

— Kiepsko zarabiam.

— Naprawdę?

— Naprawdę.

— To może powinieneś spróbować czegoś innego.

— Na przykład czego?

— Nie widzisz dla siebie jakiegoś innego zajęcia?

— Chcę być Derekiem Walcottem. Sari śmieje się.

— Byłem kiedyś gliną — ciągnie Slavko.

— Naprawdę?

— Tak, ale podpadłem.

— W jaki sposób?

— Szkoda, że poruszyłem ten temat, w każdym razie w grę wchodziła kobieta.

— A jakżeby inaczej!

— I trochę popijanie.

— Cholera — mówi Sari. — Nie rozumiem, Slavko. Skoro chcesz być poetą, to dlaczego nie spróbujesz?

— Próbowałem. Ale potrafię tylko pisać, że czuję się jak kręgiel.

Sari śmieje się.

— Jak zrzucili mnie na tę zwariowaną planetę — ciągnie Slavko — i obrywam czymś co chwila, i turlam się z kąta w kąt, i nie wiem, co ja tu, do cholery, robię. Czasami wydaje mi się, że zaczynam chwytać z tego jakiś sens, ale przeważnie czuję się kompletnie zagubiony. No, wiesz, rozglądam się wkoło z rozdziawioną gębą. Za cholerę nie potrafię pisać o zachodach słońca ani o swojej duszy, ani o greckich boginkach i wszystkich tych dyrdymałach, bo jestem przestawiany z miejsca na miejsce jak ten osioł. Nic dziwnego, że Juliet ze mną zerwała.

— Tak miała na imię ta twoja lekarka? Juliet?

120

• — Tak.

— Romantyczne imię.

— Owszem.

— No, muszę już iść, Romeo.

— Nie możesz.

— Muszę.

— Nie możesz prowadzić, Sari. Za dużo wypijaś.

— Mniej od ciebie.

— Tak, ale ja, ja tu zostaję. Jeszcze nie zakończyłem obserwacji.

Sari krzywi się.

— Jak to, przejmujesz się jeszcze tym sukinsynem Ebe-nem? Daj sobie z nim spokój. Nie warto. Skończyłam z nim.

— Tak myślisz? Poczekaj, aż dostaniesz mój rachunek.

— Pocałuj mnie — mówi Sari i Slavko przysuwa się do niej niezdarnie. Kładzie dłoń na wklęsłości jej pleców, szoruje wargami po jej ustach, wdycha jej oddech i chce już nazwać ją Juliet, ale w ostatniej chwili gryzie się w język.

— Sari — mruczy.

Ściskają się tak mocno, że wyduszają sobie nawzajem powietrze z płuc. Slavko próbuje nastroić swój mózg na przyjęcie komunikatu, że to chwilowe zamroczenie, podświadomy odruch zdradzonej klientki, że to wchodzi w zakres jego zlecenia i rano lepiej będzie o wszystkim zapomnieć. Ale jest wstawiony i wie, że prawda jest następująca: Znowu się zakochał. Ma teraz zgryz. Nadal kocha Juliet, ale dodatkowo jeszcze tę tutaj. Pograża się w tę biedę coraz głębiej i głębiej.

Sari odrywa się od niego.

— Dziękuję — mówi.

Potem otwiera drzwiczki i dorzuca:

— Tak, będzie dobrze. Przyjdzie mi to łatwiej, niż myślałam. OK. Na razie, Slavko.

A jemu nie przychodzi do głowy nic, co mógłby powiedzieć, żeby ją zatrzymać, a kiedy wreszcie przychodzi, jej już nie ma.

121

ANNIE pisze:

Drogi Żółwiu!

Jest środek nocy i ten sukinsyn chce się jutro znowu ze mną spotkać. Tak bym chciała z Tobą porozmawiać. Żyję wciąż nadzieją, że znowu do mnie zatelefonujesz albo napiszesz, zaglądam codziennie do skrzynki pocztowej i modłę się, żeby znaleźć w niej list, ale wiem, że jesteś zbyt dumny, a ja już raz Cię zraniłam, ale wciąż mam wrażenie, że wystarczy mi się odwrócić, a zobaczę Ciebie. A gdybyś naprawdę tutaj był? Wiem, że bym się złamała i powiedziała Ci. Muszę komuś powiedzieć, Żółwiu. MUSZĘ KOMUŚ POWIEDZIEĆ. Ale nie mogę iść na policję, a więc nawet mnie nie proś, nie, nie mogę! OK, ty byś poszedł. Wiem, że byś poszedł. Uznałbyś, że Zach Lyde blefuje. Uznałbyś, że gdybym już raz powiedziała policji, to po co Zach Lyde miałby sobie zawracać głowę prześladowaniem mnie i Oli-vera, co by mu to dało?

Ale on pokazał mi ten album z wycinkami z gazet na temat ludzi, których ścigał, i wie, że gdybym nawet nie była przekonana, czy mu wierzę, to i tak jestem na tyle przestraszona, by niczego nie próbować.

Namawiałbyś mnie, żebym zaryzykowała. Prawda, Żółwiu? Ale po co? I tak nie dbam o ten świat na zewnątrz, po co więc miałabym poświęcać dla niego własne dziecko? Dzisiaj wieczorem, kiedy przeglądałam gazety szukając jakichś wzmianek o procesie, natknęłam się przypadkowo na artykuł o sędzim z Kolumbii. Handlarze narkotyków zamordowali troje jego dzieci, a on nadal przychodzi do pracy. Jest bohaterem, Żółwiu, ale ja go zupełnie nie rozumiem — w co wierzy tak bardzo, że jest to dla niego ważniejsze od własnych dzieci? Musisz mi to wyjaśnić, Żółwiu, musisz tu przyjechać, zabrać nas gdzieś i wytłumaczyć mi to wszystko. Kocham Cię i bardzo za Tobą tęsknię.

Annie

Annie pieczołowicie wydiera tę kartkę z zeszytu i składa ją. Wstaje i schodzi na dół. Przetrzęsa w kuchni wszystkie

122

szuflady, szukając zapalek, ale bezskutecznie. Potem zapomina, po co tu przyszła, i stoi przez chwilę, rozglądając się nieprzytomnie. Dochodzi do wniosku, że dostaje świra. Ręce za szybko grzebią w szufladach, jakby naładowane elektrycznością. Przerywa poszukiwania. Włącza palnik elektrycznej kuchenki i kiedy spirala rozgrzewa się do białości, przytyka do niej list. Kartka zaczyna dymić, więc Annie dmucha na nią zawzięcie. W końcu bucha płomień. Annie podchodzi z palącym się listem do kuchennego zlewu. Kiedy płomień zaczyna lizać koniuszki palców, puszcza kartkę. Po chwili z listu zostaje tylko popiół i Annie spłukuje go wodą z kranu.

ROZDZIAŁ 5

O, ty, mój chory mózgu, | i

O, ty, nienasycony pożeraczu cierpienia... 1

I

SLAVKO uchyla powieki, na ile może, czyli o włos, f i zachodzi w głowę, co to, u licha, może być? Skrzydło? "!" Srebrny spodek? A może to coś nie z tego świata? Może to coś z kosmosu? Takie połyskliwe, i obce, i sunie bezszelestnie w ciemnościach...

Musi upłynąć pół minuty, zanim dotrze do niego, że patrzy na wsteczne lustro

swojego samochodu.

O, cholera! Zasnąłem na posterunku?

Próbuje usiąść prosto, ale to nie takie łatwe. Mózg mu faluje niczym zorza polarna.

Uchlałem się na służbie? Znowu jestem w ciągu?

Chwyta się kierownicy i podciąga do pozycji siedzącej. Usiłuje pozbierać myśli i zorientować się, gdzie jest. Patrzy na zegarek: 5.30 rano. Lekka mżawka zrasza przednią szybę. Jedna uliczna latarnia, ciąg domów, znajomo to wygląda. I w tym momencie wyczuwa w powietrzu ledwie uchwytnie pozostałości zapachu tej kobiety... i w jednej chwili przypomina mu się cały wieczór.

Sari.

Słodka, piękna Sari.

Natychmiast napływa bolesne wspomnienie Juliet. Ale Slavko syka na nie w duchu: A sio! Nie ty pierwsza przysłałaś mi do głowy, prawda, Juliet? Przynajmniej nie dzisiaj rano. Dzisiaj rano nie jesteś królową moich myśli.

Błysk reflektorów we wstecznym lusterku.

124

Slavko instynktownie zsuwa się po oparciu fotela w dół.

Jakiś samochód z dwoma mężczyznami w środku przejeżdża obok niego i zatrzymuje się. Oczy Slavka znajdują się na tyle wysoko, by mogły prowadzić obserwację ponad deską rozdzielczą. Slavko widzi, jak otwierają się drzwiczki samochodu od strony pasażera. Zapala się lampka pod-sufitowa. Pasażer wysiada i daje kierowcy znak ręką. Niedbały gest odprawienia. Ma wydatne kości policzkowe, roztacza wokół aureę nonszalancji i pewności siebie. Slavko nie ma większych wątpliwości, że to Eben, przyjaciel Sari.

Samochód odjeżdża. Niepozorny sedan. Toyota camry z końca lat osiemdziesiątych...? coś w tym rodzaju. Slavko zawsze był kiepski w rozpoznawaniu marek i modeli. Na dokładkę jest za ciemno, żeby odczytać numery rejestracyjne.

Eben Rackland podchodzi sprężystym krokiem do drzwi swego domu. Przekręca klucz w zamku i znika w środku.

Slavko wyjmuje mały, czarny notesik. Zapisuje godzinę, miejsce, wrażenie, jakie zrobił na nim E.R. E.R. zaś zrobił na nim wrażenie człowieka rzeźkiego i

wypoczętego, człowieka, który dobrze się tej nocy wyspał. Slavko odnosi również wrażenie — chociaż nie chce już mu się tego zapisywać — że E.R. sypia ostatnio poza domem, ale stara się stwarzać pozory, że sypia tutaj. Jednak na pierwszy plan wybija się w świadomości Slavka przekonania, że jeśli szybko nie podleje swojego pulsującego mózgu kawą, to ten rozsypie mu się na szary żużel.

Nie zmienia jednak pozycji.

Siedzi zsunięty w fotelu ze wzrokiem wbitym w drzwi domu. Czeka.

Liście drzew rosnących wzdłuż chodnika z czarnych robią się rdzawe, z rdzawych różowe.

Slavko beka. Powraca posmak rostbefu, jima beama, gorczycy i majonezu.

W oknach okolicznych domów zapalają się światła. Wychodzi jakaś kobieta ciągnąc za sobą psa na smyczy. Ktoś

125

wyjeżdża do pracy. Teraz ze swojego domu wyłania się również E.R. Jest w garniturze, w ręku niesie neseser. Podchodzi do czerwonego lotusa. Wóz rusza i kiedy przemyka obok, do uszu Slavka dolatuje strzęp barokowej muzyki skrzypcowej z odtwarzacza CD.

Tymczasem Ochlapus Slavka rzezi, nie chce zapalić, znarowił się, zde gustowany zimnem, wczesną porą i wilgocią.

W końcu silnik zaskakuje.

Jazda komuś na ogonie to jeden z elementów prowadzenia obserwacji, w czym Slavko uważa się za całkiem dobrego. Trzeba wiedzieć — trzeba wyczuć, bo tego nie można się nauczyć — kiedy zwiększyć dystans, a kiedy podjechać bliżej. Dzisiaj sprzyja mu dodatkowo znajomość tych okolic Westchester. Sprzyja mu również to, że obiekt nie przejawia oznak przewrażliwienia na punkcie plastra na dupie.

Lotus mija Yorktown Heights i skręca na międzystanową. Slavko podąża trop w trop. Kierują się na południe. W stronę miasta.

Ale im dalej zapuszczają się na to południe, tym bardziej przygasa entuzjazm Slavka. Jest mu zimno. Wiatr wdziera się z poświstem wyżartą przez rdzę dziurą w podłodze obok jego lewej stopy. Chce do swojego łóżka. A zresztą wie, dokąd jedzie ten facet. Na Wall Street. Do pracy. A Slavko nie ma najmniejszego zamiaru warować przed jakimś garażem na Manhattanie, żując alka seltzery, karmiąc ćwierćdolarówkami parkometr, trąc kulkami oczy, czytając ogłoszenia z kolumny Dam pracę „Posta”,

mówiąc krótko nie chce zmarnować całego dnia, tkwiąc jak ostatni palant w samochodzie.

Skoro już mowa o marnowaniu czasu, to czemu w ogóle zajmuje się jeszcze tą sprawą?

Przecież Sari powiedziała, że ma sobie odpuścić. No więc kto jest teraz moim klientem? Co ja tutaj robię? Dla kogo pracuję?

Spójrz w lusterko.

126

Zgadza się. Właśnie. I ile ci płaci ten pajac z lusterka?

Tyle co zwykle.

Slavko postanawia, że skręci w najbliższy zjazd z autostrady, pojedzie prosto do domu i przekima się trochę.

Ale E.R. zjeżdża z międzystanówki następnym zjazdem przed nim. Nie szuka benzyny: nigdzie tutaj nie ma stacji benzynowej. Skręca w prawo w drogę nr 22, i Slavko robi to samo.

Przez kilka mil jadą wijącą się jak wąż szosą na północ. Końskie pastwiska, Slavkowi zbiera się na wymioty, biały kościółek. Slavko traci E.R. z oczu na zakrętach i wzniesieniach, ale na prostych odcinkach drogi bez trudu dostrzega znowu ten czerwony błysk.

Na skrzyżowaniu pośród lasów lotus skręca w prawo. Ochlapus robi to samo. Jakaś zaporą i stacja pomp. Dalej droga wije się brzegiem ciemnoszarego zalewu. Slavko nie ma kontaktu wzrokowego z lotusem. To jedna z tych sytuacji — myśli — kiedy trzeba zdać się na szczęście i gorąco wierzyć, że się nie zgubi swojego podopiecznego.

Droga zakręca ostro i niespodziewanie wpada na długą, prostą groblę przecinającą zalew.

Lotusa na tej grobli nie ma. Lotus jakby się pod ziemię zapadł. Gorąca wiara zawiodła Slavka. Zgubił lotusa.

Czy E.R. byłby w stanie w tak krótkim czasie wysforować się do przodu na taką odległość? Slavko ma co do tego wątpliwości. W takim razie: gdzie się podział?

Czyżby gdzieś skręcił?

Slavko odtwarza w pamięci ostatni odcinek przejechanej trasy. Od miejsca, gdzie po raz ostatni mignął mu czerwony samochód, czyli od skrzyżowania, był tylko las i zalew. Żadnych bocznych dróg, żadnych domów.

Chociaż... była tam ta stacja pomp...

Wciska gaz do dechy. Wrywa do przodu, by jak najszybciej dojechać do końca tej choleralnej grobli, gdzie będzie można zawrócić...

127

ANNIE czeka tam, gdzie jej kazał Johnny — na kamienistym brzegu zalewu. W pewnym momencie słyszy kroki i ogląda się. Zach Lyde już tu jest. Siedzi blisko niej na kamieniu.

Obrzuca ją spojrzeniem wyrażającym czułe zatroskanie.

— Jak się trzymasz, Annie?

— Dobrze.

Annie usiłuje ukryć miotający ją gniew. Ale zdradza ją nawet to jedno słowo.

— A Oliver? Dobrze to znosi?

— Zastanawiałam się — mówi Annie — co myślisz o Oli-verze. Ponieważ podsłuchujesz wszystko, co mówimy, masz może lepszy obraz...

— Nie bawi mnie naruszanie waszej prywatności.

— Nie bawi cię?! Powiedziałeś to jak przedsiębiorca pogrzebowy, wiesz?

Zach puszcza tę uwagę mimo uszu.

— Jesteś nowicjuską — mówi. — Prowadzę nasłuch z czystej ostrożności. Uważasz, że możemy sobie pozwolić na popełnienie jakiegoś błędu?

Annie odwraca głowę i patrzy na wodę. Groblą pędzi jakiś samochód. Jedzie w tę stronę i kierowcy chyba bardzo się śpieszy.

— Posłuchaj — podejmuje Zach Lyde — wiem, że nie powinienem się wtrącać, ale mimo wszystko to powiem. Jesteś zbyt opryskliwa dla swojego dziecka.

Gniew paraliżuje jej zdolność myślenia, więc nawet gdyby nasunęła jej się jakaś cięta odpowiedź, to i tak nie zdołałaby nic wykrztusić.

— Nie chcę cię bynajmniej pouczać, jak masz go wychowywać — ciągnie Zach

Lyde. — Ale jeśli dalej będziesz go traktowała tak dziwnie, tak obcesowo...
przypuśćmy, że domyśli się czegoś? Przypuśćmy, że podzieli się tym ze swoim
kolegą?

— Nie domyśli się — mówi Annie. — To jeszcze dziecko.

— Ale bystre. Zachowaj ostrożność, traktuj go łagodnie. To samo odnosi się do
twoich znajomych. Rozumiem, że

128

chcesz trzymać ich teraz na dystans. To ci się chwali. Ale jeśli zaczniesz ich
ostentacyjnie do siebie zrażać, zaczną się zastanawiać. Zaczną stawiać sobie pytania.
Kim jest ten Żółw? Przyjacielem?

— A co to ma do rzeczy?

— Gdzie on mieszka, Annie?

— A co to cię obchodzi?

— Odpowiedz na moje pytanie.

— Gdzieś w Kalifornii. Chcesz go zabić? Dokładnego adresu nie pamiętam. To
jakieś małe miasteczko. Od lat nie miałam z nim żadnego kontaktu...

— Przypomniałaś mi, że rozmawialiście ostatniej wiosny.

— Naprawdę? Jest trochę natrętny, często wydzwania. Chcesz go zabić?

— Annie!

— Nie krępuj się, zabij go.

— Nie chcę nikogo zabijać.

— Mnie to nie wzruszy...

— Chcę tylko pomyślnie zakończyć tę sprawę. Bezboleśnie. Spokojnie. Pomóż mi w
tym.

— Zrobię, co będę mogła! Zadowolony? Ty sukinsynu. Annie ociera oczy rękawem
koszuli — szybki ruch ręki,

żeby usunąć łzy z twarzy. Potem odwraca się do niego i tym razem patrzy mu prosto
w oczy.

— Możesz więcej, niż ci się wydaje — mówi Zach Lyde. Słyszą silnik samochodu

zbliżającego się do stacji pomp

za nimi.

— Nie wiem, kto to może być — mówi Zach — ale nie patrz w tamtą stronę. Patrz na jezioro. Mój kolega się tym zajmie.

SLAVKO zatrzymuje wóz pod stacją pomp. Niedaleko lotusa. Stoi tu też toyota camry — samochód, który podrzucił nad ranem E.R. pod jego dom.

Za kierownicą tej toyoty siedzi goryl. Jest brzydki jak

Zabij go, mamó

129

grzech z tym rozkwaszonym nosem. Gapi się na Slavka. Może — myśli Slavko — nie trzeba tu się było zapuszczać.

Ale rozgląda się szybko dookoła — i dostrzega ich. E.R. i kobietę siedzących na kamieniach nad wodą. Nie widzi dokładnie kobiety. Tył głowy, długie kasztanowe włosy.

Ale, o ile nie zamierza pofatygować się tam do nich na brzeg i poprosić, żeby zreferowali mu szczerze i bezpruderyjnie swoje życie uczuciowe, to chyba wie już raczej wszystko, co chciał wiedzieć. Pora się stąd zabierać. Goryl, pan Brzydki-Jak-Grzech, otworzył drzwiczki swojego samochodu i wysiada, i w sekundę staje się jeszcze brzydszy. Slavko unosi dłoń i przebiera w przyjaznym geście palcami. Potem wrzuca czym prędzej wsteczny bieg.

Cofa Ochlapusa prosto w kępę zielska. Tłumik szoruje z nieprzyjemnym zgrzytem po kamieniach.

Slavko przerzuca wajchę zmiany biegów na jazdę w przód. Skręca z pasją kierownicę. Ochlapus wyrywa z miejsca, wykonując jednocześnie półobrót, i Brzydki-Jak--Grzech uskakuje w ostatniej chwili sprzed maski. Slavko zabiera stamtąd dupę w troki.

ANNIE patrzy na wodę. Ryk silnika za jej plecami zamiera w oddali.

— Annie, czy wczoraj na sali sądowej — odzywa się Zach Lyde — podczas przesłuchania Pauliego DeCicco zrozumiałaś naszą strategię?

Annie kiwa głową.

— A więc na czym polega nasza strategia, Annie?

— Wykazać, że Louie Boffano nie wydał rozkazu zabójstwa. Należy do organizacji i może jest kanalią, ale to jedynie figurant. Nie wydaje rozkazów.

— Dobrze. Zgadza się. Ale jeśli jest niewinny, to kto jest winowajcą? Kto zamordował Salvadore Riggia i jego wnuka?

Annie podnosi na niego wzrok, mruży oczy i mówi: -Ty.

130

Po jednej stronie twarzy Zacha Lyde rozlewa się uśmiech.

— Myślisz, że to ja jestem Nauczycielem?

— A jesteś?

— Nie będę zaprzeczał. Nauczyciel cię przeraża, prawda? A jeśli uda mi się podtrzymać w tobie to przerażenie, mogę ocalić ci życie.

Kilka pasemek jej włosów uwięzło w zaschniętych łzach na policzku. Zach Lyde wyciąga rękę, wsuwa pod nie palce, odrywa i odgarnia z powrotem.

— Jeśli będziemy chcieli znowu z tobą porozmawiać — mówi — znajdziemy cię na drodze. Błyśniemy światłami raz, a potem jeszcze dwa razy. Dobrze?

Annie kiwa głową.

— Nadal mam szansę ocalić was oboje, Annie, ciebie i Oliyera, prawda? Annie?

SLAVKO rozmawia z kubkiem kawy, którą kupił na wynos u Wendy. Rozćmucha mnie — prosi w duchu. Rozwiąż mi język. Powiedz mi, co ja, do cholery, widziałem nad tym zalewem.

Czy to była schadzka z kochanką?

OK. Ale przecież E.R. nie jest żonaty, po co więc miałby się w tym celu kryć po krzakach? Przed kim on ją ukrywa? Przed Sari? Przecież z Sari spotyka się od niespełna roku. Po co więc miałby zadawać sobie tyle trudu, żeby zataić przed nią istnienie innej kobiety? To trąci jakąś bojaźliwością. Nie pasuje do potężnego, uduchowionego E.R., za którym Sari tak szaleje.

Masz jeszcze jakieś mądre pomysły?

Slavko skręca z drogi nr 114 w jakąś inną, anonimową, która przebiega tyłami budynku towarzystwa telefonicznego. Wylicza sobie, że jeśli nie natknie się po drodze na zbyt wiele czerwonych świateł, to za dwadzieścia minut będzie już leżał w

swoim łóżku. W tym zanieczyszczonym okrucami, ale mimo wszystko rozkosznym wyreczku.

131

Podnosi do ust kubek, bierze kolejny łyk czarnych płomieni.

A może to kobieta się czai? Wyszła bogato za męża, ma osobistego goryla, a tu naraz poznaje Ebena Potężnego i musi się potajemnie wymykać i spotykać ze swoim kocha-siem pod stacją pomp...

Ale jeśli tak właśnie jest, to dlaczego nie przytulała się do E.R.? Czemu siedziała na kamieniach tak daleko od niego i czemu to wszystko nie trzyma się kupy, a co więcej, czemu Slavko czuje się tego ranka rozsądniejszy, czemu czuje się zdrowszy psychicznie i emocjonalnie — pomimo kaca — niż od...

Właściwie, to od czasu, kiedy ostatni raz spałem z Juliet — ale... O, ty, mój chory mózgu. O, ty, nienasycony pożeraczu cierpienia, czy naprawdę musimy teraz w to wnikać?

ROZDZIAŁ 6

Kto potrafi widzieć przez swój strach, zostanie od tego strachu uwolniony.

ANNIE na sali sądowej, w mglisty poranek, tydzień po spotkaniu nad zalewem. Stąd nie widać jednak, że poranek jest mglisty, nie ma tu okien. W jednej z pochyłonych pod dziwnymi kątami płaszczyzn sufitu widnieje, co prawda, coś w rodzaju świetlika — ale nie wiedzieć czemu zamalowanego na czarno.

Annie przygląda się tej niepozornej kobiecie na miejscu dla świadków. Pani Riggio. Wdowa po zamordowanym Salvatore i babka zamordowanego chłopca. Rzadki puszek włosów na głowie, skóra jak łupina cebuli, ale trzyma się prosto i głos ma wyraźny. Mówi:

— Potem poszłam powiedzieć dobranoc wnuczkowi.

— Thomasowi? — pyta oskrajyciel Tallow.

— Tak. Tomasino przyjechał do nas na cztery dni. Nie widuję go, od kiedy skończył jedenasty rok. Wtedy miał u nas zostać cztery dni.

— A kiedy weszła pani do jego pokoju, on jeszcze nie spał?

— Oglądał jakiś program w swoim małym telewizorku.

— Jego telewizorku?

— Takim małym telewizorku, który Sal podarował mu na czternaste urodziny. „Tomasino — mówię. — Już późno. Musisz go wyłączyć. Musisz kłaść się spać”. A on na to: „Dobrze, babciu”. Potem pocałowałam go i powiedziałam: „Kocham cię, Tomasino”. I poszłam się położyć.

133

— Do swojej sypialni?

— Tak.

— A pani mąż, Salvatore Riggio, też tam był?

— Tak. Rozpłakałam się i mówię: „Sal, jedźmy na Florydę. Dlaczego nigdy nie jeździmy na Florydę, jak wszyscy? Chcę się zobaczyć z córką — mówię. — Dosyć już mam tego niewychodzenia z domu. Mam cztery dni na widzenie się z wnukiem — mówię. — Co to jest? Dlaczego musimy się wciąż ukrywać?”

— Czy mąż pani odpowiedział?

— Tak. Powiedział: „Nie możemy wychodzić, dopóki nie ułożą się sprawy z Louiem Boffano”.

— Co przez to rozumiał?

— Nie wiem. Może to, że do czasu, kiedy Louie nie będzie go już chciał zabić.

— Sprzeciw! — krzyczy Bozeman. — Świadek nie może się wypowiadać na temat nie swoich intencji.

Ale Tallow nie daje zbić się z tropu.

— Co pani odpowiedziała, pani Riggio?

— Powiedziałam: „Boję się”. A on na to: „Przestań, mamy obstawę, w całym domu są strażnicy, na dole siedzi Aniello, nikt tu nie wejdzie, wszystko jest w porządku. Musimy tylko czekać”. A ja mówię: „Boję się, że ktoś cię zabije”.

— A co on odpowiedział?

— Wyśmiał mnie.

— Co się wydarzyło potem?

— Potem drzwi się otworzyły i wszedł jakiś mężczyzna. Miał na głowie kaptur. Miał pistolet. Chciałam krzyknąć. A ten mężczyzna się odzywa: „Nie krzycz — mówi. — Sal-vadore, powiedz jej, żeby nie krzyczała, bo ją też zabiję”. No więc Salvatore

mówi do mnie: „Bądź cicho, Angela”.

— I co było potem?

— Potem Sal zapytał: „Jak się tu dostałeś?” A ten mężczyzna odpowiada: „Tunelem. Przekopaliśmy tunel z sąsiedniej posesji do twojej piwnicy”. I w śmiech.

— I co dalej?

134

— Potem powiedział, że przychodzi od Louiego Boffano, żeby zabić Sala.

— I jak zareagował na to mąż?

— Powiedział: „Proszę bardzo. Myślicie, że moi ludzie będą sprzedawać narkotyki? Oni nie będą sprzedawali narkotyków”.

— Mąż powiedział intruzowi...

— Mój mąż nie lubił narkotyków. Louie Boffano chciał sprzedawać narkotyki każdemu...

Bozeman zgłasza sprzeciw.

— Podtrzymuję — mówi sędzia. — Wykreślić uwagę świadka. Ława przysięgłych jej nie uwzględni. Pani Riggio, proszę ograniczyć swoje zeznanie do tego, co pani widziała i słyszała, do tego, co mówiono i robiono...

— Ale przecież robiono to! On sprzedawał narkotyki małym dzieciom. Mojemu własnemu dziecku, mojemu wnukowi chciał sprzedać...

— Sprzeciw!

— Podtrzymany. Ława przysięgłych nie uwzględni... Ale skoro jest to w mniejszym lub większym stopniu

prawdą — myśli Annie — i skoro stara to powiedziała, to jak, u licha, możemy tego nie uwzględnić?

Na miłość boską — myśli Annie — dlaczego nie zamkną ust tej kobiecie? Wiemy, że jej mąż został zamordowany, już to wiemy. Dlaczego więc nie zostawia jej w spokoju i nie przestaną rozdrapywać świeżych ran?

Ale Tallow dalej prowadzi przesłuchanie świadka.

— I co wtedy zrobił mężczyzna w masce?

— Położył się na łóżku.

— Na łóżku, obok pani i męża?

— Tak. Między nami. Na brzuchu. I tak leżał.

— I co następnie zrobił intruz, pani Riggio?

— Sprzeciw! — krzyczy Bozeman. — To pytanie naprowadzające...

— Dosyć — ostrzega Wietzel.

— Pani Riggio — mówi Tallow — co zrobił następnie intruz, jeśli w ogóle cokolwiek zrobił?

135

— On, on...

I Kobieta zacina się. Macha

ręką, jakby się opędzała oj

natrętnej muchy. Spuszcza wzrok.

\

— Przykro mi, proszę pani, ale muszę o to zapytać. Co zrobił wtedy ten człowiek?

Pani Riggio mamrocze coś pod nosem, ale nikt jej nie słyszy.

— Poproszę woźnego o wyregulowanie mikrofonu świadka — wtrąca się sędzia.

Woźny podchodzi, bierze mikrofon za szyjkę i pochyla go w dół, przybliża do spuszczonej głowy staruszki. Kobieta przysuwa wargi do samej siateczki mikrofonu i mówi:

— Kazał... kazał Salowi otworzyć usta.

— Kazał? Jak mógł go do tego zmusić?

— Powiedział: „Jeśli nie otworzysz ust, to strzelę ci w twarz. Zrobię z niej miazgę, a twojej żonie to się na pewno nie spodoba. — I powiedział jeszcze: — No, Sal. Musimy współpracować”.

— I mąż otworzył usta?

— Tak. A ten mężczyzna powiedział: „No, szerzej. Trochę szerzej”. Jak dentysta. A potem włożył Salowi w usta pistolet.

— I co dalej...

— I ja się odwróciłam, to znaczy chciałam się odwrócić, ale on, on, on wziął mnie,

ten mężczyzna wziął mnie za twarz i przytrzymał, żebym patrzyła. A ja powiedziałam: Ci vediamo. Zobaczymy się jeszcze. Do mojego męża. Bo mówicie tutaj, że on był złym człowiekiem. Ale on nie był wcale zły. Był dobry. No, może tam i popełniał jakieś złe uczynki, ale nie sprzedawał narkotyków, nie...

— I co się potem stało, pani Riggio?

— Potem on zabił mojego Sala. Zastrzelił go.

— I co było potem?

— Potem otworzyły się drzwi i mój, mój, mój... Kobieta urywa i szlocha.

— Czy ktoś wszedł?

— Tak.

— Kto?

136

— Mój Tomasino. Mój malutki. Nie był już taki malutki.

— Pani wnuk?

— Mój Tomasino.

— Ile lat miał Thomas?

— Czternaście. Nie widywałam go. Nigdy, był dla mnie jak obcy. Od kiedy skończył jedenasty rok. Przyjechał do nas na cztery dni. Na cztery dni.

— Czy powiedział coś, kiedy wszedł?

— Tak.

— Co powiedział?

— Powiedział: „Babciu, nic ci nie jest?” A potem... potem zobaczył.

— Co zobaczył?

— Mojego Salliego.

— Pani męża, pana Riggia? Kobieta kiwa głową.

— Tak.

— A pan Riggio już nie żył? Kobieta kiwa głową.

— I co się wtedy wydarzyło?

— Ten mężczyzna odwrócił się i zobaczył moje dziecko. Tomasino uciekł. A ja próbowałam, próbowałam, próbowałam... ale on nic sobie z tego nie robił. On... on za nim pobiegł. I potem usłyszałam strzał. On go zastrzelił, on...

Kobieta urywa.

— Czy chce pani odpocząć, pani Riggio? — pyta sędzia. — Mam zarządzić przerwę?

Kobieta siedzi ze spuszczoną głową, dygocze i szlocha.

— Nie, wysoki sądzie — mówi Tallow. — Nie mam dalszych pytań. — Wraca za swój stół. Siadając, mruczy do Bozemana: — Jest twoja.

Ale wszyscy przysięgli widzą, że oskarżyciel nie odrywa złowrogiego spojrzenia od Louiego Boffano.

NAUCZYCIEL zstępuje z porośniętego mchem brzegu do strumienia. Dwa ostrożne kroki przez lodowatą wodę

137

do krawędzi skalnego występu. Tam pochyla się i nurkuje. Wykonuje powolny przewrót w przód i przez pełną minutę pozostaje pod wodą złożony w scyzoryk.

Potem się wynurza.

Siada na skalnym występie, odrętwiająco zimny nurt omywa mu klatkę piersiową. Ale ramiona ma wystawione na słońce. Odchyła do tyłu głowę, opiera ją o porośnięty mchem brzeg i przymyka oczy.

Sprowokować ją — myśli — a przeistacza się.

Powiedziałeś to jak przedsiębiorca pogrzebowy, wiesz?

Wybucha na to wspomnienie cichym śmiechem.

Sprowokować ją, a stroszy piórka i staje się niebezpieczna.

Stara się nie okazywać po sobie, jak bardzo nim pogardza. Ale on czuje, że ona walczy. Ta walka o przetrwanie obnaża wszystkie jej diamentowe kolce.

Taki klejnot, skąd pochodzi?

Przez kilka ostatnich tygodni wiele się dowiedział o Annie Laird. Była

wychowywana przez matkę. Ojciec, z czterema grzywnami za jazdę pod wpływem alkoholu i dwoma wyrokami za rozbój na koncie, zniknął ze sceny, kiedy Annie miała cztery latka. Matka prowadziła salon piękności w Al-lentown w stanie Pensylwania i specjalnie ich to nie dotknęło. W czwartej klasie Annie zdobyła pierwszą nagrodę na Wystawie Plastycznej Szkół Podstawowych West Allen-town. W szkole średniej stopnie miała nie najgorsze. Trzy razy oblała matematykę. Ale jej sztuka była odważna, osobista i oryginalna, i liceum plastyczne Tylera przyznało jej stypendium.

Potem próbowała przez jakiś czas zaczepić się w Nowym Jorku. Mieszkała wtedy na strychu w Greenpoint. Przyjęto ją na wydział sztuk pięknych uniwersytetu Yale, ale nigdy nie rozpoczęła studiów. Wcześniej urodziła dziecko.

Kto był ojcem, nie wiadomo.

Przed sześciu laty, kiedy Oliver miał iść do szkoły, przeniosła się do miasteczka Pharoah. Kiedy matka zapadła na

138

chorobę Alzheimera, Annie sprowadziła ją do siebie i opiekowała się nią aż do śmierci, czyli do zeszłego roku.

Jej kariera artystyczna kuleje. Za mało powiązań ze światkiem artystycznym Nowego Jorku, a galeria Inez Gazzaraga stacza się po równi pochyłej. Ale mimo to Annie wytrwale pracuje, cały dzień wpisuje niewolniczo dane do komputera, a wieczorami i nocami tworzy swoje Macane Skrzyńki. Cechuje ją upór i niezachwiana wiara w siebie, w wartość swoich prac.

Dzwoni telefon i Nauczyciel wykonuje w lodowatej wodzie półobrót. Sięga po telefon komórkowy leżący na brzegu.

— Tak?

Liście, wirując w locie, spadają na jego mokre plecy.

— Pamiętasz tego wścibskiego faceta, który w zeszłym tygodniu przypętał się nad zalew? — pyta Eddie. — Kiedy miałeś spotkanie z nią?

— Pamiętam.

— Trafiliśmy do niego w końcu po numerze rejestracyjnym.

— No i?

— Jest detektywem.

Policja. Nauczyciel wczuwa się w swoją reakcję. Cóż, jest przecież październik, a on siedzi w górskim strumieniu. Stąd pewnie ten dreszcz i walenie serca. Ale opadające liście mają w sobie jakiś nadmiar wyrazu. Precyzję szczegółu, którą składa na karb strachu.

Mój słodki mentor, strach.

Kto potrafi widzieć przez swój strach — mówi Lao-tse — zostanie od tego strachu uwolniony.

— Stanowy? — pyta. — Lokalny?

— Prywatny.

— Prywatny?

Nauczyciel wybucha śmiechem tak serdecznym, że Eddie po drugiej stronie linii też zaczyna się śmiać, chociaż nie wie z czego.

139

— Co? — pyta. — Co ja takiego powiedziałem?

— Nic. Myślałem, że mówisz o glinie.

Nauczyciel wychodzi z wody, robi kilka kroków, staje w trawie, w słońcu i pyta:

— Jaki, u licha, interes może mieć do nas prywatny detektyw?

— Do ciebie, Vincent. On nie śledził mnie. Przez cały czas uważałem, czy ktoś nie siedzi mi na ogonie.

— OK, w takim razie jaki ma interes do mnie?

— Może to Annie go wynajęła? — sugeruje Eddie.

To fascynująca możliwość. Nauczyciel obraca ją kilka razy w myślach.

— Nie. Po pierwsze jest na to zbyt inteligentna, po drugie tej sprawy nie wzięłyby żaden detektyw, po trzecie, gdyby przyjął tę sprawę, nigdy by się tak nie podłożył. Pokazując się nam.

— No to co o tym myślisz, Vincent? Przypadek? Co? Co on tam, do kurwy nędzy, robił?

Trzy brązowe kłębuszki, zimowe sówki, dokazują nad głową Nauczyciela w

gałęziach czarnej wiśni.

— Znasz tego Frankiego? — odzywa się. — Pracuje dla Josepha Boffano?

— Jasne.

— Weź go sobie do pomocy. Powiedz mu, że Nauczyciel prosi go o osobistą przysługę. Powiedz mu, że podziwiam jego charakter. Weź Frankiego i złóżcie we dwóch wizytę temu detektywowi. Zrobicie to dla mnie?

— Jasne.

— Nie mam pojęcia, za czym on węszył. Ale zabawne będzie to wyjaśnić.

ANNIE śledzi uważnie przesłuchanie pani Riggio.

— Proszę pani — zwraca się do niej Bozeman — czy zna pani tego człowieka? I proszę zapisać w protokole, że wskazuję na podsądnego.

Pani Riggio spogląda w tamtą stronę.

140

— Tego? — mówi. — To Louie Boffano.

— Czy już go pani kiedyś widziała?

— Tak.

— Gdzie to było?

— Przychodził do nas na obiad. Wiele razy.

— Czy kiedykolwiek sprzeczał się z pani mężem, będąc u państwa na obiedzie?

— Nie.

— Czy widziała pani kiedykolwiek, żeby kogoś zabijał, pani Riggio?

— Nie.

— Czy widziała pani kiedykolwiek, żeby rozdawał narkotyki małym dzieciom?

— Czy widziałam, jak sprzedaje narkotyki? Ja wiem, że on sprzedaje narkotyki.

— Jakiego rodzaju narkotyki, pani Riggio?

— Wszystkie.

— Heroinę?

- Tak. Pewnie.
- Widziała go pani sprzedającego heroinę?
- Nie.
- Ale może jakieś inne osoby mówiły pani, że on to robi?
- Pewnie.
- Czy były to osoby godne zaufania, proszę pani? Tallow zrywa się z miejsca.
- Sprzeciw! Świadek nie ma żadnych kwalifikacji, by oceniać rzetelność...
- Podtrzymuję.
- Kto mówił pani, że Louie Boffano sprzedaje narkotyki? — pyta Bozeman.
- Kto mi mówił?
- Kto pani mówił?
- Każdy.
- Na przykład?

Kobieta waha się przez chwilę. Potem unosi górną wargę, co nadaje jej twarzy szyderczy wyraz, i pyta Bozemaną:

141

- Dlaczego pan mu się wysługuje?
- Co proszę? — bąka zaskoczony Bozeman.
- Pan wie, dlaczego on zabija? Co? Bo każdy daje się mu zastraszyć, każdy.

Sędzia próbuje przywołać ją do porządku:

- Pani Riggio, proszę...
- Wszyscy się boją! — krzyczy kobieta. — Zabija, kiedy mu przyjdzie na to ochota.

Tallow zrywa się na nogi. A Wietzel patrzy na nią spode łba.

- Proszę pani, musi pani odpowiedzieć na pytanie...
- O, pan też się boi — rzuca kobieta do sędziego. Następnie zwraca się do Bozemaną: — I pan też się boi. — Spogląda na przysięgłych. — I wy się boicie.

— Pani Riggio — mówi Wietzel. — Proszę zamilknąć. Kobieta wzrusza ramionami.

— Tak szkoda tych dzieci, prawda?

Wietzel udziela jej, naturalnie, długiego, ostrego napomnienia i poleca przysięgłym, żeby tego nie uwzględniali, ale Annie nie może zrozumieć, dlaczego, u diabła, w ogóle pozwolił jej to powiedzieć. Wy, sędziowie przysięgli, jesteście wszyscy przestraszeni, tak szkoda tych dzieci. Czemu się wreszcie nie zamkniesz, kobieto? Dlaczego ciebie też nie zabił? Ty szkaradna karlico, przemawiasz jak kaznodzieja, dlaczego musimy wysłuchiwać twoich kazań? Kto dał ci prawo uważać się nad tymi dziećmi, skoro twój mążonek był sukinsynem z mafii, i ja się cieszę, że go zabili, a jeśli nie żyje też twój wnuk, to kogo próbujesz o to obwiniać? Bo chyba nie mnie, wiédźmo. Stul gębę, czarownico.

Annie zastanawia się, czy przez to wszystko przebrnie i odpowiada sama sobie:

Nie wydaje mi się, żebym przez to przebrnęła.

SLAVKO zerka na zegarek: 4.40. A więc pan Flanagan, kimkolwiek jest, spóźnia się. Facet powiedział: 4.30. Punkt 4.30 w pańskim biurze,

142

panie Siurnik. Ale nie powiedział, o co chodzi. No nic, OK, może znalazł sobie innego prywatnego detektywa. Co by nawet pasowało Slavkowi, bo mógłby wtedy swobodnie poświęcać wszystkie myśli Sari.

Patrzy, jak zegarek odmierza jeszcze jedną minutę, a potem znowu wykręca jej numer.

Chce czym prędzej poinformować Sari o tajemniczych wędrówkach jej przyjaciela. Ale znowu zgłasza się ta cholerna automatyczna sekretarka. Podyktował już jej dwie wiadomości. Słucha jednak, choćby po to, by nasycić jej głosem swoje ucho. Kiedy rozlega się piszczący sygnał, odkłada słuchawkę.

Slavko wie, że jest poważnie zabujany. Nie da się temu zaprzeczyć. Jeszcze jedna miłość, jeszcze jeden poryw uczuć. Ależ ze mnie kochliwy pajac! I co ja mam z tym teraz począć?

Ale teraz, to przychodzi ten Flanagan czy nie, bo chętnie bym już zamknął sklepik i wpadł do Gillespiego przepłukać gardziołko. Chętnie wyrwałbym się z tej zadymionej, przyprawiającej o klaustrofobię nory udającej biuro i odetchnął świeżym powietrzem.

Dobra, czekam jeszcze piętnaście minut.

Przypala sobie następnego papierosa.

Potem wstaje nagle, ze słowami „Tam, do diabła” chwyta marynarkę i rusza do drzwi.

W tym momencie rozlega się pukanie.

Zatrzymuje się jak wryty. Ma nadzieję, że jeśli nie odpowie, pójdą sobie. Czeka.

Znowu pukanie.

Potem drzwi się otwierają.

Do ponurego biura zagląda ostronosy, osiłkowaty młodzieniec.

— Pan Siurnik?

— Czer-nyk — poprawia jego wymowę Slavko.

— Przecież powiedziałem. Przepraszam za spóźnienie, Siurnik.

— Pan Flanagan? — pyta Slavko.

143

— Zgadza się.

Młody człowiek wchodzi powoli do środka. Ma na sobie garnitur, który najwyraźniej jest za mały o dwa numery. Ale może on tak lubi, może pasowana na wcisk odzież ma uwydatniać te wszystkie jego mięśnie i tę jego szyję jak rura od piecyka.

Slavko wraca na obrotowy fotel za biurkiem. Uprzejmym gestem zaprasza gościa do zajęcia jedyne krzesła w pokoju.

— Proszę usiąść. Czym mogę panu służyć? Flanagan nie siada. Macha dłonią przeganiając dym

sprzed oczu i mówi:

— Kiepską masz tutaj wentylację.

— Fakt — przyznaje Slavko. Nie podoba mu się ten pan Flanagan. Odstępuje go impertynencja faceta. Ale choć otępiony świeżo rozkwitającą miłością, zdaje sobie sprawę, że nie wolno mu wypuścić z rąk potencjalnego klienta.

— Jeśli pan chce, mogę spróbować otworzyć okno — mruczy.

— To ma być biuro detektywa? — mówi Flanagan. — Co, nie masz żadnych

wspólników? Siedzisz tu cały dzień sam jak palec w dupie?

Ostre akcenty w zachowaniu tego gościa. Czyżby jakieś kłopoty? A może tylko ci się wydaje, może jesteś przewrażliwiony? Lepiej jednak przezornie się zabezpieczyć. Rączka na S & W. Jest w szufladzie. Rozluźnić się, spokojnie, ale rączka na pistolet.

Slavko sięga do uchwytu szuflady.

— Pan pozwoli, że wyjmę formularz zgłoszenia... Flanagan wali łapami o blat biurka. Potem sunie nimi

w przód, aż do krawędzi, skąd mogą blokować otworzenie szuflady. Szczyrzy zęby i mówi:

— Mam wypełniać jakiś fikuśny formularz tylko po to, żebyś mi lachę obciągnął?

Jego łapy odrywają się błyskawicznie od biurka i lądują brutalnie na klatce piersiowej Slavka. Obrotowy fotel odjeżdża na stopę do tyłu, potem kółka się blokują i fotel

144

zrzuca z siebie Slavka. Głowa Slavka wali o ścianę, odbija się od niej, wali o szafkę na akta, od niej też się odbija i nieruchomieje wreszcie na podłodze.

Wstać.

Naturalnie, z rozkoszą straciłbyś przytomność... ale nie możesz sobie na to pozwolić. Przeanalizuj sytuację. Te tam niżej to twoje kolana, widzisz je? Pozbieraj się na nie do pozycji klęczącej. Podeprzyj się rękami, teraz wstań.

Bardzo dobrze. A teraz po swojego S&W.

Ale S&W tkwi już w łapskach pana Flanagan.

— No i do czego był ci potrzebny, Siurnik? Straszysz pistoletem swoich klientów, takie są twoje metody operacyjne? — Flanagan chowa pistolet do kieszeni. Obchodzi biurko. — Kutas.

Slavko chce się cofnąć, ale za nim leży przewrócony fotel, więc nie ma dokąd. Flanagan zatrzymuje się tuż przed nim. Z odległości niespełna cała chucha Slavkowi prosto w nos czosnkiem.

— Tak cię nazywają, no nie? Prywatny kutas.

Pokój rozjaśnia naraz oślepiająca błyskawica strzelająca z krocza Slavka. Nie upada

tylko dlatego, że Flanagan go przytrzymuje.

— Oj, przepraszam — mówi Flanagan — chyba się pomyliłem. Chciałem powiedzieć: publiczny kutas.

Slavko wyprowadza błyskawiczny cios z półobrotu na żołądek faceta. Ale powietrze zrobiło się tu jakieś gęste, kleiste, jak w sennym koszmarze, i ten cios w nim grzęźnie. Flanagan blokuje go z pogardliwym uśmiechem, łapie Slavka za klapy i śmiejąc się wciąż ciska nim o ścianę. Pokój wykonuje półbeczkę w lewo. Nieruchomieje. Głowa opada Slavkowi na piersi. Ślina skapuje mu na przód koszuli.

— Co robiliśmy dzisiaj przy zaporze? — pyta go Flanagan.

— Gdzie? Przy zaporze? A, tak. Pomyłka. Nie ten zakręt.

— Nie ta odpowiedź. Znowu błyskawica.

10 — Zabij go, mamó

145

Kiedy Slavko przychodzi do siebie, w pokoju jest ktoś jeszcze.

Goryl, którego widział przy zaporze. Pan Brzydki-Jak--Grzech. Przetrzęsa wprawnie kieszenie marynarki Slavka i dosyć szybko znajduje notes. Zaczyna go kartkować. Slavko rzuca się niemrawo, żeby mu go odebrać. Flanagan pcha go znowu na ścianę i ta kolizja jest jeszcze bardziej zniechęcająca niż poprzednie. I Slavko osuwa się z powrotem na podłogę.

Pan Brzydki-Jak-Grzech odnajduje w notesie wpis, który szczerze go rozśmiesza. Chichocze.

— A niech mnie. Popatrz no tu. Sari Knowles. Pochyliła się nad Slavkiem.

— A więc pracujesz dla Sari? Tak? Zaczęła podejrzewać, że jej kochaś ma kogoś na boku, i zapłaciła ci, żebyś wy-niuchał tę cipkę? Tak było?

Chwyta Slavka garścią za przerzedzające się włosy. Ciągnie. Podnosi go za skalp do pozycji stojącej.

— TAK BYŁO?

— Tak.

— Ale, widzisz, tych dwoje się kocha. A więc co ci do tego? Co? To ich sprawa. Nie twój interes. GÓWNOJA-DZIE jeden! Nie możesz zostawić w spokoju pary

zakochanych? Nie. Nie, ty musisz zarobić na swoje pieprzone honorarium, o tak. Patrz na mnie. Otwórz oczy. OTWÓRZ OCZY mówię!

Slavko spogląda w kaprawe, nabiegłe krwią oczka Brzydkiego-Jak-Grzech, a ten ciągnie:

— Dam ci jeszcze jedną szansę, fartowny kaczorku. Gdyby Sari do ciebie zadzwoniła, spławisz ją. Nie obchodzi mnie, co jej powiesz. Możesz jej powiedzieć, że zdechła jedna z twoich pcheł i masz żalobę. Ale nie chcę więcej o tobie słyszeć. Jak jeszcze raz o tobie usłyszę, to zetrę cię z powierzchni tej planety. Pojął?

Slavko kiwa głową.

— Masz mi więcej nie wchodzić w drogę. Dociera? Slavko kiwa głową.

146

— Słyszałeś kiedy o Louiem Boffano? Slavko wybałusza na niego oczy.

— No to znowu o nim usłyszałeś.

OLIVER słyszy pukanie i wychodzi na ganek. Za siatkowymi drzwiami stoi Jesse, oparty o siodelko roweru.

— No, co jest, kurczę? — mówi z wyrzutem. Oliver wzrusza ramionami.

— Co z tobą? — pyta Jesse.

— Nic. Nie chciało mi się wychodzić.

— Przychodzisz w środę na trening lacrosse'a?

— Chyba tak. Jak będzie pogoda. Jak nie zaczniesz znowu padać.

— Tak — wzdycha Jesse. — Hej, a co powiesz na to, kurczę? Mucha jakaś czy co?

— O czym ty mówisz?

— No. Zobacz!

Oliver otwiera drzwi. Przytrzymuje się framugi i wychyla na zewnątrz. Jesse przekrzywia głowę, nadstawia ucho — i dopiero teraz Oliver zauważa mały kolczyk.

— No, co ty na to?

— Fajne.

— Tak myślisz? Nie chciałem tego zrobić. Ale Chloe nie dawała mi spokoju, no i w

końcu zrobiłem. I teraz mi się podoba.

— Chloe?

— No, tak.

Oliwer patrzy na kolegę i mruga oczami.

— Chloe Zichy?

— Tak. Nie wiesz jeszcze o mnie i o Chloe? Kręcę teraz z nią.

— Z tą Chloe z cyckami?

— Niezłe są, co?

— Całowałaś się z nią?

— Przecież z nią kręcę, człowieku. Nie wiesz, co to znaczy?

147

— Przeleciałaś ją?

— No, nie, alebym mógł, jakbym chciał. No, dobra, chodź, pojeździmy. Muszę o tym z tobą pogadać. Jak mężczyzna z mężczyzną.

— Nie mogę. Gotuję obiad.

— Ty gotujesz obiad?!

— W kuchence mikrofalowej.

— A gdzie twoja mama?

— Na górze.

Leży na łóżku w swojej sypialni — myśli Oliwer — i znowu pisze jakiś list, którego potem nie wyśle. Ale Jessemu nic do tego.

Jesse zniża głos:

— Nie puści cię?

— Nie o to chodzi. Mnie się zwyczajnie nie chce nigdzie iść.

— Co z tobą?

— Nic. No i jak się całuje Chloe?

— Jest odlotowa, człowieku.

— Macałeś ją po cyckach?

— Po zderzakach? Jakbym chciał, tobym macał.

— O rany!

— No, chodź, kurczę.

— Nie.

— Wiesz, co mówi Larry Hitt? Nazywa cię kosmonautą. Powiedziałem mu, żeby się od ciebie odchrzanił. Ale sam widzę, że robi się z ciebie jakiś stuknięty pustelnik.

Wyłącza się kuchenka mikrofalowa. Trzy piski.

— To mój obiad.

— Cholera!

— Ale dzięki, że zajrzałeś.

— Tak — mówi Jesse. — Jasne.

Oliver wchodzi do środka i wyjmuje z kuchenki dwie porcje pasztetu z kurczaka. Podchodzi do schodów i woła mamę. Mama odkrzykuje z góry, że za chwilę zejdzie. OHver nie widzi żadnych powodów, dla których miałby jej wierzyć, poza tym, że zaraz zaczynają się w telewizji lokalne wiado-

148

mości. One ściągają czasem mamę z góry. Włącza telewizor. Podkręca siłę głosu. Wraca do kuchni, siada i zaczyna pracowicie wydłubywać ze swojej porcji wszystek zielony groszek.

Jeśli mama chce, żeby jadł zielony groszek, to niech tu zejdzie i je go z nim.

Odlupuje kawałek skórki i macza go w sosie. Z pasztetu lubi tylko tę przypieczoną skórkę. Ale też nie za bardzo.

Nadziewa odlupany kawałek na widelec, unosi go i ogląda.

Słyszy, jak w telewizorze mówią o procesie Boffana i przenosi wzrok na odbiornik. Telewizor stoi w sąsiednim pokoju i jest zwrócony do niego bokiem, ale widzi ekran pod kątem. Seria rysunków — scenki z sali sądowej. Komentator mówi:

„...Angela Riggio, chociaż tak drobna, wręcz krucha, walczyła dzisiaj na miejscu dla

świadków jak tygrysyca. Utrzymała, że Louie Boffano chciał — cytuję: — «sprzedawać narkotyki» dzieciom i że jej mąż próbował go powstrzymać. Powiedziała, że jej mąż odmawiał zaangażowania się w handel narkotykami, nawet kiedy Louie Boffano zagroził mu śmiercią".

Oliver słyszy skrzyp deski podłogowej nad głową. Słyszy kroki, a potem otwierające się drzwi pokoju matki. Potem znowu kilka kroków.

Mama chce posłuchać, co mówią w telewizji. Ale nie chce schodzić na dół.

Komentator ciągnie:

„Kiedy obrońca Lawrence Bozeman podał w wątpliwość rzetelność informacji pani Riggio o działalności swojego klienta, ta zakipiała gniewem i zapytała: «Dlaczego pan mu się wysługuje?» — a potem sama odpowiedziała sobie na to pytanie: «Pan się boi» — powiedziała. I wskazując na ławę przysięgłych dorzuciła: «Oni też się boją»".

Na ekranie pojawia się rysunek przedstawiający ławę przysięgłych. Oliver wchodzi do saloniku, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Przysięgła z jednego ze szkiców siedzi ze

149

spuszczoną głową, wspierając czoło na rozstawionych palcach ręki. Przypomina mu mamę.

Komentator mówi dalej:

„Kilkoro przysięgłych okazało wyraźne poruszenie, kiedy wdowa po Salvatore Riggio powiedziała: «Szkoda dzieci. Szkoda dzieci»".

Oliver słyszy znowu skrzyp desek podłogowych. Mama wraca do swojego pokoju.

Zaczyna się jakaś reklama.

Oliver myśli o słowach tamtej kobiety. „Oni się boją"

Oni się boją.

To nie sprecyzowane podejrzenie, które od wielu dni kołacze do jego świadomości, wreszcie nabiera kształtu. Oliver wstrzymuje oddech. Stoi przez długą chwilę patrząc na telewizor, lecz nie widząc go, niezdolny do wykonania jakiegokolwiek ruchu. Ilekroć uda mu się wyprzeć z myśli to podejrzenie, ono uparcie tam powraca. Jest wobec niego bezradny. Nazywa je idiotyczną paranoją. Nazywa je głupim. Nazywa dziecinny urojeniem. Potrząsa głową. Przewraca oczami i śmieje się z siebie.

Ale to podejrzenie znowu odnajduje drogę do jego świadomości.

Trzeba znaleźć na to jakąś radę — decyduje. Kogoś, kto mi powie, jaki ze mnie kretyn. Chyba zwariowałem, to nie może być prawda. Muszę porozmawiać z Juliet, niech mi przywróci swoimi kpinami rozsądek.

JULIET dochodzi do wniosku, do którego dochodzi zresztą zawsze, ilekroć na pagerze pojawia się 5555, że zawód lekarza nie jest jej powołaniem. Zwłaszcza lekarza na ostrym dyżurze. Dopiero teraz uświadamia sobie, że tak naprawdę to chciałaby być tancerką calypso na Trynidadzie. Albo, jeszcze lepiej, chciałaby się wylegiwać przez resztę życia w łóżku z górą książek pod ręką, obsługiwana przez nie kończącą się karawanę zakutych w łańcuchy, sennookich kochanków, których mogłaby zamawiać telefonicznie, nie wychodząc z domu.

150

Ale tymczasem jest północ w St. Ignatius Hospital, a na pagerze świecą cyferki 5555.

Juliet wybudza się z wysiłkiem z półsnu i noga za nogą wlecze na korytarz. Idzie na oddział wcześniaków, gdzie rzucił ją w tym miesiącu system rotacji. Nie ma tu nikogo prócz jednego rezydenta drugiego roku i jednego pielęgniarka. I jednego noworodka w inkubatorze. Juliet najchętniej sama zawyłaaby jak noworodek, ale tłumi w sobie ten impuls.

Drugoroczniak do niczego się nie nadaje, nawet kiedy nie jest zaspany, a teraz kima w najlepsze z otwartymi oczami. Ale dzięki Bogu pielęgniarkiem jest Henri, Henri z Haiti — jej najlepszy, obok Annie, przyjaciel. Podchodząc do inkubatora, Juliet rzuca Henriemu pytające spojrzenie.

— Poród był normalny — mówi Henri. — Ale wdała się zamartwica.

Chłopczyk jest pomarszczony jak włoski orzech. Ale większy, niż się spodziewała. Mierzając dziecku puls, Juliet pyta:

— To nie wcześniak?

— Donoszony — mówi Henri. Wzrusza ramionami. Donoszone noworodki są na tym oddziale rzadkością.

Juliet stwierdza, że tętno jest za niskie.

— Gdzie rezydent z oddziału pediatrii? — pyta. Henri wzrusza ramionami.

— Pilne wezwanie na oddział dziecięcy. Tak nam powiedziano. Przykro mi, kochana.

Juliet przeczyszczka dziecku nos cewnikiem DeLee. Następnie wkłada mu do buzi rurkę endotracheotomiczną i wpycha ją za struny głosowe, do miniaturowej tchawicy. W trakcie odsysania rurka zabarwia się na brązowo.

— Gówno.

— Co to jest? — pyta Henri.

— Przecież mówię, że gówno. To jego własny stolec. Zesrał się do łóżyska, a kiedy po porodzie zaczerpnął pierwszy oddech, zachłysnął się własnym gównem. Hej, ty! — woła do drugorocznika. Drugorocznik ani drgnie.

— Hej, panie doktorze! — Pstryka palcami.

151

Drugorocznik otwiera oczy.

— Podaj mi worek Ambu — mówi Juliet.

— Co?

— WOREK AMBU!

Nie jest w dobrym nastroju.

Doczepia oksymetr do płatka uszka noworodka. Odczytuje tuje stężenie 02. 60. Nie jest dobrze.

Podchodzi drugorocznik z workiem. Juliet podłącza go i zaczyna pompować.

Naciska worek kciukiem i wtlacza powietrze do płucek dziecka. Odrywa kciuk. Potem znowu naciska. I tak co i dwie sekundy. Obserwuje bez przerwy skalę oksymetru. Stężenie 02 zaczyna rosnać. Z 60 do 74. Normalnie dziecko robi trzydzieści oddechów na minutę. Ona pompuje workiem dwa razy szybciej, raz na sekundę, robi z dzieciaka * maszynę do oddychania z turbodoładowaniem. A mimo to wywindowanie stężenia 02 we krwi do bezpiecznego poziomu trwa bardzo długo.

— Czyje to dziecko, Henri? — pyta. — Wiesz coś o nim?

— Znam mamusię.

— Były jakieś problemy? Narkotyki?

— Pewności nie mam. Ale młodziutka. Czternaście, piętnaście lat. Był z nią jakiś mężczyzna.

— Ojciec?

— Może i ojciec. Niewykluczone, że również matki. Nie przerywając pompowania Juliet unosi nóżki dziecka.

— Nie ma świńskiego ogonka — mówi. | Henri nachyla się i patrzy.
1

— Ano, nie ma. |

— Co podważa twoje podejrzenia o kazirodztwo. |

— Może się pomyliłem.

— Tak. Coś ci się pewnie popieprzyło.

Uzyskuje w końcu stężenie 02 równe 90. Przekazuje worek drugoroczniakowi.

— Mamy tyle, ile powinno być, dziewięćdziesiąt — mówi. — Utrzymuj wskazanie na tym poziomie. OK? Ja muszę mu załatwić respirator.

152

Podchodzi do telefonu. Łapie lekarza prowadzącego na izbie porodowej i referuje mu swój problem. Ale on ma na głowie swoje własne problemy.

— Juliet, cholera, strasznie cię przepraszam, ale oba respiratory mamy w tej chwili zajęte.

— To co mam robić?

— Radź sobie sama. Odbieram tu poród kleszczowy, Juliet, na razie nie mogę ci pomóc. Wpadnę tam, jak tylko będę wolny.

Juliet dzwoni do szpitala w White Plains i błaga jakiegoś dupka z nocnego dyżuru, żeby przysłał po dziecko karetkę.

— Przykro mi, pani doktor — mówi facet — tylko lekarz prowadzący może wystawić skierowanie. Musimy mieć opinię lekarza prowadzącego, musimy...

Juliet zerka odruchowo na skalę oksymetru. Odczyt wynosi 70 i spada.

— Podpompuj, do cholery! — wrzeszczy do drugoroczniaka. — PODPOMPUJ!

— Słucham, pani doktor? — głos w słuchawce. Juliet rzuca słuchawkę na widełki.

— Dziewięćdziesiąt! — wrzeszczy do drugoroczniaka. — Chcę mieć dziewięćdziesiąt! — Wrywa mu worek Am-bu. Zaczyna pompować zawzięcie.

— Sześćdziesiąt pięć to całkiem zadowalająco — mruczy drugorocznik. — Przy sześćdziesięciu pięciu będzie...

— Przy sześćdziesięciu pięciu będzie warzywem przez całą resztę swojego zasranego życia! Bo ciebie zabolął paluszek!

— Zaraz, chwileczkę... — zaczyna drugorocznik.

— Leć po prowadzącego! Powiedz mu, żeby zadzwonił do White Plains i zażądał przyjęcia swojego pacjenta. Słyszysz? NO, LEĆ! ZEJDŹ MI, KURWA, Z OCZU! I JUŻ NIE WRACAJ!

Drugorocznik wybiega.

— Henri — sapie Juliet. — Co się tak gapisz?

— Nie, nic.

— Myślisz pewnie, że masz przed sobą wiedźmę ze St. Ignatiusa?

153

— Właśnie.

— Myślisz pewnie, że potraktowałam go jak psie gówno?

— Właśnie.

— Bo jest psim gównem.

— Pamiętam jeszcze — mówi Henri — jak sama byłaś drugorocznikiem i próbowałaś podłączyć kroplówkę temu żeglarzowi. O ile się nie mylę, podchodziłaś do tego pięćdziesiąt razy. Jego ramię wyglądało jak poligon doświadczalny.

— A skąd wiesz, że był żeglarzem?

— Miał wytatuowany żaglowiec.

— Gdzie to było?

— W tym szpitalu.

— Nie, gdzie miał ten tatuaż?

— Aha. — Henri wzrusza ramionami i uśmiecha się. — Jakoś nie pamiętam.

— Sam sobie wymyśliłaś żeglarza. To był ćpun, Henri. Nie miał ani jednej całej żyłki.

Winduje powoli stężenie 02z powrotem do 90.

— Pamiętam, jak w końcu ten młodzian wyjął ci igłę z rąk i sam ją sobie wkłuł.

— To najlepszy dowód, że był ćpunem, Henri.

— Tak cię zawstydził, że o mało nie umarłaś.

— Nie moja wina, że nie miał żył.

— Pilnowałem cię wtedy przez cały dzień, żebyś czasem nie targnęła się na własne życie.

— A ten żaglowiec, Henri, który tak dokładnie pamiętasz, miał wytatuowany na swoim wstrętnym, ćpunowskim zadku.

Pompuje dalej. Kiedy kciuk zaczyna ją boleć, zmienia rękę. Po półgodzinie, kiedy oba kciuki ma już starte do krwi, zaczyna żałować, że przegoniła drugorocznika.

— Wiesz co? — mówi do Henriego. — Wczoraj Annie ze mną zerwała.

— Co zrobiła?

— Powiedziała mi, żebym się wynosiła do diabła z jej życia.

154

— Annie tak powiedziała?

— Była jakaś... Nigdy jej takiej nie widziałam. Powiedziała, że mam zły wpływ na Olivera. A przecież wie, że ja Olivera kocham. Kocham go bardziej niż kogokolwiek na tym świecie. Wyjąwszy Annie. A więc dlaczego tak powiedziała, Henri?

— Annie tak powiedziała?

— Wiesz, co mnie gnębi, Henri? Gnębi mnie, że tyram, cholera, tyle godzin, że nie mam nawet czasu poczuć się urażona. I to mnie właśnie gnębi. Możesz się do tego przyłożyć, słonko?

— Do worka? Spróbuję.

— Dobra, jak doliczę do trzech, zmieniamy się. Raz, dwa, trzy.

Henri zaczyna pompować. Odczyt spada, ale tylko trochę.

Juliet podnosi słuchawkę i dzwoni znowu do White Plains. Dupek z nocnego dyżuru informuje ją, że pomoc jest już organizowana. Lada chwila wysyłają karetkę.

— Tak, rozumiem — mówi Juliet. — Lada chwileńka. Wraca do Henriego i zmienia go przy worku.

— Wiesz co, kochanie? — mówi. — Mam przecucie, że nie wyjdziemy stąd do rana.

OLIVER je swoje szarlotki. Siedzi w milczeniu naprzeciwko mamy, która żuje bez apetytu połówkę tosta. Mama ma zapadnięte policzki i ziemistą cerę. Jej wielkie oczy, kiedy podnosi na niego wzrok, są przekrwione, a w kącikach tkwią mleczne śpiochy.

Oliver je najszybciej, jak tylko potrafi. Po posiłku zabiera z werandy kij do lacrosse'a i wciska go w specjalne pętle za siodełkiem roweru. Wrzuca podręczniki do koszyka i ma już ruszać, kiedy za siatkowymi drzwiami pojawia się mama.

— Dlaczego nie jedziesz autobusem?

— Mam po lekcjach trening lacrosse'a.

— Myślałam, że na treningi chodzisz w środy.

155

— Dzisiaj mamy dodatkowy. W przyszłym tygodniu gramy mecz z Brewster.

Mama stoi i patrzy. Oliver czeka chwilę, w razie gdyby chciała jeszcze coś powiedzieć, ale ona jest już znowu we własnym światku. Oliver naciska na pedały i rusza pod górę.

Ale na Warbler Hollow Road zamiast skręcić w lewo, w kierunku szkoły, jedzie dalej prosto. Pnie się powoli granią Onion Creek. Mija wyrobisko starego kamieniołomu, mija górski strumień. Potem zjeżdża bez pedałowania dwumilowym stokiem. Na rozwidleniu dróg skręca w lewo i zatrzymuje się przed sklepem spożywczym Allena. Zeskakuje z siodełka i sprowadza rower w dół skrzydłem kamiennych schodków.

Tutaj, w apartamencie pod sklepem spożywczym, mieszka Juliet.

Ale na podjeździe nie ma jej samochodu.

Oliver ocienia dłońmi oczy i zagląda przez okno. Jej rower jest wewnątrz, w mieszkaniu jest ciemno i cicho. Naturalnie był na to przygotowany, bo wie, że Juliet dziewięćdziesiąt procent swego czasu spędza w pracy, ale mimo wszystko. Cholera!

Zastanawia się, czy zostawić wiadomość i odejść, czy biwakować cały dzień na trawniku pod domem? A może zadzwonić do szpitala?

I w tym momencie w podjazd skręca jej staroświecki volkswagen garbus.

Juliet wysiada z wozu. Jest zaskoczona widokiem Olivera.

— Oliver?

— Cześć!

— Skąd się tu wzięłaś? Przyjechałaś na rowerze? Oliver kiwa głową. Zauważa, że Juliet ma zabandażowane

oba kciuki.

— Nie ma dzisiaj lekcji? — pyta Juliet. Oliver wzrusza ramionami.

— Powinieneś być teraz w szkole, a...

— Musiałem się z tobą zobaczyć.

156

— No, wiesz, jestem trochę... niewiele spałam. Chciałam, eee... Zamierzałam przespać cały dzień.

Nagle Juliet mruży oczy i spogląda dziwnie na Olivera. Chyba zorientowała się, że coś się stało, bo ton jej głosu się zmienia.

— O co chodzi?

— Muszę z tobą porozmawiać.

— O czym?

— O mamie.

Juliet wprowadza go do niskiej kuchni z rozsuwanym oknem od sufitu do podłogi, przez które widać ogród. Z piwnicy dolatuje leciutka woń zawilgoconego tynku. Dom Juliet, ilekroć tu przychodzi, zaskakuje go wciąż tym, że jest taki mały i skromny. W jego snach jest zawsze wspaniały — ogromny i egzotyczny.

— Podać ci coś? — pyta Juliet. — Napijesz się czegoś?

— Wody.

— Tylko wody? Może coli albo soku, a może chcesz coś innego?

— Wody.

Juliet podaje mu szklankę. Wskazuje ruchem głowy krzesło, i Oliver siada. Juliet

opada na drugie krzesło i opiera się łokciem o stół. Oliver upija łyk wody. Obserwuje pęcherzyki gazu wspinające się po ściankach szklanki. Nie wie, od czego zacząć.

— No więc — odzywa się w końcu. — Juliet, wracasz dopiero z pracy?

— Tak.

— Czemu masz te bandaże? Juliet wzrusza ramionami.

— Całą noc naciskałam taką, taką... takie coś w rodzaju płuca. Miałam noworodka z zaburzeniami oddychania.

— I co?

— W końcu przyjechała karetka z White Plains i zabrała dziecko. Jaką godzinę temu.

— Nic mu nie będzie? Znaczą: dziecku?

157

— Nie mam pojęcia. Ja już nie mam na to wpływu. Oliver?

— Tak?

— O co chodzi?

— No właśnie... chciałem... Nie powtórzysz tego nikomu?

Juliet robi coś, co tak mu się zawsze u niej podoba: ten drobny ruch ustami, jak u króliczka — jej zaciśnięte wargi przesuwają się lekko w lewo.

— Dobrze — mówi. — Nie powtórzę, jeśli nie będę musiała. Co się stało?

— Musisz obiecać.

— Co się stało, Oliver? gi

— Chodzi o tego faceta. Dał mamie jakieś pieniądze za jej rzeźby. A potem... pamiętasz tego faceta? Była z nim umówiona tego dnia, kiedy do nas wpadłaś...

I

Juliet kiwa głową. M

— Pamiętam. W

— A potem, na drugi dzień, mama płakała. Nie powie-B działa dlaczego, ale nie chciała rozmawiać o tym facecie. H zwyczajnie nie chciała. W ogóle. I od tamtego

dnia wciąż płacze. Zupełnie jakby zwariowała. I

— Myślisz, że się w nim zakochała? I

— Mm. — Oliver kręci głową. |

— Podejrzewasz, że on jej robi jakąś krzywdę? I

— Podejrzewam... podejrzewam... że on jej czymś grozi. | Jeśli myślisz, że mi się tylko wydaje, to powiedz. Dobrze, | Juliet? Ale podejrzewam, że to prawda, że ten facet ją jakoś f przygwoździł. W jakiejś pułapce. Tak się teraz miota... I zupełnie jakby była w jakiejś pułapce. f

— W jakiej pułapce? \

— Wiesz, kto to jest Louie Boffano?

— Ten mafioso? Ten, którego teraz sądzą?

— Tak. Właśnie. No i... posłuchaj... Mama jest przysięgłą na tym procesie.

ROZDZIAŁ 7

Chłodna dyscyplina Oriona, słodki, dziki chaos Plejad

ANNIE jest w swoim pokoju na górze, Oliver stoi w progu. Usłyszał przed chwilą, że chyba upadł na głowę.

— Nie ma mowy — mówi Annie. — Jeśli to takie ważne, to trzeba było wcześniej mnie uprzedzić.

— Mamo, ja nie wiedziałem, że ten trening zacznie się tak późno. Poszedłem tam zaraz po szkole, ale nikogo nie było, no to zadzwoniłem do trenera i on mi powiedział, że trening zaczyna się dopiero o piątej. Jak się skończy, to będzie już ciemno. Mógłbym pojechać na rowerze, ale przecież nie pozwalasz mi jeździć na rowerze po ciemku.

— Nie chcę, żebyś trenował w tej drużynie — mówi Annie. — Środy, zgoda. Ale jeśli to mają być także czwartki i jeśli muszę cię wozić...

— Tylko ten jeden raz! To taki specjalny trening. Naprawdę, mamo, jak się na nim nie pokażę, nazwą mnie cwelem.

— Przestań, Oliver!

— Ja tylko mówię, jak mnie nazwą, mamo.

Annie kręci głową. Ale, prawdę mówiąc, co jej za różnica? Siedzieć i gryźć się, wściekać może równie dobrze w samochodzie jak tutaj.

— A odwiezie cię ktoś do domu po treningu?

— Tak.

— No to jedźmy.

— Tylko zadzwonię do Jessego. Ma mój kask. Muszę mu przypomnieć, żeby go zabrał.

159

— Jedźmy, na miłość boską!

Annie pobrzękuje niecierpliwie kluczami. Schodzi na dół, wsiada do samochodu i czeka na Olivera.

Ale on tak się grzebie. Zawsze tak się grzebie. Annie trąbi i w końcu Oliver wychodzi z domu.

Wyjeżdżają na Seminary Lane. Annie zerka we wsteczne lusterko, jak zawsze, od kiedy to się zaczęło. Ale nikogo za nimi nie ma. Dojeżdżają do szczytu wzgórza. Skręcają w prawo, w Warbler Hollow, a potem jadą jakieś pięć mil wśród łąk i lasów płonących barwami jesieni. Kiedy są już niedaleko szkoły, Annie znowu zerka we wsteczne lusterko i tym razem dostrzega w nim samochód.

Poobijanego volkswagena garbusa należącego do Juliet.

Tego Annie obawia się ostatnio zawsze, ilekroć gdzieś się wybiera: że może się natknąć na Juliet. Pochyliła się trochę do przodu, żeby w lusterku nie było widać jej oczu.

Skręcają na duży parking przed szkolnymi boiskami. O tej porze jest tu prawie pusto. Annie zerka w lusterko i stwierdza, że Juliet skręca na parking za nimi.

Może udawać, że jej nie zauważyłam, i odjechać, jak tylko Oliver wysiadzie...

— Mamo, nikogo jeszcze nie ma.

— Co?

Annie spogląda na boisko lacrosse'a. Nie ma tam żywego ducha. Na trybunach dla publiczności również.

— O, kurczę — mówi Oliver. — Co, znowu coś źle zrozumiałem? Poczekaj. Może

są na bocznym boisku. Poczekaj tutaj, sprawdzę, poczekaj. Zaraz wracam.

— Nie, Oliver, nie będę...

Oliver wyskoczył już z samochodu. Chyba nie zauważył wozu Juliet, bo biegnie ścieżką między drzewami w kierunku bocznego boiska.

Annie wysiada, staje obok drzwiczek i krzyczy za nim:

— Oliver! Wracaj tu w tej chwili!

Ale jego już nie ma, a Juliet zdążyła tymczasem zaparkować swojego volkswagena i podchodzi. Annie nie widzi

160

innego wyjścia jak tylko odwrócić się do niej i uśmiechnąć nieszczercze.

— Musimy porozmawiać — mówi Juliet.

— Bardzo bym chciała, Juliet... ale nie mogę. Strasznie się śpieszę. Muszę już lecieć, ale może...

Jednak Juliet trzyma ją już za ramię. Ścisła mocno i mówi:

— Chodź, przejdziemy się.

— Ja naprawdę, naprawdę nie mogę...

— A gdybym miała kłopoty? — pyta Juliet.

— Jakie kłopoty?

— A gdyby to były naprawdę poważne kłopoty? — pyta Juliet i prowadzi Annie w kierunku kępy starych klonów na skraju parkingu.

— Co, jakiś mężczyzna? Coś w pracy?

— Nie wiem, czy mogę ci powiedzieć. Tu Annie traci cierpliwość.

— Co to znaczy: nie wiesz? Co ty wygadujesz, jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Jeśli masz kłopoty, to musisz się mi z nich zwierzyć.

Juliet zatrzymuje się nagle. Spogląda Annie w oczy.

— A ty byś się mi zwierzyła?

— Oczywiście.

— A więc zrób to.

— Co mam zrobić?

— Powiedz mi, co się dzieje. Wiem, że ktoś cię krzywdzi. Jak możemy go powstrzymać?

— Co... — Annie podrywa ręce w górę. Cofa się o krok. — Co to ma, u diabła, znaczyć?

Rozgląda się szybko dookoła. Najpierw patrzy w stronę opustoszałych boisk. Potem na swój samochód stojący na parkingu. W środku widzi sylwetkę Olwera, czekającego cierpliwie na jej powrót.

— To spisek. Prawda? Nie spotkałyśmy się przypadkiem. Czy mój dzieciak maczał w tym palce?

— Musiałam znaleźć jakiś sposób, żeby z tobą porozmawiać.

— A nie mogłaś, do cholery, zatelefonować...

Il — Zabij go, mamó

161

— Telefon może być na podsłuchu — mówi Juliet, i Annie sztywnieje. — No więc słucham, Annie.

— Nie.

— Powiedz mi.

— O Jezu! — To się stało zbyt nagle. Annie czuje, że ustępuje, że traci nad sobą kontrolę. — Nie mogę. Nie mogę ci powiedzieć.

Odwraca się i rusza w stronę samochodu. Ale przyjaciółka szybko ją dogania.

— To ma związek z twoim członkostwem w ławie przysięgłych, prawda?

Annie ma spuszczoną głowę, a więc Juliet nie widzi, że płacze.

— Daj mi spokój — mówi Annie. — Daj mi, do cholery, spokój!

— Co on ci robi?

Annie zatrzymuje się i unosi rękę do twarzy.

— O Jezu! — mówi. Nadal patrzy w ziemię. — Czy ktoś nas obserwuje?

— Nie.

— Rozejrzyj się dobrze. Upewnij się. Na drodze...

— Nie ma tu nikogo.

— Żadnych samochodów?

— Żadnych.

— Masz pewność, że jesteśmy tu same?

— Tak.

— No, dobrze. — Annie zamyka oczy. — Dobrze. On powiedział, że jeśli mu nie pomogę, to zabije Olivera. Tak powiedział, Juliet, powiedział, że zabije moje dziecko.

JULIET i Annie siedzą obok siebie na huśtawkach, a gruby pień wielkiego klonu cukrowego chroni je przed dostrzeżeniem z szosy. Annie opowiada Juliet wszystko, wszystko, co wie, i wszystko, czego się domyśla.

Kiedy kończy, pyta przyjaciółkę:

— No i co ty na to? Co, według ciebie, powinnam robić?

162

Juliet kręci głową.

— Nie potrafię ci doradzić — mówi cicho, poważnym tonem.

— A co ty byś zrobiła?

— Ja nie mam dziecka.

— Ale go kochasz. Kochasz go prawie tak samo mocno jak ja, prawda?

— Annie! Chcesz go chronić. To rozsądny odruch.

— Masz mnie za tchórza?

— Nie.

— Powiedz, co byś zrobiła na moim miejscu, Juliet. No, powiedz.

Juliet siedzi nieruchomo na huśtawce. Jeszcze raz analizuje w myślach strategię. W końcu prostuje się.

— No więc tak. Ten facet planuje wcześniej wszystkie swoje posunięcia. Prawda?

— Na to wygląda.

— Jest systematyczny? Drobiazgowy?

— Tak.

— Wszystko, co robi, ma swoje uzasadnienie?

— Tak.

— Jeśli więc ma się za człowieka racjonalnego, możesz go pokonać jego własną bronią. Wiesz? Musisz wyznaczyć cenę za to, co ci robi, i zadbać, żeby on ją poznał. I musi to być wysoka cena.

— Nie wiem, o czym ty mówisz.

— Idź do sędziego. Powiedz mu, że chcesz się wycofać z udziału w procesie. Powiedz mu, powiedz mu, że masz chore dziecko. Powiedz mu, że właśnie wykryto u niego białaczkę.

— Och, przestań, Juliet. On tego nigdy nie kupi.

— Będzie musiał. Bo przyniesiesz mu zaświadczenie lekarskie. Ode mnie. Będzie musiał cię zwolnić. Potem wyślemy Olivera na Long Island, żeby pomieszkał jakiś czas z moimi starszami. A wtedy, wtedy skontaktujemy się z tym facetem.

Umówisz się z nim gdzieś na spotkanie. Powiedzmy: znowu nad tym zalewem. I powiesz: „Zbliź się

163

do mnie jeszcze raz, a pójdę na policję. A jak coś mi się stanie, to na policję pójdą moi znajomi". A potem... no, nie wiem... nie wiem, jak on na to zareaguje, może się roze-śmieje, w każdym razie ty powiesz: „Tam jest teraz dwójka moich przyjaciół". A ja z Henrim będziemy na drugim brzegu i pomachamy wam stamtąd, a ja mu pokażę, że mam kamerę. I dam do zrozumienia, że wszystko mam zarejestrowane na taśmie. OK? I sprawa będzie załatwiona.

— Tak według ciebie powinnam postąpić? — pyta ją Annie znużonym głosem.

— Pytałaś mnie, jak ja bym postąpiła na twoim miejscu. Juliet układała ten plan przez cały dzień, analizowała go

ze wszystkich stron, budząc się kilkakrotnie z niespokojnego snu. Aż do tej pory wydawał jej się przejrzysty, prosty i sprytny. Małe ryzyko, wysoka skuteczność.

Odmrozić tego lodowego demona. Teraz dociera do niej, jak ten plan jest naiwny i niebezpieczny. A to machanie i pokazywanie mu kamery? Wręcz dziecinne. Senne rojenia.

Obserwuje uważnie oczy Annie. Annie patrzy apatycznie na swój samochód. Juliet również spogląda w tamtą stronę, ale nie widzi niczego godnego uwagi. Tylko ręka Olivera wystawiona przez otwarte okno.

— Sama nie wiem — odzywa się Annie. — To mi jakoś niepoważnie brzmi.

— Tak. Masz rację. O wiele rozsądniej postępować dalej tak jak do tej pory.

— To dlaczego ty byś... Juliet wzrusza ramionami.

— Nie wiem. Może dlatego, że nie lubię, jak ktoś mi rozkazuje. Zwłaszcza jakiś potwór. Ale to moje zdanie. I to nie moje dziecko.

Annie patrzy wciąż na swój samochód stojący na pustym parkingu. Jej wielkie, szare oczy są szeroko rozwarte. Co ona myśli? — zastanawia się Juliet. Nic nie mówi. Czy jest wciąż myślami przy nas? Myśli czy tylko patrzy?

— Tak — odzywa się w końcu Annie. — Nie mogę... Urywa i milczy blisko minutę.

164

— ...nie mogę dalej tego ciągnąć.

Juliet czeka. Annie kołysze się na swojej huśtawce.

— O Boże, Boże, sama nie wiem.

SARI KNOWLES przygotowuje sobie w domu sałatkę, ale nie może jej jeść. Bawi się liściem sałaty i tylko na tyle potrafi się zdobyć.

Jest zdenerwowana, bo Slavko nie podnosi słuchawki.

Wczoraj zostawił jej na automatycznej sekretarce wiadomość, że dowiedział się czegoś o Ebenie, ale teraz Sari nie może go złapać. Dzwoni i dzwoni, ale on nie odbiera.

Czego dowiedział się o Ebenie? Jakaś inna kobieta?

Pojadę do biura Slavka — postanawia. Dziś wieczorem. Nie, od razu. Nawet jeśli go nie zastanę, mogę zostawić karteczkę.

Coś o Ebenie. Slavko wie coś o Ebenie. Eben, Eben, Eben. Przestań powtarzać to imię, dziewczyno, bo znowu zaczniesz ryczeć.

Sari wchodzi pod natrysk, ale kiedy puszcza wodę, wydaje jej się, że dzwoni telefon. Zakręca kurek i nasłuchuje. Cisza. To tylko w rurach coś grało. Puszcza znowu wodę. I znowu wydaje jej się, że słyszy dzwonek telefonu. Wie, że to nie telefon... ale może jednak? Zakręca więc kran. Znowu cisza. Och, ty w życiu, cholera! Stoi pod zakręconym natryskiem, ociekając wodą. Ten ból. Boże! Eben, jak to boli! Ten klosz martwej ciszy, pod którym żyję. Eben, ty kutasie, zobacz, co ze mną zrobiłeś.

Już nigdy, nigdy, nigdy nie próbuj do mnie wrócić, Eben, bo napluję ci w twarz. Wydrapię ci oczy, przysięgam.

Nagle słyszy samochód na podjeździe i myśli: Eben? Czyżby to Eben? Nie. Ale to może Slavko, który powie jej coś o Ebenie — wychodzi więc szybko spod natrysku, chwytając ręcznik, pochyla głowę i wyciera włosy. Dzwonek do drzwi.

Jezu, ten facet nie powinien był przyjeżdżać bez zapowiedzi, ale co tam, chętnie z nim porozmawia. Mój nowy

165

przyjaciół, mój pocieszyciel. Znowu sobie popijemy. Nakłada szlafrok i biegnie otworzyć drzwi.

To Eben.

Przyniósł orchideę. Ma na sobie wspaniałą marynarkę, a na nogach mokasyny. Uśmiecha się tym swoim krzywym uśmiechem.

— Przepraszam — mówi.

— Nie potrzebuję twoich kwiatów — rzuca Sari. — Wynoś się.

— Przepraszam, że nie zadzwoniłem. Tęskniłem za tobą. To najtrudniejszy interes mojego życia, Sari. Kiedy go ubiję, stanie się najśłodszy. Ale bez przerwy tęsknię za tobą.

Sari nienawidzi go. Odrzucają wszystko, nawet brzmienie jego głosu.

— Skąd do mnie wczoraj dzwoniłeś? — pyta.

— Z domu.

— Tak. Tak mi powiedziałeś.

— Bo to prawda.

— Nie chrzań. Twierdzisz, że dzwoniłeś do mnie ze swojego domu?

Eben mruży oczy. Na chwilę ucieka wzrokiem w bok, potem znowu spogląda na nią.

— No, nie.

A widzisz, ty podły kłamco. No i jakim nowym kłamstwem będziesz się teraz próbował wykręcić?

— Dzwoniłem z domu, ale innego, Sari.

— Z innego domu? Co ty, u diabła, usiłujesz mi...

— Mówiłem ci kiedyś. Mam chatę. Niedaleko Garrison, nad rzeką. Nigdy do niej nikogo nie zapraszam, jeżdżę tam sam. To właściwie szałas, nie chata. Ale wpadam tam, kiedy chcę się odprężyć. Od tygodnia spędzam tam każdą noc. Skąd wiesz, że nie dzwoniłem z domu?

Sari patrzy na niego wymownie.

— Nie ufasz mi? — pyta Eben. — Powinnaś mi zaufać, Sari.

Sari spuszcza wzrok. Czuje, że nienawiść do tego człowieka zaczyna w niej słabnąć. Ale ona nie chce, żeby sła-

166

bla. Chce podtrzymać ten lity mur wściekłości. Nie — myśli — on znowu kłamie. Nie ma żadnej sekretnej chaty. To mydlenie oczu.

— Nie zapraszałem tam dotąd nikogo — podejmuje łagodnie Eben — no, ale dobrze, chciałabyś ją zobaczyć?

— Co?

— Moją chatę.

— Jechać tam? Eben kiwa głową.

— Kiedy?

Bierze ją za rękę. Zaczyna ciągnąć.

— Jezu! Eben, nie! Nie puszczaj.

— Chodź ze mną.

— Ty chyba nie masz żadnej chaty?

— Jedźmy tam od razu.

— Ale... musiałabym... musiałabym coś na siebie zarzucić...

— To piękny wieczór, Sari. Pożyczę ci na miejscu jakieś ubranie. Chodź.

Sari wybucha śmiechem.

Nie. Nie śmieję się.

Jeżu, nie ustępuję tak szybko, nie. Ale nie może opanować tego śmiechu. Pozwala mu wyciągnąć się z domu. W samym szlafroku, bosy. Eben zamyka drzwi i prowadzi ją po chłodnym żwirze do swojego wozu. Otwiera przed nią drzwiczki, a ona znowu się śmieje.

Gdzie się podział tamten ból?

Pamięta jak przez mgłę, że bardzo cierpiała, ale dzięki Bogu ma to już za sobą.

OLIVER obserwuje mamę, która wsiada do samochodu i rzuca mu ostre spojrzenie. Chce coś powiedzieć, ale mama kładzie palec na ustach. Wyjeżdżają z parkingu na Warbler Hollow Road i Oliver uświadamia sobie, że się urządził. Ma przechlapane na co najmniej miesiąc, niezbyt przyjemna

167

perspektywa, ale co gorsza, mama uważa go pewnie teraz za schizoparanoika. Ona i Juliet... myślą pewnie, że trzeba go zamknąć, zanim zrobi komuś krzywdę.

Mama jedzie do domu okrężną drogą. Do Ratner Ave-nue, a potem Old Willow Avenue, a później, pośród zapadającego zmierzchu, brzegiem jeziora.

Bez słowa uprzedzenia zjeżdża na pobocze. Obok jeziora, przy pomniku Hannah Stoneleigh dosiadającej konia.

— Co to jest? — pyta. — Tam, za pomnikiem, co to?

— To szkielet, mamó. Na Halloween.

— Naprawdę? Chodź, zobaczemy.

Wysiadają więc z samochodu i podchodzą do pomnika.

Patrzą na Hannah, na konia i na szkielet w cylindrze. Oliver czeka, aż mama podejmie temat. Aż powie: „Chyba pora, żeby pójść z tobą do lekarza, chłopcze”.

Ale ona mówi:

— Oliver, nie możemy rozmawiać w samochodzie. Za żadne skarby. Mogli nam tam

założyć pluskwę. Jestem przekonana, że w domu założyli. Wiesz, co to pluskwa?

O1iver kiwa głową.

Mniejsza z tym, jak wyolbrzymiał to sobie w wyobraźni — ogłusza go fakt, że słyszy od mamy potwierdzenie.

— Z tego, co wiem — ciągnie mama — mogą nas teraz podsłuchiwać. Może założyli nam pluskwy w butach albo gdzie indziej, ale zaryzykuję. Kiedy jednak wrócimy do samochodu, buzia na kłódkę. Ani słówka. Żadnego pytania. Wymknie ci się coś, i wszystko przepadło, rozumiesz?

O1iver kiwa głową.

— No, powiedz. Powiedz: „Nigdy nie będę poruszał tego tematu w samochodzie”.

— Nigdy nie będę poruszał tego tematu w samochodzie.

— Ani w domu.

— Ani w domu.

— Miałaś rację, to jeden z ludzi Boffana. Każe mi wydać werdykt „niewinny”, bo jak tego nie zrobię, to nas skrzywdzi. Przepraszam, że dotąd ci tego nie powiedziałam. Rozumiesz, dlaczego nie mogłam ci powiedzieć?

168

— Tak.

— Podzieliłeś się z kimś jeszcze swoimi podejrzeniami?

— Nie.

— Na pewno? Może byłeś... może strach cię obleciał i powiedziałeś Jessemu...

— Nie, mamó. Domyśliłem się dopiero wczoraj wieczorem.

— Nie możemy pójść na policję.

— OK.

— Ci ludzie, O1iver, nie boją się policji. I tak by nas zabili.

O1iver kiwa głową.

— Spróbujemy inaczej — ciągnie mama. — To znaczy, ja spróbuję, ale to pomysł Juliet. Porozmawiam... może porozmawiam z sędzią, spróbuję się z tego wycofać.

Może jutro zmieni się nasze życie. Może wyjedziemy z Pharoah i nigdy już tu nie wrócimy. Boisz się?

W tym momencie Oliver naprawdę się nie boi, nie czuje w ogóle żadnego strachu. Wie w tej chwili, że mama i Juliet, dwie tęgie głowy, podjęły współpracę, sprawa jest we właściwych rękach.

Nie chce jednak wyjść na dzieciucha zgrywającego choj-raka, asekuje się więc:

— Tak. Trochę się boję.

— Ja też — przyznaje mama. — Ale jednocześnie rada jestem, że coś robię. Nie mogę przecież ulegać we wszystkim temu sukinsynowi. To znaczy, mogłabym, ale to by mnie wykończyło. Cieszę się, że się zorientowałaś w sytuacji, Oliver, cieszę się, że zwróciłaś się z tym do Juliet. Jestem przerażona i jednocześnie zadowolona. Boże, tak bym chciała... chętnie bym zakatrupiła tego skurwysyna.

— Skurwysyna? — powtarza za nią Oliver. Omal się nie uśmiecha. Mama omal nie odwzajemnia tego uśmiechu.

— Jesteś głodny? — pyta mama.

— Mhm.

— Pizza?

— Mhm. Może do mailu, mamo?

169

— Niech będzie mail. Zagramy na automacie w twoją ulubioną grę. Masz u mnie kredyt na nieograniczoną liczbę ćwierćdolarówek. Przetrwonię je z tobą.

NAUCZYCIEL stoi przed swoją chatą pod niebem usianym gwiazdami i ozdobionym rąbkiem księżyca. Stoi za Sari, która, kręci głowę z zachwyty zauroczona cudownym widokiem. Obserwuje dziewczynę, chłonącą całe to piękno. Mroczne, sękaty sady. Światła wiosek, odległa plama neonu. Błyszczące w świetle gwiazd żagle trzech jachtów, hen, na czarnym Hudsonie.

— Och — wzdycha Sari.

Nauczyciel też jest poruszony. Już chyba z miesiąc nie odwiedzał tej małej chatki i zdążył zapomnieć, jak tu ślicznie.

Dotyka Sari i dziewczyna odwraca się.

— Zimno ci? — pyta ją.

— Mhm, trochę.

Sari kładzie mu dłonie na ramionach, podskakuje lekko i opasuje go nogami w talii. Jest nadal w szlafroku, który teraz się rozchyła i jej nagi seks napiera na metalową sprzączkę paska Nauczyciela. Nauczyciel wnosi ją do chaty. Dziewczyna trze policzkiem o szczecinę porastającą mu szczękę. Wspiera się czołem o jego ramię.

Nauczyciel kładzie ją i sam wyciąga się obok.

Żadnych świateł, żadnych świec. Tylko gwiezdna poświata zalewa łóżko. Nad nimi głęboki cień krokwi. Leżą tak dłuższy czas, prawie się nie poruszając, zetknięci ustami, oddychający tylko swymi oddechami. Nauczyciel gładzi palcami jej skroń, płatek jej ucha.

Cierpliwości — myśli, i zabiera się do dzieła.

Dużo później sunie językiem po obłościach jej piersi, pobudza do wzwodu sutki, wznieca w niej pożądanie, doprowadza powoli do ekstazy. Sari wije się. Chce jeszcze. Próbuje przyciągnąć jego dłoń do swego krocza, ale on muska tylko koniuszkiem palca wargi jej seksu. Bez naciskania. Niech rozewrą się same, kiedy nadejdzie ich pora.

170

— Wyjrzyj na zewnątrz — mówi do niej.

Na rzece, za otwartymi drzwiami chaty, widać barcę — rząd światełek białych jak śmy — przesuwaną się powoli od lewej do prawej furtyny. Ta przepastna, zwyczajna noc, która w końcu całkowicie mu uległa. Czysty tytuł. Mój wszechświat. Mija długi czas. Nauczyciel zsuwa się z łóżka i klęka przed Sari. Czubkiem języka zatacza kółeczko wokół jej lechtaczki. Potem przesuwa nim wzdłuż jej sromu. Mrok w mroku w mroku — powiedział Lao-tse — brama do całej tajemnicy. Zatacza następne kółeczko. Sari jęczy i wyrzuca w górę biodra, wciskając mu swój seks w usta, ale on cofa głowę. Sari opada z powrotem na łóżko. On znowu się nad nią pochyla. Ale łaskocze ją tylko językiem.

— O, Boże, Eben. Proszę. Ja chcę już.

— Jeszcze nie — mówi do niej szeptem.

— Och, błagam — jęczy Sari. — Chcę już.

— Dopiero kiedy ja powiem.

Dużo później, po północy, Sari siedzi mu na kolanach, oboje są zwrócenii twarzami do drzwi, jego członek tkwi głęboko w niej. Nauczyciel patrzy przez południowe okno i widzi jednocześnie Oriona i Plejady. Żelazna dyscyplina gwiazdozbioru wielkiego myśliwego, a obok ta bałaganiarska smuga Plejad. Zupełnie jak ja i Annie — myśli Nauczyciel. Wszyscy ludzie z tej półkuli patrzący teraz w niebo widzą chłodną dyscyplinę Oriona i słodki, dziki chaos Plejad; Nauczyciela i Przysięgłą. Na całym świecie, obojętne, jakie nazwy nadają swoim gwiazdnym mitom, mówią o Nauczycielu i Przysięgłej. Wybucha śmiechem.

— Co? — pyta Sari.

Jej głos przypomina mu, że nie jest z Annie, nie z tą cielesną, nie teraz. Jest z tą drugą kobietą. Ale to nie ma znaczenia.

— Co za noc! — mówi do niej.

Jeszcze później do chaty wlatuje nietoperz. Sari jest przestraszona, ale on szeptem:

— Wszystko w porządku, nie tknie nas, zaraz wyleci, jestem tutaj — i posuwa ją dalej, nie wypadając z rytmu.

171

Sari wstrzymuje oddech i słyszą wokół siebie dziwny poszum nietoperzowych skrzydeł, a potem nietoperz odnajduje drogę na wolność.

Później Nauczyciel leżąc na Sari decyduje, że nadeszła pora. Przyspiesza. Zaczyna się w nią wbijać z niewielkim zarzuceniem pod koniec każdego pchnięcia, brutalnie do samego końca, doprowadzając ją tym na krawędź i znowu na krawędź, i znowu... i tym razem pozwala jej dojść. Pozwala, by jej jęki przeszły w przeszywający skowyt. Sari miota się, orze mu pierś paznokciami.

Sam również zezwala sobie na erupcję i tryskając, otwiera usta do krzyku, szuka w mroku Annie i dostrzega ją, Annie. Śmiejąca się, tak jak wówczas, kiedy był w jej pracowni i dotykał jej rzeźb. Jak wówczas, kiedy śmiała się tak serdecznie, bo on zamierzał uczynić ją bogatą i szczęśliwą, a ona się w nim zakochiwała, i już nigdy nie zobaczy jej tak się śmiejącej, prawda? Boli go to, więc ryczy. Ryczy zraniony, w gorzkim szale, w chwale swego podboju.

ROZDZIAŁ 8

„Kto cię ochroni?”

ANNIE znajduje miejsce na parkingu przed monstrualnym gmachem sądu okręgowego. Niewielka to sztuka. Przyjechała wcześniej, prawie nikogo jeszcze tu nie

ma.

Nigdy dotąd tutaj nie parkowała. Każdego dnia procesu zostawiała samochód w koszarach policji, niedaleko między-stanówki 1-684, i czekała z innymi sędziami przysięgłymi na furgonetkę, która zabierała ich stamtąd do sądu. Władze obawiały się chyba, że gdyby parkowała tutaj, to któregoś dnia ktoś mógłby za nią pojechać i wyśledzić, gdzie mieszka.

Wzruszająca ta ich troska o jej spokój ducha.

Wbiega po schodach. Przechodzi pod łukiem stylizowanym na ruiny i wkracza do atrium. Dziwaczne, wymyślne, betonowe. Ten horrendalny budynek sądowy został najwyraźniej wzniesiony gdzieś pod koniec lat siedemdziesiątych, w okresie kiedy szalała moda na imitowanie entropii i anarchii.

Środek atrium zajmuje gęszcz kaktusów oraz samotna wierzba. I trzy wysokie kęsy czarnego szkła, skupione wokół wielkiej, bezkształtnej hałdy gruzu.

Annie podchodzi do drzwi prowadzących do części biurowej gmachu i informuje strażnika, że jest umówiona z sędzią Wietzelem. Strażnik każe jej przejść przez bramkę wykrywacza metali.

Ponury korytarz, który zaprojektowano tak, by przypominał jaskinię. Wrażenie potęgują kinkiety stylizowane na uchwyty pochodni.

173

Sekretarka w przedpokoju biura Wietzela próbuje ją zatrzymać, ale drzwi gabinetu sędziego są otwarte i Annie widzi jak na dłoni wnętrze. Wietzel wdziewa właśnie togę.

— Przykro mi — mruczy Annie do sekretarki — ale nie mogę, po prostu nie mogę powiedzieć pani, w jakiej sprawie. Muszę się z nim koniecznie zobaczyć.

Mija zaskoczoną kobietę. Wchodzi do gabinetu sędziego i zatrząskuje za sobą drzwi.

Wietzel odwraca się. Na jego twarzy próżno szukać wyrazu niedbalej dobroduszości, jaki tam zwykle gości. Jest przestraszony i jego wzrok wędruje od razu na rękę Annie. Sprawdza — przemyka przez głowę Annie — czy nie mam pistoletu.

Pokazuje mu puste dłonie.

— Przepraszam — odzywa się Wietzel, cofając się, szukając schronienia za biurkiem. — Co pani tu robi?

— Muszę z panem porozmawiać. Wie pan, kim jestem?

— Wiem. — Zanikające drzenie w jego głosie. — Wiem, jest pani przysięgłą. Proszę otworzyć te drzwi.

— Muszę porozmawiać z panem w cztery oczy.

— Ma pani jakiś problem?

— Mam, bo...

— No cóż, pozwoli pani, że coś sobie wyjaśnimy. Skoro weszła już pani do mojego gabinetu, to sprawa przestaje być zwyczajna. Nie wpadła tu pani na pogawędkę. Odwiedziny przysięgłej u sędziego mogą mieć poważne konsekwencje.

Annie patrzy na niego szeroko rozwartymi oczami. O czym on mówi?

Czyżby chciał dać do zrozumienia, że jest z nimi? Wietzel odchrząkuje.

— A zatem, jeśli naprawdę ma pani jakiś poważny problem i nadal chce o nim ze mną rozmawiać, wezwę zaraz obrońcę i oskarżyciela i będziemy mogli...

— Nie!

— Słucham?

— Chcę rozmawiać tylko z panem — mówi Annie. — Z nimi... z nimi nie. Chcę rozmawiać z panem na osobności.

174

— Na osobności?

— Na osobności.

Annie otwiera torebkę i wyjmuje list od Juliet.

— Nie może pani rozmawiać ze mną na osobności — mówi Wietzel. — I cokolwiek to jest, nie chcę tego widzieć. Mogę się z tym zapoznać tylko w obecności obrońcy.

— Wspiera się dłońmi o biurko i pochyla ku niej.

Annie cofa się. Tak. On jest z nimi.

Oczywiście, że jest. Mają wszystkie pieniądze świata, dlaczego nie mieliby go sobie kupić?

— Co pan mi tu opowiada? — mówi. — Chce mi pan zasugerować, że popełniam błąd?

— Proszę pani, pamiętam dobrze, że dawałem pani szansę na wycofanie się ze składu tej ławy przysięgłych. Ale pani z niej nie skorzystała. Pani chciała wziąć na siebie ten obowiązek. Przypomina sobie pani?

Annie kiwa głową.

— No, tak. Raz pani chce, innym razem nie chce. Ma pani jakiś problem, ale uważa, że podsądny nie ma prawa się o nim dowiedzieć. Otóż moim zdaniem jest pani w błędzie. Moim zdaniem ma on do tego pełne prawo. Tak się składa, że jest to proces o morderstwo. Mam sprawdzić, czy jego obrońca jest osiągalny?

Podnosi słuchawkę telefonu. Patrzy na Annie. Annie słyszy wysoki, ciągły ton sygnału. Wkłada list z powrotem do torebki.

— Nie — mówi. — Nie, rozmyśliłam się. Postępuje krok do tyłu, potem odwraca się i wychodzi.

SLAVKO siedzi o trzeciej po południu na podłodze swojego biura. Pisze wiersz, który nosi tytuł „To przybija”, i jest zdania, że ten jego pierwszy wiersz jest cholernie dobrym wierszem. Czyta jeszcze raz, co do tej pory napisał. Sięga w lewo po butelkę jima beama. Bez patrzenia, bo wymagałoby to odwrócenia głowy w lewo, a odwracanie

175

głowy w lewo sprawia mu zbyt ni ból. W prawo zresztą też. Sięga więc na oślep i trafia ręką w tackę po sałatce na wynos od Luka Dhowa. Po wczorajszej kolacji. Cofa rękę z tacką opinającą dłoń jak rękawiczka. Dopiero po chwili uświadamia sobie, że to jednak nie rękawiczka. Strząsa ją z ręki.

Przymusza się do odwrócenia głowy. Odnajduje burbona i pociąga z gwinta.

Oblizując rękę czyta jeszcze raz swój wiersz:

To przybija Przybija, co?

Wszystko to dosyć przybijające? Co ty na to? Palancie, hej, dupku, zamurowało cię? To naprawdę przybija. A co, myślałeś, że lepiej będzie? Chętnie bym ci odpowiedział, ale nie mogę przez to THIT, THIT, THIT. Z tego niby na zewnątrz, z Main Street. Rzygać się chce!! Do kurwy nędzy,

Ocipieć można od tego trąbienia. TUT, TUT, TUT. I tak w kółko, i tak głośno, aż nie mogę myśleć. To hymn narodowy

Mojego życia. Boże, jak przybija. Okay? A to tutaj, To mój wiersz. Juliet, chciałem

go tobie Nie wysłać, ale mam teraz nową dziewczynę, Której mogę go nie wysłać.

Czy jest jakaś minimalna liczba wierszy — zastanawia się — którą trzeba mieć w dorobku, żeby nominowali człowieka do Nagrody Nobla? Czy nie wystarczy czasem tylko jeden, jeśli to prawdziwa bomba?

Gdzieś tu powinny się jeszcze walać jakieś cornchipsy.

Wypatruje torebkę pod biurkiem. Głęboka na dwa cale warstewka okruszków po cornchipsach na dnie torebki, mógłby to zjeść. Ale tam na dnie urzęduje również karaluch.

176

Wygląda na całkiem zadowolonego z życia, choć jest poruszony tym, że ktoś śmiał mu przeszkodzić. Małe czułki podrygują gniewnie. No, dobra, powiedz, jak skończysz, stary.

Gość w dom, Bóg w dom.

Przez brudne okna wsącza sięienne światło. Czemu ktoś nie zgasi, w cholere, tego dziennego światła? Ktoś?

Nikt, co prawda, nie gasi światła, za to ktoś puka do drzwi.

No nie, wydaje ci się, że otworzę? Na głowę upadłeś, chłopie?

Dzisiaj pan Czernyk bardzo przeprasza, ale nie przyjmuje gości większych od karalucha. Dziś jest dzień bez rachowania gnatów. W sprawie ewentualnego rachowania gnatów zapraszam uprzejmie jutro.

Drzwi otwierają się. No jasne, zapomniał przekręcić klucz w zamku.

To Sari.

Slavko skręca się ze wstydu.

Biuro to obraz nędzy i rozpaczy, śmierdzący obraz nędzy i rozpaczy. On też. Szczękę ma spuchniętą i sinogranatową z odcieniami leśnej zieleni. Nos wygląda jak kawon, który ktoś wsadził na samo dno lodówki i zapomniał o nim na dwa miesiące. Od pobicia zwichrowała mu się też symetria oczodołów. Na dokładkę cały przód koszuli ma w okruskach, zaciekach burbona i plamach specjalnego sosu do sałatek Luka Dhowa.

Jest jednak prawie na sto procent pewien, że przynajmniej suwak rozporka ma do końca zapięty. Nó, no — myśli — taka dbałość o szczegóły kwalifikuje się, cholera,

do uznania za powód do dumy.

Sari na jego widok wydaje cichy okrzyk.

— Przepraszam, nie chciałam...

Błądzi niedowierzającym wzrokiem po ruinie, jaką przedstawia jego osoba.

— O Boże! Co się stało?

Och, jakaż ona śliczna! Za narażenie tak pięknej istoty

12 — Zabij go, mamó

177

na widok takiej jatki powinien być orzekany najwyższy wymiar kary. Slavko jest tak upokorzony, że pragnie śmierci. To upokorzenie wznieca w nim gniew.

— Chyba nie słyszałaś „proszę wejść”, co? — warczy.

— Co ci się stało?

— Zaciąłem się przy goleniu.

— Boże, byłeś w szpitalu...? Slavko kręci głową.

— Bardzo bym chciał, ale byłem tak cholernie zajęty. Zajęty jak pszczołka, wiesz, o co mi chodzi?

Dlaczego tak się do niej odnosi? Ona nie jest tu niczemu winna. Ale ten sposób, w jaki stoi w progu, działa mu na nerwy. Sterczy tam i chłonie katastrofę biura. Potrząsa przy tym głową. Slavko dostrzega, jak jej oczy zatrzymują się na chwilę na rozbryzgu krwi na ścianie, a potem na krwawym kleksie na papierach rozsypanych po biurku i wreszcie na butelce jima beama na podłodze obok niego. Jest poruszona, owszem. Żal jej go. Ale wciąż trzyma rękę na gałce u drzwi, ramiona w tym swoim eleganckim zakiecie ma cofnięte, nosek o dwa do trzech stopni zadarty. Pragnie zachować dystans do tego wszystkiego.

— To ktoś, w kogo sprawie prowadziłeś śledztwo, czy coś w tym rodzaju? — pyta go. — Oni to zrobili?

I znowu górę bierze w nim wściekłość.

— To informacja poufna, panno Knowles — mruczy. — Czym mogę pani służyć?

— Próbowałam i próbowałam się do ciebie dodzwonić. Nie dostałam wiadomości ode

mnie? No, nic. Chciałam ci powiedzieć... to znaczy: wiem, że dobrze się spisałeś, i chciałam ci podziękować. I zapłacić, wyjaśnić.

— A co tu do wyjaśniania?

— Chciałam powiedzieć, że nie będziesz mi już potrzebny. Twoje usługi. Bo, no... Eben wszystko mi wytłumaczył. I znowu jest między nami dobrze. Okazało się, że mnóstwo, przykro mi to mówić, ale mnóstwo naszych kłopotów po-

178

wstało z mojej winy. Ta moja niecierpliwość i w ogóle. Mój brak zaufania. No, wiesz. Slavko spuszcza wzrok. Nie może na nią patrzeć.

— A więc przyszłam uregulować rachunek. Gdybyś był tak dobry i podliczył swoje godziny, i w ogóle...

Slavko nadal nie może na nią patrzeć, ale mówi:

— Hej, wiesz co? Tak się składa, że właśnie rachuję sobie te godziny. I nie do wiary, ale zaliczka wszystko pokrywa. Co do centa. Nawet do dziesiątej części centa. Nic nie jesteś mi winna.

— Och!

— Klnę się na pieprzyk na nosie ojczulka Lincolna — mówi Slavko.

Sari chichocze nerwowo.

— Jak tak, to dobrze.

— Na włoszek wyrastający z tego pieprzyka — mówi Slavko.

— Fajnie — mówi Sari, a potem, zanim jemu udaje się przejść do poszczególnych komórek tego włoska wyrastającego z pieprzyka, zmienia temat: — Och, a tak przy okazji, powiedziałaś, w tej wiadomości, którą mi zostawiłaś, mówiłaś, że coś odkryłaś? Coś dużego?

Musi chwilę poczekać na jego odpowiedź.

— I owszem — wymrukuje w końcu Slavko. — Wydawało mi się, że coś takiego znalazłem. Pewne uchybienie ze strony Ebenezera Racklanda, to znaczy uchybienie o proporcjach epickich, takie że ho-ho. Ale okazuje się, że popełnił je jakiś inny Ebenezer Rackland.

— Och! — Znowu ten nerwowy chichot.

Ale potem głos jej trochę łagodnieje, pojawia się w nim znowu nieco tej miękkości.

— Słuchaj, Slavko, chciałam... chciałam ci powiedzieć, że ta noc w samochodzie... nie zapomnę jej. Gdyby cię tam nie było, tobym oszalała. Byłeś wspaniały.

— Po prostu robiłem, co do mnie należało — mówi. Co, u diabła, miałby powiedzieć?

Najchętniej powiedziałały: Idź sobie.

179

— Mogę coś dla ciebie zrobić, Slavko? — pyta Sari.]

— Owszem. Możesz zamknąć cicho te drzwi. Jak będę- 1 dziesz wychodziła. Nie trzaskaj. Coś jakby głowa mnie I bolała.

I

Sari mruży coś na pożegnanie. Slavko wbija wzrok w de- 1 ski podłogi, dopóki nie dociera do niego ciche kliknięcie | zatrasku.

|

Wtedy sięga po obrotowy fotel i przyciąga go do siebie, j Odwraca go do góry nogami, klinuje oparciem o szafkę \ na akta i wykorzystując jako podpórkę, dźwiga się, obo- I łąły, na nogi. Kuśtyka do okna. Dociera tam w samą porę, j by zobaczyć ją jeszcze, jak przecina jezdnię, wsiada do i swojego samochodu i odjeżdża. Slavko przyciska twarz '• do brudnej szyby i patrzy, dopóki Sari nie zniknie mu 1 z oczu, a potem jeszcze dłuższą chwilę, kiedy jej już nie widać.

EDDIE czeka na drodze nr 22, jakąś milę od Park & Ri-de, i kiedy Annie go mijają, rusza za nią. Jedzie tak przez jakieś pół mili, a potem błyska światłami. Raz, potem dwa ; razy. Umówiony sygnał. Annie zwalnia i pozwala mu się , wyprzedzić. Wychodząc na prowadzenie Eddie zerka na nią w przelocie.

I

Annie nie odwzajemnia jego spojrzenia.

Nie uprzedzili jej, że zostanie wezwana na to spotkanie. Myślała pewnie, że wkrótce znajdzie się w domu, w domu ze swoim dzieckiem, że przygotuje kolację i zasiądzie przed telewizorem czy zajmie się czymś innym, a tu nagle musi jechać za Eddie'iem tam, gdzie ją zaprowadzi, i jest pewnie | zmęczona, przestraszona i zdenerwowana. Patrzy prosto] przed siebie. Ma ciemne wory pod oczami. Włosy ściągnięte { byle jak w koński ogon. \

Dotknąć jej, a się rozsypie — myśli Eddie. Wystarczy muśnięcie.

Cholera! — myśli.

Cokolwiek Vincent szykuje, doprawi ją tym.

180

Kobieto, po co ci to było? Jak mogłaś iść do sędziego i wyobrazać sobie, że ujdzie ci to na sucho?

ANNIE jedzie za samochodem mężczyzny, którego nazywa Johnny. Johnny prowadzi ją jakąś obcą, boczną drogą. Na północ, powoli, ostrymi zygzakami, przez okolicę obfitującą w lasy przetykane gdzieniegdzie polanami. Potem na zachód, potem chyba na południe. Annie zaczyna się martwić o OHvera. Dziś jest środa — dzień prawdziwego treningu lacrosse'a. Po treningu OHver wróci rowerem do domu i powinien ją już tam zastać.

Jeśli jej nie zastanie, przestraszy się.

Annie gryzie się tym. Ta myśl zaczyna jej się zapętlać w mózgu i wreszcie musi sobie powiedzieć, prawie na głos: No i co z tego, że się trochę spóźnię? Jakoś to przeżyje.

Skoncentruj się na aktualnym problemie, Annie.

A ten problem jest następujący: jeśli Zach Lyde dowiedział się o twojej wizycie u sędziego, to jak go ugłaskać?

Wygląda na to, że nie będziesz miała innego wyjścia jak tylko zagrać w otwarte karty, powiedzieć mu wszystko — nie wspominając jedynie o Juliet — i błagać o litość. A poza tym, co on może ci zarzucić? No, dobrze, poszłaś do sędziego, ale nie pisnęłaś słówka. Jeśli dobrze się zastanowić, to teraz powinien ci ufać bardziej niż dotychczas.

Wziąć go pod włos. Nie dać się wyprowadzić z równowagi. Ugłaskiwac i ugłaskiwac, aż cię puści, a wieczorem uda ci się może wymknąć niepostrzeżenie, pojechać do Juliet i przedyskutować z nią następny krok. Musi być ktoś, kto może nam pomóc. Musi. Ktoś.

Johnny skręca na parking przed restauracją o nazwie „U Vica” i Annie robi to samo. Wie już mniej więcej, gdzie jest — „U Vica” to włoska knajpka w głębi lasów na północ od Pharoah. Klientela pochodzi w przeważającej części z Nowego Jorku. Stali bywalcy. Wpadają tu w weekendowy wieczór, parking jest wtedy zapchany wielkimi amerykańskimi krążownikami szos, lincolnami i cadillacami.

181

Zatrzymując wóz widzi Zacha Lyde wychodzącego z restauracji. Jest z kimś, z jakimś facetem, który wygląda na zalanego w pestkę. Zach prowadzi go do wielkiego, białego, zdezelowanego kabrioletu stojącego na parkingu. Stamtąd spogląda na Annie i macha na nią: chodź.

Annie wysiada z wozu i podchodzi.

Szarmancki Zach Lyde dokonuje prezentacji.

— Annie, chcę ci przedstawić Rodneya. Rodney, to moja przyjaciółka Annie.

Annie bąka coś pod nosem. Rodney obcina ją bezczelnym spojrzeniem od stóp do głów.

— O Jezu! — bełkocze. Zwraca się do Zacha: — Co ty chrzaniś, jaka przyjaciółka? Dobrze wiem, co ze sobą robicie. Ten kurczak to pieprzone jebadełko. Pieprzone jebadełko.

Rodney ma długie, czarne, tłuste włosy. Nosi grube, okrągłe okulary i ma na sobie zieloną marynarkę z przykro tkimi rękawami.

— Rodney to beczka ścieków, które spłynęły tu z Nowego Jorku — wyjaśnia z uśmiechem Zach Lyde.

— Hej, nie wciskaj mi tu tej gównianej gadki — mówi Rodney. — Ty i ten twój pieprzony „69” z Knicksów. Ten twój Earl Perełka. Myślisz, że ma start do Ewinga? Ewing by go...

— Możemy już wracać do domu, Rodney?

— ...Ewing by go w łyżce wody utopił, znaczy się, tak by go ograł, że by mu te jego pieprzone gały na wierzch wylazły...

— Obiecałem Rodneyowi, że odwiozę go do domu jego samochodem. Chyba trochę za dużo w siebie wlał. Przejedziesz się z nami, Annie?

— Ej, zabieraj stąd dupę! — mówi Rodney. — Ja będę prowadził. To mój samochód. Mogę prowadzić. Przyjechałem tutaj, no, nie?

Zach nie zwraca na niego uwagi. Zdejmuje mu marynarkę i mówi:

— Daj mi przymierzyć swoją marynarkę, Rodney.

182

— Po co?

— Podoba mi się. Daj przymierzyć.

Kiedy Zach ją zakłada, ta absurdalna marynarka prawie nabiera stylu.

— OK. Wsiadaj teraz do wozu, Rodney.

— Pieprz się.

— Do tyłu. Koło mnie usiądzie Annie.

— No, pewnie — mówi Rodney.

Zach otwiera tylne drzwiczki i Rodney wpelza na tylne siedzenie swojego samochodu. Rozwala się tam.

— No, pewnie, kurwa, pewnie, że usiądzie — bełkocze. Jadą przez świerkowe lasy. Stary grat Rodneya rzezi na

niskich biegach, ale dochodzi do siebie, kiedy nabiera wreszcie szybkości.

— Rodney nie odnosi wielkich sukcesów podczas swego pobytu na tym ziemskim padole — mówi Zach. — Jest pijanicą. Jest imbecylem. Jest...

— Ej, ty, przymknij się! — warczy Rodney z tylnej kanapy. — A ty co jesteś, no co, może aniołek z nieba?

— Ale odznacza się pewną szczątkową inteligencją — ciągnie Zach. — Nigdy nie zapomina, kto jest jego przyjacielem. A przyjaciele nie dają mu całkiem utonąć. Tyle już razy przyłapywano go na jeździe po pijanemu, a przecież nadal jest na drodze. W zeszłym roku posłał przechodnia na oddział intensywnej terapii, a przecież dalej ma prawo jazdy.

Głowa Rodneya pojawia się nagle między Zachem a Annie.

— Mówiłeś, że masz trochę szkockiej, durna pało. Dawaj ją tu.

— Annie — mówi Zach — zajrzyj z łaski swojej do mojej torby, dobrze? Znajdziesz tam butelkę.

Na siedzeniu obok niej leży sportowa torba. Annie szpera w niej. Kiedy to robi, przypominają jej się własne prace — jej Macane Skrzyńki. Przypomina sobie, że jest artystką. Natrafia na coś, w czym rozpoznaje... okulary? Potem na niemowlęcą butelkę. Wyciąga ją.

183

— Ta?

— Podaj ją Rodneyowi.

Ale sam widok* buteleczki rozsierdzą Rodneya.

— Co ty, myśHsz, ŻE JA TO WEZME DO GĘBY?

— Tam jest dobra szkocka, Rodney. Szkoda by było, gdybyś ją rozchlapał. To łatwe. Po prostu ssij. Boisz się, że przez to stracę do ciebie szacunek? Bez obawy.

— Ty dupku — jęczy Rodney, ale bierze buteleczkę z rąk Annie. Annie widzi kątem oka, jak podnosi ją do ust, jak żuje smoczek.

— A teraz się połóż, Rodney.

— Co?

— Połóż się. Wyciągnij wygodnie. Dodałem tam czegoś, od czego może ci się zachcieć spać — a więc śpij.

Rodney wymrukuje jakieś pretensje. Ale Annie słyszy, jak układa się na siedzeniu.

— A teraz Annie — mówi Zach — podaj mi okulary, dobrze?

Annie wyjmuje je z torby i stwierdza, że nie są to właściwie okulary. Sama oprawka. Czarna i okrągła jak ramka okularów Rodneya.

Zach wkłada je na nos.

— No i co ty na to? — pyta. Uśmiecha się tym swoim krzywym uśmiezkiem. — Jak wyglądam?

— Co ty robisz? — pyta Annie.

— Odstawiam Rodneya — wyjaśnia Zach. — Chcę zobaczyć, jak wygląda świat oczami Rodneya.

Ze sportowej torby rozlega się jakby cykanie świerszcza.

— Tam jest telefon — mówi Zach. — Możesz mi go podać? Annie podaje mu telefon.

— Tak? — mówi Zach do słuchawki. Annie słyszy słaby głos rozmówcy:

— Smoczątko skończyło. Zach spogląda na zegarek.

— OK. To idealnie.

Odkłada telefon. Przyśpiesza trochę. Zerka znowu we wsteczne lusterko.

— Spójrz teraz na Rodneya, Annie. Popatrz.

Annie ogląda się. Rodney zwinął się w pozycji płodowej wokół buteleczki. Strużka szkockiej ścieka mu po brodzie. Pochrapuje z cicha.

— Według ciebie: dlaczego on taki jest? — pyta Zach. Staraj się zachowywać zgodnie. Staraj się mu potakiwać.

Zach Lyde znajduje się w jakimś dziwnym stanie. Maniakalnym. Coś płonie w jego oczach.

— Chodzi ci o to, dlaczego Rodney pije? — pyta. Zach jakby jej nie słyszał.

— Lubi tę buteleczkę, którą mu dałem, prawda? Uspokaja go. Tylko tego naprawdę pragnie — tego smoczka. Wszystko inne go przeraża, a on nie lubi się bać. Jest taki sam jak reszta z nas — większość czasu upływa mu na próbach ucieczki przed strachem. Za wszelką cenę uciec przed uczuciem strachu. Za wszelką cenę. Zrezygnować z seksu, zrezygnować z miłości, z resztek szacunku dla samego siebie, zapić się na śmierć — byle z dala od strachu.

Zapada milczenie. Powiedz coś, Annie. Podsuń mu jakiś temat, niech mówi. Próbuje:

— A ty nigdy nie odczuwasz strachu?

— Odczuwam go przez cały czas. Miałem z nim randkę zeszłego wieczora.

Zwalnia na rozwidleniu drogi i wybiera lewą odnogę. Warbler Hollow Road. Przy tej drodze znajduje się szkoła Olivera.

Zach zerka na Annie. W jego brązowych oczach jarzą się te cętki.

— Ale ja godzę się ze strachem — mówi — z koniecznością jego odczuwania. To przerażenie uczy mnie mojego kształtu. Rozumiesz?

— Dlaczego tędy jedziemy? — pyta Annie. — Dokąd mnie wiesz?

Zach przyśpiesza. Opony piszczą na zakrętach.

— Idę w jednym, określonym kierunku, dopóki nie

nagromadzi się we mnie tyle strachu, że nie mogę już postąpić ani kroku dalej — mówi. — Wejść w ciemność, wypłynąć w morze można tylko do miejsca, z którego zawraca nas strach. Tyle powiemy naszemu szefowi albo naszemu partnerowi, albo

naszej matce — ani słowa ponad to. Dotarliśmy do granicy. Odnaleźliśmy kształt swojego życia. Zach wybucha śmiechem.

— Przepraszam — mówi. — Bredzę coś? To z mojego ostatniego koszmarnego snu. Ilekroć wyzwolę się z koszmaru przerażenia, jestem zawsze pełen pomysłów. Podniecony, nierozsądny, gadatliwy.

Dojeżdżają do szkoły. Sam budynek, dalej parking, boiska sportowe.

Annie przesuwają wzrok na boisko lacrosse'a. Jest puste, jeśli nie liczyć dwóch maruderów zmieniających buty na trybunach. Trzeci chłopiec biegnie przez parking do czekającego minivana. Wrzuca kij do lacrosse'a na tylne siedzenie, sam wskakuje z przodu.

Zach nie zwalnia.

— Lacrosse — mówi. — Powiadają, że to najniebezpieczniejsza dyscyplina sportu w tym kraju. Cóż, gdyby nie był niebezpieczny, chłopcy by w niego nie grali. Nic by nie znaczył. Mam rację?

Spogląda na nią.

Annie już wie, co za chwilę powie Zach.

— Twój syn, Oliver, gra w lacrosse'a, prawda? — mówi Zach.

— Co my tu robimy? — pyta Annie. A niech usłyszy drżenie paniki w jej głosie, jest jej już wszystko jedno. — Kim jest Smoczątko? — pyta. — Dlaczego chcesz mnie doprowadzić...?

— Nie wiesz, co kochasz, Annie. Pozwalasz szarym garniturkom wmawiać sobie, że tym, co kochasz, jest Sprawiedliwość. Albo kodeks prawa stanu Nowy Jork. Albo uprzywilejowana pozycja w społeczeństwie. I trzeba dopiero przerażenia, realnego koszmaru balansowania na krawędzi stra-

186

ty, by uprzytomnić ci, że przecież te bzdury wcale ciebie nie dotyczą — że dla ciebie liczy się tylko dobro twojego dziecka, własna praca i garstka przyjaciół — i jeśli szare garniturki nie potrafią zapewnić temu wszystkiemu bezpieczeństwa, to co komu po szarych garniturkach? A one nie mogą, nie mogą zapewnić ci bezpieczeństwa. Sędzia Wietzel? Jest zbyt zaabsorbowany pilnowaniem swojej kariery, jak więc ma ci przyjść z pomocą? Nie zdajesz sobie z tego sprawy? Za mało było ci strachu, że postanowiłaś postarać się o więcej? Sędzia, gliniarze — Annie, jak oni mają cię ochronić przed kimś takim jak ja? Spójrz na mnie. Jestem Rodneyem

Grosso, jestem pijany, jestem ludzkim śmieciem i wiem o tym. Jadę za szybko, bo utylłem, postarzałem się i dobija mnie to, ale na drodze czuję się nadal młodym byczkiem, wchodzę więc ze zbyt dużą szybkością w ten zakręt...

Jadą naprawdę za szybko. Biorą ostry zakręt i omal nie ześlizgną się na pobocze, ale Zach w ostatniej chwili ujarzmi niesforne koła.

— Zatrzymaj się — prosi Annie. — Błagam... zatrzymaj się.

— Wydaje ci się, że potrafisz mnie powstrzymać, Annie?

— Nie — mówi Annie. — Nie, proszę, ja...

— Wydaje ci się, że możesz stawić mi czoło?

— Nie. Nie, ja nie chciałam... Nic nie powiedziałam sędziemu, ani słowa, proszę!

— Jeśli wydaje ci się, że potrafisz mnie powstrzymać, to dlaczego nie spróbujesz? Od razu? Rzuć się na mnie, wydrap mi oczy... Lepsza okazja chyba już ci się nie trafi.

— Nie! Nie, przysięgam ci...

— Ale ja jestem Rodneyem i jestem pijany, i mam wydłużony czas reakcji, i wiesz, że gdybyś mnie zdekoncentrowała, mógłbym wypaść z drogi. Mógłbym kogoś zabić.

— Nie zrobię tego! Nie możesz, nie możesz...

— Kto cię ochroni, Annie? -Ty.

187

— Masz na myśli Zacha Lyde?

— Tak!

— Czy Nauczyciela?

— Błagam,

— Annie, powiedz: „Nauczyciel mnie ochroni”.

— Nauczyciel mnie ochroni.

— Ufasz mu?

— Ufam!

— Ale musiałaś się najpierw przerazić, prawda?

— Tak!

— Musiałaś się najpierw przejechać na przednim siedzeniu z Rodneyem Grosso, prawda?

— Tak!

Wychodzą z zakrętu na prostą. Długa, płytka dolinka, po obu stronach drogi pastwiska, płot ze sztachet.

— Przejechać się na przednim siedzeniu z chaosem — podejmuje Zach. — Mogłabyś doprowadzić do wsadzenia Nauczyciela za kratki, mogłabyś usmażyć Louiego Boffano, mogłabyś załatwić organizację do najpośledniejszego muła — ale co zamierzasz zrobić z tym pijakiem za kierownicą? Pojawiam się nie wiadomo skąd. Nie znam okolicy, jadę za szybko, patrzę na drogę i widzę tylko rozmazaną smugę, ale wydaje mi się, że dostrzegam dziecko na rowerze...

Oliver.

Tam, w pobliżu szczytu wzniesienia, jakieś pół mili przed nimi, to Oliver wracający na rowerze do domu. To na pewno Oliver: Annie miga na moment fragment jego purpurowej koszuli. A to coś sterczące za siodełkiem niczym maszt flagowy to jego kij do lacrosse'a. Jedzie prawą stroną drogi, tą samą co oni, nie ma pojęcia, co się zbliża od tyłu...

— Nie!

Annie chwyta Zacha za rękę.

— Nie ufasz Nauczycielowi, Annie? Annie zmusza się do puszczenia jego ręki. -- Tak. Ufam ci! Tak.

Oliver, obejrzyj się. Błagam, Oliver, nie słyszysz nas? Obejrzyj się!

188

Annie wpycha sobie nadgarstki do ust i gryzie je. Włacza łopatki w oparcie fotela. Wije się, by uwolnić się od strachu, ale nie potrafi oderwać oczu od syna, od tej purpurowej koszuli, od tego kija do lacrosse'a, od tego kiwającego się roweru.

— Błagam!

— Ale to tak, jakby się ufało w kaprys Boga, prawda? Ten przypadkowy Rodney robi, co mu się podoba. Dajmy na to: przysypia...

Zach zjeżdża na lewą stronę drogi. Ale Annie w to graj. Z przeciwka nic nie

nadjeżdża, a ona pragnie, by minęli OHvera w jak największej odległości. Tak, zrób mu miejsce. Omiń go, omiń, daj mu jak najwięcej miejsca.

— Najmniejszy błąd i niewyobrażalna tragedia. I kto cię przed tym uchroni, Annie? Co się stanie, jeśli Rodney ocknie się nagle z drzemki, stwierdzi, że jedzie niewłaściwą stroną drogi i odbije w prawo, ale za mocno...

Szarpie kierownicą, dociska do dechy pedał gazu i nagle pędzą wprost na OHvera. Ręka Annie wyciąga się odruchowo, by chwycić Zacha, ale Annie powstrzymuje się przed tym siłą woli, wie, że nie wolno jej go dotknąć, ale ten człowiek jest chory psychicznie, on zabije chłopca, pędzą wprost na Ohvera i Annie wbija sobie paznokcie w twarz i wyje:

— O, BOŻE! O, BOŻE! LITOŚCI!

Są kilkaset jardów od OHvera i zbliżają się, Annie wytrzeszcza oczy tak, że niemal wychodzą z orbit, zwija się w fotelu i zapiera stopami o przednią szybę...

— Kto cię ochroni?

— NAUCZYCIEL!

— Sędzia?

— NIE! TYLKO TY! TYLKO TY! MÓJ BOŻE! MÓJ BOŻE! BŁAGAM!

Samochód zbacza ku krawędzi drogi. Jadąc tym kursem zabije jej syna.

Annie wali otwartymi dłońmi o boczną szybę, wali jeszcze raz i przyciska do niej policzek, i krzyczy, i kopie w deskę

189

rozdzielczą, i ani na chwilę nie odwraca wzroku: jej oczy są przykute do tej purpurowej koszulki na wprost przed nimi. Prawe koła spadają z jezdni i trafiają na nierówne pobocze. Wstrząs wyrzuca Annie w górę. Wali głową o miękki sufit samochodu i świat rozsypuje się w drobny mak. Annie nie może odnaleźć Olivera w polu swojego widzenia. Uderza czołem o boczną szybę, twarz jej się rozpląszcza, piszczy przeraźliwie, a koła samochodu piszczą razem z nią, i nagle dostrzega go, swojego syna, przez krótki moment, jego twarz miga jej tuż przed nosem, spojrzal w jej stronę, zobaczył ocierający się niemal o niego samochód, jest wstrząśnięty...

Ale nie przewraca się.

Przemykają tuż obok niego. Boczne lusterko samochodu mija go o włos.

Annie odwraca błyskawicznie głowę i widzi przez tylną szybę jego szybko malejącą postać. Oliver stoi zmartwiał pod sykomorą, trzymając rower za kierownicę. Rozpędzony samochód wzniesił wokół niego burzę suchych liści. Chłopiec patrzy przed siebie. Żyje, nic mu nie jest, żyje. Annie oplata rękami głowę, zwija się na fotelu w kłębek i zawodzi, kołysząc się w otępieniu. Oliver żyje. Żyje. Żyje. Żyje. Żyje. Żyje. Żyje. Żyje. Żyje. Żyje.

ROZDZIAŁ 9

cichutki poszum

EDDIE czeka na nich w pobliżu szczytu wyrobiska starego kamieniołomu Onion Creek. Pomaga Annie —roztrzęsionej, półprzytomnej — wysiąść z samochodu Rodneya.

Potem, razem z Vincentem, wywlekają leżącego się przez ręce Rodneya z tylnego siedzenia i upychają go za kierownicą.

Annie próbuje słabo protestować:

— Nie możecie... nie możecie...

— Czego nie możemy? — pyta Vincent.

— Pozwolić mu prowadzić.

— To prawda — mówi Vincent. Umieszcza stopę Rodneya na pedale gazu i dociska ją dla pewności jego drugą stopą. Potem zatrzaskuje drzwiczki, wsuwa rękę przez otwarte okno i przekręca kluczyk w stacyjce. Silnik samochodu ożywa z rykiem.

— Masz rację, Annie — mruczy Vincent — mógłby kogoś zabić.

Sięga do dźwigni zmiany biegów. Pcha ją raz, potem drugi, i teraz udaje mu się wrzucić bieg. Vincent cofa rękę, a samochód rusza. Toczy się z chrzęstem opon po polnej drodze. Potem zjeżdża z niej i kołysząc się na wertepach kieruje ku krawędzi urwiska. Eddie odwraca się. Naoglądał się już takich rzeczy, nie musi patrzeć.

Słyszą trzask łamanych drzewek, potem długa cisza, i wreszcie plusk. Chlupot fal bijących o brzegi kamieniołomu.

191

Załatwione. Prosta sprawa. Eddie otwiera przed Annie 3 drzwiczki swojego samochodu i pomaga jej wsiąść. Vincent i odjeżdża już swoim lotusem.

I

— Kiedy zostaniesz izolowana — odzywa się Eddie] po paru przejechanych w milczeniu milach — kiedy umie- Jk szcza cię w motelu, będziesz pewnie miała w pokoju jakąś™ współlokatorkę. Zadbaj o to, żebyś to ty spała bliżej te-jM lefonu. OK? M

Annie kiwa głową. H

Potem cichym, znużonym głosem pyta Eddie'ego: ^

— Dlaczego on to zrobił?

— Co? Chodzi ci o Rodneya? Rodney to była pijawka. Nic dobrego. Nie mogli go zdjąć z ulicy, a. w końcu by kogoś rozjechał na śmierć. O to ci chodziło? O co ci chodziło?

Ale Eddie dobrze wie, o co chodziło Annie.

— Chodziło ci o to, czemu mój przyjaciel tak cię nastraszył? — mówi.

Annie patrzy na drogę.

— To była, tak, wiem, to musiała być trudna przeprawa... — mówi Eddie.

— Mówiłeś mi, że masz dziecko — odzywa się cichym głosem Annie.

— Tak. Córkę.

— On nie ma dzieci?

— Nie. Nie ma. Ale posłuchaj, to było dla twojego dobra.

— Dla mojego dobra.

— Chodziły ci po głowie różne głupie pomysły. Poszłaś do sędziego. Gdybyś mu coś powiedziała, już byś nie żyła. Musielibyśmy cię zabić. Dobrze wiesz. To było dla twojego dobra.

— Od dawna go znasz? — pyta Annie.

— Tak.

— Dlaczego on to robi?

— Ha!

Eddie wzrusza ramionami.

— Przecież nie jest nawet jednym z was, prawda? — ciągnie Annie. — Nie musi tego robić. Czemu więc robi?

— Za dużo pytasz.

— Dlaczego mu na to pozwalacie?

Wjeżdżają znowu na parking pod restauracją "U Vica". Zatrzymują się obok samochodu Annie. Eddie znowu wzrusza ramionami.

— Posłuchaj, Annie — mówi. — Przestraszyłaś go, wiesz? Niepotrzebnie. To równy gość, jest, jest cholernie bystry, ale, ale lepiej go nie straszyć, Annie. Ja ci tylko dobrze radzę, OK? Nigdy więcej nie próbuj mu wykręcać takich numerów.

NAUCZYCIEL ogląda uważnie orchidee, przywraca ład, gdzie trzeba. Sterylnym skalpelem odcina omszałe korzonki broughtonii. Grabi torf pod *Catesetum pileatum*. Papc. *Maudiae* przeziębła się, pędzluje więc liście preparatem RD-20 wymieszanym z benomylem. Jakże gwałtownie, bez żadnego okresu przejściowego, żywe istoty tracą swą kondycję.

Swą klarowność. Swój porządek.

Zaskakuje go to uwznioślenie, które odczuwa. Nie chciał jej tak przestraszyć. Mierzi go fakt, że musiał tak postąpić. Jednak teraz odpływa. Żegluj. Podcina listki *Maudiae*. W każdym jego ruchu zawarty jest gest Tao.

Jak to się dzieje, że zwyczajne odwalenie takiej brudnej roboty, jak ta dzisiejsza, daje mi taki przypływ dobrego samopoczucia?

Czy dusza nagradza mnie po prostu za to, że zajrzałem w mrok, że znalazłem w sobie siłę, by wytrzymać tę konfrontację?

I nagle, bez żadnego konkretnego powodu, przypomina sobie rakieta.

Miał wtedy dwanaście, może trzynaście lat, tyle co teraz Oliver. Bawił się na małym zasyfionym podwórku, ogrodzonym metalową siatką, na tyłach brooklyńskiej

'3 — Zabij go, mamó

193

kamienicy. Był tam z nim Eddie. Stali przed rakieta, którą zbudował.

Pozwolił Eddie'emu odliczać.

Rakieta miała cztery stopy wysokości, niebieski stożkowy dziób i żółty kadłub. Za

paliwo służyła mieszanka uzyskana z kanistra ciekłego azotu i kanistra ciekłego tlenu, które kuzyn Eddiego ukradł z zakładów chemicznych Xerxes.

Jedna mała wada konstrukcyjna mogła doprowadzić do eksplozji rakiety i zdmuchnięcia z powierzchni ziemi sporej części Bay Ridge.

Ale nie powiedział o tym Eddie'emu.

— T minus pięćdziesiąt sześć sekund — powiedział Eddie. — I stop.

— Dlaczego stop?

— Bo idzie twój stary.

Stary był pijany. Zatrzymał się przed rakieta i powiedział:

— Piękna. Bardzo piękna zabawka, nie?

— Tak, ale lepiej idź do domu, tato.

— Nie, nie, bardzo piękna zabawka, muszę jej zaśpiewać.

— Tato, proszę cię.

Tata zaśpiewał arię z jednej ze swych ulubionych oper. Arię rannego więźnia z „Germanii”. Stał tak i wznosząc głos do nieba śpiewał niebiesko-żółtej rakiecie syna.

Ktoś wychylił się z okna kamienicy i zaczął bić brawo.

— Mój syn! — krzyknął tata. — Jego rakietka! To poezja, ha!

— Tato, przestań, posiadanie rakiety jest trochę nielegalne...

Ojciec znowu zaintonował arię.

— Przestań, tato!

— Co? Co? Nie podoba ci się Franchetti? Nie leży ci? Nie jest rockandrollowcem, to...

— Tato.

— Pieprz się.

Tata wszedł do kamienicy.

Przy „T minus piętnaście” na podwórko wyszła mama.

— Co powiedziałaś ojcu?

— Nie rozumiem, mamó...

— Potraktowałeś własnego ojca jak śmiecia. Wychodzi ci zaśpiewać, kocha cię...

Otworzyło się okno sypialni i ojciec wrzasnął:

— Mary! Daj mu spokój! Słyszysz? Jest z kolegą, nie możesz zostawić biednego dzieciaka w spokoju...

— Zamknij się, skurwysynu! Ty makaroniarska cioto...

— Zostaw mojego syna w spokoju, głupia kurwo!

— Wiesz, że twój ojciec jest ciotą? — zwróciła się matka do syna. — Wiesz, dlaczego...

Ale on więcej nie usłyszał, bo w tym momencie odpalił mieszaninę azotu z tlenem. Wielkie, białe, ogłuszające pierdnięcie dymu i ognia. Matka wrzasnęła i uciekła do domu, na twarzy Eddie'ego wykwitł szeroki uśmiech zachwyty i rakietę wystartowała w kremowe niebo. Niebiesko-żółta rakietę, biały dym, cynamonowe żądła płomieni. W niebo. W uszach mu dzwoniło, z głowy wymiotło do czysta wszystkie myśli. Do czysta!

OLIVER próbuje wyciągnąć mamę z domu, żeby się dowiedzieć, co zaszło. Ale mama chyba nie rozumie jego aluzji. Wsypuje do rondla zawartość pudełka Rice-A-Roni, miesza. Nie zwraca na niego uwagi.

— Pomyślałem sobie, pomyślałem, że może poszlibyśmy na pizzę. Albo na coś.

Mama nadal się nie odzywa. I — Chodźmy, opowiem ci, co było dzisiaj w szkole. Mama dalej miesza ryż.

— No to opowiadaj — burczy. W jej głosie pobrzmiwa rozdrażnienie. Znajoma oschłość. — Opowiadaj, co tam było.

— No więc... — Oliver wzrusza ramionami. — A ty jaki miałaś dzień, mamó?

j Bez odpowiedzi.

— Mamó!

— Co?

— Pytałem, jaki miałaś dzień.

— Nie pamiętam.

Mama nie patrzy mu w oczy.

— To może pójdziemy gdzieś po kolacji? — sugeruje Oliver. — Na przykład na lody?

— Nie — ucina mama. Oliver próbuje innej taktyki:

— Rozmawiałaś dzisiaj z Juliet?

Mama odwraca się do niego. Kładzie palec na ustach: „Ciii”. Potem mówi:

— Z Juliet? Nie, nie widziałam się z nią.

Oliver wstaje, przechodzi do pokoju telewizyjnego, bierze stamtąd swój szkolny zeszyt, wraca do kuchni i otwiera go na ostatniej stronie. Píše pytanie do mamy:

Przecież ten facet wie, że Juliet jest twoją przyjaciółką. Dlaczego nie możemy o niej rozmawiać?

Mama odpisuje:

Nie waz się wymieniać w tym domu jej imienia. Nigdy.

Oliver pisze:

Co się dzisiaj stało?

Mama odpisuje:

Nie udało się.

Oliver pisze:

Dlaczego? Co się stało?

Mama odpisuje:

Później ci powiem.

Oliver pisze:

Mamo, musimy się mu przeciwstawić.

Mama odpisuje:

Jeśli zaczniemy się mu przeciwstawiać, zabije ciebie.

Oliver pisze:

Zaryzykuję.

Mama rzuca mu płomienne spojrzenie. Chwyta za pióro i ścisza je mocno. Jest wściekła. Pisze:

Jeśli zaczniemy mu się przeciwstawiać, zabije mnie.

Podkreśla słowo: „mnie”.

Oliver daje za wygraną.

196

Mama wstaje, obchodzi kuchenny stół i klęka przed jego krzesłem. Płacze, ale robi to cicho. Obejmuje go, nachyla się do jego ucha i szeptem: „Oliver, nie”.

Po chwili podnosi się z klęczek. Wydziera kartkę z zeszytu, zwija ją w stożek i podpala.

NAUCZYCIEL myśli: „Coś nie tak. Coś tu jest nie tak”.

Rozwija się z pozycji lotosu, w której siedzi na podłodze. Wstaje i podchodzi do konsoli.

Przerzuca przełącznik w położenie TAPE. Przewija taśmę do tyłu. Wcisną na chwilę klawisz PLAY, potem cofa taśmę jeszcze kawałek. Wcisną znowu klawisz PLAY.

Słyszy znowu głos Olivera: „To może pójdziemy gdzieś po kolacji? Na przykład na lody?”

Dlaczego on tak nalega, żeby wyszli z domu? — zastanawia się Nauczyciel.

Annie: „Nie”.

Chwila ciszy.

Oliver: „Rozmawiałaś dzisiaj z Juliet?”

Milczenie. Potem ledwie dosłyszalny syk. Może jakieś zakłócenia? Może para uchodząca z rondla?

Odtwarza ten fragment jeszcze raz. Cichutki poszum. Ale chyba już wie, co to takiego. Jego zdaniem Annie syczy na Olivera, żeby się zamknął.

Odtwarza to jeszcze raz.

OK. Dlaczego miałyby mu zakazywać wspomnienia o Juliet? Pytanie było przecież niewinne.

Pytał tylko, czy rozmawiała dzisiaj z Juliet.

Teraz słyszy cichutkie drapanie, potem szelest i trzeszczenie — co to może być?

Zaraz.

Otwiera szufladę i wyjmuje z niej pióro. Na zakładce książki o tybetańskich medytacjach pisze: AnnieLairdAn-nieLaird.

Przestaje pisać. Odtwarza taśmę.

Pisze znowu: mojaduszamojaduszamojadusza.

197

Tak, słyszał odgłos powstający przy pisaniu.

Porozumiewali się ze sobą na piśmie.

A to trzeszczenie na końcu? — to była paląca się kartka papieru. I ten syk, kiedy Annie wrzuciła ją do zlewu.

Oczywiście. Uznali, że trzeba spalić tę zapisaną kartkę, bo inaczej Nauczyciel mógłby ją znaleźć, szperając w ich śmieciach.

A zatem Oliver wie o mnie. I o pluskwach. I o wszystkim.

I kto jeszcze wie?

Juliet.

Ta lekarka, oczywiście. Annie musiała się zwierzyć tej głupiej, aroganckiej lekarce. To pewnie ona poradziła jej, żeby się postawiła. Juliet, zuchwała awanturnica.

To ona naraziła na niebezpieczeństwo życie chłopca.

Doktor Juliet Applegate, North Kent Road, Pharoah, stan Nowy Jork.

Zadziwia go tak bezmyślna nierozwaga. Tylko po to, by na chwilę się dowartościować, poczuć się odważną, dla tak marnego dreszczyku emocji rzuca się głową naprzód i maści rytm Tao.

Jak ona może tolerować samolubną lekkomyślność własnej duszy — dziwi się Nauczyciel.

EDDIE jedzie następnego popołudnia Hutchinson Park-away. Jest zmęczony. To pracowity dzień, a przecież jeszcze się nie skończył. Najpierw musiał pomóc Vincentowi w założeniu podsłuchu w mieszkaniu Juliet Applegate. Sprawa była śliska, bo dziewczyna mieszka pod sklepem spożywczym, a sklep był czynny, kiedy pracowali.

Potem musiał pojechać aż do Queens, gdzie miał poważną przeprawę z Jamajczykami. Zamiast 28 000 dolarów w osłonie podajnika papierowych ręczników u Luki Texaco znalazł tylko 24000.

Kurczę! Co za ordynarny, partacki, prymitywny przekręt!

Forsę podprowadził prawdopodobnie jamajski muł. Ale Eddie omówił problem z szefami gówniarzy. Eddie był

198

przekonany, że jeśli to rzeczywiście ten szczył, to jego szefowie wyrwą mu pieniądze z gardła. A potem go zatłuką. Jak amen w pacierzu. Jego rodzinę też. I sąsiadów. Dla równego rachunku wykoszą cały personel narożnego sklepiku z gorzałą. Będzie o tym już w wiadomościach o szóstej wieczorem.

Eddie nienawidzi tej brutalnej organizacji i barbarzyństwa Jamajczyków.

Ale teraz strasznie boli go głowa.

I jest wciąż w drodze. Jest znowu na Hutch i jedzie na północ, bo musi wpaść do Frankie'ego i dostarczyć mu prezent od Vincenta. Dowód wdzięczności za pomoc Fran-kie'ego w spuszczeniu łomotu temu wścibskiemu prywatnemu łapsowi. Dwadzieścia tysięcy w gotówce i orchidea dla jego dziewczyny.

To konkretne zlecenie jeszcze ujdzie. Frankie zesra się w spodnie, jak zobaczy tyle szmalu. Orchidea też go mile polechta. Już teraz całuje ziemię, po której stąpał Vincent. Nigdy nie widział jego twarzy, ale uważa Vincenta za kolejne objawienie Dziewicy Maryi. I teraz inkasuje od tego faceta 20 000 i orchideę na dokładkę? Za godzinkę roboty? Wybuduje mu pieprzony ołtarzyk.

Eddie zna to uczucie.

Eddie sam od małego czcił Vincenta. Może nadal go czci. Chociaż od dwudziestu czterech godzin nie może uwolnić się od pytania, które zadała mu Annie:

Dlaczego pozwalacie mu to robić?

Wypierdalaj z mojej głowy ze swoim durnym pytaniem, OK, damulko? Dostarczę

tylko ten prezent, a potem wracam do domu, do mojej mniej czy bardziej normalnej córki Roseanne. Usmażę dla nas dwojga dwa pyszne steki. Do tego krewetki, gotowane kartofelki, obejrzymy sobie „Małżeństwo z dziećmi”. Tylko o tym marzę. Nie mam zamiaru rozmyślać całą noc o pieprzonym Vincencie.

Pozwalacie mu to robić? Co to znaczy: pozwalacie? Vincent robi, co chce.

Zawsze tak było. Od czwartej klasy u Świętego Ksawerego.

199

Gównu sobie robił z tego, co wciskały mu zakonnice. Miał swój rozum, sam wiedział wszystko najlepiej. Na przykład wtedy, kiedy omawiali na lekcji ten wielki komputer UNI-VAC. Vincent podniósł rękę i powiedział, że niedługo powstanie komputer, który nie będzie robił nic, tylko zastanawiał się, jak wygląda Bóg.

To było na lekcji siostry Franceski.

— Wrzucimy do niego wszystko, co wiemy, nie? I on znajdzie algorytm — powiedział Vincent.

— Jaki algorytm? — spytała siostra Francesca.

— Algorytm Stworzenia. Algorytm Boga.

— Wydaje mi się, młody człowieku, że wszystko, co powinniśmy wiedzieć o Bogu, możemy znaleźć w Biblii — fuknęła siostra Francesca.

Vincent zbył ją wzruszeniem ramion i ciągnął:

— Ale żeby zrozumieć Boga, komputer sam będzie musiał się stać Bogiem. Będzie musiał stworzyć własny wszechświat. I może ten wszechświat zajmie miejsce naszego. Nie sądzi siostra, siostrzo Francesko?

W knajpianym czy domowym rozgwarze, w miejscach i sytuacjach, gdzie rządził żywioł, Vincent był zawsze sztywny i skrupowany. Trzeba go było jednak widzieć wtedy, kiedy wiedział, że w pełni panuje nad sytuacją — przerażał wówczas swoją umiejętnością podporządkowywania sobie otoczenia.

Z tym że, jak przypominał sobie Eddie, zawsze istniała kwestia poczytalności Vincenta.

Na przykład raz, kiedy jego starzy byli pijani, wystrzelił z podwórka rakiety, a nikt, prócz Eddiego i samego Vincenta, nie wiedział, że w nosie rakiety siedziała kotka Vincenta.

Jakieś trzy albo cztery dni po zniknięciu rakiety z pasażerem w przestworzach nad Bay Ridge Eddie wpadł do Vincenta i zastał go płaczącego.

200

— Czemu płaczesz?

— Za Madame Butterfly.

— Za twoją kotką? Smutno ci bez niej?

— Brakuje mi jej.

— To po co ją wystrzeliwałeś w to pieprzone niebo?

— Bez przerwy się o nią potykali. Kopali ją. Nigdy nie zmienili jej piasku w pudełku. Tata nalewał jej whisky do miseczki. Musiałem coś z tym zrobić.

Eddie przypomina sobie, jak Vincent prosił go zawsze, żeby mu opowiadał o swoim ojcu, wujach i kuzynach, którzy byli członkami La Cosa Nostra. Przystępstwami zbytnio się nie interesował. Fascynowało go coś, co nazywał hierarchią. Prosił wciąż Eddie'ego, żeby poznał go ze swoimi krewnymi, ale Eddie nie uważał tego za najlepszy pomysł.

Kiedy Vincent zdał do ostatniej klasy szkoły średniej, po jego chłopięcej niezgrabności nie pozostało śladu. Zakochała się w nim jedna śliczna dziewczyna, nad podziw rozgarnięta hipiska, i z początku wszyscy się z niej śmiali. Ale potem jego czarowi ulegały, jedna za drugą, inne dziewczyny. Rozmawiał z nimi o religiach Wschodu, a kiedy mówił, one się rozluźniały, podciągały nogi pod siebie i pomrukiwały: „Mhm, wiem”, i wkrótce można było dopisać Vincentowi na konto następną zdobycz.

Za wyniki w nauce Vincentowi przyznano stypendium do Fordham. Eddie, który już wcześniej zakończył swoją edukację, należał wtedy do gangu, któremu szefował jego kuzyn, Louie Boffano. Głównie kradzież samochodów na części. Nacinanie frajerów w grze w trzy karty, takie tam szczeniackie zabawy. Wchodził im wciąż w paradę ten kutas Gambino, który ubzdurał sobie, że Louie to młodziak, co jeszcze nie wysechł po wyjściu z maminej cipy, i łatwo go będzie wykurzyć.

201

Pewnego lata Louie powiedział, że gdyby wiedział, jak zrobić bombę, to podłożyłby ją Gambinowi pod samochód.

— Znam gościa, który na pewno będzie umiał zmajstrować ci taką bombę, Louie —

pochwalił się Eddie. — Bombę jak się patrzy.

No i poprosił Vincenta, żeby zrobił bombę. Wóz Gambina wystartował w powietrze z prowadzącego na północ pasa trasy Brooklyn-Queens, a kiedy lądował, większość z tego, co z niego zostało, spadła na pas prowadzący na południe. Rama, wał napędowy, chłodnica i zapasowa opona. Trochę dalej spadła jeszcze kierownica z zaciśniętymi na niej kurczowo dłońmi Gambina. Ale reszty Gambina nigdy nie odnaleziono. Reszta Gambina poszybowała do warstwy ozonowej, gdzie dołączyła do kotki Madame Butterfly.

Dla uczczenia śmierci Gambino Louie urządził piknik z pieczeniem prosiaka na rożnie. Vincent był, naturalnie, honorowym gościem, i Louie wznosił na jego cześć toast.

— Wiecie — powiedział — ten dzieciak jest jak młody, młody... no, jak-mu-tam-kurwa-było?

— Komu? — spytał ktoś.

— Nie pamiętam. Wynalazcą był czy czymś takim. Wszystko jedno, aplauz dla naszego gościa.

Wszyscy zaklaskali oprócz kuzyna Tony'ego Spezy, który wcale nie był zachwycony Vincentem.

— Ej, ty nie jesteś Sycylijczyk, co? — spytał go.

— Jestem z północy — odparł Vincent.

— Nawet stamtąd nie jesteś, gnojku. Mnie nie nabierzesz, cerę masz jak duch. Twoja matka to zdaje się Irlandka? A ojciec się nie liczy. To ten szurnięty dupek, który wyśpiewuje opery, nie?

Parę miesięcy później odbyło się potajemne spotkanie Vincenta z Louiem Boffano. Organizował je Eddie. Na tym spotkaniu Vincent oznajmił, że Tony Speza kombinuje coś za plecami Louiego. Na dowód przedstawił rachunek telefoniczny Tony'ego. Wyjaśnił drobiazgowo istotę zdrady,

202

którą wykrył. Utrzymywał, że kilka z tych rozmów przeprowadzono z organami wymiaru sprawiedliwości. Louie roześmiał się i powiedział Vincentowi, że wyciąga pochopne wnioski. Kiedy jednak po paru tygodniach Tony znikł, Louie zbytnio po nim nie rozpaczał.

I od tamtej pory Vincenta i Louiego łączyło coś, czego nikt nie potrafił rozgryźć, nikt nie potrafił nazwać. Vincent prowadził własne życie — college, szkoła zarządzania z programem MBA, praca na Wall Street, zainteresowanie sztuką, kobietami i religiami — ale kiedy tylko Louie popadał w tarapaty albo trzeba było uwolnić go z potrzasku, mówił do Eddiego: „Znajdź mi twojego przyjaciela. Muszę z nim pogadać”. I Vincent zawsze się zjawiał. Z rozpłomienionym wzrokiem. Zawsze chętny do pomocy. Gotów planować usuwanie dowodów albo ich preparowanie, zabiegać o sprzymierzeńców, układać strategię śliskiego handlu heroiną z Ndranghetą i Jamajczykami.

A cokolwiek robi Vincent, robi to bezbłędnie.

Bezbłędnie.

Louie na razie nie siedzi, a przynajmniej nie siedział, dopóki nie potknął się o swój własny długi ożór.

Bardzo niewielu naszych ludzi ginie.

Louie robi się śmierdząco bogaty.

Wszyscy robimy się śmierdząco bogaci.

I jak możesz się dziwić, Annie, że pozwalamy mu to robić?

JULIET mówi:

— Wchodź, zanim pluskwy mi tu należą. Ale Annie nie rusza się. Stoi w drzwiach.

— Pokazał mi, na co go stać — mówi. — I ty twierdziłaś, że można z nim dojść do porozumienia?

— Twierdziłam...

— A więc dowiedz się, że nie można.

— Zaraz, chwileczkę, Annie. Powiedziałam, że możemy z nim dojść do porozumienia, jeśli będziemy silne. Ale najpierw musimy stać się silne. Musimy ukryć gdzieś Oli-vera, musimy...

203

— Nie. Odnajdzie go.

— Posłuchaj, może byś na chwilę usiadła, napiła się herbaty, dobrze, Annie? Porozmawiamy?

— Obiecay mi, że nikomu nie powiesz.

— Zaczekaj.

— Musisz nas teraz zostawić w spokoju.

— Zaczekaj. Co na to OHver?

— OHver ma dwanaście lat, co to ma za znaczenie, co on na to? Przypuszczam, że według niego powinniśmy odgrywać bohaterów. Odwiozłam go właśnie do pani Kolodny. Jutro ława przysięgłych zostanie izolowana. Oliver zostanie u pani Kolodny do ogłoszenia werdyktu. Był zdenerwowany, wściekły na mnie. Ale obiecał, że będzie trzymał buzię na kłódkę, i tylko to mnie obchodzi. Ty też musisz mi obiecać, Juliet.

— Co obiecać? Że cię opuszczę w potrzebie?

— Że nikomu nie powiesz. To moje życie, Juliet. Pamiętasz, co sama powiedziałaś? To moje dziecko.

A zresztą! Spójrz na to od takiej strony: co Juliet może zrobić? Lekkie przekrzywienie głowy, uniesienie dłoni, poddaje się.

I Annie odwraca się, żeby odejść.

— Hej, dziewczyno, posłuchaj! — woła za nią Juliet. — Jutro wieczorem jedziemy z Henrim do Nightbone. Może byś się z nami wybrała? — Chodzi jej o kafejkę poetycką Nightbone w East Village na Manhattanie. Wie, że Annie nie pojedzie, ale mimo to pyta, może po to, by przypomnieć jej, że poza klatką, w której zamknął ją ten sukinsyn, istnieje nadal świat zewnętrzny.

A może chce w ten sposób zatrzymać ją jeszcze na chwilę?

— Co ci szkodzi? — ciągnie Juliet. — Nie jesteś przecież przez niego uwięziona. Jedź z nami, odpręż się trochę, przysięgam, że nie wspomnę słówkiem o procesie...

— Juliet, ty nic nie rozumiesz. Będę izolowana, będę mieszkała w jakimś motelu. Nie mogę się z tobą spotkać, nawet gdybym chciała. A nie chcę, nie mogę. I ty o tym wiesz. Po co więc pytasz?

Nie żegna się. Odwraca się po prostu i rusza w kierunku swojego samochodu.

Raczej konkwistador

ANNIE wczesnym rankiem następnego dnia składa w pokoju przysięgłych arkusz żółtego papieru we dwoje i oddaje go.

Przez skrzynkowe okno wpada jedna smużka dziennego światła. Jeden cętkowany płatek deszczowego dnia — tylko tyle widzi.

Przewodnicząca ławy przysięgłych obiema rękami zgarnia wszystkie karteczki z głosami na kupkę. Zaczyna czytać.

— Winny. Winny. Winny. Niewinny.

Poruszenie wśród przysięgłych. To ja — myśli Annie. To mój głos. Myślą, że zwariowałam.

— Winny — ciągnie przewodnicząca. — Winny. A tu ktoś napisał „Tak”. Nie bardzo wiem, jak rozumieć to „Tak”.

— To znaczy winny — odzywa się Maureen, babcia w liliowym kostiumie.

Przewodnicząca czyta dalej.

— Winny. Niewinny.

Annie tężeje. O Boże, ktoś jeszcze? Jak to możliwe?

— Winny. Winny.

Przewodnicząca rozkłada ostatni arkusik z głosem.

— Niewinny. Troje!

Annie uznaje to za cud.

— Zaraz, jedną chwileczkę. — To mówi mały, żylasty człowieczek imieniem Pete, który jest inspektorem w OSHA,

205

Komisji do Spraw Bezpieczeństwa i Higieny Pracy. Ma na sobie liches garnitur, a z uszu wyrastają mu wijące się włoski.

— To znaczy, przepraszam, czy mogę o coś zapytać?

— Naturalnie — mówi przewodnicząca — proszę.

— Ja tylko, ja nie rozumiem, jak można uznawać tego faceta za niewinnego. Ja

tylko... kto głosował za uniewinnieniem? Czy mogę o to zapytać?

— Zapytać pan może — mówi przewodnicząca. — Ale nikt nie musi panu odpowiadać, chyba że chce. A nie sądzę, by chciał.

— No, dobrze, ja głosowałam za uniewinnieniem — odzywa się Ann Taylorish, gospodyni domowa z Mount Kisco.

— Chce mi pani wmówić — obrusza się inspektor OSHA

— że jej zdaniem Boffano nie zlecił tego zabójstwa? Kobieta wzrusza ramionami.

— Ja tam nie wiem. Może i zlecił. Ale musimy to chyba przedyskutować? Nie chcemy przecież...

— Mamy nad tym dyskutować?! — wpada jej w słowo inspektor OSHA. Podnosi głos. Już. — My po prostu, to znaczy: Chryste! Kto jeszcze? Kto jeszcze głosował za uniewinnieniem?

— Ja. — To emerytowany urzędnik pocztowy.

— Ty, Rolandzie? Dlaczego?

Urzędnik wzrusza ramionami. Upływa sporo czasu, zanim się odzywa, a kiedy to wreszcie robi, mówi powoli:

— Nie wydaje mi się. Żeby władze. Dobrze wywiązały się. Ze swojego obowiązku. I tyle.

Urzędnik wypycha sobie językiem policzek. Twarz ma w wątrobianych plamach, a oczy przekrwione i podpuchnięte. Patrzy w górę na dźwiękochłonne płytki, którymi wyłożony jest sufit, a Annie usiłuje go rozgryźć. Czyżby pracował dla Nauczyciela? Gdyby spojrział na nią, to może udałoby się jej rozszyfrować go po oczach.

— Z dochodzenia? — pyta inspektor OSHA. — Zostało wszczęte i doprowadzone do końca.

— To ty tak twierdzisz — mówi urzędnik.

206

— Przecież jest taśma, prawda? Jest taśma! Słyszałeś tę taśmę?

— To ty tak twierdzisz.

— Ja niczego nie twierdzę. Ja cię pytam.

— To ty tak twierdzisz.

— Co ja niby twierdzę? Przestań to powtarzać jak nakręcony, Rolandzie, bo za chwilę szlag mnie trafi. — Inspektor OSHA rozgląda się wkoło. Wzdycha i zakłada ręce na piersiach. — Jezu!

— Czy ktoś jeszcze chce zabrać głos? — pyta przewodnicząca.

Annie wciąga powietrze w płuca. To wystarcza — oczy wszystkich kierują się na nią.

— A ty, Annie — pyta przewodnicząca — jaki jest twój werdykt?

Ale Annie nie może dobyć z siebie głosu. Gardło ma ściśnięte.

— No... — udaje jej się wykrztusić. Część wpatrzonych w nią oczu odwraca się litościwie. Próbuje jeszcze raz. — No, ja tylko...

— Może to nie fair wyluskiwać głosujących za uniewinnieniem — wtrąca się nowy głos. — Może, może powinniśmy wspólnie przeanalizować naszą sprawę. No, wiecie państwo.

Wielki, misiowaty facet o swobodnym stylu bycia. Ma na imię Will. Długie blond włosy, dżinsy i czarna kurtka. Gra na klarncie w zespole jazzowym w Briarcliff. Wesela i inne uroczystości.

— Może byśmy tak wypisali na tablicy — ciągnie — co myślimy o dowodach, jakie nam przedstawiono? OK? Potem przeanalizujemy to punkt po punkcie. — Podchodzi niedbale do przenośnej tablicy umieszczonej na stojaku. — OK? Co więc mamy? Ilu było świadków oskarżenia?

— Trzech — mówi inspektor OSHA. — Najpierw ten wielki facet, ten... eee... „kapitan”? Jak on się nazywał?

— DeCicco — podpowiada matrona z Mount Kisco. — Paulie DeCicco.

207

— Zgadza się — mówi Will Klarinet. Pisze na tablicy „DeCicco”. — No więc co o nim myślimy? Ufamy mu?

— Ja bym mu tam nie powierzył nawet karmienia mojego domowego szczura — mówi inspektor OSHA. — Ale w tej sprawie? Owszem, to, co mówił, brzmiało... odnosiłem wrażenie, że mniej więcej można mu...

— Ale on walczył o łagodniejszy wyrok. — To mówi piekarz, czarny z New Rochelle.

— Tak, ale tylko w ten sposób można go było nakłonić do składania zeznań — podkreśla Will Klarnet. — To jedyny sposób na ludzi z mafii. To i taśmy.

— Taśmy! — podchwytuje OSHA. — Zapiszmy: „taśmy”!

— Chwileczkę, w tej chwili dyskutujemy...

— Zapiszmy „taśmy” i to na czerwono — nalega inspektor OSHA.

— Mamy czerwoną kredę? — pyta ktoś.

— Tak właśnie powinniśmy to robić — odzywa się stary urzędnik pocztowy. — Powinniśmy mieć czerwoną kredę. Do ważnych dowodów. Zieloną. Do dowodów, które są comme ci, comme ca... — Przebiera palcami.

— Comme ci, comme ca? — przerywa mu inspektor OSHA.

— To po francusku. Po francusku, przyjacielu.

— Daruj sobie — mówi inspektor OSHA. — Siedź tylko i słuchaj.

Spogląda na Annie i mówi:

— Przypuśćmy, przypuśćmy, że oni wszyscy kłamią. DeCicco, ten „muł”, ten gliniarz. Przypuśćmy, że nie wiedzą, kim jest Louie Boffano. Ale przecież mamy te taśmy. Zgoda?

— Widzi pan — mówi słodko, spokojnie Will Klarnet — próbujemy jakby to wszystko usystematyzować.

— Co tam systematyzować! — prycha inspektor OSHA. Znowu zwraca się do Annie: — Proszę pani, kiedy słuchała pani tych taśm, kiedy słuchała pani, jak on mówi... jak to szło...? o tym tunelu?

208

Trzy głosy recytują chórem — bo wszyscy słuchali tych słów dziesiątki razy:

Powiedziałem Nauczycielowi: OK, chcesz, to kop ten tunel...

Jeszcze trzy głosy podchwytują: Kop tunel. Załatw skurwysyna! Jezu!

Salwa śmiechu.

— No więc kiedy pani tego słucha — pyta inspektor Annie — to co, na miłość boską, pani myśli? Myśli pani, że on mówi o tunelu miłości?

Annie zdaje sobie sprawę, że się rumieni, i wie, że oni wszyscy to widzą.

No, weźże się w garść, odpowiedz mu. Mogę mówić, potrafię. Czego ja się tak boję?

Boję się, że zorientują się od razu, z jaką oszustką mają do czynienia, że zorientują się, iż nie wierzę w ani jedno słowo z tego, co mówię.

Ale musi spróbować.

— Ja nie... nie sędzę, aby ta taśma czegokolwiek dowodziła. On mógł, może, no nie wiem, to nie był formalny rozkaz.

— Załatw sukinsyna! — to nie jest, według pani, formalny rozkaz?

— Ale... on użył tego sformułowania w opowiadaniu, prawda? Może się chwalił. Chwalił się, że wydał rozkaz zabicia Riggia, ale tak naprawdę to go nie wydał...

Milknie. Patrzy na Willa Klarneta. Will ma taką miłą twarz, jest tak dobroduszny z tą swoją misiwatością, i Annie czuje, że jej słabo i że za chwilę może się rozplakać. Pragnie, by ktoś ją ochronił, pragnie, by ktoś ją zastąpił w zajmowaniu się tą sprawą...

— Pani chyba żartuje? — mówi inspektor OSHA. — Naprawdę uważa go pani za niewinnego? Według pani on się tylko przechwala, że posłał człowieka, aby ten zabił Riggia?

Twarze siedzących przy stole obiega fala uśmiechów. I co z tego? Niech się uśmiechają. Przecież to nie ma właściwie żadnego znaczenia — myśli Annie — bo ona

14 — Zabij go. mamó

209

musi tylko trwać twardo przy swoim. Trwać bez względu na to, co sobie o niej pomyślą. Być jak kamienny mur, i to wszystko. Nie musi ich nawet słuchać. Tydzień tej tortury. Może dziesięć dni. Może nawet dwa tygodnie — ale w końcu przyjmą jej stanowisko, w końcu będą musieli ogłosić, że ława przysięgłych zawiesza obrady na skutek niejedno-myślności...

SLAVKO na mityngu koła Anonimowych Alkoholików. Czeka na swoją kolej, aby zabrać głos. Słucha jednej drętwej opowieści o śmierci za życia po drugiej i zachodzi w głowę: jak, u licha, ten rytuał może komuś pomóc? Co komu daje to biadolenie? Odchodzący od nas kochankowie, pogardzające nami dzieci, telewizja, która proponuje i nakłania, cwaniaczki, które pieprzą nam w głowach: te zale są uniwersalne, jak, u diabła, mogą im ulżyć w dźwiganiu ich krzyża?

Jezu, jak on nienawidzi tych mityngów!

Chociaż uważa, że dałoby się na nich nawet wytrzymać, gdyby serwowali tu jakieś koktajle.

Kiedy przychodzi wreszcie jego kolej, mówi:

— Mam na imię Slavko i jestem alkoholikiem.

— Cześć, Slavko — pozdrawiają go chórem.

— Jestem alkoholikiem, a do tego narkomanem w miłości oraz nałogowym palaczem i dałem dupy jako prywatny detektyw, którym do niedawna byłem, chociaż przyznać muszę, że i tak nie przepadałem za tym zajęciem. Teraz jestem poetą i nawet nieźle mi idzie. To światełko w tunelu. Jeśli chodzi o ścisłość, to ukończyłem właśnie swój pierwszy wiersz, ale jak na razie moje nowe zajęcie nie przynosi mi żadnych profitów, no, wiecie, o co mi chodzi? Trochę to potrwa, zanim stanę na nogi, zanim zacznę zgarniać wielki szmal. Mieszkałem do tej pory w moim biurze, ale dzisiaj mnie stamtąd wyeksmitowano, a więc teraz będę mieszkał w moim samochodzie. Co by tu jeszcze? Palenie. Jezu, przez te papierochy wypływają kiedyś płuca. Jakaś bliżej nie określona obolałość w dolnej części pleców, podejrzewam

210

więc, że wkrótce ruszy kolejny kamień nerkowy. A serce? Serce mam nie tyle złamane, co roztrzaskane w drobny mak. Na proszek — mówię wam — ugór, więc nic już na nim nie wyrośnie. Jestem okropnym próżniakiem, żal mi siebie przez duże Ż, rzygać mi się chce od waszego pieprzonego pijackiego lamentowania i mam go już po dziurki w nosie. Wystarczy na jedno posiedzenie czy coś dorzucić?

Milknie.

Wysłuchuje jeszcze kilku płaczliwych opowieści, jeszcze kilku powolnych śmierci, a potem bierze tyłek w troki i idzie stamtąd w diabły.

Wsiada do Ochlapusa i rusza przed siebie.

Wkrótce stwierdza, że wiatry przeznaczenia przygnały go pod knajpę Gillespiego w North Tarrytown. Przed wejściem stoją trzy samochody. Jeden należy do samego Gillespiego, a drugi do pewnego nieprzyjemnego typu, który często tu bywa. Trzeciego samochodu Slavko nie rozpoznaje, ale wóz musi należeć do kogoś tak niegodziwego, że potrafi znieść nawet towarzystwo Gillespiego i tego typu.

No więc co za sens tam wpadać, Slavko? Może pojedziemy dalej?

Wypija u Gillespiego tylko trzy drinki.

Potem postanawia zmienić lokal.

Jedzie do Ossining. Mijając dom Sari zwalnia. Tak jak poprzedniego wieczoru. Przejeżdża, zwalnia, sprawdza.

Co sprawdza?

Nie wie, a w ogóle, czy ktoś o to pyta?

Dzisiaj jej samochód stoi pod domem, ale wszystkie światła są pogaszone. Za wcześnie, żeby leżała już w łóżku. Pewnie wypuściła się gdzieś na gorącą randkę. Rozgrzaną do białości, namiętą randkę z tym sukinsynem.

Może w domu tego sukinsyna.

Jakiś czas jedzie mniej więcej w tamtym kierunku, ale w pewnej chwili zerka odruchowo n&>wskaźnik paliwa i stwierdza, że strzałka opadła do zera. Ścisłej mówiąc, dawno je minęła i stoi teraz sporo poniżej. Jedzie na samych oparach. Ale na szczęście niedaleko jest stacja benzynowa.

211

Jedna z tych małych całodobowych stacyjek benzynowych. Skręca tam i zatrzymuje się na jasnej, jarzeniowej wyspie pomp. Naciska na próbę spust końcówki węża i, o dziwo, dystrybutor zaczyna pompować. Pozwalają mu zatankować przed zapłaceniem. A to ciapciaki — myśli Slavko — co za klasyczne żółtodziobe dupki!

Nalewa sobie do pełna. Wchodzi do kantorku, a smutny facet przy kasie mówi:

— Piętnaście dolarów i czterdzieści dwa centy.

— Naprawdę? Tak dużo? Nie nalałem za tyle.

— Słucham?

— Myślisz, że śpię na forsie?

— Chce pan powiedzieć, że nie ma czym zapłacić?

— Otóż to.

— He pan ma?

— Znaczy: dokładnie?

— Tak. Ile ma pan pieniędzy?

- Nie mam nic.
- Zapomniał pan portfela?
- Nie, portfel mam. Tylko że pusty.
- Chwileczkę. Pan zaczeka.

Pracownik stacji podnosi słuchawkę telefonu i wciska klawisz A.

- Wzywasz władze federalne? — pyta Slavko. — Chcesz mnie wsadzić za kratki? Zupełnie zasłużenie. Poniewierany, bity, gwałcony raz po raz przez sześć miesięcy? I to wszystko za pusty portfel? Tak, zupełnie zasłużenie.
- Dzwonię do szefa — uspokaja go pracownik stacji. Zamienia kilka słów z pracodawcą, po czym oddaje słuchawkę Slavkowi.

— Hooten z tej strony. W czym problem?

— No właśnie, panie Hooten, utrafiłeś pan w sedno. W czym problem? Mimo wszystko Slavko nie jest taki beznadziejnie głupi. Niektórzy uważają go nawet za dowcipnego. Człowiek z niego szczerzy, dosyć przystojny. A więc o co tu biega? W czym problem? Cóż, wydaje mi się, że musi brakować jakiegoś decydującego elementu.

212

Pan Hooten mówi coś niestosownego. Ale Slavko peroruje dalej:

— Gdybym tylko potrafił jeszcze ustalić, co to za element! Co to za maleńka skaza! Powinienem zostać neurochirurgiem! Albo poetą! A zamiast tego nawiedzają mnie wszelkie upokorzenia, jakie mogą nawiedzić przeciętnego Amerykanina z przedmieścia. Z jednym wyjątkiem! Mam nadal swoje cztery kółka. O tak, pieprzę pana serdecznie, panie Hooten, może nie stać mnie na zapłacenie za to, ale nadal mam pełny bak w tym starym rzęchu i mogę na nim dojechać stąd aż do...

— DAJ MI Z POWROTEM PRACOWNIKA! — wrzeszczy pan Hooten.

Slavko oddaje pracownikowi stacji słuchawkę. Potem odwraca się do czekających w kolejce klientów i mówi:

— Nadal mam swoje cztery kółka. Nadal mam pełny bak. I wy mnie nazywacie nieudacznikiem?

Pracownik stacji odkłada słuchawkę na widełki i zwraca się do niego:

— Szef mówi, że jeśli wyniesie się pan stąd w ciągu trzydziestu sekund, to nie muszę dzwonić po policję.

JULIET siedzi z Henrim w kafejce poetyckiej Nightbone. To impreza zamknięta, jest wpół do jedenastej, a kafejka aż chodzi. Powolna trąba powietrzna dymu, moczymordy, ćpu-ny, przytrute eurozera. Zbieranina ewidentnych świrów (na przykład ten tam facet buczący na połówce plastikowego kręgla). Parę znakomitości (na przykład Paul Simon na balkonie w towarzystwie trzy razy od niego wyższej kobiety)...

Na scenie bryluje Bob Bozark, Mistrz Ceremonii, w damskim kapelusiku z podwiniętym rondem, który stanowi jego znak firmowy, w krzykliwym garniturze, bez reszty wcielony w swoje drugie ja — Złośliwego Karzełka. Zieje żółcią na lewo. Na prawo. Miota się, gestykuluje, zwija jak w ukropie i w końcu zapowiada następnego poetę, a sam zbiega ze sceny, by wytrąbić kolejne piwo...

213

Juliet uświadamia sobie, że ktoś się jej przygląda. Uderzająco przystojny facet w czarnej skórzanej kurtce policyjnej.

Juliet odwzajemnia jego spojrzenie.

Nie bawi się tu w żadne podchody. To jej jedyny wolny wieczór na najbliższe dwa tygodnie. Nie ma czasu na jakieś figle-migle, jeśli chce sobie znaleźć kogoś do łóżka. Jeśli chce wyrzucić z myśli Annie z jej kłopotami, jeśli chce zapoznać się bliżej z krzywym uśmiezkiem tego mężczyzny, z jego wspaniałymi kośćmi policzkowymi i lesnozielonymi oczami, będzie musiała zamanifestować wyraźnie swoje intencje i nie pozostawiać niczego przypadkowi.

Posyła mu więc zabójczy uśmiech.

W tym momencie do faceta przysiada się jakaś blond lafirynda.

Cholera, jego towarzysza. Przypudrowała sobie nos i wróciła.

— A to suka — mruczy Juliet.

— Co? — pyta Henri.

Juliet wskazuje głową na intruzkę.

— Co zrobiła? — pyta Henri.

— Sprzątnęła mi sprzed nosa chłopaka. Niech no trafi kiedyś do mojego szpitala.

Do mikrofonu podchodzi zaanonsowana przed chwilą poetka: krępa, chłopakowata, czarna lesba. Kiedy cichnie aplauz, zapowiada tytuł swojego wiersza:

— „Chcę się z tobą pieprzyć albo porozmawiać bez zahamowań, Rudowłosa Mamuśko od tego stolika w głębi, niedaleko kąta”.

Wszyscy odwracają się i patrzą na Juliet.

Poetka zaczyna. Wyrykuje jednym tchem erotyczną balladę, dosadnie sprośną, przekrzykując salwy śmiechu, i jest nawet oryginalna. W jej wierszu Juliet leży wygięta w łuk, rzucona na kamienne kolana Alicji z Krainy Czarów z Central Parku, poetka pochyla się nad nią, a w koronach drzew trzaskają błyskawice.

Wszyscy są zachwyceni płomienną żądzą poetki, jej ko-

214

gucim zacietrzewieniem. Każda bezpruderyjna kobieta w tej melinie jeszcze raz rozważa swoje szanse.

A Juliet — wyprężona jak kotka, oblana purpurowym rumieńcem — ma swoje pięć minut. Jezu, jaka szkoda, że nie ma tutaj Annie, która przeżywałaby to razem z nią! Wiersz kończy się eksplozją w piskliwy orgazm. Kafejka trzęsie się od owacji. Poetka zeskakuje ze sceny i lawiruje między stolikami, a Juliet wstaje, otwiera ramiona i poetka rzuca się w nie. Juliet zamyka oczy przy pocałunku. Czuje mały ruchliwy języczek wsuwający się jej między wargi. A co tam — wychodzi mu naprzeciw swoim językiem. Czemu by nie, czemu, u diabła, nie? To przecież to samo, co pocałunek z mężczyzną, z tym że musi się aż tak nisko schylić i tyle par oczu na nią patrzy. Kafejka pęka w szwach. Kakofonia gwizdów i pisków. Jurorzy podnoszą kartoniki z ocenami: same pełne dziesiątki. Naturalnie, wiersz jako taki jest do niczego — nikt nie dał się nabrać — ale wykonanie było brawurowe, pocałunek wspaniały, a więc kto by się tym przejmował?

Juliet spogląda znowu na scenę i obok poetki widzi tego oszalałającego mężczyznę w czarnej policyjnej kurtce.

Facet czyta coś, co jest prawdziwym wierszem. Wprawia tym wszystkich obecnych w zakłopotanie. To nie wierszyk na przyjęcie w gronie znajomych, nie jeszcze jeden pean na cześć dekadencji, ale poruszający utwór o zimie spędzonej na wulkanie w Islandii. Z krukiem siedzącym na gałęzi jarzębiny.

Ostry wicher jego głosu jest tak przejmujący, że ucisza nawet tych pijaków, te męty i oblegaczy sceny. Nie rozumieją, co prawda, treści, ale oddają wierszowi należny szacunek. Kiedy Bob Bozark wraca do mikrofonu, sarkazm wprost kapie mu z kłów

— widać, że jest naprawdę pod wrażeniem.

Kończy się następna runda i Juliet przepycha się do obłożonego barku, żeby zamówić piwo dla siebie i dla Hen-riego.

Poeta w czarnej kurtce wślizguje się na wolny stółek obok niej.

215

— Witam panią doktor — mówi.

— Skąd wiesz, że jestem lekarzem?

— Odwoziłem raz przyjaciela do szpitala. Do St. Ignatiusa. Wypadek samochodowy. Nic poważnego. Dobrze się nim zaopiekowałeś.

— Czyżby?

No, nie. Chryste — zżyma się w myślach Juliet — ależ jestem oryginalna. Czyżby!

— Nie rozmawialiśmy ze sobą — wyjaśnia mężczyzna.

— Ale trudno cię zapomnieć. Jestem Ian Slate.

— A ja Juliet. Naprawdę mieszkałeś w Islandii?

— Dawno temu. Obsługiwałem jako dziennikarz ten szczyt w Reykiawiku. Potem wzięłem sobie parę miesięcy wolnego.

Błyska swoim krzywym uśmiechem. Juliet jest już oczarowana jego zielonymi oczami.

— Napisałeś jeszcze jakieś wiersze? — pyta.

— Naturalnie. Mógłbym cię nimi kiedyś ponudzić?

— Byłabym zachwycona.

— Jestem tu dzisiaj z kimś. Ale mógłbym cię prosić o numer telefonu?

Juliet wzrusza ramionami.

Ian wyjmuje pióro. Juliet zapisuje swoje nazwisko i numer telefonu na serwetce. Ale kiedy mu ją podaje, cholera! Zjawia się ta jego przyjaciółka. Wyrasta jak spod ziemi z wymuszonym, zmrożonym uśmiechem na ustach.

Ale Ian Slate wykazuje się refleksem.

— Sari — mówi — to Juliet Applegate. Jest lekarką i pracuje w szpitalu St.

Ignatiusa. Prosiła mnie, żebym ją powiadomił, kiedy następnym razem będę czytał swoje wiersze w Westchester, bo chce popatrzeć, jak robię z siebie głupca.

— Eben, musimy już iść — mówi stanowczo dziewczyna.

— Miło było cię poznać, Juliet.

I uśmiecha się do Juliet, rzucając jej jednocześnie miażdżące spojrzenie.

216

ANNIE leży w łóżku w swoim pokoju hotelowym. Współlokatorka, matrona z Mt. Kisco, śpi już od paru godzin, ale Annie wciąż ma szeroko otwarte oczy, myśli o Żółwiu. Stara się nie myśleć o tym, co musi robić w sali posiedzeń ławy przysięgłych. A więc zamiast tego myśli o Żółwiu i o Drewie, i o tych dniach spędzonych w Brooklynie, z którymi wiążą się tak bolesne wspomnienia — ale które teraz wydają jej się miłe i spokojne. Teraz są to już stare dobre czasy.

Pierwsza zima po skończeniu szkoły sztuk plastycznych. Mieszkanko w tym magazynie w Greenpoint, przy Franklin Street, tuż nad East River. Można było wyleźć w nocy na dach i podziwiać światła śródmieścia Manhattanu. Kloco-wata bryła budynku Chryslera, zimny gmach Citicorp. A bliżej czarny cylinder beczki na gówno, skąd ładowano na barki i wywożono zamrożone fekalia z całego miasta.

To zimne mieszkanko na poddaszu. Robiła tam z gipsu, drewna, smoły i piór ogromne zwierzaki, ospałe mamuty. Próbowwała się przymusić do tworzenia sztuki politycznej, żeby zwrócić na siebie uwagę galerii, ale po prostu nie mogła. Budowała dalej te ogromne, kosmate zwierzęta i tej zimy była tak samotna i przygnębiona, że myślała, iż umrze — dopóki nie poznała Żółwia, który był basistą w zespole i w środowe noce miał próby na dole.

Żółw miał strzępiastą brodę, małe, świńskie oczka, mały haczykowaty nosek przypominający dziób orlego pisklęcia. Nienawidził tego miasta. Zabrał ją na Grand Central, wsiedli tam w pociąg, pojechali na północ, wysiedli na jakiejś przypadkowej stacyjce i szli, dopóki nie znaleźli się na łące. Tam odgarnęli śnieg ze skalnej ściany i urządzili sobie piknik ze szczękaniem zębami.

Potem, w drodze powrotnej do domu, zwinęła się w kłębek w przytulnie ciepłym wagonie kolejowym i zasnęła w objęciach Żółwia.

I nagle zima przestała jej się wydawać taka zła.

Żółw, na wszelki wypadek, gdyby nie wypaliła jego Wielka Kariera Rockowa, studiował w uniwersytecie nowojorskim

na wydziale felczerskim. Chciał pomagać ludziom. Ludzkie cierpienie strasznie go poruszało. Był chłopięco gorliwy i niezręczny. Wprost promieniował miłością i czułością.

Podczas następnego pikniku, na innej łące, pocałował ją zmarzniętymi ustami. Annie nie bardzo wiedziała, czego sama chce. Nie była pewna, że chce się z nim kochać. Ale tej nocy oddała mu się na zakurczonym materacu i było jej dosyć dobrze. Przespała się więc z nim jeszcze dwa razy.

Ale czegoś jej w nim brakowało, tylko czego? Zastanawia się nad tym teraz, w tym chłodnym motelowym pokoju, i zżyma na myśl, że brakowało mu jakiegoś rodzaju siły. Na myśl, że była tak głupia i nie doceniła w nim siły płynącej z dobroci serca.

Potem do jego zespołu doszłusował nowy wokalista, Drew, chudy, zaćpany, zepsuty chłopak, który miewał czasami chamskie zagrania i cuchnął. Miał też jednak wspaniałe poczucie humoru oraz takie oczy i taką szczękę, czemu Annie nie potrafiła się oprzeć, i raz zawiózł ją swoją starą furgonetką do rozwożenia pieczywa pod brooklyński przyczółek Manhattan Bridge, zaparkował tam, wpełzli oboje na tył furgonetki i rozmawiali wiele godzin, a potem, pośród łyżek do opon, obciągnęła mu kutasa, który był długi, rajcujący i sękaty. Posiniaczył jej nim usta. Kiedy ona go ssała, on ścisnął ją udami, a kiedy się spuszczał, doszła i ona, i wierzgnęła nogami, i uderzyła się boleśnie wielkim palcem u nogi o tylne drzwi furgonetki.

Nie nazwałaby tego zbliżenia romantycznym — ale chyba zaspokoilo w niej jakieś pragnienie.

Jeździła z Drewem dalej jego furgonetką. Łamała tym serce Żółwiowi. Było jej go trochę żal, ale ten żal w najmniejszym stoniu nie nadwątlął zaślepienia, w jakim trwała. Kiedy zaszła w ciążę, Drew wyperswadował jej, żeby urodziła to dziecko. Był z nimi przez półtora roku, a potem mu się znudziło i czmychnął na Bali.

Ostatnio słyszała, że mieszka w Pradze i śpiewa stare kawałki Beatlesów nastolatkom na moście Karola.

A Żółw wyjechał do wioski w górach Gwatemali, gdzie

uważano go za lekarza i drzwi jego domu nie zamykały się ni w dzień, ni w nocy. Nauczył się tam grać na instrumencie przypominającym flet, a nazywanym przez tubylców chiri-mia. Gra na nim na festiwalach. Raz od wielkiego dzwonu wybiera się załatwić jakieś sprawy do miasta Huehuetenan-go i wtedy telefonuje do Annie. W

każdym razie do tej pory tak robił.

A dzisiejszej nocy, leżąc z otwartymi oczami bez szansy na zaśnięcie w tym obcym łóżku, w pokoju zalewanym raz po raz poświatą neonu błyskającego nad fasadą hotelu Caruso, Annie dochodzi do wniosku, że Żółw, ze swoimi świńskimi oczkami, swoją tępą, bezkrytyczną, nie chcianą przez nią miłością, to jedyne na świecie, o czym może myśleć, by zapomnieć o sprawie, sprawie, która ją zabija.

SLAVKO sporo po północy, nie mając nic lepszego do roboty, dochodzi do wniosku, że pojedzie jeszcze raz pod dom Sari. Tylko żeby sprawdzić, czy już wróciła.

Wróciła.

A tamten z nią.

Jego lotus stoi na podjeździe. O tak, potężny duchem E.R. jest tutaj.

Slavko parkuje kawałek dalej. Gmera przy radiu. Czeka i obserwuje.

W domu Sari jest ciemno i cicho. Bez wątpienia w tej właśnie chwili E.R. prezentuje swojego wspaniałego, klasycznego penisa jej ustom. Jej różanym usteczkom. Tak im obojgu dobrze. A ja? Ja swoją seksualną karierę mam już za sobą, a więc co mi właściwie szkodzi posiedzieć sobie tutaj na zimnie, na tej pieskiej pałdziernikowej zimnicy, posłuchać skwierczenia zakłóceń i wyników szkolnej ligi futbolowej w radiu i pogapić się na ten dom ze świadomością, że wy, dwa aniołki, macie tam w środku ciepłutko i przytulnie, pieprzycie się, aż furkocze, i w ogóle wspaniale się bawicie.

Kij ci w slip, Ebenie Rackland. Żebyś tak od tego zdechł, Ebenie Rackland!

219

Slavko raczy się kolejnym łyżkiem burbona.

Rób to naprawdę powolutku, Ebenezer, ja mam całą noc. Nie śpiesz się przez wzgląd na mnie. Nie krępuj się, przerznij ją jeszcze raz. Szkoda by było, gdyby się zmarnowała choć kropelka twojego cennego, srebrzystego uduchowionego nasienia.

Zapala się światło na ganku Sari.

W drzwiach pojawia się E.R.

Sari wychodzi za nim na krok od progu. Jest w szlafroku, owija się nim, owija szczelnie, bo jej zimno. E.R. odwraca się, bierze jej głowę w dłonie, przyciąga do siebie i całuje w usta. Całuje ją miękko, potem odsuwa się.

Ale nadal trzyma jej policzki koniuszkami palców.

Ten rytm ruchów, ta dominująca postawa, cały on. W tej scenie Sari jest jak porcelanowa lalka. I siedzący w Ochla-pusie Slavko czuje, jak groszkowozielony gniew rozpełza mu się po wnętrznościach.

No, cmoknij ją jeszcze raz i spieprzaj, palancie.

W końcu E.R. schodzi z ganku Sari i idzie do swojego samochodu. Sari woła coś za nim, ale Slavko nie słyszy, co. Pomalutku, po cichutku opuszcza szybę. Wyteża słuch.

Teraz słyszy, jak pośród tej rześkiej, głuchej nocy E.R. mówi:

— Kiedy tylko będę mógł, jak tylko będę mógł, przecież wiesz.

Sari pochmurnieje na chwilę. Ale otrząsa się z tego i uśmiecha blado, a potem odwraca się, żeby wejść do środka.

— Hej — woła do niej cicho E.R.

— Co?

— Kochankę.

— Co?

— Pokaż mi.

Jej usta rozciągają się w szerszy uśmiech, chociaż próbuje je powściągnąć.

— Przestań, Eben. Ludzie, ludzie mogą...

— Jacy ludzie? Jest druga nad ranem, No, pokaż mi —

220

i E.R. przygryza po chłopięcemu dolną wargę. Na widok tej sztuczki Slavkowi zbiera się na wymioty, ale Sari daje się na nią nabrać. Zadziera nagle bródkę do góry, rozpościera poły szlafroka i przyjmuje wyzywającą pozę.

Jej piersi to uwznioślający widok. Włosy łonowe ma wygolone w wąski pasek, przypominają łzę, górną część wykrzyknika. Bierze się pod boki, żeby powstrzymać poły szlafroka przed opadnięciem, i nawet z tej odległości widać, jak wielką przyjemność sprawia jej obnażanie się przed E.R.

A co ze Slavkiem?

Chodzi o tego nieudacznika? Och, on jest niczym. Jest tutaj fragmentem mroku. Jest

zboczonym podglądaczem podziwiającym ten spektakl, czego ona się obawiała. Skończonym dewiantem.

Ale nie czerpie z tego żadnej przyjemności. Jej uroda tylko go rani. Odwraca wzrok. Słyszy, jak E.R. mówi:

— Wiesz, że masz mnie na smyczy. Wiesz, że nie mogę odejść od ciebie zbyt daleko ani na zbyt długo. Kocham cię.

Slavko słyszy, jak wsiada do samochodu. Słyszy miękki pomruk uruchamianego silnika. Patrzy, jak E.R. wyjeżdża tyłem na ulicę, rusza pod górę i oddala się. Sari, dygocząc z zimna, opatula się ciasno szlafrokiem i odprowadza go wzrokiem.

Slavko wyciąga swój mały notes i pisze:

2.10 E.R. opuszcza dom S.K., przy Arning Road. P.

To P oznacza podjęcie pościgu. Wsuwa notes z powrotem do kieszeni marynarki.

Sari nadal stoi przed domem. Patrzy w kierunku, w którym znikł E.R.

Idź do łóżka, Sari. Rozgrzej się.

Daj mi ruszyć za tym facetem.

W końcu dziewczyna wchodzi do środka — i w momencie kiedy zatrzaskuje drzwi, Slavko przekręca kluczyk w stacyjce Ochlapusa. Nie zapalając reflektorów podjeżdża pod wzniesienie najciszej, jak może w tym starym gruchocie. Ale kiedy tylko dociera do szczytu, wciska pedał gazu do dechy. Ochlapus rzezi. Slavko usiłuje nie stracić kontaktu

221

wzrokowego z odległymi czerwonymi punkcikami świateł pozycyjnych E.R.

Jazda bez świateł to ogromne ryzyko. Jak mnie gliny przyuwają, to leżę. Bez świateł, po spożyciu, przekroczenie szybkości, wygasłe ubezpieczenie, brak aktualnej nalepki z okresowego przeglądu technicznego, stawianie oporu władzy, czynna napaść na funkcjonariusza policji na służbie, zamordowanie i poćwiartowanie rzezonego itd., itp.

Ale na tej drodze jesteśmy tylko ja i E.R. A jeśli E.R. zauważy w swoim wstecznym lusterku reflektory, to czmychnie jak królik. Tak więc Slavko musi jechać na ślepo. Mrużąc oczy wypatruje linii biegnącej środkiem szosy i liczy na swoje zasmarkane szczęście.

Na skrzyżowaniu z Eastgate Road E.R. skręca w lewo, w stronę rzeki. Mija seminarium, mija duży kościół z kamienia... a potem skręca w podjazd hotelu Caruso.

Stary owdowiały słoń. Kiedyś był luksusowym pałacem, ale teraz tynk odpada płatami ze ścian, rdzewieją kute w żelazie balustrady balkonów. Budowla ta stała się miejscem, w którym organizowane są drugorzędne zjazdy i szykowne wesela. I czasami, kiedy któraś z tych imprez wymaga zapewnienia dodatkowych środków bezpieczeństwa, kierownictwo wzywa Slavka.

E.R. parkuje i rusza szybkim krokiem w kierunku głównego wejścia. Slavko czeka na głównej szosie, aż E.R. zniknie w środku, i dopiero wtedy skręca w podjazd. Zatrzymuje wóz na uboczu ogromnego hotelowego parkingu, wpisuje coś do swojego czarnego notesika, po czym wchodzi za E.R. do budynku.

Kiedy staje przed kontuarem recepcji, recepcjonista Je-rome rzuca mu przelotne spojrzenie znad klawiatury.

— Nie spóźniłeś się przypadkiem, Slavko? — pyta. Spuszcza z powrotem wzrok, by kontynuować przerwane zajęcie. Wprowadza do komputera jakieś dane. — Miałeś tu być wczoraj.

Śmieszna, okrągła głowę ma ten Jerome, śmieszny, nosowy akcent.

222

— Spóźniłem się? — dziwi się Slavko. — Na co? Nadal nie podnosząc wzroku, Jerome skanduje płaczliwie:

— Związek Producentów Sprzętu Mleczarskiego? — Stawia znak zapytania po każdym słowie, jakby chciał w ten sposób uruchomić w pamięci Slavka dzwoneczki i gwizdki.

Slavko przypomina sobie jak przez mgłę, że zgodził się tu przyjść i czuwać nad bezpieczeństwem tych czubków. Ale to było w innej erze. Półtora tygodnia temu. Kiedy, na miłość boską, wywiązanie się z takiego zlecenia mieściło się jeszcze w granicach możliwości.

— Jerome — mówi Slavko. Stara się przechylić przez kontuar recepcji, stara się zajrzeć w ekran komputera. Ale albo kontuar jest za wysoki, albo Slavko za niski.

— Spójrz na mnie, Jerome — mówi.

Jerome podnosi na niego wzrok i wprost zatyka go.

— O Boże! — wykrztusza.

— Wesołego Halloween! — mówi Slavko.

— Co ci się przytrafiło? Slavko wzrusza ramionami.

— No, wiesz, Jerome, powinienem był to przewidzieć. Ściany były gówniane. Pierwsza większa burza i...

— Co? Jakie ściany?

— Powiedziałeś to, stary. Powiedziałeś wyraźnie. Jakie ściany?

Papłając tak Slavko kładzie dłonie na kontuarze, podskakuje i rzuca się szczupakiem do przodu, lądując piersią na blacie i dla równowagi zadzierając nogi wysoko w powietrze. Z tej pozycji widzi wreszcie ekran komputera. Widzi wpis, który przed chwilą wklepał do pamięci Jerome. Ale trudno mu go odczytać — bo dla Slavka ekran jest odwrócony do góry nogami.

— Co ty, u diabła, wyprawiasz? — dziwi się Jerome. Slavko papla dalej:

— Pytałeś, jakie ściany? O Jezu! To chyba był jakiś dworek? Nie, chyba zamek? To zupa na gównie. I teraz twoje też pewnie w niej pływa.

223

— Slavko — mówi Jerome — nie wolno ci na to patrzeć. — Kładzie dłoń na ciemieniu Slavka i łagodnie go odpycha.

Slavko przestroił tymczasem swój mózg na czytanie do góry nogami i sylabizuje: Roger Boyle. SPKŁ (standardowy pokój z królewskim łóżem). Adres: St. Paul, Minnesota. Pokój 318.

Jerome wali w klawisz ESC i ekran gaśnie. Stopy Slavka odnajdują podłogę.

— To ten facet, który tu przed chwilą wszedł? — pyta Slavko.

— Slavko, czego ty chcesz? — Jerome zaczyna przypominać kocioł pod parą.

— Widziałeś wóz, którym przyjechał? — pyta Slavko. — Ja cię kręcę. A ta marynara była od Armaniego?

— Niezupełnie — mówi Jerome. — Brioni. Dwa tysiące dolców minimum.

— Co on tu robi?

— Co ty tu robisz?

— Pokój 318 to po tej stronie, prawda?

- Jak na kogoś, kto nie stawiał się do pracy, jesteś strasznie wścibski...
- Czekala tam na niego jakaś babka?
- O drugiej trzydzieści nad ranem? Slavko uśmiecha się.
- Założę się, że zaraz dobieje. I założę się też, że będzie droga. Dwa tysiące dolców minimum.
- To nie mój interes.
- Ani mój. Tak tylko pytam, z bezinteresownej ciekawości. Ach, ci bogaci. Wkurzają cię, co?
- Nie — mruczy Jerome. — Nie bardzo.
- Pogadamy jeszcze, Jerome. Przekaż ode mnie szefowi wyrazy uszanowania. Daj temu niedoładze wielkiego soczystego całusa w moim imieniu.

Slavko wychodzi niedbałym krokiem. Czuje na plecach wzrok Jerome. Mija ciemny hall, ciemną salę restauracyjną, pogrążony w ciemnościach kort do racquetballu. Przechodzi przez parking. Zachodzi budynek od tyłu. Obok kuchni są

224

drzwi dla personelu z nocnej zmiany, które zazwyczaj są otwarte. Slavko wślizguje się przez nie do środka i kieruje ku schodom awaryjnym.

Susami po stopniach na drugie piętro.

Obok automatu do coca-coli.

W szerokim korytarzu jego kroki głuszy gruby dywan. Idzie do pokoju 318. Nie zamierza tam wtargnąć. Żadnych scen, żadnych fajerwerków. Sam właściwie nie wie, co zamierza. Może postoi trochę pod tymi drzwiami i posłucha.

Ale nagle zdaje sobie sprawę, że nawet tego nie robi. W korytarzu waruje gliniarz.

Zastępca szeryfa. Siedzi na małym składanym krzeselku parę kroków za pokojem 318 i głowa mu się kiwa. Otwiera jedno oko. Slavko wbija wzrok w dywan i mija go. Dochodzi do końca korytarza, skręca w klatkę schodową i zbiega na dół.

Co jest grane z tym facetem?

E.R. ma zastępcę szeryfa na etacie goryla?

Może E.R. jest jakimś komisarzem okręgowym albo czymś w tym stylu? I co, i przez

dwadzieścia cztery godziny na dobę dmucha kobitki jak...

Nie.

Dobra, a więc może to tylko zbieg okoliczności? Może ten zastępca jest tutaj z jakichś innych powodów? Może, dajmy na to, Związek Producentów Sprzętu Mleczarskiego odbiera pogróżki od niezadowolonych mlecznych krów, że przeprowadzą zamachy bombowe?

Slavko wraca do swojego samochodu, wsiada i myśli.

Czego pilnuje zastępca szeryfa?

Więźniów, prawda?

Dobra, to może tak: E.R. ma przyjaciółkę, która odsiaduje wyrok. Przywieźli ją do Caruso na jednonocną schadzkę z narzeczoną...

Bijąc tę pianę z księżycowych pomysłów, Slavko patrzy bezmyślnie przez przednią szybę na szeroką, zdobną fasadę wielkiego hotelu. Może zaglądać do niektórych pokoi. Ale nie jest to hotel dla jurnych, młodych kochanków i o tej

15 - Zabij go. mamó

225

porze nie ma tam właściwie na czym zatrzymać oka. W dwóch pokojach grają jeszcze telewizory. W wielkim apartamencie niedaleko biura dogorywa chyba jakaś balanga. W...

I nagle doznaje olśnienia: okna pokoju 318 wychodzą na tę stronę hotelu, prawda? Czy nie dałby rady zajrzeć stąd do pokoju 318, gdyby się o to postarał?

Otwiera skrytkę i wyjmuje z niej lornetkę.

Trochę szybkich obliczeń. Pokój 318 powinien być na drugim piętrze, dziewięć balkonów od centralnego szybu windy. Slavko pochyla się w przód, opiera brodę na kierownicy i dotykając niemal nosem przedniej szyby zaczyna liczyć balkony...

NAUCZYCIEL wybiera numer pokoju 316. Potem przykłada słuchawkę stetoskopu do ściany. Czeką.

Po tamtej stronie ściany dzwoni telefon. Nauczyciel słyszy zaspane i przestraszone „O, cholera”. To nie Annie — to jej współlokatorka.

Ale słuchawkę podnosi Annie.

— Tak?

— Czy to pokój 106? — pyta Nauczyciel.

— Och! Nie.

— Kiedy twoja koleżanka znowu zaśnie, wyjdź na balkon. Zasuń za sobą drzwi.

Nauczyciel rozłącza się.

Przez stetoskop słyszy, jak współlokatorka Annie pyta:

— Kto to był?

— Pomyłka.

— Jezu miłosierny!

Potem jedna z nich korzysta z łazienki.

Następnie szeleści pościel. W końcu zapada cisza.

Nauczycielowi wydaje się, że w dwóch rytmach oddechu rozpoznaje ten należący do Annie. Jest jakby krótszy, płytszy. Czuje jej strach. Zamyka oczy i słucha.

Oddech tamtej drugiej kobiety zaczyna się wydłużać, wygładzać.

226

Nauczyciel odejmuje stetoskop pod ścianę. Upycha go do małej czarnej torby.

Wychodzi na swój balkon.

Przepiękna noc. Trochę chłodna i dżdżysta — ta nieustająca mżawka — ale pełna późnojesiennych woni. Nawet tu, na drugim piętrze, czuje soczyste zapachy liści, zapachy ziemi. Stoi przy przepierzeniu pomiędzy balkonami, swoim i jej. Czeki.

W końcu słyszy, jak Annie wychodzi na swój balkon.

— Annie — szepce.

Annie podchodzi i zatrzymuje się obok niego. Dzieli ich tylko to przepierzenie. Stoi tam w koszuli nocnej, na którą narzuciła sweter. Oboje opierają się o barierki balustrady z kutego żelaza. Nauczyciel podaje jej paczkę papierosów i pudełko zapalek.

— Zapal — mówi. — Udawaj, że wyszłaś na papierosa. Annie stosuje się do polecenia.

Nauczyciel patrzy na nią. Podświetla ją blask jednego z neonów z fasady hotelu. Jest w tym blasku piękna. Ale nie odwzajemnia jego spojrzenia.

— To ryzykowna rozmowa — odzywa się Nauczyciel. — Ale chciałem cię w ten sposób zapewnić, że jesteś bez przerwy obecna w moich myślach.

— Dziękuję. — Oczywiście, nie mówi tego ze szczerego serca. Ale Nauczyciel nie wychwytuje też w jej tonie sardonicznych nutek. Powiedziała to bez żadnej emocji.

— Wygramy? — pyta.

— Nie.

— Dlaczego?

— Bo jest winny. Cała reszta to wie.

— Walczyłaś dzisiaj w naszej sprawie?

— Mhm.

— Co im powiedziałaś?

— Powiedziałam, że tego nie zrobił. Powiedziałam, że zrobił to Nauczyciel.

— Annie. To nie ma sensu.

— Co?

227

— Oszukiwanie mnie.

— Nie kłamię, ja...

— Troje przysięgłych głosowało za uniewinnieniem. A kiedy spytano cię, dlaczego ty tak głosowałaś, zaniemówiłaś. Byłaś do niczego.

Nauczyciel wie, nad czym zastanawia się teraz Annie. Ona rozważa, skąd on to wie. Pluskwa w sali posiedzeń ławy przysięgłych? A może wtyka, ktoś z przysięgłych? Przyłapuje się na tym, że znowu wsłuchuje się w jej oddech. Ta lekka chrapliwość, ta suchość jej oddechu — kocha to. Chciałby ją przytulić, pocieszyć. Ale musi być teraz stanowczy.

— Annie, czy znajdzie się jakieś usprawiedliwienie, jeśli przez twoje lenistwo, brak dobrej woli albo słabość ława przysięgłych nie ustali werdyktu? Ludzie, z którymi pracuję, ukarzą cię, by w ten sposób ukarać mnie.

— Myślałam... myślałam, że wystarczy, jeśli...

— Nie. Nam chodzi o jednogłośne uniewinnienie. Możesz je dla nas wywalczyć. To dlatego nasz wybór padł na ciebie. Spośród wszystkich przysięgłych wybrałem do prowadzenia naszej sprawy ciebie, bo wiem, jaka potrafisz być, kiedy się ockniesz z letargu. Kiedy wrą twoje namiętności, kiedy poświęcasz czemuś całą duszę, Boże, Annie, jak można cię wtedy powstrzymać?

— Nie potrafię przemienić czarnego w białe — syczy Annie.

— Ale możesz doprowadzić do oczyszczenia z zarzutów niewinnego człowieka. Spójrz na mnie.

Widzi, jak pulsują jej skronie. Jak drga mięsień jej szczęki.

— Spójrz na mnie, Annie.

Annie z ociąganiem odwraca głowę w jego stronę.

— Louie Boffano nie mógł tego zrobić — mówi Nauczyciel. — Owszem, mógł patrzeć przez palce, ale dokonać tego nie był w stanie. Nie starcza mu na to ani odwagi, ani rozumu. Ani woli. Ty mogłabyś to zrobić, gdybyś tylko chciała. Chcę przez to powiedzieć, że masz predyspozycje psychiczne, kręgosłup. Pod tym względem ja i ty jesteśmy

228

do siebie podobni. Ale Louie Boffano? Znasz go przecież, Annie, obserwowałaś go. Wiesz, że to niemożliwe...

— Jakie to ma znaczenie, co ja wiem? — Annie podnosi głos. — Oni tego nie wiedzą!

Nauczyciel kładzie palec na ustach.

— Za głośno mówisz.

— Boże, czego ty ode mnie wymagasz? — szepce Annie. — Mam im grozić?

— Chciałbym tylko, żebyś włożyła w to swoją pasję. Wystarczy, żebyś ją wyzwoliła, a nie będziesz musiała niczego robić — sprawy potoczą się własnym biegiem. Miękkim i Słabym Lao-tse przewycięży Twarde i Silne. Ta ława przysięgłych stanie się dla ciebie jak plastelina. Będą cię błagali o litość.

— Nie mogę — mówi Annie.

— Możesz. Musisz, a więc to zrobisz. Podejrzewam, że nie będziemy mieli więcej okazji, aby porozmawiać w cztery oczy. Gdybym się jednak chciał jeszcze kiedyś z tobą zobaczyć, zadzwonię do Inez i kupię od niej którąś z twoich prac. Za dwanaście tysięcy. Gdybym zapłacił więcej, to nic nie rób, to będzie tylko dlatego, że podziwiam twoją sztukę, ale jeśli zaoferuję dokładnie dwanaście tysięcy, zadzwoń do restauracji Marettiego w Larchmont i poproś do aparatu Marettiego. Będzie miał dla ciebie wiadomość. OK? Chociaż jestem przekonany, że nie będę do tego zmuszony. Sama zrobisz, co trzeba. Mam rację?

— Mhm.

— Sama. Wiedz jednak, Annie, że będę zawsze z tobą, na każdym etapie tej drogi.

SLAVKO widzi ze swojego samochodu przez lornetkę, jak kobieta na balkonie odwraca się od mężczyzny. I w tym momencie blask jednego z neonów zdobiących fasadę hotelu pada na jej twarz. Po raz pierwszy Slavko widzi coś więcej niż samą sylwetkę.

Widzi jej duże oczy, jej chłopięcą figurę, jej długie, proste włosy. I jest pewien, że to kobieta znad zalewu.

229

Jest też pewien czegoś jeszcze — że ona się boi.

Kobieta odsuwa się gwałtownie od balustrady. Wchodzi do swojego pokoju i zaciąga szczelnie zasłony.

Potem E.R., który pozostał na swoim balkonie chwilę dłużej, rozkoszując się niewątpliwie ostatnimi podrygami jeszcze jednego uduchowionego dnia, też się odwraca i znika w środku.

Oba balkony są pogrążone w mroku.

W swoim notatniku Slavko zapisuje:

2.50. E.R. rozmawia na balkonie pk. 318 z sąsiednim pk.

316? Z tą kobietą znad zalewu. 8 min.

Nawet się nie dotknęli.

I to miała być schadzka kochanków?

A może to była transakcja narkotykowa? Ale nic nie przeszło z ręki do ręki, ani pieniądze, ani towar. A poza tym na korytarzu pod drzwiami siedzi zastępca szeryfa,

a więc po co mieliby, po co mieliby...

No, dalej, Slavko, rusz głową. Skoncentruj się.

Ale ledwie nakazuje sobie koncentrację, przed oczami staje mu Juliet z tamtego dnia, w którym wypożyczyli łódź, popłynęli na Wyspę Bannermana na Hudsonie i dmuchali się cały dzień na sosnowym igliwiu — ale po tym wszystkim ona była dalej jakaś niedopieszczona i powiedziała, że zawsze pociągali ją mężczyźni skupieni, skoncentrowani. No i co, dokładnie, przez to rozumiała, czy chciała powiedzieć, że Slavko był zbyt... rozkojarzony? Roztrzepany? Dyrdymały, Juliet zawsze sypała jak z rękawa podobnymi dyrdymałami...

Dosyć tego, zachłany kretynie. Weź się do roboty. Pokaż, co potrafisz. Rozgryź tę przeklętą łamigłówkę.

No, dobra.

Może ta kobieta spotkała się z E.R. na balkonie, bo nie chciała, żeby przyuważył ich zastępca szeryfa. Może ten zastępca nie pozwoliłby jej się zobaczyć z E.R. Ale dlaczego? — dlaczego zastępca nie dałby jej...

Czyżby była poddana jakiejś kwarantannie? Z jakiegoś powodu odosobniona...

230

Leniwe osuwisko skojarzeń w głowie Slavka, obrywa się jeden kamyk:

Izolowana?

Jak przysięgły?

Procesowy sędzia przysięgły? Czyżby była przysięgłą? Caruso wynajmuje czasami pokoje izolowanym sędziom przysięgłym...

Osuwisko przeradza się w lawinę błota, szlamu i objawień, i w jednej chwili Slavko jest już zupełnie rozbudzony i o dziesięć lat młodszy.

Przysięgła.

Slavko prostuje się.

Otwiera drzwiczki samochodu, wysiada i maszeruje przez parking w stronę głównego wejścia. Wydaje mu się, że frunie. Idzie szparkim, zdecydowanym krokiem młodego człowieka, trzeźwego młodego człowieka.

W jego narządach wewnętrznych otwierają się nie używane od lat naczynka

krwionośne.

Jest przysięgłą.

— Mogę? — rzuca do Jerome'a, sięgając nad ladą po korytko z kartami meldunkowymi.

— Myślałem, że już pojechałeś! — wykrzykuje Jerome. Biedny spłoszony Jerome.
— Slavko, nie wolno ci do nich zaglądać!

Jerome chce mu odebrać korytko, ale Slavkowi wystarczy odsunąć się kawałeczek od kontuaru, by znaleźć się poza zasięgiem tego płacznego dupka.

Wertuje karty i odnajduje pokój 316.

— Proszę, proszę.

Pokój 316 został wynajęty przez Sąd Okręgu Westchester. Tak samo pokoje 315, 314, 313, 312, 311...

Jerome wybiega zza kontuaru. Jest wściekły, jego okrągła twarz jest czerwona i błyszcząca. Chce odzyskać korytko z kartami meldunkowymi. Slavko oddaje mu je z czarującym uśmiechem. Zastanawia się, czy nie zapytać czasem Jerome'a, z jakiego procesu są ci przysięgli, ale dochodzi do wniosku, że szkoda fatygi. Nie ulega wątpliwości, co to

231

za proces. Teraz w okręgu toczy się tylko jeden poważny proces.

Proces Louiego Boffano.

Slavko kieruje się w stronę drzwi. Jerome następuje mu na pięty, wymyśla od najgorszych, grozi, że wezwie kierownika, że zadzwoni na policję, że napuści na niego Archaniola Gabriela... Kto by tam słuchał bredzenia tego pustogłowego idioty? Kto by się nim zajmował?

Slavko odwraca się w progu i całuje Jerome'a z dubeltówki.

Znalazłszy się z powrotem w samochodzie, wyciąga znowu mały czarny notes. Zapisuje pobieżnie swoje ostatnie ustalenia. Podkreśla słowo „przysięgła”.

Ciekawe, czym jej zagroziłeś, E.R.? Zastanawia się. Jest śliczna, jak, do kurwy nędzy, mogłeś jej coś takiego wyciąć? I ile płaci ci za to Louie Boffano? I jak, według ciebie, będą się podobały twojej słodkiej Sari te długie wyprawy do Attiki w odwiedziny do samotnego, zapuszkowanego kochasia?

Samotnego, zapuszkowanego-na-długo kochasia.

Czyż nie jestem wspaniałym poetą, kiedy już raz zaskoczę, Sari & Juliet?

Nocne powietrze wciska się do samochodu i Slavko wciąga je głęboko w płuca. Dociera do niego, że życie jest prostsze, niż mu się wydawało. Życ — tak, żyć godziwie, pracować rzetelnie, uratować jakieś śliczne, przestraszone stworzonko z łap oprycha (ściślej mówiąc, dwa śliczne przestraszone stworzonka — Sari i tę przysięgłą), odnosić sukcesy, żyć szlachetnie i zwycięsko... tak. To proste.

— Tak, to proste — mówi na głos.

— A właśnie, że nie — szepce mu do prawego ucha czyjś głos.

Slavko upuszcza notes. Notes odbija się od uda i spada na podłogę. Slavko odwraca głowę i spogląda prosto w czarny nieruchomy wylot lufy pistoletu.

Za tą lufą widzi Pana Brzydkiego-Jak-Grzech, pachółka numer jeden na usługach E.R. Facet siedzi sobie spokojnie na tylnym siedzeniu i ciągnie:

232

— No, nie, znowu spartoliłeś robotę, Siurnik. Co z tobą? Patrz przed siebie, rączki na kierownicę.

Lufa łaskocze Slavka w potylicę, tuż za uchem.

— Nigdy, ale to nigdy w życiu — mówi Brzydki-Jak--Grzech — nie widziałem takiego partacza. Życie ci niemiłe?

— Miłe.

— Bo jak masz życzenie umrzeć, to moje gratulacje, znalazłeś właśnie we mnie swoją pieprzoną wróżkę z bajki.

Slavko słyszy, jak facet wystukuje na klawiaturze numer telefonu. Słyszy cichutkie buczenie, a potem równie cichy głos:

— Tak?

— Mam dla ciebie niespodziankę — mówi do słuchawki Brzydki-Jak-Grzech.

Z tamtej strony pada cichutkie pytanie:

— O co chodzi, Eddie? Jego imię, dobrze.

Ale jak się lepiej zastanowić, to... niedobrze, bo im więcej Slavko wie o tych

facetach, tym mniej litościwi mogą się oni okazać.

Ale i tak nie pozostało tu już miejsca na litość, a więc czym się przejmować?

— Siedzę tutaj sobie z naszym starym znajomym — mówi Brzydki-Jak-Grzech Eddie. — Z panem Siurnikiem, pamiętasz go?

— Gdzie? — słyszy Slavko w słuchawce.

— Na parkingu przed Caruso — mówi Eddie.

— Żartujesz. Eddie chichocze.

— Wyjdź i sam zobacz.

E.R. pojawia się na swoim balkonie z telefonem w ręku. Przeszukuje wzrokiem parking.

— Nie, jesteśmy trochę bardziej w lewo — mówi Eddie. — Widzisz nas? Ten przerdzewiały grat, ford granada. Tak, to właśnie my. Pomachaj mu, Siurnik. Pomachaj — powiedziałem.

Slavko macha ręką.

233

Ale E.R. nie odwzajemnia pozdrowienia.

— Co mam z nim zrobić? — pyta Eddie.

Kiedy ma się pistolet przystawiony do karku — dochodzi do wniosku Slavko — czas strasznie się wlecze. W końcu E.R. mówi:

— Chciałbym z nim porozmawiać. Zawieź go do domu Frankiego. Tam się spotkamy.

Eddie rozłącza się.

— OK — mówi do Slavka. — Przejedziemy się. Ty poprowadzisz. Ale nie będziesz się chyba wygłupiał, prawda?

— Prawda — mruczy Slavko.

— Żadnych sztuczek, żadnych numerów kamikadze, nic. Jak przyśpieszysz, zabiję. W porządku? Gdzie kluczyki?

— W kieszeni marynarki.

— Lewej czy prawej?

— Nie pamiętam.

Eddie sięga przez oparcie fotela, gmera w kieszeniach Slavka, znajduje kluczyki.

— Zdejmij jedną rękę z kierownicy, weź te kluczyki, odpal silnik.

Slavko robi, co mu każą.

— Ruszamy. Wyjeżdżają z parkingu.

— Teraz powoli, kutasie — mówi Eddie. — Powoli i spokojnie.

W lewo. Pół mili i znowu w lewo.

A gdybym nie jechał wolno? — zastanawia się Slavko. Gdybym dał tutaj do dechy, tutaj, gdzie Winę Avenue zaczyna opadać długim stokiem, po prostu dał do dechy i wyrznął w to wielkie drzewo tara w dole, zabijając nas obu?

Byłaby z tego jakaś satysfakcja?

Slavkowi nic nie przychodzi do głowy.

E.R. żyłby sobie dalej. E.R. niszczyłby Sari. E.R. niszczyłby przysięgłą. A Slavko wściekałby się tymczasem i przewracał w trumnie, uprawiając zapasy z robakami. Nie widzi w tym najmniejszego powodu do satysfakcji.

234

— Hej — odzywa się Eddie. — Skręć tutaj.

W Oak Avenue. Gęsto zadrzewiona, stara ulica. Na jabłoni tkwi strach na wróble. Co robić? Muszę przekazać jakoś światu, co wiem o E.R. Ale jak to zrobię, skoro będę martwy?

A może nie będę martwy? Może mnie puszczą, jeśli im powiem, że tak strasznie, strasznie przepraszam za kłopot, jaki im sprawiłem, i że tak naprawdę to dzisiejszej nocy pracowałem dla hotelu Caruso w całkiem innej sprawie...

Ale wystarczy im zajrzeć do mojego notesu.

A swoją drogą, to gdzie on się podział?

Przypomina sobie, że zaskoczony przez Eddiego upuścił notes na podłogę. Teraz, kierując, usiłuje go tam wypatrzeć, nie pochylając głowy. Spuszcza więc tylko oczy. Nie widzi tego cholernego notesu.

Próbuje go wymacać, suwając ostrożnie tam i z powrotem lewą stopą.

Dotyka czegoś piętą. Unosi tę pięć, cofają o cal i opuszcza. Czuje coś pod obcasem. Obmacuje to nim. Tak, to notes.

I co dalej? Kopnąć go pod fotel? Ale kiedy zajedziemy już do Frankiego, przetrząsną dokładnie cały samochód i znajdą go.

Slavko ma lepszy pomysł.

Zaczyna przesuwając notes czubkiem buta. Popycha go w kierunku tej dziury, tego miejsca, gdzie podłoga na wylot przerdzewiała, którądy wdziera się z szumem pęd powietrza.

Dziura nie jest duża. Ale i notes niewielki.

— Znowu chcesz coś spartolić? — odzywa się Eddie.

— Co?

— Zwolnij, palancie. Slavko zwalnia.

Mijają kościół metodystów. Znak wskazujący drogę do jakiejś Krainy Czarów Alicji. Wiktoriańskie domy. Slav-kowi udaje się dopchać notes do dziury w podłodze, ale, skubany, nie chce przez nią przeleźć. Utknął jednym rogiem.

Slavko pcha go kaniem buta. Nie pomaga.

235

— Wiesz co, Siurnik? — mówi Eddie. — Przypominasz mi jednego gówniarza ze szkoły, cała klasa musi przepisywać sto razy jakieś bzdety, bo jednemu szczyłowi zachciało się wychylić, pamiętasz tego dzieciaka?

Cholera — myśli Slavko. Kwadratowy notes, okrągła dziura — czegoś się spodziewał? W końcu zdesperowany unosi pięć i wali w notes obcasem.

— Ki diabeł? — pyta Eddie. — Co ty tam wyprawiasz? Slavko czuje, jak notes się wygina — i nagle wypada.

Zostaje za nimi na Oak Avenue.

— Tupnąłem tylko nogą — wyjaśnia Eddie'emu.

— Po co?

— Tupię, bo jestem sfrustrowany swoją głupotą. Gdzie my jesteśmy? Zastanawia

się. Oak i... co napisane

na tamtej tabliczce? Holly. Zapamiętasz, Slavko? Oak i Hol-ly? Na wszelki wypadek, gdybyś jednak wyszedł z tego żywy, co jest wielce nieprawdopodobne, zapamiętasz, że zostawiłeś swój notes na skrzyżowaniu Oak i Holly?

NAUCZYCIEL przygląda się uważnie panu Czernykowi w kuchni Frankie'ego. Nauczyciel ma świadomość, że w osnowę naszych istnień wplecione są ohyda i cierpienie i że mędrzec rozumie te rzeczy. Patrzy więc ze spokojem, jak pana Czernyka zakuwają w kajdanki. Patrzy ze spokojem, jak Frankie z Eddie'em okładają tego człowieka pięściami, kopią, tłuką nogą od krzesła. Zakneblowany pan Czernyk to uosobienie bólu. Nauczyciel przygląda mu się ze swojego krzesła. Jest zdegustowany, ale mimo to pochyla się w przód, żeby widzieć wszystko z bliska, i ma nadzieję, że czegoś się dowie.

Ale w zasadzie dowiaduje się tylko tego, że te brutalne perswazje nie odnoszą skutku. Po usunięciu knebla, po chlusnięciu panu Czernykowi w twarz zimną wodą jego oczy znów nabierają blasku. Blasku z gatunku nie-mam-nic-do-stracenia. Mężczyzna przekrzywia lekko głowę. Jakimś cudem udaje mu się zachować dystans do swojego cierpienia.

236

Nauczyciel ściąga brwi i mówi:

— OK, pozwól, że jeszcze raz zapytam. Co o mnie wiesz?

— To, co powiedziałem.

— Jak znalazłeś mnie w tym hotelu?

— Śledziłem cię.

— Dlaczego?

— Bo mi się nie podobasz.

— Nadal pracujesz dla Sari?

— Nie. Zrezygnowała z moich usług.

— No więc co miałeś nadzieję osiągnąć?

— Może dowiedzieć się czegoś o tobie. Czegoś, czym mógłbym ci zaszkodzić.

— Dlaczego?

- Bez powodu.
- Z zemsty?
- Chyba tak.
- Dla wyrównania rachunków?
- Chyba tak.
- Nie miał pan niczego lepszego do roboty, panie Czernyk?
- Lepszego niż co?
- Lepszego niż szukanie zemsty.
- Nie ma niczego lepszego.
- Kim była kobieta, z którą rozmawiałem dziś w nocy?
- Tą samą kobietą, z którą rozmawiałeś nad zalewem.
- A co o niej wiesz?
- Ma duże oczy.
- Co jeszcze?
- Była w nocnej koszuli i w swetrze.
- Co jeszcze?
- Nie wiem. Brązowe włosy.
- Co jeszcze?
- Nic.

Nauczyciel patrzy na niego przymrużonymi oczami.

- Kłamiesz.
- Tak sądzisz?
- Jestem pewien. Sztuka oszukiwania zalicza się do

237

wielu darów, których ci brakuje. Nie mam tylko pewności co do jednego: dlaczego kłamiesz.

— Tak. To dobre pytanie. Dlaczego miałbym cię okłamywać? Nie jestem imbecylem.

Młody Frankie rechocze.

— Jesteś pewien, Siurnik?

— OK. Może jestem. Imbecylem. Ale mimo to nie byłbym w stanie cię okłamać.

— Dlaczego nie byłbyś w stanie mnie okłamać?

— Jesteś zbyt przestraszony.

— Nie, mylisz się — mówi Nauczyciel. — Jeszcze na to za wcześnie. Ale wkrótce — kto wie?

Nauczyciel wstaje i otwiera drzwi do garażu. Frankie wychodzi za nim.

— Co my tu mamy, Frankie?

Frankie pozostaje chyba jeszcze pod wrażeniem faktu, że Nauczyciel raczył pokazać mu swoją twarz — że przyszedł bez maski. Frankie czuje się zaszczycony. Może nieco oszołomiony. Może też trochę zawstydzony, bo nie był przygotowany na tę wizytę i jego garaż to istne pobożowisko. Pewnie wie, że Nauczyciel jest pedantem. Widzi, jak oczy Nauczyciela przesuwają się po zawalonych złomem półkach, chłoną cały ten bajzel, żeby więc ratować sytuację, mlaszcze językiem i mówi:

— Muszę tu wreszcie posprzątać. Ostatnio byłem trochę zajęty i...

Nauczyciel nie słucha.

— Co by tu mogło nam się przydać? — mruczy.

— Nic — mówi Frankie. — To sam szmelc. Muszę się pozbyć tego barachła.

Nauczyciel wspina się na palce. Unosi wieko starego tekturowego pudła i zagląda do środka.

— Co to jest? Kolejka? Dziecinna kolejka?

— Tak. Nie wiem, czy jeszcze działa...

— Ale transformator... masz transformator?

— Chyba tak.

— Będzie nam też potrzebny akumulator samochodowy. I zaraz, niech no pomyślę. Masz elektryczną lokówkę?

— Chyba nie.

— A elektryczną szczoteczkę do zębów?

— Mam. Zdaje się, że została po mamie.

Dziesięć minut później Nauczyciel ma już uprzątnięty kawałek miejsca na stole warsztatowym i montuje na nim wymyślne urządzenie składające się z akumulatora, transformatora, wypatroszonej elektrycznej szczoteczki do zębów i cewki z miedzianego drutu. Frankie przygląda się temu z zainteresowaniem. Nauczyciel pracując myśli na głos:

— Musimy mieć na uwadze, że cokolwiek kryje pan Czernyk kłamstwami, jakimi nas raczy, jest to w jego mniemaniu dla niego jakaś świętość. Widać to po jego oczach. Zauważyłeś, Frankie?

Frankie wzrusza ramionami.

— Własny tyłek kryje, i tyle.

— Nie.

Nauczyciel kręci głową. Przycina kable.

— Nasz gość — ciągnie — nie uważa, żeby jego tyłek miał jakąkolwiek wartość. To coś w rodzaju wstecznego oświecenia — on sam, jego własne ja, wydaje mu się bez wartości. Jednocześnie ceni sobie gorąco otaczający go świat. Niektóre z wypełniających go stworzeń. Jego banały. Jego klejnoty. Jak wszyscy przerażeni nieudacznicy przykłada do tych rzeczy zbyt wielką wagę. W Tybecie nazywają to lokas — rozmyte, tłące się lampki pokusy. On im buduje ołtarz, Frankie. Kiedy go straszmy, osłania ten ołtarz własnym ciałem. Będzie bronił tego ołtarza za cenę własnego życia.

— No to co robimy? — pyta Frankie.

— Odzieramy ten ołtarz z pozłoty i klejnotów. Uczymy go, jaki jest naprawdę świat. Miażdżymy jedną po drugiej te lampki.

Nauczyciel unosi w górę swoją nową zabawkę, ogląda ją z dumą.

— Nie będzie to łatwe — podejmuje. — Tu nie wystarczy trochę go poturbować. By zmienić coś w jądrze duszy, trzeba wielkiego cierpienia oraz cierpliwości i wytrwałości.

Ale kiedy już przerobi tę lekcję, będzie nam za nią wdzięczny. Taką mam w każdym razie nadzieję. Pomimo gniewu. Pomimo rozgoryczenia.

SLAVKO nie otwiera ust, kiedy E.R. go o to prosi.

E.R. ponawia prośbę.

Ale znowu spotyka się z odmową.

Tak więc E.R. wydaje polecenie i Eddie chwyta Slavka pełną garścią za włosy, szarpie mu głowę do tyłu i przytrzymuje mocno. Slavko niewiele może na to poradzić, bo ręce ma skute na plecach kajdankami.

— Lao-tse powiedziałby ci, Slavko, żebyś odrzucił swoją świętość — mówi E.R. z przebiegłym uśmiechem. — Ciśnij swoją mądrość przez okno, a będzie dziesięć tysięcy razy lepiej dla każdego.

Co za jeden, u diabła, ten Lao-tse — zastanawia się Slavko. — Chyba jakiś cholerny poeta.

Potem facet, na którego wołają Frankie, wbija Slavkowi w usta rączkę od szczotki zmiotki.

Chrzęst kruszących się zębów. Pierścień ognia rozchodzi się na cały język. Frankie wyciąga rączkę, metalowy haczyk na jej końcu zaczepia o dolną wargę Slavka i właściwie mu ją oddziera. Slavko czuje opadający na brodę płat ciała.

Po chwili skupionego milczenia E.R. mówi cicho:

— Trzeba było otworzyć usta, kiedy cię o to proszono.

Bierze jakieś dziwaczne, prowizoryczne urządzenie i delikatnie wsuwa je Slavkowi do ust przez dziurę po wyłamanych zębach. Slavko czuje na języku ucisk czegoś podłużnego, wielkiego. To coś jest podłączone do małej czarnej skrzyneczki z dźwigienką. E.R. przesuwając dźwigienkę. Wstrząs odwraca Slavkowi gałki oczne w głąb czaszki. Widzi własny rdzeń kręgowy, który niczym wici oplątują błękitne kwiaty błyskawic.

Od zarania dziejów nic tak nie bolało. Kiedy oczy odnajdują wreszcie drogę z ciemności na świat, Slavko stwierdza, że wymiotuje. Brunatnożółtą mazią

przetykaną pasemkami krwi. Rzyga w rondel, który Frankie podstawił mu pod brodę.

Wraz ze strugą wymiocin wypadają mu dwa zęby, podźwiękując o metalowe ścianki rondla jak monety.

Po złożeniu tej ofiary nudności ustępują i Slavko czuje, że głowa zaczyna mu opadać na piersi. Przemyka mu przez myśl, że chyba się trochę zdrzemnie.

Eddie szarpie mu głowę do tyłu.

Znowu jest zmuszony patrzeć na E.R. i to jego urządzenie. Ale to nic, patrzeć na to coś ani trochę nie boli.

— O czym chciałbyś teraz porozmawiać, Slavko? — pyta E.R.

— O nyczym. — Ledwie może mówić.

— Chciałbyś porozmawiać o kobiecie z balkonu? .! — Nn.

— Po co ten upór? Sądzisz, że cię uszlachetnia? Sądzisz, że zrobiłby wrażenie na Sari? Zapewniam cię, że ona wzgardziłaby wszelkimi twoimi wysiłkami podejmowanymi w jej sprawie. Twoje nieudacznictwo nie czyni z ciebie bohatera, Slavko. Nie odziewa cię w opończę prawości. — Nauczyciel uśmiecha się. — Czyni cię tylko nieudacznikiem.

Ale przecież ja nie jestem nieudacznikiem — myśli Slavko. — Mylisz się w tym względzie.

Ogromne, kutasokształtne narzędzie znowu gwałci mu usta. Oczy Slavka fikają kolejnego koziołka. I te błyskawice, i ten BÓL.

Kiedy powraca na świat, do tej odpychającej kuchni, E.R. znowu zaczyna mówić. Brzęczy i brzęczy swoim cichym, melodyjnym, usypiającym głosem:

— ...Rzucasz się na naturę tego świata, jakbyś myślał, że jesteś w stanie ją pokonać. Znokautować, usunąć ze swojej drogi. Potem, ilekroć świat cię rozłoży na łopatki, leżysz skamląc i oplakując swoje żalosne rozwiane złudzenia. Jakby umartwienie się stanowiło cząstkę twojego życia. Jakby zostało ustanowione, że w tym ogromnym wszechświecie, pośród tej wielkiej uczyty życia, Slavko i tylko Slavko został wybrany do pozostawania na diecie

6 — Zabij go, mamó

241

cierpienia i prawości. Święty Slavko Czernyk, patron nieudaczników.

Ale to przecież nieprawda — myśli Slavko. — Ja nie jestem nieudacznikiem. To

tylko tak wygląda.

I znowu używają elektrycznego byczego kutasa.

Pieprzy Slavka w usta w martwej ciszy, w pustce tej wielkiej kręgosłupowej pustyni, tego BÓLU, tego białego szkieletowiska.

Kiedy Slavkowi powraca słuch, słyszy:

— ...ale przypuśćmy, że podporządkowujesz się Tao... płyniesz z jego prądem, a nie przeciw niemu... Z całym swoim zaangażowaniem, swoją pasją, swoim pożądaniem...? Spójrz na siebie! Miłość, jaką mógłbyś do siebie przyciągnąć...

Czy Slavko w to wątpi? Skąd!

A jednak byczy kutas znowu składa mu wizytę.

— ...robić sobie ze mnie wroga? Po co, Slavko? Bo Tao mnie kocha? Ależ on kocha zarówno mnie, jak i ciebie. Jesteśmy kuzynami, wyrastamy z tego samego nasienia. I przysięgam ci, że gdybyś był wart Sari, miałbyś ją. Gdyby twoja dusza biegła z Tao, to zapewniam cię, że nie ominęłaby cię żadna rozkosz...

Slavko widzi, jak palce E.R. suną do tarczy wytwarzacza BÓLU. Ten skurwiel chce go znowu połaskotać. W Slavku wybucha wściekłość, jakiej nigdy dotąd nie odczuwał. Odparowana, hiperprzedestylowana nienawiść do tej tarczy, do tych długich, delikatnych palców. Potrzęsa głową. Jest to ledwie zauważalne potrząśnięcie, ale E.R. je dostrzega.

Widzi utkwiony w tarczy wzrok Slavka.

— Jesteś gotów do współpracy? — pyta.

Mija długa chwila, potem Slavko nieznacznie kiwa głową.

— A to niespodzianka — mówi E.R. — Cieszę się. Myślałem już, że cała noc nam tu zejdzie. — Spogląda na Frankiego. — Zabierz to.

Frankie wyciąga z ust Slavka okrwawiony bodziec.

— Opowiedz nam teraz o kobiecie z balkonu. Slavko chce coś powiedzieć. Ale poharatany język nie

242

chce się unieść. Tylko chrząknięcia i jęki, żadnych artykułowanych słów.

— Co o niej wiesz? — pyta E.R. Tylko bełkot.

— Nie może gnojek mówić — odzywa się Frankie. — Spójrz, kurde, na jego pieprzony język. Jak ma gadać?

Oczy Slavka błędzą po kuchni. W koszyku przy zlewie dostrzega długopis. Pokazuje go ruchem brody.

— Chcesz mi to napisać? — pyta E.R. — Niech będzie. Frankie, podaj mu ten długopis. I jakiś papier. Podstaw mu krzesło, żeby miał na czym pisać.

Frankie wykonuje wszystkie te polecenia.

— Eddie, zdejmij mu kajdanki.

Eddie zdejmuje Slavkowi kajdanki, a E.R. wręcza mu długopis. Slavko chwytą go całą garścią, jak dziecko.

Frankie siada po jego lewej ręce i przystawia mu do skroni półautomat. Eddie zajmuje miejsce po jego prawej stronie.

— Co wiesz o kobiecie z balkonu? — powtarza pytanie E.R.

Przechodzi przez kuchnię i otwiera lodówkę. Wyjmuje z niej butelkę po mleku napełnioną wodą i siada ze znużeniem na podłodze przed lodówką. Pociąga z butelki długi łyk.

— No? — mówi.

Slavko pochyla się nad kartką papieru i pisze.

— Co to za bazgroły? — mówi Eddie. Bierze kartkę i niesie ją E.R.. — Potrafisz to odczytać?

E.R. zerka na kartkę i mówi:

— Tu jest napisane: przysięgła. Mam rację? Slavko kiwa głową.

— Bardzo dobrze. Kto jeszcze o tym wie, Slavko? Eddie kładzie znowu kartkę przed Slavkiem. Slavko pisze:

ZPMKND.

Eddie niesie kartkę E.R. Ale E.R. nie potrafi tego odcyfrować.

— Napisz to, proszę, jeszcze raz — mówi.

243

Kartka znowu łąduje przed Slavkiem. A on znowu ściska długopis całą garścią. I

znowu pisze: ZPMKND.

Frankie pochyla się, wytęża szare komórki.

— Co to, cholera, ma być?

A jest to skrót od Zemsta Podniesie Mnie Kurwa Na Duchu. Ale Slavko go nie rozwija. Zamiast tego podrywa długopis i z całej siły dźga nim Frankie'ego w twarz. Celuje w oko, ale trafia w policzek — czuje, jak pruje się ciało, jak długopis ślizga się po kości. Slavko odchyła się błyskawicznie w tył, pchając jednocześnie w przód półautomat Fran-kiego, kiedy więc Frankie strzela, pocisk chybia o włos. Przelatuje z wizgiem przed oczami Slavka.

Eddie zaczyna wyc — pewnie oberwał.

Slavko wali ręką Frankie'ego o kant stołu i palce chłopaka rozprostowują się. Slavko wyrywa mu z dłoni półautomat. W tym samym momencie spogląda w kąt kuchni i widzi, że E.R. zerwał się już z podłogi i wyciąga własny pistolet. Slavko wpycha palec serdeczny w osłonę spustu spluwy Frankie'ego — tylko tyle może zrobić w tym ułamku sekundy. Rzuca się w lewo, by zejść z linii strzału E.R., i sam naciska spust.

Huk i echo dwóch wystrzałów wypełniają kuchnię.

Kulka Slavka, nie czyniąc nikomu krzywdy, przebija drzwiczki lodówki, ale pocisk E.R. trafia Slavka w prawe ramię.

Siła uderzenia odrzuca Slavka do tyłu i obraca w prawo — dzięki czemu widzi przez moment Eddie'ego, który umyka rakiem po kuchennym linoleum i znika za kontuarem barku. Slavko strzela w tamtym kierunku — za późno.

Przenosi błyskawicznie wzrok na miejsce, gdzie ostatnio widział E.R., ale E.R. zdążył tymczasem uskoczyć na korytarz. A Frankie skrył się w pralni. Slavko nie ma nawet czasu, by wycelować w jego znikające nogi, bo na skraju swojego pola widzenia wychwytuje jakieś poruszenie. Spogląda w tamtą stronę i widzi rękę E.R. wysuwającą się zza winkla korytarza, by oddać strzał na ślepo.

244

Dziki ryk cierpienia wydobywa się z lewego biodra Slav-ka. Ale nie ma czasu się nad tym zastanawiać, musi strzelać. Jeden strzał na chybił trafił w kierunku ręki E.R. i jeden do Eddie'ego, który wystawia głowę ponad ladę barku, i jeden do Frankie'ego, który wychyla ryło z pralni. Slavko cofa się, utykając, w kierunku jedyne kąta kuchni, którego nie zajął jeszcze nieprzyjaciel.

Dociera do drzwi prowadzących do garażu. Wygarnia jeszcze raz do prześladowców.

Jeden dla ciebie, jeden dla ciebie i jeden dla ciebie.

A pieprzyć tę jatkę. Za dużo was, trzeba się stąd zmywać.

Otwiera drzwi, wytacza się na zewnątrz, zatrząskuje je za sobą. Kuśtyka przez ciemny garaż. Wielkie, podsuwane w górę drzwi zostawili otwarte, dobrze. Ale prawie nic nie widzi i zahacza zranionym ramieniem o metalową prowadnicę. Natężenie bólu jest takie, że zapomina na chwilę, kim jest i gdzie jest. Nie pamięta, dlaczego wyszedł z tej prywatki. Zalałem się? Gdzie moja dziewczyna? Wskoczyłem puścić pawia? Jezu, ale leje. Mój wóz stoi tam, gdzie go zostawiłem, ale nie wiem, czy dam radę prowadzić...

W tym momencie uświadamia sobie, że trzyma w dłoni coś ciężkiego, spogląda w dół, widzi półautomat i wszystko mu się przypomina.

Kuśtyka do Ochlapusa i wsiada. Odnajduje kluczyk w stacyjce, przekręca go, silnik krztusi się i zaskakuje.

W drzwiach garażu pojawia się jakaś postać. Slavko strzela. Chce strzelić jeszcze raz, ale magazynek jest już pusty.

Wrzuca wsteczny bieg i wycofuje Ochlapusa długim podjazdem, między drzewami. Ciemno choć oko wykol. W momencie kiedy wypada tyłem na ulicę, w przednią szybę uderza pocisk. Cały płat szkła pokrywa w jednej chwili pajęczyna drobnych pęknięć.

Pod domem, spod którego właśnie odjechał, rozbłyskuje para reflektorów. To przypomina mu o włączeniu swoich świateł.

Ale nic przed sobą nie widzi: pajęczyna na przedniej

245

szybie jest niemal nieprzezroczysta. Ruszając do przodu wali w szybę kolbą półautomatu. Wali raz po raz, aż w końcu wybija w niej małą dziurę na wysokości oczu. Odrzuca spluwę i szarpie gorączkowo rękami kruszące się szkło, poszerza pole widzenia.

Wiatr smaga go w twarz. Jest na fali.

Wyrwał się z tej klatki i nadal żyje.

A to znaczy, że przysięgła ma jeszcze szansę. I Sari ma szansę. To znaczy, że Slavko Czernyk ma cień szansy. I ktoś tu powiedział „nieudacznik“!?

Ale kiedy przejeżdża pod uliczną latarnią, we wstecznym lusterku miga mu przez chwilę własna twarz: horror — guzy, sine opuchlizny i krwawe wgłębienia. Spienione wymiociny ściekają mu po brodzie. Rana w klatce piersiowej zasysa powietrze. Krew ciekąca z rany w biodrze — och, E.R. wyszedł ci ten strzał — rozlewa się po całym fotelu.

Ale jest OK, nie przejmuj się, tylko spokojnie, tylko nie zaśnij, jedź. Jesteś na Oak Road. Znasz tę trasę. Zaraz będzie skupisko domów, znajdziesz się w otoczeniu wielu dobrych ludzi. O, Jezu, a potem jeszcze parę mil, i szpital. Prawda? St. Ignatius! Szpital Juliet! Juliet! Juliet mnie wyleczy, pocieszy i będzie żałowała wszystkich przykrych słów krytyki, jakich mi swego czasu nie szczędziła. Cholera, Slavko — i ty uważałeś, że dzisiejszej nocy sprawy przybrały dla ciebie zły obrót? To noc Slavka Bohatera, jak w bajce. Czy to miał na myśli E.R. nawijając o jakimś Tao? No, jeśli tak, to ono nie jest takie złe, E.R., a na tobie to ja się jeszcze odegram, skurwielu. Gdyby jeszcze nie ten nieludzki ból, nie to otumanienie i nie to, że chyba wykrwawiam się na śmierć. Ale gdyby mi się tak udało posłać was, skubańców, do mamra. Gdyby mi się udało ochronić tę przysięgłą, którą obdarzyłem już pewnymi uczuciami, chociaż widziałem ją tylko przez mgnienie oka. Gdybym tak mógł umrzeć w jej objęciach... nie chwileczkę, chodziło mi chyba o objęcia Juliet, co...? Mam taki mętlik we łbie, ale najważniejsze, że nie nazwiesz już mnie nieudacznikiem, co, E.R.?

Ja i nieudacznik! Już raczej konkwistador.

246

I w tym momencie w jego wstecznym lusterku znowu pojawiają się te reflektory.

EDDIE za kierownicą. Głowa mu pęka. Z miejsca, gdzie drasnął ją zabłąkany pocisk Frankiego, wciąż sączy się krew.

Dawno powinien być już w domu, w łóżku.

Zamiast tego musi się tłuc po nocy w Vincentem, ścigać tego pętaka.

Wóz Siurnika to kupa złomu, ale facet nie pęka, nie ma nic do stracenia, a więc stać go na zadziwiające popisy. Każdy zakręt bierze na pełnej szybkości, prześlizgując się tuż nad rowem. I jeśli ktoś nie jest takim samym psycholem, to mu odpuści, ustąpi miejsca na dupsko.

No, popatrzcie na niego teraz, leci lewą stroną drogi. Z przeciwka nadjeżdża samochód, ale Siurnik ani okiem mrugnie. Pruje dalej przed siebie jak jakiś pieprzony pancernik. Tamten facet musi odbić na pas Eddiego, nie ma innego

wyjścia. I Eddie też uświadamia sobie, że za cholerę nie ma innego wyjścia jak tylko pocisnąć po hamulcach i zjechać z drogi na wyboiste pobocze.

A zanim Eddie rozpędzi się ponownie do przyzwoitej szybkości, Siurnik zdąży zniknąć znowu z oczu.

Ale Vincenta jakoś to nie rusza.

— Eddie — odzywa się spokojnie — masz przy sobie nóż? Eddie sięga do kieszeni, podaje mu swój scyzoryk. Vin-

cent zdjął marynarkę. Kładzie ją sobie teraz na kolanach i na plecach wycina dziury. Dwie dziury w kształcie oczu, jedna przy drugiej.

— Jakie mamy tablice? — pyta Eddie'ego.

— Rejestracyjne? Tu jesteśmy kryci. Z warsztatu Ma-xiego. Nie dojdą po nich do nas, nie da rady. Gdzie ten facet jedzie?

— Do St. Ignatiusa — mówi cicho Vincent.

— Do szpitala?

— Gdybyś był ranny, to gdzie byś pojechał?

247

— Ja jestem ranny — mruczy Eddie.

— Przykro mi — mówi Vincent. — To moja wina. Eddie zerka na niego z ukosa. Moja wina? — takie coś

nieczęsto można usłyszeć z ust Vincenta.

Wychodzą z kolejnego zakrętu i znowu widzą przed sobą światła pozycyjne tego świra.

— Eddie, czy pamiętasz, żebym kiedykolwiek tak się pomylił w ocenie nastroju albo predyspozycji człowieka? — pyta Vincent.

— Eee tam. Stało się.

— Źle zrobiłem, że pozwoliłem zdjąć mu te kajdanki. Wiedziałem, że jeszcze za wcześnie. Wiedziałem, że nie jest gotowy. To, co mu zdążyłem zrobić, tylko go rozdrażniło. Jego duma nie zaczęła się jeszcze kruszyć. Ale byłem niecierpliwy, byłem nachalny, byłem dumny z siebie, byłem zaślepiony, nie myślałem...

— Eee! Gadanie! — prycha Eddie. — Czasami ma się ten zły dzień i głowa nie pracuje jak trzeba. Człowiek bywa zestresowany. Może jesteś trochę wytrącony z równowagi, nie ma o czym gadać...

— Myślisz, że jestem wytrącony z równowagi?

— Vincent, ja tu próbuję prowadzić.

— Wytrącony przez co?

— Przez ten pieprzony proces. Przez tę Annie, przez... Vincent uśmiecha się.

— Myślisz, że zakochałem się w Annie? Myślisz, że przepełnia mnie pożądanie?

Jezu — myśli Eddie — tylko tego mi teraz trzeba. Tylko tego teraz brakuje, żeby Vincent wciągał mnie w te swoje porąbane dyskusje.

Siedzi obok z tym uśmieszkiem na ustach.

Siedzi, wycina te dziury w marynarce, uśmiecha się i czeka, żeby Eddie powiedział coś w rodzaju: „Cóż, sam nie wiem, a przepełnia cię to pożądanie?”

Aleja go o nic nie zapytam. Po pierwsze, za bardzo mnie absorbuje uganianie się po całym okręgu za tym stukniętym Siurnikiem. Po drugie, gównu mnie to obchodzi.

248

SLAVKO skręca pod St. Ignatiusa, wpada z piskiem opon w kołowy podjazd. Lewe oko zapuchło mu na amen, z prawego została tylko wąziutka szparka. Patrzy nią przez rzęsy. Pochyla się w przód, żeby wyjrzeć przez dziurę, którą wydziobał w przedniej szybie. Znak z napisem „Izba Przyjęć” i ze strzałką. Ta przysięgła jest chyba lekarką z Izby Przyjęć?

Nie, zaraz... nie ta przysięgła, tylko Juliet. Zgadza się?

Obudź się lepiej. Slavko. Jedziesz po trawniku, jedziesz za szybko i zasypiasz, i lepiej się obudź.

O, jaka ładna kamienna kolumnienka, powinna mnie roz-ćmuchać, nie?

Ochlapus pasuje się z hukiem w filar.

Ale wstrząs nie jest szczególnie trzeźwiący. Pożytek z niego taki, że Slavka ogarnia jeszcze większa senność.

Ale ja muszę, muszę, muszę wyleźć z tego pudła. Otworzyć drzwiczki. Dobra. Tylko te nogi jakieś nieruchawe. O kurczę, ale krwi, założę się, że Sari zzielenieje i odrzuci

ją, jak to zobaczy. Nie, nie, przecież ona jest lekarzem, spokojna głowa.

Wyluzuj się. Zawsze robisz się taki spięty przed randką. Fajnie będzie. Przechyl się tylko w lewo i wypadnij. OK? No właśnie, po prostu wyleć na ziemię.

Nadbiegają ludzie, białe kurtki. Głosy, zamieszanie.

Slavko głową opiera się o asfalt, ale nogi ma wciąż w samochodzie.

Twarze. Gdzie jest ona? Gdzie przysięgła? O kurczę, popatrz no na nich, zatrzymali się, nie, podchodzą bliżej, boją się, że wóz wyleci w powietrze.

Czołgaj się, Slavko.

Odczołgaj się stąd. No, dalej, dalej, rusz się.

Przepęłza jakieś cztery stopy.

Jedna biała kurtka (ale to nie jest przysięgła ani Juliet) mówi:

— Spokojnie, sir. Niech pan tu leży. Wszystko będzie dobrze. Niech się pan nie rusza.

Coś przy nim robią. Dobrze, ale gdzie jest ona?

249

Gdzie jest ona?

To pytanie, opuszczając jego usta, brzmi:

— Zie, je, oa?

— Wszystko w porządku, niech się pan odpręży.

— Oa, zie, Juli?

Pochylają się nad nim teraz cztery osoby. Dobrze. Zniosą go do Juli. Czy tak właśnie ma na imię? Mniejsza z tym. Najważniejsze, że się nim zajmują.

Nadpływają reflektory samochodu. Szybko zbliżają się. A tak, mordercy. Prawie zapomniał. Reflektory zatrzymują się i z wozu wysiada mężczyzna w czymś w rodzaju kaptura na głowie. O tak, to morderca. Prawdopodobnie E.R. Część białych kurtek rozpierzcha się. Strach ich obleciał.

Ale jedna pielęgniarka zostaje przy nim.

Powiedz jej teraz. Powiedz tej kobiecie. Nie zobaczysz się już z Juliet, bo tak się

sprawy ułożyły, ale to nic, jest ta kobieta, musisz się na nią zdać.

Przymuś język do roboty. Rusz wargami.

Powiedz jej. To ocali życie przysięglej.

— O...es — wykrztusza. Próbuje jeszcze raz:

— No...es. Jes. Oak. Y Holly. No... es. W tym momencie słyszy głos E.R.:

— Z drogi, siostró!

E.R. jest w kapturze i trzyma w ręku pistolet.

Ale pielęgniarka się nie rusza. Jest przerażona tym, co E.R. chce zrobić Slavkowi.

Proszę pani, tu nie ma żadnego, ale to żadnego powodu do strachu. To z tego wszystkiego najlepsze.

E.R. odpędzają. Potam klęka blisko i Slavko czuje dotyk metalu u nasady nosa. Rozumieją się z tym zimnym metalem doskonale. Widzisz? Robisz, co do ciebie należy, i tyle. To proste. Dlaczego tak trudno było mu zawsze zrozumieć? Robisz, co do ciebie należy. Ratujesz ludzi z opresji czy zabijasz, to bez znaczenia: robisz, co do ciebie należy. Kiedy już zabierasz się do roboty, kiedy pracujesz

250

dobrze i z zaangażowaniem, to jesteś szczęśliwy. Wygrywasz. A kiedy odwalisz robotę, odniesiesz absolutne zwycięstwo, to jesteś konkwistadorem.

Jeśli już o tym mowa, to z chwilą kiedy ten pocisk dotrze do mojego mózgu, E.R., stanę się czymś więcej, stanę się DEMONICZNYM KONKWISTADOREM, i będę cię nawiedzał i nawiedzał, i zagnam twoje włochate dupsko AŻ DO PIEKŁA, E.R., i ty NIE BĘDZIESZ MÓGŁ NA TO NIC...

ROZDZIAŁ 11

Możesz już zacząć wymazywać nas z pamięci

ANNIE w butelkowitzelonym więzieniu sali posiedzeń ławy przysięgłych. Część kolegów i koleżanek pochyła się jeszcze nad jednorazowymi kubkami, ale Annie skończyła już swoją kawę. Jest zupełnie rozbudzona.

Jest klębkiem nerwów.

Spiera się z inspektorem z OSHA.

— Ale przyznajesz — mówi — że Nauczyciel istnieje? Przyznasz przynajmniej, że on istnieje?

— Trudno powiedzieć — mówi inspektor.

— Trudno powiedzieć? — Trochę podnosi głos, ale ma to gdzieś. Ależ tępy facet. Wolałaby już prowadzić spór ze ścianą. — Dwoje świadków wspomniało w swoich zeznaniach o Nauczycielu. Jest o nim mowa na taśmie. A ty twierdzisz, że trudno powiedzieć, czy on istnieje...

— Ale nie wiadomo, kto nim jest — broni się inspektor z OSHA.

— Nie musisz wiedzieć, kto nim jest! Musisz zrozumieć, jak jest potężny! Nie dostrzegasz tego? Czy to nie dociera do twojego...

— Annie — wpada jej w słowo Will Klarnet. — Niepotrzebnie tak się unosisz.

Annie odwraca się do niego. Może to i miły, kosmaty miś, ale też trochę ciężko myślący.

— Niepotrzebnie? — mówi. — Niepotrzebnie się unoszę? Jak to? Czy sprawa nie jest wystarczająco ważna?

252

Patrzy mu przez chwilę w oczy, potem odwraca wzrok. Spogląda znowu na inspektora.

— Przypomnij sobie, w jaki sposób wymawiali jego imię. Nauczyciel. Prawie szeptem. Ten DeCicco, ilekroć powiedział „Nauczyciel”, rozglądał się zaraz, spłoszony, po sali. Był śmiertelnie przestraszony...

— Gówna prawda! — prycha inspektor z OSHA.

— Hej — przywołuje go do porządku przewodnicząca. — Kolego!

' Ale Annie macha tylko ręką.

< — Nie, nie szkodzi, niech mówi, co myśli.

Wstaje, przechodzi wzdłuż stołu i zatrzymuje się między chirurgiem od drzew i babcią, na wprost inspektora. Kładzie na płask obie dłonie na blacie i mówi do niego:

— Wyjašnjmy to sobie od razu do końca. No więc? Inspektor nie patrzy jej w oczy.

— Ja tylko... cholera... Boffano jest szefem. On jest szefem. Oni pracują dla niego. Oni mają...

— Mają ten układ z Ndranghetą — przerywa mu Annie. — Mają tych Włochów. Mają rząd Curacao, mają tych kurierów z Jamajki, mają całą tę sieć, pośrodku której siedzi jeden pająk, jeden facet trzymający w ręku wszystkie nici, i według ciebie tym facetem jest Louie Boffano...

Annie parska pogardliwym śmiechem.

— Ma doradców — próbuje inspektor, ale Annie jest teraz w transie. Pochyla się ku niemu. Nigdy dotąd tak się nie czuła. Ta gorąca, niepohamowana furia, myśli szlifujące tak łatwo ostre kandy logiki. Zaczyna czerpać ze swojego występu jakąś maniakalną przyjemność.

— Doradcy? — szydzi. — Czy to Nauczyciel doradził Louiemu wydrążenie tunelu, czy też Louie kazał mu go wydrążyć? „Wykopię tunel do domu Salvadore Riggia i zabiję go...”

— Ależ, Annie — wtrąca się Will Klarnet. — Boffano powiedział, że się zgadza. Powiedział: „Załatw skurwysyna”. Dał swoje przyzwolenie.

253

— Czy to czyni go mordercą? Przypuśćmy, przypuśćmy, że ja mówię wam, że zabiję tego tutaj faceta.

Wskazuje na inspektora. Wszyscy się śmieją. Dobrze — myśli Annie: rozśmieszać ich. Przeciągać na swoją stronę.

— Przypuśćmy, że mówię: „Nasypię mu trucizny do kawy”. A wy mówicie: „Tak, nasyp. Złatw sukinsyna. Rób, co chcesz”. Czy to zrobiłoby z was morderców?

— O, Jezu! — inspektor wyrzuca w górę ręce. Wstaje. — Ja w to nie wierzę. Nie wierzę tobie. Twoim zdaniem powinniśmy go puścić? Chcesz, żebyśmy puścili tego makaroniarza wolno?

I chociaż Annie nie uśmiecha się, chociaż wzrusza tylko ramionami, to wie, że w tym właśnie momencie inspektor stracił starą babcie o włoskim nazwisku.

Jedna jest moja — myśli.

Wyłuskiwać ich jedno po drugim, myśli.

FRED CAREW z nowojorskiego Stanowego Biura Śledczego siedzi za biurkiem w biurze Slavka Czernyka i studiuje notes o żółtych stronicach. Dwaj mundurowi zagląдают mu wyczekująco przez ramię.

Skreślona naprędce notatka w lewym górnym rogu:

2k

k 42 000 prima

84 400 doi.

J twarz wtorek 7.00

Carew ma dosyć tych przyglądających mu się mundurowych. Za tłoczno tutaj, w tym maleńkim biurze.

Harry Beard, partner Carewa, wertuje metodycznie zawartość szafki na akta denata. Kręci głową, krzywi się.

— No i co pan o tym myśli? — pyta jeden z mundurowych.

— Myślę, że tu za zimno — mówi Carew.

— To Jimmy Twarz, nie? — pyta mundurowy.

— Hej, proszę pana! — woła Carew do administratora, który czeka cierpliwie w korytarzu na trójnożnym zydelku.

— Słucham? — Mężczyzna pojawia się w drzwiach.

— Zawsze macie tu tak zimno?

254

— Nie, sir. Chyba centralne nawala.

— Tak, chyba — mruczy Carew.

Wygląda na to, że to morderstwo — to robota Jimmy'ego Twarzy.

Oto notes, który znaleźli w szufladzie biurka Slavka Czernyka. Carew ma przed nosem te pośpiesznie nagryzmołone cyfry. 2k musi oznaczać 2 kilogramy heroiny. 42000 to hurtowa cena kilograma, trochę zawyżona, ale przecież towar jest prima sort. 84 000 doi. to wartość transakcji.

A J twarz! To musi być Jimmy Twarz z klanu Gambino.

Z tego wniosek: Czernyk rozprowadzał towar dla Jim-my'ego i coś źle poszło.

ABC. Wypisane jasnoczerwonym atramentem na żółtym tle.

— Jakież odciski? — zastanawia się na głos Carew.

— Jeszcze nic — mówi jeden z mundurowych.

— Próbował ktoś przycisnąć Jimmy'ego? Mundurowi patrzą po sobie.

Chryste! Carew wpycha sobie język między zęby. Wizyta u Jimmy'ego Twarzy.
Średnia przyjemność.

— Chyba — mówi — chyba zobaczę, czy uda mi się go znaleźć. — Potem zwraca się do Harry'ego: — Co tam oglądasz?

— Nic. To raporty Czernyka z prowadzonych obserwacji.

— Coś interesującego? — pyta Carew.

— Nic. Ten jest sprzed dwóch lat. Żona jakiegoś faceta spędzała dużo czasu w domu jakiegoś innego faceta.

— O, rany — mruczy Carew. — Czy się... czy ona...?

— Nic tu o tym nie ma. Może czytali razem Biblię. — Harry ziewa. — Chcesz zerknąć?

— Nie. Wszystkie są w tym stylu?

— Przeczytamy, zobaczymy. Nie obejdzie się bez tego, cholera!

— Hej, proszę pana — zwraca się Carew do administratora — mogę pana o coś zapytać?

Człowieczek wsuwa głowę przez drzwi.

— Słucham, sir?

255

— Czemu nie wywalił pan całej tej makulatury, kiedy eksmitował pan gościa na bruk?

— Zaraz to zrobię, sir.

— O, nie — mówi Carew. — Nie zrobi pan tego, dopóki nie prześwietlimy co do jednego wszystkich nazwisk z tej cholernej szafki. Monumentalne zawracanie dupy.

Wzdycha. Administrator usiłuje przybrać skruszony wyraz twarzy.

— No, a niech mi pan powie — podejmuje Carew — czy kojarzą się panu z czymś szczególnym słowa „noes oak”?

— Słucham?

— Albo „noes holly”? Ofiara mówiła coś takiego przed śmiercią.

— Nie, z niczym — mówi administrator. Ale walcuje to w głowie. Walcuje z takim zacięciem, że zaczyna trochę zezować.

— Nieważne — mówi Carew.

Mundurowi cały czas na niego patrzą. Wciąż czekają.

— No i? — pyta jeden z nich.

— Co no i? — burczy Carew.

— To to, nie? Przekręt w handlu narkotykami. Czy może się nasuwać inny wniosek?

Carew patrzy na notatnik. Wydyma wargi.

— Tak, to prawda, jasna sprawa. Mamy szczęście. Ale zerka na Harry'ego, a Harry na niego — ich twarze

wyrażają to samo: Coś tu śmierdzi.

ANNIE stawia na tacy talerzyk z sałatką w kolorze przygaszonej chemicznej zieleni. Płaci, lawiruje w kierunku długiego stołu zajmowanego przez przysięgłych i wślizguje się na krzesło u jego szczytu. Naprzeciwko Willa Klarneta.

Ściąga na siebie wzrokiem jego uwagę i zagaja rozmowę.

Przypomina sobie, że miała w tym kiedyś sporą wprawę.

Wkrótce Will opowiada jej już o zespole jazzowym, w którym gra. Potem o dzieciakach, którym daje lekcje gry

256

na klarncie. Potem o Bennym Goodmianie, potem o Ivesie i Mozarcie. Przechodzą do ulubionych filmów, a od nich do krajobrazu Irlandii. Annie stara się raczej słuchać. Will Klarnet opowiada jej, jak uwielbia pływać kajakiem. Zwłaszcza po morzu. Uwielbia ześlizgiwać się po zboczach wielkich fal. Oczy mu błyszczą, kiedy o tym opowiada, a Annie słucha i stara się mieć w oczach błysk ożywienia.

Jest skonana. Jedzenie jest obrzydliwe. Jarzeniowe oświetlenie przyprawia ją o ból głowy, ma świadomość, że przygląda im się reszta przysięgłych. Ale udało jej się rozpaść ten blask w jego oczach i musi go teraz podtrzymać. Uśmiecha się i udaje, że porwało ją jego opowiadanie o pływaniu na morzu kajakiem. Will mówi, że

wynajmuje domek plażowy na wybrzeżu Georgii. Czasami pływają nocami i kiedy wiosła wzruszają fosfor w wodzie, czuje się, jakby zarzucał na powierzchnię morza sieć spadających gwiazd.

Kiedy to mówi, Annie przybiera rozmarzony wyraz twarzy.

Pora opuścić stołówkę, a ona skubnęła ledwie trzy kęsy.

Odsuwa na bok tacę, nachyla się nad stołem i mówi do Willa:

— Wiesz, właśnie to mi się w tobie podoba. Nie boisz się ryzyka. I dlatego lubię z tobą dyskutować. Mam wrażenie, że nie masz oporów, jeśli chodzi o próby przypatrywania się sprawom pod różnymi kątami. Nie odrzucasz, na przykład, możliwości, że Louie Boffano jest niewinny, tylko dlatego, że oni w nią nie wierzą.

Mówiąc „oni”, przewraca oczami. Ci „oni” to pozostali przysięgli. Ten okropny, głupi świat na zewnątrz ich dwojga.

— Próbuję się wczuwać — mówi Will Klarnet. — Ale sam nie wiem. Po prostu... nie wiem.

Drapie się po skudłonej głowie.

— Wiesz — ciągnie — gdybyś chciała kiedyś popływać kajakiem po Hudsonie, to chętnie cię ze sobą zabiorę.

— Bardzo bym chciała — mówi Annie.

Zamyka powoli oczy. Kiedy je znowu otwiera, nie patrzy już na niego. Tak uczą w czasopismach.

Kiedy mi już ulegniesz, tchórze — myśli — kiedy za-

17 — Zabij go, mamó

257

głosujesz za puszczaniem wolno mordercy, to przysięgam, że jeśli kiedykolwiek ważysz się do mnie zatelefonować, rzucę słuchawkę, zanim zdążysz wypowiedzieć trzy słowa.

CA REW mówi do swojego partnera:

— Nic mi tu nie pasuje. Nie wierzę, że to Jimmy Twarz zabił Czernyka. Nie wierzę, że Jimmy nie zabił Czernyka. Nie wiem sam, co o tym myśleć, Harry.

Są w drodze do hotelu Caruso. Prowadzi Harry.

— Jeśli jednak zrobił to Jimmy — ciągnie Carew — to, mówię ci, mamy przerypane. Będzie miał, jak zwykle, żelazne alibi. „Sobota? Trzecia nad ranem? A, tak, występowałem w CNN, prezydent i Larry King dekorowali mnie Kongresowym Medalem Zasługi. Czemu panowie pytają?”

Zostawiają za sobą Taconic i skręcają w Eastgate Avenue. Mijają rozległy, zadrzewiony campus seminarium.

— Tak czy inaczej, sprawa jest podejrzana, nie? — mówi Carew.

— No bo niby po co Jimmy miałby się zadawać z tym zapijaczonym prywatnym łapsem? — pyta Harry.

— Właśnie. Wiesz co? Jimmy miał zawsze do czynienia z Sycylijczykami i Jamajczykami. Zawsze z zawodowcami. A tu ni z gruszki, ni z pietruszki zwraca się do tego polskiego, czeskiego czy jakiego tam pijaczka i mówi: „Masz tu, chłopie, dwa kilo heroiny. Tylko pamiętaj, zapisz cenę i w ogóle, aha, i nie zapomnij zapisać też mojego nazwiska, na wypadek, gdyby cię ktoś załatwił i gliny chciały się dowiedzieć, kto”.

— No to co tu jest grane? — mówi Harry.

— Nie wiem. Prawdopodobnie zrobił to jednak Jimmy. Wiesz?

— Prawdopodobnie szukamy dziury w całym — przytakuje Harry.

— Bo inaczej można by to wyjaśnić tylko w ten sposób — ciągnie Carew — że ktoś włamał się zeszłej nocy do tego biura, usunął wszystkie obciążające dowody i wpisał tę notatkę, żebyśmy ją sobie znaleźli. A tego...

258

— Co?

— ...trochę za wiele. Wiesz? Trochę to za grubo szyte jak na mój gust.

Skręcają na parking przed hotelem Caruso.

— Wiesz, co chciałbym wiedzieć? — pyta Carew.

— Co?

— Co wciąż nie daje mi spokoju?

— No, co?

— Chciałbym wiedzieć, co miały znaczyć te jego ostatnie słowa — mówi Carew.

— To, co powiedział pielęgniarka?

— Noes oak, noes holly. Co to, u diabła, znaczy?

— Może mówił o miejscu, gdzie trzymał towar.

— Może. To może być jeszcze jedna z tych nierozwiązywalnych spraw.

Są umówieni w hotelu Caruso z nocnym recepcjonistą, panem Jerome Lexem. Do rozmowy z nim zasiadają w kantorku za kontuarem recepcji. Mężczyzna stara się im powiedzieć wszystko, co wie, ale wie niewiele.

Opisuje im mgliście Rogera Boyle'a, gościa z pokoju 318, którym tak interesował się Czernyk. Mówi, że Boyle zapłacił za swój pokój gotówką i że nikt nie widział, kiedy wyszedł.

— I twierdzi pan, że Czernyk nie wchodził na górę? — pyta Carew. — Spytał tylko pana o tego faceta i odjechał? Nie wchodził do pokoju Boyle'a?

Jerome Lex zastanawia się.

— No, może i tam poszedł. Obok mnie nie przechodził, ale są inne wejścia.

— Czy przeglądając karty meldunkowe sprawiał wrażenie poruszonego?

— To mało powiedziane.

— Przestraszonego?

— Nie. Bardzo podnieconego.

— Może był nagrzany?

— Znaczą się, pijany? Och, Slavko chyba zawsze był trochę wstawiony.

259

— Czy kiedykolwiek handlował heroiną, panie Lex?

— Slavko? — Jerome wybucha śmiechem.

— Mam przez to rozumieć, że nie?

— On by nie potrafił. Nie był, nie był tym typem faceta. On był z tych niezgrabiaszy. Z tych trochę ofermowatych. Tych zakompleksiałych. Za dużo pił. Wciąż kochał się bez wzajemności w jakiejś dziewczynie. Nie mógł się pozbierać do kupy, no, wiecie panowie. Ale był w porządku. Działał mi na nerwy, ale go lubiłem. Był... był... nie wiem, jak to określić. Chyba był romantykiem. Tak, na pewno można byłoby nazwać

go romantykiem.

NAUCZYCIEL siedzi w swoim starym domku w hieratycznej pozycji zwanej sattvasana, słucha.

Odbiornik dostrojony jest na naradę.

W tej chwili Annie nie zabiera głosu. Wcześniej walczyła jak lwica. Teraz oddaje inicjatywę sojusznikom.

Milczy i pozwala swoim nowo pozyskanym wyznawcom — klarnciście i chirurgowi od drzew — urabiać połączonymi siłami gospodynię domową z Mt. Kisco.

Mędrzec sprawuje rządy tak, by ludzie nie uginali się pod jego ciężarem. Kiedy osiągnie założony cel, ludzie mówią: „My to zrobiliśmy. Dokonaliśmy tego wszystkiego sami!”

— Ależ, Lauro, — mówi chirurg od drzew — z przedstawionych dowodów wynika, że inicjatorem tego morderstwa był Nauczyciel. W świetle prawa Louie Boffano jest niewinny. Nie możesz kierować się emocjami...

— Masz dzieci? — przerywa mu gospodyni domowa.

— Nie.

— Gdybyś miał, inaczej byś mówił! Tu wtrąca się rozdrażniony klarncista:

— Jaki wpływ może mieć posiadanie dzieci na decyzję, którą staramy się tu wypracować?

— Zasadniczy — odzywa się Annie.

Pozostali milkną. Wszyscy chcą słuchać jej głosu. Nauczyciel podejrzewa, że są zakochani w jej głosie.

260

/ I

— Ja mam syna, Lauro — ciągnie Annie — mniej więcej w wieku tego zamordowanego chłopca. I boję się panicznie, że któregoś dnia może mu się coś stać. Wiem, co tobą powoduje. Powoduje tobą troska o zapewnienie bezpieczeństwa dzieciom. Dookoła tyle chaosu, który wciąż się pogłębia, i nie ma dokąd przed nim uciec. Nie ma jak się przed nim skryć.

Annie zawiesza głos. W sali jest z nią jednaście osób, ale żadna się nie odzywa.

Czekają na nią. Po chwili Annie podejmuje:

— Ale prawo — nie wnikam tutaj w słabość ani niedoskonałość naszego systemu, bo nie w tym rzecz — prawo stanowi, że jeśli Louiemu Boffano nie zostanie udowodnione, iż popełnił przestępstwo, o które jest oskarżany, to musimy oczyścić go z zarzutu. Musimy. A tobie pozostaje tylko, sama nie wiem, pozostaje modlić się, by udało ci się dobrać do niego następnym razem.

Nauczyciel tłumi chęć roześmiania się w głos.

— A jeśli spróbujesz nagiąć prawo — ciągnie Annie — choćby troszeczkę, choćby w najlepszej intencji, to utraci ono moc, jaką posiada. A wtedy moje dziecko będzie jeszcze bardziej zagrożone niż teraz. A twoje, Lauro...

Nauczyciel tłumi poczucie tryumfu.

Tryumf i porażka to pokrewne złudzenia.

Ale każda komórka jego ciała pławi się w skończonym, pełnym uniesieniu, robi, co może, by nie krzyknąć, nie obwieścić niebu swego zwycięstwa.

Ta kobieta jest piękna.

Jest potężna. Jest naczyniem czystej potęgi.

To Tao dało mu ją w darze. Po prostu postawiło przed nim ten wspaniały dar, choć go ani szukał, ani wyglądał. Postawiło! I jak wszystkie dary Tao ten też jest darem na zawsze.

CAREW z Harrym, który prowadzi, jadą szeroką, senną, podmiejską aleją. Są w drodze do szpitala St. Ignatiusa. Chcą porozmawiać z pielęgniarką, która była przy Czernyku na

261

chwilę przed jego zamordowaniem. Zgodziła się z nimi spotkać przed rozpoczęciem nocnego dyżuru.

Dochodzi osiemnasta. Słońce kryje się już za spadzistymi dachami dominujących w tej okolicy wiktoriańskich domów. Harry jest głodny i zły. Carew wie, że nie będzie w nim miał partnera do dyskusji, dopóki nie dotrą do szpitalnej stołówki. Nie może się jednak powstrzymać przed snuciem na głos swoich dzikich przypuszczeń.

— No i po co, według ciebie, Czernyk pojechał do tego hotelu? — mówi. — Myślisz, że ten facet z 318, ten Boyle... myślisz, że go zaprosił?

— Nie.

— Jasne, że nie, bo po co by zaglądał do kart meldunkowych? Chciał zdobyć numer pokoju faceta. Założę się, że przyjechał tam za nim. Ale dlaczego?

— Boyle upuścił chusteczkę — burczy Harry. — Czernyk krążył dookoła hotelu Caruso wypatrując jakiegoś dobrze zbudowanego, młodego marynarza, zobaczył, jak Boyle upuszcza chusteczkę z balkonu pokoju 318 i...

— I tutaj walimy głową w mur, Harry.

— Chcesz go teraz przebijać, Fred? Zaczekaj, aż zjem. Wtedy ci pomogę.

— Harry!

— Co?

— Zatrzymaj się.

— Co?

— Zatrzymaj wóz.

Harry zjeżdża do krawężnika.

— Dlaczego, co się stało? Dobrze się czujesz?

— Cofnij — mówi Carew.

— Cofnąć?

— Tak.

Jękliwe skamlenie wstecznego biegu. Szeroką aleją nikt nie nadjeżdża, mogą się więc bez przeszkód cofać, jak daleko chcą. Przejeżdżają tyłem dwieście jardów i na skrzyżowaniu Carew unosi rękę.

Harry hamuje. Stają.

262

— Co jest?

— Tabliczki z nazwami ulic. Przeczytaj, z łaski swojej. Harry spogląda na narożny słupek z dwoma prostopadłymi

tabliczkami. Na jednej napisane OAK, na drugiej HOLLY.

— O, tak — mówi. — Walimy głową w mur.

— Niezupełnie — sprzeciwia się Carew. — Czernyk mógł tędy przejeżdżać, zgoda? Wracając z hotelu?

— Mógł.

— A więc Oak i Holly to może miejsce, gdzie to się stało.

— Gdzie co się stało?

— Gdzie został postrzelony.

— Tak? — Harry nadal nie zaskakuje. W głowie mu tylko jedzenie.

— Albo mógł wyrzucić tu coś z samochodu — myśli głośno Carew.

— Towar?

— Możliwe, Albo notes.

Harry spogląda ze zdumieniem na Carewa.

— Jaki znowu notes?

— Strasznie bełkotał. Może chciał powiedzieć: notes, a wyszło mu: noes.

— Aha. No, tak. Tak myślisz? — mruczy Harry. Jego palce bębnią niecierpliwie w gałkę dźwigni zmiany biegów.

— To chyba nie powinno zająć wiele czasu? — mówi Carew. — Z pielęgniarką jesteśmy umówieni dopiero na dziewiętnastą. A więc i tak mamy godzinkę do zabicia.

— Nie, Fred, godzinkę to mamy na posiłek. Ta godzina nie jest na zabicie. Ona jest na jedzenie.

— Dziesięć minut... kilka domów. Albo... może nie, może masz rację. Musisz przecież wrzucić coś na ruszt. Wrócimy tu przy okazji...

Mówi tak, bo już wie, że wygrał.

Harry bierze na siebie lewą stronę ulicy, Carew prawą.

Carew podchodzi do swojego pierwszego domu alejką wyłożoną płytami chodnikowymi i staje na werandzie obok kosza pełnego kukurydzy. Dwie starszki oglądają uważnie jego odznakę.

Żadna z nich nie zauważyła dzisiaj na tej ulicy niczego niezwykłego.

Obchodzi bukszpanowy żywopłot. Inna wykładana płytami chodnikowymi alejka, inna weranda. Te drzwi mają szybki po bokach, półkoliste okno nad nadprożem oraz wycięcie z uchylną klapką dla czarnego kota. Matka woła syna, który zbiega z łomotem po długich schodach i staje zdyszany przed Carewem.

Nie. Żadnego notesu, niczego.

Kolejny dom. Dzentelmen o aparycji prawnika. Nie.

Jeszcze jedna wykładana chodnikowymi płytami alejka.

Nic.

I jeszcze jedna. Nic.

Szuka wzrokiem Harry'ego. Harry rzuca mu przez ulicę błagalne spojrzenie. Harry skamle jak głodny psiak.

— OK, OK — mówi Carew. — Dajmy sobie spokój, jedziemy.

Wracają do samochodu i Harry zapuszcza silnik.

W tym momencie do wozu podbiega dzieciak z drugiego domu.

Carew opuszcza szybę i chłopiec podaje mu mały, oprawny w czarną skórę notes.

— Od razu bym panu powiedział — wyrzuca z siebie — ale pomyślałem sobie, że pan sobie pomyśli, iż go ukradłem, a ja go wcale nie ukradłem, ja go tylko znalazłem w rynsztoku, o tam, to znaczy ja bym...

Chłopiec trajkocze dalej, ale Carew już go nie słucha, zaczyna czytać. Czyta, przewraca stroniczki i znowu czyta. Harry zagląda mu przez ramię. Pochylają się obaj nad notesem, starają odcyfrować w zapadającym zmierzchu te nieczytelne bazgroły.

— Przeleć na koniec — mówi Harry.

Chłopiec tymczasem zamilkł. Harry zdążył zgasić silnik, więc w samochodzie panuje teraz cisza, rozpraszana jedynie koncertem wieczornych świerszczy i śmiechem z telewizorów, który dobiega z okolicznych domów.

Carew odnajduje ostatnią zapisaną stroniczkę. Odczytuje

słowo „Przysięgła”. Odczytuje nazwisko „Boffano”, odczytuje nazwę „Hotel Caruso” i bezwiednie zwija dłoń w pięść. Rozprostowuje ją i znowu zwija.

Przysięgła.

Sąd często podnajmuje w Caruso pokoje dla sędziów przysięgłych, jak mógł to przeoczyć...

Coś zaczyna mu świtać. Przebiega oczami całą tę stronicę i nagle z pospolitej, nic nie znaczącej likwidacji handlarza narkotyków robi się coraz grubsza i grubsza afera. Carew podnosi wzrok i patrzy przez otwarte okno na stojącego przy samochodzie dzieciaka. Nie widzi go, po prostu patrzy, a myślami jest całkiem gdzie indziej, ale chłopiec o tym nie wie. Chłopiec widzi groźnego gliniarza patrzącego nań nieruchomym wzrokiem i już wie, że nie powinien mu oddawać tego notesu, i wie, że najlepsze lata życia przyjdzie mu spędzić w jakimś zakładzie karnym na pustyni, i usiłuje się pogodzić z tą nagłą odmianą losu...

EDDIE obserwuje z ostatniego rzędu ławek przysięgłych, którzy wchodzą gęsiego na salę sądową, i dostrzega ją. Przygarbiona. Wzrok spuszczone. Zajmuje swoje miejsce i zamyka oczy.

— Panie i panowie, członkowie ławy przysięgłych — mówi sędzia — czy ustalili państwo werdykt w tej sprawie?

— Tak — mówi przewodnicząca.

— Nawiązując do zarzutu numer jeden postawionego podsądnemu w akcie oskarżenia, a mianowicie morderstwa pierwszego stopnia, czy uznajecie podsądnego za winnego, czy niewinnego?

— Niewinny.

W jednej chwili dwieście par płuc zasysa z sali sądowej całe powietrze.

— A nawiązując do zarzutu numer dwa aktu oskarżenia, a mianowicie morderstwa drugiego stopnia, czy uznajecie podsądnego za winnego, czy niewinnego?

— Niewinny.

265

— Czy wszyscy sędziowie* przysięgli zgadzają się z tą decyzją?

Pomruk potwierdzenia.

Jeszcze krótkie słowa pożegnania wypowiedziane przez Wietzela. Akt oskarżenia obalony, podsądny zwolniony z aresztu, i zaczyna się.

Sala sądowa eksploduje.

Louie Boffano podskakuje w górę jak dziesięciolatek, a potem odwraca się i wali w plecy każdego, kto mu się nawinie pod rękę. Sążniste razy otwartą dłonią rozdzielane wszystkim kumplom, prawnikom, żonie, dzieciakowi, kuzynom, a sala sądowa szaleje. Szok. Radość, konsternacja. Wietzel wali młotkiem, ale ten stukot zdaje się dobiegać gdzieś z oddali. Z równym skutkiem można by próbować sikaniem zagłuszyć wodospad Niagara, kto by się tam przejmował?

Eddie nadal nie spuszcza z niej wzroku. Dziewczyna oczy ma wciąż zamknięte.

Louie Boffano rzuca się swojemu adwokatowi w objęcia. Mały Bozeman próbuje unieść go w górę. Wszyscy boki zrywają ze śmiechu.

Ona się z tego otrząśnie — myśli Eddie. — Już po wszystkim, Annie Laird. Wykonałaś zadanie.

Vincent i ty odwaliliście tę głównianą brudną robotę i oboje macie już z głowy. Annie, możesz już zacząć wymazywać nas z pamięci.

Dziennikarze przepychają się obok Eddie'ego w stronę przejścia między ławkami, biegną do telefonów. Przepychają się obok niego stare kobiety, żeby obsypać pocałunkami swojego bohatera, Louiego Boffano. Wszyscy przepychają się obok Eddie'ego. Annie z rzadka miga mu w tym rozgardiaszu.

No więc jak, Vincent? Nigdy jej już nie zobaczę? Dasz jej już teraz spokój, prawda, Yincent?

ROZDZIAŁ 12

bawiące się dziecko, sentymentalny głupiec...

JULIET kroi w kuchni Annie wielką pizzę na porcje i rozdaje je. Są tu też Henri i kolega Olivera, Jesse, ze swoim kolczykiem w uchu. Jesse ogląda nieufnie swój kawałek.

— Co to są?

— Co co są? — pyta Juliet.

— Te podobne do robaków.

— Sardele. A co?

Jesse marszczy z obrzydzeniem brodę.

— Co to są sardele?

— To takie ryby — mówi Juliet. — Masz, Annie. Podaje przyjaciółce porcję pizzy. Annie uśmiecha się,

a potem odpływa z powrotem w zamyślenie.

— Rybia pizza? — mówi Jesse. — To jest rybia pizza?

— Jak ci się nie podobają, to je pozdejmuj — doradza mu Juliet.

— Oj, nie marudź — mówi Oliver.

— Jak one smakują? — nie daje za wygraną Jesse.

— Trochę jak sardynki — mówi Juliet.

— Nie — odzywa się Henri. — Smakują dokładnie tak jak sól. Tylko są o wiele bardziej słone.

Oliver bierze w dwa palce długą sardelę, dynda nią i wrzuca sobie do ust. Potem zaciska mocno wargi i zamyka oczy.

— Nie — mówi — wiecie, jak one dokładnie smakują? Tak zupełnie dokładnie?

Nachyla się do ucha Jessego. Szemranie szeptu.

267

— Mówisz mu to, co podejrzewam, że mu mówisz? — pyta Juliet.

— Tak. — Oliver otwiera szeroko oczy i mruga niewinnie powiekami.

!*>>

— Jakieś obrzydliwe uczniackie sprośności? — pyta Juliet.

— Tak.

Henri zaczyna chichotać.

— Porównujecie sardele — mówi Juliet — do pewnej części żeńskiej anatomii, o której absolutnie nic nie wiecie? Zgadłam?

— Ale ja właśnie dlatego przepadam za sardelami — mówi Oliver. — Mam tylko je.

— Jesteś obrzydliwy — mówi Juliet.

— Tylko do nich mam dojście — mówi Oliver.

— Masz, dojdź do tej — mówi Juliet. Unosi długimi palcami sardelę z pizzy i rzuca nią w chłopca. Sardela ląduje Oliverowi na policzku i przylepia się tam. Henri wybucha gromkim śmiechem.

— Walka na żarcie! — krzyczy Jesse, co przypomina Juliet, że ma tutaj do czynienia z dwoma małolatami i kontrola nad sytuacją może szybko wymknąć jej się z rąk.

— Nie, nie, nie, nie. Nie teraz. Nie tutaj.

Oliver uśmiecha się łagodnie. Dżentelmen w każdym calu. Odlepia sobie sardelę od policzka i zjada ją.

Teraz śmieją się wszyscy, nawet Annie. Ale Annie śmieje się tylko dlatego, że inni się śmieją. Nie słuchała tego przekomarzania. Wzrok ma skupiony gdzie indziej — na jakimś punkcie wysoko na ścianie. Potem przenosi go na drugą ścianę. Juliet obserwuje ją, zastanawia się, czego Annie tam wypatruje.

Czyżby podejrzewała, że tamten mężczyzna ich podsłuchuje? Czyżby nadal obawiała się tego sukinsyna?

— Ej, ty — mówi ostro. — Annie, obudź się.

— Co?

— To uroczystość na twoją cześć. Jesteś wolna. Wyzwolona. Już po wszystkim. Wcinaj.

268

ANNIE o jedenastej rano wchodzi do swojego studia po raz pierwszy od tamtego wieczoru, kiedy go tu zaprosiła, i odnosi wrażenie, że wraca do jakiegoś miejsca z dzieciństwa, miejsca, o którym zapomniała, że tyle dla niej kiedyś znaczyło.

Była kiedyś artystką.

Ale teraz własne Macane Skrzynki wydają jej się nieciekawe, nieestetyczne, bez wyrazu. Wyglądają po prostu jak skrzynki, którymi w istocie są.

Staje przed rzeźbą, nad którą pracowała, kiedy się to wszystko zaczęło.

„Drugorzędna namiętność do lwa z telewizji”. Tak przynajmniej jest tutaj napisane, jej ręką, na kartce przypiętej pinezką do ściany. Ale nie pamięta, dlaczego tak ją nazwała. Teraz ta nazwa wydaje jej się wesoło postmodernistyczna, frywolna. Tak jakby nie ona ją wymyśliła.

No nic, trzeba będzie zatytułować ją inaczej.

Najważniejsze to wrócić do pracy, wpaść w rytm.

Skrzynka maskująca jest wysoko uniesiona, żeby odsłonić wnętrze spoczywające na stole. Annie przerzuca dźwi-gienkę wyłącznika, uruchamiając mały silniczek. Wsuwa dłoń między dwa furkoczące wirniki, wystawiają na chłostę setek satynowych węży. Sięga dalej i czuje na dłoni podmuchy gorącego, lepkiego powietrza wypluwanego przez maszynę parową. Przywodzi to na myśl oddech dyszącego zwierzęcia.

W porządku. OK. Pomysłowo.

Ale co jeszcze? Czy nie powinno tu być czegoś jeszcze?

Rozgląda się dookoła i jej wzrok pada na ścinek miękkiego, grubego futra, który znalazła w sklepie z resztkami materiałów. Tak, grzywa. Lew musi mieć grzywę.

Przypomina sobie, że w dniu, w którym poznała Nauczyciela, miała mocować lwią grzywę.

Unosi zapadkę na korbie wyciągarki i opuszcza ostrożnie skrzynkę maskującą na stół. Odwraca ją dnem do dołu. Wkłada do środka futerko, znajduje parę śrubek i śrubokręt Phillipsa i zaczyna przykręcać futerko do wewnętrznych

269

ścianek skrzynki. Po kilku minutach, wkręciwszy kilka śrubek, zaczyna się trochę rozluźniać — i nagle powraca to wspomnienie. Oliver na rowerze, ona w tamtym samochodzie, samochód pędzi na chłopca, ona odchodzi od zmysłów...

Annie zgrzyta zębami. Ścisną z całych sił rączkę śrubokręta, i plastikowe karby wbijają się jej w dłoń.

Odczekuje chwilę i po jakiejś minucie jest już w stanie znowu skoncentrować się na skrzynce.

Ta skrzynka.

Czym ona się, u diabła, zajmuje?

Ta grzywa, którą wyściela tę skrzynkę? Ten puszysty, słodki, sentymentalny... co to jest?

Czy to, co robi, to naprawdę sztuka? Czy wszystkie jej dotychczasowe prace są takie?

Sympatyczne, cenne ozdóbki?

To do niczego.

Znowu zamyka oczy.

Stoi przez chwilę, kołysząc się na piętach, i nagle zaczyna spacerować tam i z powrotem po małym pomieszczeniu ze spuszczoną głową, ze wzrokiem wbitym w pochłapane farbą drewniane listwy, i nie wie, czego szuka, ale po długim czasie to coś samo ją odnajduje. Wizja. Domu. Przytulny wiejski domek z haftowanymi poduszkami, koronkowymi serwetkami, perkalowymi zasłonkami w oknach i przepięknymi starymi meblami na wysokim połysku. Ale ściany są ponabijane odłamkami szkła. Tysiące poskręcanych, ostrych jak brzytwa odłamków szkła, wyrastają ze ścian niczym ciernie. Idź ostrożnie. Jeśli zboczysz w lewo albo w prawo, skaleczysz się.

Jeśli się potkniesz, zginiesz.

A przechodząc przez pokoje słyszysz jakiś chrzęst, odgłos wydawany przez ogromną pracującą maszynę do rozdrabniania.

Czyżby pomysł na nową rzeźbę?

Ale ty jej nigdy nie stworzysz, Annie.

Gdzie, u diabła, zmieściłby się ten twój wiejski dom? I te

270

odłamki szkła? — ktoś mógłby się potknąć, skaleczyć. Ktoś podałby cię do sądu. Nawet gdybyś potrafiła stworzyć tę pracę, nie mogłabyś jej wystawiać.

Ale co tam — myśli Annie. — Zrobię ją dla siebie.

Siada na podłodze. Rozprostowuje plecy i spogląda w sufit. Schody? Tak, będą tam schody do pogrążonej w mroku sypialni. Zaraz, nie. Nie, nic tam nie będzie pogrążone w mroku. Każda szybka w oknie musi być nieskazitelnie czysta, żeby słoneczne światło mogło się bez przeszkód wlewać do środka. Wszystko musi być schludne, wszystko zorganizowane przez jakiegoś pedantycznego duszka. Ale z pikowanej kołdry przykrywającej łóżko wyrastać będzie ogród szkła, w piecu potłuczone szklane naczynia, a...

Dzwoni telefon.

Annie nie zwraca na to uwagi.

Po czterech dzwonekach włącza się automatyczna sekretarka i po chwili Annie słyszy głos Inez.

— Cześć, dziecino. Kiedy wreszcie do mnie przedrądasz? Muszę z tobą porozmawiać. Dzwonił do mnie Zach Lyde. Powiedział, że chce kupić rzeźbę, którą widział w twojej pracowni. Mówi, że była zatytułowana, eee, „Drugorzędna namiętność do lwa z telewizji”? Mówi, że zapłaci za nią dwanaście patyków — więc jak, robimy interes? Mówi, że chciałby wiedzieć natychmiast — je kolację z jednym ze swoich azjatyckich przyjaciół i chce mu od razu złożyć ofertę. Boże, zauroczyłaś go, czy jak? Dwanaście tysięcy, Jezu! Zadzwoń! Gdzie jesteś? Co się z tobą dzieje?!

Annie ciska śrubokrętem o podłogę.

A co będzie, jeśli nie zareaguję na wezwanie? — myśli.

Ale w takim przypadku czekałabym po prostu i czekała, aż mnie ukarze, nieprawdaż? I co bym na tym wygrała?

Podnosi się. Chwyta kurtkę.

Wsiada do subaru i wycofuje wóz z podjazdu.

Jadąc w kierunku wioski Pharoah, spogląda we wsteczne lusterko i dostrzega samochód skręcający za nią w Seminary Lane. Zielony sedan, w środku dwaj mężczyźni.

271

Ale naciska mocniej na pedał gazu, gubi ich bez trudu i po minucie zapomina zupełnie o całym incydencie.

Korzysta z telefonu w Pharoah Drugs. Dzwoni do restauracji Marettiego w Larchmont. Maretti mówi jej o odcinku zapomnianych torów kolejowych niedaleko Mahopac. Ma tam być za pół godziny.

Kiedy wsiada z powrotem do swojego samochodu i wyjeżdża na Ratner Avenue, znowu dostrzega za sobą zielonego sedana.

Skręca więc w prawo w Bullet Hill Road tylko po to, by się przekonać, co robi zielony sedan.

Wóz konsekwentnie podąża za nią.

Annie zwalnia. Wlecze się w ślimaczym tempie. Jak wam odpowiada piętnaście mil na godzinę, panowie? Chcecie podjechać bliżej, żeby zobaczyć wasze buzie?

Jadący za nią samochód skręca nagle w jakiś podjazd. Annie dodaje gazu i z rykiem silnika wyrывa do przodu.

Och, dzięki ci, Nauczycielu. Doceniam twoją troskliwość, ale niepotrzebnie zadawałeś sobie ten trud. Jadę do ciebie. Wzywałeś mnie, więc przybywam. Jestem ci posłuszna pod tym, jak i pod każdym innym względem, mój Nauczycielu.

NAUCZYCIEL stoi wewnątrz zdewastowanego, przedpotopowego wagonu towarowego i patrzy, jak Annie biegnie do niego po na wpół zarośniętych zielskiem podkładach kolejowych. Zachwyca go ten widok: jej rozmyta ruchem uroda, gdy zbliża się ku niemu z mgły. Jej furia. Ma chyba trudności z dostosowaniem tempa biegu do odstępów między podkładami. Nawet ta para, która bucha jej z ust przy każdym wydechu: należy złożyć ją, naturalnie, na karb przenikliwego zimna, ale przydaje jej jakiejś smoczej dynamiki.

W końcu zatrzymuje się i rozgląda dookoła.

Dostrzega go w otwartych drzwiach wagonu towarowego.

— Annie! Wejdz tu na górę — mówi Nauczyciel. Wy-

272

ciąga rękę, żeby pomóc jej wdrapać się do wagonu. Ale Annie zostaje tam, gdzie stoi.

— Czego ode mnie chcesz? — pyta.

— Chciałem ci podziękować. Chciałem również zaśpiewać ci pieśń pochwalną.

Annie nie odpowiada.

— Słuchałem cię w sali posiedzeń ławy przysięgłych — podejmuje Nauczyciel. — Sposób, w jaki do nich przemawiałaś — twoja siła zapierały mi dech w piersiach. Sądzę, że ty sama też byłaś tym zaskoczona. Wydaje mi się, że uświadomiłaś sobie wreszcie, na co cię stać. Uważam, że wkrótce będziesz rządziła światem sztuki.

Kuca, kładzie dłonie na płask na drewnianej podłodze wagonu, odbija się stopami i ląduje lekko na ziemi.

— Czego chcesz? — pyta Annie.

— Chcę ci powiedzieć, że wierzę w ciebie. W twój talent. Zaopiekuję się tobą.

— Nie — mówi Annie.

— Będę wszystkimi siłami wspierał twoją karierę.

— Nie.

— Pamiętasz, jak powiedziałem, że to odmieni twoją pracę, że uczyni cię silniejszą? Czy to już się stało, Annie?

— Odczep się ode mnie.

— Arielu, wolny będziesz niczym górskie wiatry.

— I powiedz swoim oprychom, żeby przestali mnie śledzić.

Nauczyciel zastanawia się nad znaczeniem tych ostatnich słów.

— Zawarliśmy układ — ciągnie Annie. — Ja ze swojej części się wywiązałam. Teraz ty zniknij z mojego życia.

— Kto cię śledzi?

— Twoje dwa muły, czy jak ich tam nazywacie. Dlaczego, do cholery, za mną jeżdżą?

— Dwaj mężczyźni? Jak wyglądają?

Nauczyciel słyszy niecierpliwość rodzącą się w jego własnym głosie. Nagły niepokój — i Annie też to wychwytuje.

18 - - Zabij go, mamó

273

— Nie wiem — mówi. — Po prostu dwaj mężczyźni. Dwaj mężczyźni.

— To nie są moi ludzie.

— Muszą być od ciebie.

— Jesteś pewna, że cię śledzili?

— No, myślałam... sama nie wiem.

— Co się z nimi stało?

— Zwolniłam. Taka mała prowokacja. I wtedy się odczepili.

— Jaki to był samochód?

— Skąd mam wiedzieć? Zwyczajny. Zielony. Pudełkowaty. Mówisz poważnie? Naprawdę nie byli od ciebie?

— Annie, po co miałbym nasyłać teraz kogoś, żeby cię śledził? — Podchodzi blisko i kładzie jej dłonie na ramionach. Spogląda jej w oczy. — Może ci się tylko wydawało...?

— Odsuń się ode mnie — parska Annie.

Nie potrafi nadać wyrazu groźby tym swoim ogromnym, łagodnym oczom, ale Nauczyciel widzi, jak się stara, i uśmiecha się.

— OK — mówi i cofa ręce z jej ramion.

— Policja? — pyta Annie. — Podejrzewasz, że to policja? Tak myślisz, prawda? Ale skąd by... skąd by wiedzieli o...

— Ty mi to powiedz, Annie — mówi Nauczyciel, a kiedy Annie się nie odzywa, sugeruje: — Może Oliver?

— Nie. — Annie mówi to stanowczo. — Wiedziałabym, gdyby komukolwiek powiedział.

— To może twoja przyjaciółka, Juliet?

To ją wytrąca z równowagi, tak jak się tego zresztą spodziewał. On wie o Juliet? Obserwuje ją, jak usiłuje nad sobą zapanować.

— Annie?

Dziewczyna jest wciąż w szoku.

— Ja nie... ja nie... — bąka. — Juliet nigdy nie naraziłaby mojego syna na niebezpieczeństwo.

— Doradziła ci, żebyś poszła do sędziego. Czy w ten sposób nie naraziła go na niebezpieczeństwo?

274

— Ale, ale decyzja należała do mnie. A kiedy zarzuciłam w końcu ten pomysł, kazałam jej obiecać, że będzie się trzymała od tego z daleka. Zrobiła to, obiecała. Przysięgła mi.

— W tej chwili, Annie — mówi Nauczyciel — w tej chwili Louie Boffano jest na szczycie świata. Jeśli ściągniemy go stamtąd na dół... nawet sobie nie wyobrażasz, jak to go rozwścieczy.

— Może oni mnie nie śledzili. Może to było...

— Jeśli zobaczysz ich znowu, dasz mi znać.

— Dobrze.

— Dasz mi znać natychmiast.

— Dobrze.

— Będziesz mnie o wszystkim informowała.

— W porządku.

— Jeśli będziesz się chciała ze mną skontaktować, dzwoń do Marettiiego. Powiedz mu, gdzie będziesz czekała. Przyślę po ciebie Eddiego. OK?

— Dobrze.

Nauczyciel wyciąga rękę i dotyka koniuszkami palców jedwabistych włosów na jej skroni.

— Kto cię ochroni? — pyta.

— Ty — mówi Annie.

— Dlaczego chcę cię chronić?

— Nie wiem.

— Bo nie mogę znieść myśli, że mogłoby ci się coś stać. — Przykłada całą dłoń do jej policzka i trzyma ją tam tak długo, aż zaczyna wyczuwać jej ciepło. — Zbyt wiele nas teraz łączy.

FRANKIE zabiera swoją dziewczynę na przyjęcie z okazji wypuszczenia na wolność Louiego Boffano. Jadą do posiadłości Louiego położonej po południowej stronie Staten Island. Wygląda ona jak plantacja w Wirginii. Długi, gładki podjazd zakręca niczym znak zapytania pod dom. Tam jakiś służący odbiera od nich samochód — nowego

275

vipera — i Frankie z uwieszoną jego ramienia Molly wstępują na marmurowe schody. Molly wygląda cholernie nieskazitelnie. Ma na sobie suknię wieczorową od Diora, którą kupił jej dziś rano. Sam Frankie nie prezentuje się tak idealnie. Na prawym policzku ma opatrunek. Prawe oko jest jeszcze podpuchnięte, ale przesłonił je fantazyjną klapką. Nowiutki, oślepiająco biały oksfordzki smoking, buty florentine. Jest w dobrym nastroju, humor mu dopisuje.

I humor nie opuszcza go do momentu, kiedy dotarłszy z Molly w sam środek roztańczonej ciżby, zauważy tam Louiego. Stoi on ze swoim osobistym gorylem Archangelem u boku. Naturalnie Frankie natychmiast przestaje tańczyć.

— Wypożyczysz nam swojego przystojniaczka na minutkę? — zwraca się Louie do Molly.

Ale to nie jest pytanie.

Frankie czuje już na plecach, tuż pod karkiem, łapę Louiego, która pcha go przez tłum. Po jego drugiej stronie kroczy Archangelo.

Przechodzą pod ogromnym zyrandolem, mijają wielką galerię rzeźb pełną nagich kobiet i aniołków z malutkimi siusiaczkami. W dół jakimiś schodami. Ich kroki niosą się echem. Jak w więzieniu przemyka przez myśl Frankie'emu.

W końcu wychodzą do ogrodu, w chłodny, mglisty wieczór. Pomimo chłodu każdy cał powierzchni ciała Fran-kie'ego pokryty jest potem. Idą tak szybko i nic nie mówią. Frankie zastanawia się, czy nie powinien powiedzieć czegoś na swoją obronę.

Powinienem przynajmniej spróbować im to wyperswadować.

— Chyba wiem, co sieprzyłłem tamtej nocy, kiedy dałem zwiac temu kutasowi Siurnikowi — odzywa się — naprawdę przepraszam, Louie, ale próbowałem, cholera, to znaczy starałem się, jak mogłem...

Zerka w bok. Louie nawet nie słucha. Nadal trzyma dłoń na jego plecach i popycha.

Mijają basen, mijają rząd krzewów, wszystkie przycięte

276

na kształt posągu Dziewicy Maryi. Drzewa, kort tenisowy. Jakieś zarośla z wyciętą przez nie ścieżką, tutaj Louie daje znak Archangelowi i tamten zostaje z tyłu.

Frankie z Louiem wychodzą na małą polankę.

Na ławeczce z kutego żelaza siedzi Nauczyciel.

— Cześć, Frankie — odzywa się Nauczyciel.

— Frankie opowiadał mi właśnie o tym incydencie z wczorajszej nocy — mówi Louie. — O tym, jak bardzo mu przykro, że tak się stało.

Nauczyciel kręci powoli głową. Louie siada na ławeczce obok Nauczyciela. Rozpiera

się wygodnie. Wyjmuje cygaro i przypala je.

— Masz problem z Frankie'em? — pyta Nauczyciela.

— Tak, mam — mówi Nauczyciel. — Uważam mianowicie, że jest za bystry, za ostry i o wiele za lojalny na^ robotę, jaką wykonuje.

— No więc co z tym zrobimy?

—[!] Myślę, że powinieneś awansować go na kapitanaj Louie — mówi Nauczyciel i uśmiecha się, i Frankie dopierg teraz uświadamia sobie, że stoi z otwartymi szeroko ustami, jak jakiś debil, i zamyka je.

ANNIE wróciła właśnie z pralni samoobsługowej i <k-wiera bagażnik subaru, żeby wyjąć z niego kosz z pranie kiedy naraz słyszy chrzęst opon samochodu na podjeździe, który ma za plecami.

Otwierają się jednocześnie drzwiczki z obu stron. Dwaj urzędowi goście, w ich dłoniach błyskają odznaki.

— Annie Laird? Agent Carew z nowojorskiego Stanowego Biura Śledczego. To agent Beard.

Annie trzyma wciąż w rękach kosz z praniem. Spogląda w kierunku ulicy. Agent Beard przechwytuje to spojrzenie i też tam patrzy.

Agent Carew mówi:

— Chcielibyśmy zadać pani kilka...

— Nie tutaj — przerywa mu Annie.

277

Odwraca się i wkłada kosz z praniem z powrotem do bagażnika.

— Jeśli chcecie ze mną porozmawiać, jedźmy do waszego biura. Od razu.

Zatrzaskuje klapę bagażnika.

— Nasze biuro znajduje się w White Plains, proszę pani. Annie mija go i podchodzi do tylnych drzwiczek sedana.

— Od razu — powtarza.

Agenci nie mają chyba nic przeciwko temu. Carew otwiera przed nią drzwiczki.

I

Godzinę później Annie siedzi już za kwadratowym biurkiem w antyseptycznym, pozbawionym okien Pokoju Przesłuchań. Carew i Beard siedzą naprzeciwko. Na ścianie po lewej wisi jakiś obraz. Zamglone wzgórza. Plastikowa tabliczka w kolorze mosiądzu pod obrazem głosi: „Letnie brzozy”. No, fajnie, jak to miło z ich strony, że raczą mnie ym radosnym bohomazem.

W ścianie naprzeciw niej tafla przyciemnionego szkła. Annie domyśla się, że to weneckie lustro. Ale czemu się ukrywacie, kimkolwiek jesteście? Boicie się Strasznej Przysięgłej? Wyjdźcie stamtąd, pokażcie się, nędzne tchórze.

Magluje ją agent Carew.

\- Roger Boyle?

-+- Nie znam nikogo takiego.

-f- To nazwisko nic pani nie mówi?

-V Nic.

—\ Hotel Caruso?

—\ Mieszkaliśmy tam. Ława przysięgłych.

— Pamięta pani pokój, który zajmowała?

— iSłabo.

— Przypomina pani sobie, czy miał balkon?

— Mhm. — Przejdźcie wreszcie do rzeczy — myśli Annie.

— W nocy z piątku na sobotę stała pani na tym balkonie i rozmawiała z kimś stojącym na balkonie sąsiedniego pokoju. Przypomina pani sobie?

278

— Nie. Carew wzdycha.

— Proszę pani. Takie rzeczy nie zdarzają się co dzień, prawda?

— Raczej nie.

— Widział tam panią naoczny świadek.

— Może widział moją współlokatorkę.

— Nie, pani Laird. Świadek twierdzi, że była to ta sama kobieta, którą widział

wcześniej nad Zalewem Mapougue.

: — Jak to?

— Siedemnastego października. Siedziała pani na kamieniu nad brzegiem zalewu i rozmawiała z jakimś mężczyzną. Przypomina sobie pani?

— Nie bardzo.

— Z tym samym mężczyzną, z którym rozmawiała pani na balkonie.

— Czyżby?

— Z mężczyzną, który zameldował się w hotelu Caruso pod nazwiskiem Roger Boyle.

— Czyżby?

— Przypomina sobie pani?

— Nie bardzo.

— Nie bardzo? Nie była pani tam?

— Nie byłam.

— Ale my wiemy, że pani tam była. A więc powstaje konflikt. Jak by to pani wyjaśniła?

— Co?

— Ten konflikt.

— Nie będę niczego wyjaśniać.

— No, niech pani spróbuje. O czym pani myśli?

— O grzybach.

— Co to znaczy?

— Może jecie za dużo grzybów i macie przywidzenia. Teraz odzywa się ten drugi, agent Beard.

— Pani Laird!

— Słucham.

— Z czego się pani utrzymuje?

— Do tej pory wprowadzałam do komputera zamówienia dla firmy o nazwie „Usługi dewocyjne”. Ale ten proces długo się ciągnął, więc przypuszczam, że właściciel znalazł już kogoś na moje miejsce.

— Pani Laird, na pani konto bankowe wpłynęła w tym miesiącu całkiem pokaźna sumka...

— Owszem.

— Skąd się wzięła?

— Sprzedałam kilka dzieł sztuki.

— Naprawdę? — wtrąca się Carew. — Gratuluję. Ale wie pani co? Nas właściwie nie obchodzi sposób, w jaki przekazano pani te pieniądze. Bo nie sądzimy, by zrobiła to pani z chęci zysku. Sądzimy, że ci faceci pani grozili. Że nadal pani grożą. Ale już pora przestać się ich bać. Proszę nam zaufać. Wyciągniemy panią z tej kabały.

— Niby jak? — pyta Annie.

— Jeśli otworzy się pani przed nami, pomoże nam, zgodzi się zeznawać, umieścimy panią w jakimś bezpiecznym miejscu. Panią i pani chłopca. Potem wsadzimy pana Boy-le'a i jego kolegów za kratki. Prędko stamtąd nie wyjdą.

— I co dalej?

— To zależy tylko od pani. Jeśli będzie pani chciała, przesiedlimy was na stałe. Jeśli nie, będzie pani mogła wrócić tutaj...

— Chce pan powiedzieć: do Pharoah?

— Jeśli pani zechce.

— Do mojego domu? Po złożeniu zeznań...

— Mafia nie jest już taka jak kiedyś, pani Laird. Więcej szczekają, niż gryzą. Rzadko kiedy posuwają się do morderstwa.

— Rzadko? Rzadko kiedy? Jest pan rozbrajający. Mogę już iść?

Agent Carew spogląda jej głęboko w oczy. Annie wytrzymuje jego wzrok.

— Jeszcze nie — mówi w końcu Carew.

— A więc pośpieszcie się panowie. Muszę być w domu, zanim moje dziecko wróci

ze szkoły.

280

— Moglibyśmy posłać kogoś po pani syna — odzywa się agent Beard. — Przywiózłby go tam, gdzie...

— Nie! — wybucha Annie. — Trzymajcie się z dala od mojego domu! Kręcąc się tam narażacie mnie na niebezpieczeństwo! Nie rozumiecie tego, głupie sukinsyny?!

Carew zerka na Bearda. Potem łączy czubki palców na wysokości oczu i pyta:

— Na niebezpieczeństwo, pani Laird? Na jakie niebezpieczeństwo?

— Na pożarcie przez Złego Wilka. Wypuście mnie stąd.

— Obawiam się, że jeszcze nie skończyliśmy.

— Ja skończyłam.

— Pani Laird, staramy się pani pomóc. Ale musi pani z nami współpracować.

— Nie mogę.

Annę odsuwa się z krzesłem od biurka. Chce wstać, ale Carew kręci głową i mówi:

— W porządku. Niech pani posłucha. Przypuśćmy, że prasa natrafia przypadkowo na ślad pewnej sensacji. Zdarzają się rozmaite nieprawdopodobne przypadki — przypuśćmy, że nastąpił przeciek sugerujący, że pani jednak z nami współpracowała. To byłaby historia na pierwsze strony, prawda? Przysięgła oskarża Boffana o manipulowanie radą przysięgłych — coś w tym rodzaju. Pani przyjaciel, pani gość z hotelu, byłby zachwycony widząc swoje nazwisko drukiem, nieprawdaż?

— Jeśli to zrobicie — mówi Annie — oni...

— Co?

Annie czuje, jak napina jej się skóra na policzkach. Tam, do diabła! — myśli. I tak wiedzą. Mówi więc:

— Oni zabiją moje dziecko. Carew jest na to przygotowany:

— Nie, nie zrobią tego. Jeśli pani nam pomoże, nie zrobią.

— Co pan mi tu pieprzy! Nie znacie ich! Wy nie...

— Pani Laird, od dwudziestu pięciu lat trudnię się walką z tymi szumowinami. Oni zawsze grożą. Zawsze. Ale na

tym poprzestają. Nie mają najmniejszego zamiaru skrzywdzić ani pani, ani nikogo pani bliskiego. Wiedzą, że uznalibyśmy to za wypowiedzenie wojny, że wykorzystalibyśmy to do starcia ich z powierzchnią ziemi. Są ograniczeni, ale nie aż do tego stopnia.

— Ale pewności nie może pan mieć...

— Jestem pewien, że na prawdziwe niebezpieczeństwo naraża się pani odrzucając naszą ofertę. Jeśli da sobie pani narzucić ich reguły gry, przegra pani — jestem o tym przekonany. Niech pani przyjmie naszą opiekę. Po to tutaj jesteśmy. Kto inny panią ochroni?

Patrzy na nią przez chwilę, a potem spuszcza wzrok na leżący przed nim notes. Agent Beard zaczyna coś mówić, ale Carew odchrząkuje i ucisza go lekkim potrząśnięciem głowy.

Przez dwie pełne minuty Carew pracuje metodycznie nad wzorkiem z przeplatających się trójkątów.

Wreszcie Annie mówi:

— No, dobrze, nie mówię: nie, ale muszę to jeszcze przemyśleć.

— OK.

— Ale nie teraz. Teraz muszę odebrać syna ze szkoły. Proszę dać mi trochę czasu.

— He?

— Wystarczy, wystarczy dzień, może dwa. Ale zabierzcie spod mojego domu waszych ludzi. Chcecie mnie obserwować, zgoda. Ale tak, żeby nikt tego nie zauważył. Słyszycie?

— A więc dwa dni?

— Czterdzieści osiem godzin. Tyle powinno mi wystarczyć.

JULIET na pokładzie „Stiletto” Iana Slate'a. Mkną Hudsonem, mijając Riverdale, mijając posiadłości, puszające się w ostatnich promieniach zachodzącego słońca.

Ian pozwala jej przejąć ster. Łódź jest obłędnie szybkim, dwukadłubowym katamaranem. Juliet nie przemyka prze-

pustnicy. Śmigają między trawlerem rybackim a wyładowaną węglem barką. Omijają szerokim łukiem o wiele wolniejszą motorówkę. Juliet wyobraża sobie, że merda im na pożegnanie ogonkiem. Niech ich skręca z zawiści.

— Nie płynę za szybko? — pyta ze śmiechem.

— Owszem — mówi Ian. Kładzie dłoń na jej dłoni i jeszcze szerzej otwiera przepustnicę.

Juliet z zaskoczeniem stwierdza, że ten jego dotyk sprawia jej przyjemność.

Wmawiała sobie, że niezbyt go lubi. Uważała, że jest zbyt zadufany w sobie i zbyt zorganizowany jak na jej gust. Na przykład precyzja, z jaką wyreżyserował ten wieczór. Przyjechał po nią land roverem, po drodze puszczał romantyczne irlandzkie ballady (harfa, smyczki, sopran). W porcie w Peekskill, dokąd ją zawiózł, czekał już mężczyzna z dwoma wytrawnymi martini i z tą łodzią. I z dodatkową kurtką dla Juliet, żeby nie zmarzła na rzece.

Ta maniera, z jaką pokazuje jej ciekawe obiekty na brzegu. Pod tamtą palisadą skąpaną w blasku zachodzącego słońca Aaron Burr zastrzelił Alexandra Hamiltona. W tej grocie po stronie Manhattanu mieszkał kiedyś szalony Pustelnik. Wmawiała sobie, że ten pewny siebie sternik po prostu nie jest w jej typie — a teraz dotyka jej i ten dotyk wzbudza w niej mały dreszczyk emocji. Spogląda na niego, w jego zielone oczy. Widzi w nich figlarny ogień. Przypomina się jej spojrzenie, którym obrzucił ją w kafejce poetyckiej Nightbone. A teraz na jego usta wypełza jeszcze ten krzywy uśmiezek.

Juliet uświadamia sobie, że ten facet strasznie ją pociąga.

Oddaje mu ster.

ii

Przeplývają pod mostem George'a Washingtona i mkną wzdłuż zachodniego brzegu Manhattanu. Kiedy zrównują się ze starymi zachodnimi nabrzeżami, Ian dostrzega to, czego szukał. Jacht kołyszący się na aksamitnej wodzie.

283

Zawraca wykręcając fantazyjne „J” i kiedy zbliżają się do jachtu, gasi silnik.

Ciska cumę mężczyźnie w białym fraku, jakiemuś stewardowi albo majordomusowi.

Mężczyzna spuszcza im z pokładu drabinkę sznurową.

Juliet rzuca mężczyźnie najpierw lewy, potem prawy but. Następnie wspina się na pokład, a Ian za nią.

Pływający nocny klub? Restauracja? Nie jest pewna i nie pyta. W sali jadalnej jest już z pół tuzina innych par oraz pianista. Zamawiają sobie małże zapiekane w kokilkach z lekko smażanymi szparagami, Ian patrzy jej w oczy. Rozmawiają o tysiącu spraw. On opowiada jej o orchideach z Wyspy Wielkanocnej. O pewnej znajomej rodzinie baskijskich pasterzy z Idaho. Ona relacjonuje mu jedną ze swoich dramatycznych szpitalnych historii, potem jeszcze jedną i jeszcze jedną, Ian potrafi słuchać tak, że rozmówcy rozwiązuje się język, i Juliet bez żadnych zahamowań opowiada mu o męczących dyżurach, o bezsenności, o potwornym jarzeniowym piekle szpitala St. Ignatiusa.

Jego wzrok jest wciąż nieruchomy, zaciekawiony, chłodny.

Opowiada jej teraz o chorwackim wiolonczeliście, który grał mu pewnej parnej, letniej nocy w mostarskim ogrodzie, a potem zostawił wiolonczelę pod opieką Iana, a sam wrócił do swoich braci obozujących u stóp Gór Dynarskich.

W pewnej chwili Juliet pyta go, czym się zajmuje.

— Jestem dziennikarzem — mówi Ian — nie wspominałem już...

— Ale to wszystko... to wszystko wygląda mi na trochę zbyt ekstrawaganckie jak na dziennikarską pensyjkę, nie uważasz? Mam na myśli tę łódź, ten samochód i w ogóle?

Ian tylko się śmieje.

— Cóż, dorabiam sobie trochę pisaniem poezji — mówi i znowu się śmieje.

Juliet porzuca ten temat.

Kelner przynosi im ser Stilton, portwajn, a potem kawę. Na zakończenie żadnego nietaktu z płaceniem rachunku.

284

Zwyczajny, ciepły uścisk dłoni między Ianem a kelnerem — to wszystko.

Wychodzą na rufę jachtu. Ścigają ich tony gitarowej muzyki. Noc jest chłodna i mglista, ale już nie tak zimna. Jacht zdążył tymczasem wpłynąć na East River, widać światła City Hall i mostu Brooklyńskiego. Ian i Juliet opierają się o reling, wystawiają twarze na podmuchy bryzy.

— W zeszłym tygodniu zastrzelono pod moim szpitalem człowieka — mówi Juliet.
— Przed samym wejściem na izbę przyjęć. Czytałeś o tym?

Jan kiwa głową.

— Coś tam czytałem. Byłaś wtedy na dyżurze?

— Nie, ale znałam go. Kiedyś się z nim spotykałam.

— Żartujesz.

— Slavko Czernyk. Wydaje mi się, że to mnie szukał, kiedy go zabili.

Jan Slate uśmiecha się do niej.

— Według mnie był ranny i szukał w szpitalu pomocy.

— Cóż. Może masz i rację.

— Ale przecucie mówi ci, że szukał ciebie?

— Mhm.

— Czego mógłby od ciebie chcieć?

— Nie wiem.

— Musiałaś to mocno przeżyć, Juliet. Juliet kręci głową.

— Aż mi głupio, że tak łatwo przeszłam nad tym do porządku dziennego. Dowiedziałam się o tym następnego dnia wieczorem, kiedy przyszłam na dyżur. Poszłam do szpitalnej kostnicy. Chciałam go zobaczyć. Freddie mi go pokazał. Wielka RPG. Rana postrzałowa głowy, często mamy z nimi do czynienia, ale ta była fascynująca. Nigdy jeszcze takiej nie widziałam. Zerwało mu całą górę czaszki. Mózg miał na wierzchu. Taka szara substancja, a że był idealnie wykrwawiony, widać było każdą fałdkę... wyglądało to tak jak na ilustracji w podręczniku anatomii, jak głowa kalafiora.

— Co czułaś?

285

Juliet wzrusza ramionami.

— Właściwie to nic. Najpierw może trochę mu współczułam, sama nie wiem. Ale potem ogarnęło mnie coś w rodzaju pogardy dla tych zwłok, dla tej główki kalafiora. Kiedyś spałam z tym facetem, a teraz był, był po prostu obiektem mojego

współczucia. A potem zawstydziłam się tych myśli.

— Ale nigdy go nie kochałaś?

— Nie. Ale spaliśmy ze sobą. To powinno mieć jakieś znaczenie, prawda? Nie powinnam patrzeć z pogardą na jego mózg, prawda?

Na nabrzeżu czeka na nich samochód. Limuzyna, ale nie z tych długachnych. Żadnej ostentacji, żadnej krzyk-liwości.

— Do Coliseum Books — rzuca łan do szofera. Przygotowuje dwa kolejne wytrawne martini. Tym razem towarzyszy im muzyka grupy Cowboy Junkies: „Czarnooki mężczyzna”.

Rozsiadają się wygodnie z drinkami w rękach. Za oknami przepływa zamglona Dziesiąta Aleja. łan dotyka jej dłoni.

— Juliet — mówi — oglądasz codziennie tyle cierpienia, że musisz wyłączać swoje współczucie. Teraz chcesz je nagle włączyć? To się nie da zrobić. Nie potępiaj się. Żal przyjdzie do ciebie...

— Ja nie jestem wyprana z uczuć.

— Jestem tego pewien...

— Są ludzie, których kocham — mówi troszkę niewyraźnie. Uświadamia sobie, że jest lekko wstawiona.

— Kogo kochasz? — pyta łan.

— Kocham mojego przyjaciela Henriego. Mam przyjaciółkę Annie, ją też kocham. Kocham jej syna — Boże, jak ja go kocham! Ma dwanaście lat i Annie podejrzewa, że się we mnie podkochuje, ale mnie się wydaje, że jeśli ktoś tu się w kimś podkochuje, to ja w nim. — Śmieje się. — Tylko

286

że na przeszkodzie stoją te irytujące paragrafy zabraniające deprawacji nieletnich...

— A więc, gdyby zamiast twojego dawnego przyjaciela ucierpiał OHver... — łan zawiesza głos.

— Nawet nie... — Juliet podnosi rękę. — Tak. Gdyby to Oliver... Wtedy bym to przeżyła.

Pod Colisseum Books łan prosi Juliet, żeby chwilkę na niego zaczekała, wchodzi do

środką i po paru minutach wraca z podarunkiem dla niej, z jakimiś książkami.

— Zawieź nas do Belly Mortar — mruczy do szofera. Kiedy łąn nalewa kolejne martini, Juliet przegląda dziwny

wybór książek, które jej przyniósł. Romans historyczny „Wojownik miłości” autorstwa Sarah Rebecki Nightsmith. Thriller zatytułowany „Triada Delta” Deana Locketa. „Siostra Hearth” Danniki Jackson — jak głosi nota na okładce, wspomnienia Afroamerykanki z dzieciństwa spędzonego na głębokim Południu. Juliet śmieje się.

— Czemu, czemu mi to dajesz?

— Chciałaś wiedzieć, z czego żyję.

Łan uśmiecha się. Wyjmuje pióro i pisze na stronie tytułowej „Siostry Hearth”:

; Dla Juliet, tej nocy...

Podpisuje to nazwiskiem Dannika Jackson. I Potem otwiera „Wojownika miłości” i na stronie tytułowej pisze:

...niespodzianek... i zauroczeń...

": I podpisuje to nazwiskiem Sarah Rebecca Nightsmith. W „Triadzie Delta” pisze:

...i wielkiej namiętności — łąn.

287

Juliet patrzy na niego rozszerzonymi ze zdumienia oczami, łąn wzrusza ramionami i mówi: — Gdybym był tylko jednym pisarzem, dusiłbym się.

Limuzyna zatrzymuje się pod Belly Mortar.

Ciemna uliczka w dzielnicy zakładów mięsnych. Na kocich łbach placu załadunkowego czeka tłum. Przepychają się do przodu. Kordon wykidajłów rozstępuje się przed nimi, wstępują na pusty kontener na butelki mleka, z niego na rampę załadowniczą, a potem idą długim korytarzem oświetlanym gołymi żarówkami. Narasta pulsowanie muzyki. Spiralnymi schodami o wyslizganych stopniach w dół, do ogromnych podziemi fabryki.

Miota się tu i kłębi morze ciał.

Wielki gruby hipis, pogodny, wciąż uwielbiany, śpiewa pogrążonemu w delirium tłumowi.

Cizba wchłania łąn i Juliet. Tańczą parę godzin. Ale on ani na moment nie odrywa

swoich zielonych oczu od jej zielonych oczu. I co chwila jej dotyka — Juliet czuje jego ruchliwe palce to na łokciu, to na ramieniu — a kiedy jej dotyka, ona zamyka oczy, żeby przedłużyć choć trochę to wrażenie.

Juliet pozwala się nieść tej fali, pozwala prowadzić temu dotykowi.

Jest pewna, że to, co teraz odczuwa, przytrafia jej się pierwszy raz w życiu.

O, tak — mówi sobie — to się nazywa być pijaną.

Ale jeśli to prawda, to jest przekonana, że tak pijana nigdy jeszcze nie była.

Odarta z rozsądku, z własnego nazwiska i charakteru, płynie teraz w ramionach tego mężczyzny, poddaje się jego rytmowi, pozwala mu się prowadzić w tańcu w stronę kąta klubu, gdzie nagle przyciąga w dół jego głowę, żeby go pocałować. Żeby wpić się w jego usta. Podciąga spódnicę, a kiedy on ściska dłońmi jej pośladki i przypiera ją do szorstkiej, ceglanej ściany, zadziera nogi i rozpościera je

288

szeroko jak ptak skrzydła, łan napiera na nią, rozgniata na ścianie. Juliet podaje mu usta i czuje na majtkach pulsujące ciepło jego członka. Splata nogi kostkami na jego plecach. Wokół mrowie ludzi, którzy mogą na nich patrzeć, ale huk muzyki i ten zgiełk, i ten mrok wymazują wszystko ze świadomości, a Juliet czuje tylko usta łana i tę kamienną pręgę jego członka, która o nią trze, i ból w ramionach szorujących o cegły. Zapierając się ramionami o tę szorstkość za sobą, wyrzuca biodra w przód, wtłacza krocze w tę pręgę. I dyszy mu do ucha: „Dobrze”. Jakby ją pytał, ale on przecież nie powiedział słowa.

— Dobrze — szepce mu — jeśli masz kondom.

Wydaje jej się, że słyszy jego śmiech. Wydaje jej się, że łan odpowiada: „A tak się składa, że mam...”

Sięga ręką w dół i odpina mu rozporek. Przemyka jej przez myśl pytanie, czy ich czasem nie aresztują. Jego kutas w jej dłoni. Ta gruba, pulsująca żyła pod kciukiem. Otwiera na moment oczy i widzi błysk paczuszki z kondomem, którą łan rozrywa zębami. Wybuchą śmiechem i próbuje go znowu pocałować, ale on trzyma wciąż w ustach to postrzępione opakowanie. Teraz odwraca głowę i wypluwa je. Potem całuje ją brutalnie i Juliet czuje, jak nasuwa sobie prezerwatywę na członka. Odciąga krok majteczek, żeby zrobić mu miejsce.

Jest ciemno. Wszyscy tutaj są zapruci. Nikt nie patrzy. A nawet gdyby patrzył, to mam to w nosie, mam to gdzieś, chcę tylko... o Boże! Juliet rozrzuca ramiona,

przyciska je dłońmi na płask do ceglanej ściany, a łan wślizguje się w nią. Za wolno. Jest spragniona. Nadziewa się na niego z impetem, nadziewa jeszcze raz. I jeszcze. Obłeśne, lepkie mlaśnięcie i tryska z niej strumień soków, i niech ci balangowicze sobie patrzą, niech widzą jego kutasa. O, Jezu, jego kutas się we mnie wślizguje. Nigdy nie miała orgazmu podczas stosunku i nie zamierza mieć go teraz, ale tak... to coś... to się zbliża. To coś więcej niż orgazm, co to jest? To... ten wygnieciony szalony odlot do piekła. Jezu, to... Ten mężczyzna... Ten mężczyzna, łan. Nie ma

19 — Zabij go, mamó

289

się czego przytrzymać. Nie ma o co oprzeć. Jak dziecko bez trzymanki na koniu na biegunach. Jej ramiona oplatają się teraz wokół jego szyi... czegoś się przytrzymać, łan.

NAUCZYCIEL godzinę później leży w łóżku Juliet, odpływającej w sen, tuli ją do siebie i mruczy:

— Juliet?

— Mhm?

— Słodka Juliet?

— Mhm?

— Wyświadczysz przysługę? Czuje jej uśmiech.

— Tobie? — szepce Juliet. Wygina w łuk plecy, wciska tyłeczek w jego lędźwie. Ziewa.

— Nie. Twojemu przyjacielowi, Oliverowi.

— Oliverowi?

— Ogromną przysługę.

— Nie rozumiem. Jaką znowu przysługę?

— Poczekaj — mówi Nauczyciel. — Pokażę ci. Wstaje z łóżka. Wyjmuje ze swojej torby trzy pęcherzaste

torebeczki tuinalu 200 mg i butelkę ron botrana.

— Zażyjesz to? — pyta.

Juliet przewraca się sennie na drugi bok, żeby zobaczyć, o czym on mówi.

— Co... — mruga oczami. — Co to jest?

— Secobarbital, amobarbital i rum. Jeśli zażyjesz to teraz, zażyjesz szybko, ocalisz może życie Oliverowi.

Juliet rozbudza się trochę. Siada na łóżku. Patrzy.

— O czym ty mówisz?

Nauczyciel wyjmując teraz z torby automat HKP7. Kładzie go na małej narożnej toalecie naprzeciwko łóżka.

Zapala lampę.

Czując na sobie przez cały czas wzrok Juliet, bierze z oparcia krzesła koszulę, nakłada ją i zapina.

— Kim ty jesteś? — pyta Juliet.

— Jeszcze się nie domyśliłaś? Jestem przyjacielem Annie.

290

Słuchając jej chrapliwego oddechu wkłada spodnie, zasuwa rozporek i zapina pasek.

— Ty... ty skurwysynu, ty...

— Kiedy narażałaś OHvera na niebezpieczeństwo — mówi Nauczyciel — chłopca, którego tak bardzo podobno kochasz, powieka ci nie drgnęła. Czulaś się bohaterką. Teraz proszę cię, żebyś została prawdziwą bohaterką.

Wyjmując z oczu soczyście zielone szkła kontaktowe, wkłada je do pudełka.

— Dlaczego... — głos Juliet się załamuje.

— Bo teraz, kiedy już to zrobiłaś, kiedy się wtrąciłaś, jest to dla Olivera jedyna szansa. Jeśli czegoś nie zrobimy, chłopiec umrze. Nie wierzysz. Myślisz, że kłamiemy. Myślisz, że jesteśmy oportunistami, realistami! Ale zupełnie nas nie rozumiesz. Jesteśmy bawiącymi się dziećmi, Juliet. Jesteśmy sentymentalnymi głupcami. I każemy go zabić. O, tak.

Nauczyciel pochyla się nad łóżkiem i pstryka jej przed oczyma palcami.

— Pomimo że nic nam z tego nie przyjdzie. Pomimo że przysporzy to komuś nieopisanego bólu. Pomimo że Kocham go tak bardzo jak ty, Juliet — pomimo to.

Zabijemy go. Uprzedziłem Annie, uprzedziłem ją, co zrobimy, jeśli nas zdradzi. A ja dotrzymuję słowa. Istota władzy to niezmiennosc zasad. I co, nadal uważasz, że blefujemy? Nie wierzysz mi?

Juliet patrzy na niego szeroko rozwartymi oczami.

— Annie też mi nie wierzy. Nie do końca, nie z głębi duszy, nie wierzy mi, bo byłaś tak przekonująca. I teraz jest przy niej policja. Pilnuje jej, czeka, aż się załamie. Annie musi dokonać wyboru i nie ma jej kto w tym pomóc, nie ma nikogo, kogo by obchodziło jej dobro. Nikogo prócz policji. Cały dzień i całą noc. Którą drogą, według ciebie, pójdzie? Ja sądzę, że pójdzie ze swoimi nowymi przyjaciółmi. Chyba że odbierze jakiś sygnał, coś wyraźnego, coś, co przekonają, że my nie rzucamy słów na wiatr. Musimy ją obudzić. Dać jej trochę posmakować żalu, zaszczepić ją, czy wyrażam się jasno? Musimy ją przestraszyć. Wtedy mi uwierzy.

291

Juliet milczy.

— To będzie dla ciebie łatwe. Odpowiednia dawka tui-nalu, odpowiednia dawka rumu rozregulują twój system nerwowy, zaleją neurony jonami chlorku — to będzie proste, słodkie i bezbolesne. I miłosierne, Juliet. Pomożesz nam? Pomożesz nam ocalić O1ivera?

Juliet nie odzywa się. Jest bez wątpienia śmiertelnie przerażona. Żrenice jej oczu zwęziły się do maleńkich punkcików. Ale Nauczyciel jest pewien, że słyszy, co do niej mówi.

— Bo jeśli nie, to możesz spróbować stawić mi opór — ciągnie. — A w takim przypadku zabiję cię tu i teraz. Tak czy inaczej zostawię list, w którym oświadczasz, że popełniłaś samobójstwo, ale nie jestem pewien, czy gliny to kupią. Będę musiał zniknąć na kilka lat. Ktoś inny będzie musiał zabić O1ivera. Będę się musiał zaszyć w mojej posiadłości w Curacao. Leżenie do góry brzuchem, łowienie ryb, marnowanie czasu. Źle dla mnie, źle dla ciebie. Źle dla O1ivera. Źle dla Annie. Źle dla wszystkich. Ale decyzja należy do ciebie, Juliet. Czy tak chcesz to rozegrać? Jak myślisz?

Przez długą chwilę Juliet siedzi bez ruchu. W końcu zaczyna jej drgać lewa powieka — a potem przez jej twarz przemyka wyraz jakiegoś buntu, czegoś, co Nauczyciel uznaje za wstrętne, prymitywne i zatwardziałe. Nauczyciel spręza się w sobie. Przygotowuje na ewentualność, że Juliet rzuci się na niego.

Ale ten wyraz znika z jej twarzy. Juliet mruga oczami i zaciska mocno powieki.

— Juliet? — mówi Nauczyciel. — Na miłość boską, proszę cię, Juliet. Czy chcesz,

żeby Oliver umarł, zanim zaczął naprawdę żyć?

— Możemy go ocalić — szepce.

— Juliet? — szepce.

ROZDZIAŁ 13

Czy w mojej fascynacji tym człowiekiem jest coś chorego?

ANNIE jest następnego ranka w swojej pracowni, rozmawia przez telefon z Inez.

— Dom? — dziwi się Inez. — Zwariowałaś? Wiesz, ile kosztuje dom w Westchester?

— Ale ja mam na myśli jakiś opuszczony dom — mówi Annie. — Znajdź mi jakąś rozpadającą się ruderę gdziekolwiek. W tym domu nikt nie będzie mieszkał. To ma być rzeźba.

— Co za rzeźba?

— Nic więcej nie powiem.

— Prosisz mnie, żebym załatwiła ci, cholera, sponsora, który wyłoży gotówkę na jakąś chałupę, a nie chcesz powiedzieć, po co ci ona? Ocipiałaś, czy co?

— Po prostu nie mam jeszcze dopracowanych szczegółów — mówi Annie. — Najpierw muszę zobaczyć ten dom.

— No więc kto, według ciebie, ma wybulić szmal na ten dom?

— Nie wiem. Znajdź mi kogoś. Jeśli mnie kochasz, załatw mi ten dom, bo to będzie dzieło sztuki, jakiego nikt do tej pory nie stworzył ani nie stworzy...

— OK. Zadzwonię do Zacha Lyde.

— Nie!

— Nie? Co ty wygadujesz? On śpi na forsie, całuje ziemię, po której stąpasz, może okaże się nawet na tyle szalony, że pójdzie na coś takiego...

293

— Zach Lyde odpada. Nie chcę go tym razem.

— Ale tylko na niego można liczyć, Annie.

— Nie chcę tego skurwysyna! Słyszysz?!

— Hej, dziewczyno...

— NIE CHCĘ CIEBIE! SŁUCHASZ?! TRZYMAJ SIĘ OD TEGO Z DALA! TO MOJA PRACA!

— Co cię, cholera, napadło, dziewczyno?

— Inez, ja nie... ja nie do ciebie.

— Co tu jest grane?

— Przepraszam.

— Co się z tobą, do diabła, dzieje? Masz jakieś kłopoty? Coś cię gnębi, Annie?

— Nie, nie, czuję się wspaniale. Naprawdę. Stworzę mój dom, Inez, wiem to. W taki czy inny sposób.

Po tej rozmowie Annie przechadza się nerwowo po pracowni. Myśli o domu. Nie była tak zaaferowana swoją pracą od czasów, kiedy jeszcze studiowała. Spaceruje tam i z powrotem z rozbudzoną nagle energią. Dzwoni telefon, a ona chwyta ze złością słuchawkę z zamiarem splawienia natręta. To Henri, przyjaciel Juliet ze szpitala.

— Annie? — pyta. — Annie?

— Tak?

— Juliet nie żyje.

— Juliet nie żyje — powtarza za nim automatycznie Annie.

— Mówią, że popełniła samobójstwo.

— Zaczekaj.

— Ona nie żyje.

— Zaczekaj.

— Wzięła pastylki nasenne. Był list, zostawiła list. Napisała w nim, że jest zmęczona szpitalem, zmęczona ciągłym stresem, zmęczona kochankami na jedną noc, zmęczona życiem. Zmęczona udawaniem, że jest silna. Annie! Ja w to nie wierzę, ona... Annie, dlaczego ona nie walczyła? Annie, o co tu chodzi? O co tu chodzi?

Annie próbuje desperacko stłumić ból. Nie wiadomo kiedy i jak dopada kącika

narzędziowego swojej pracowni,

294

chwyta w dłonie ogrodniczy szpadel na długim trzonku i wali nim z rozmachem w szybę w drzwiach pracowni. Sypie się szkło. Potem rąbie szpadlem w okno. Żywi w głębi serca nadzieję, że w tysiącu okruchów szkła, w niczym nie zmałconej anarchii ich trajektorii odnajdzie ukojenie — jakąś namiastkę zapomnienia. Ale niszczenie w żadnym, choćby najmniejszym stopniu nie łagodzi rozsadzającej ją rozpacz. Szpadel zamienia Macaną Skrzynkę zatytułowaną „Sen o ostrzeganiu” w drzazgi, strzępy kryjących się pod nią dodatków i fruujące na wszystkie strony śrubki, ale ból pozostaje nie ukojony. Nie ma na niego lekarstwa, nigdy nie będzie, żadnej ulgi...

Rzuca szpadel, który odbija się od podłogi i upada u jej stóp. Jej wycie zamiera. Gryzie sobie dłoń. Cisza. Twarz krwawi. Policzki, kiedy ich dotyka, są rozpalone do białości.

OLIVER z Jessem skręcają na rowerach w podjazd. Tłuste chmury suną teraz nisko, jest zimno, kolejny dzień tej pieskiej pogody. Samochodu mamy nie ma przed domem. Może pojechała do pracy, ale w Oliverze budzi się niepokój.

Jadą z Jessem na tyły. Naraz Oliver zaciska dłonie na kierownicy, omal nie wybucha szlochom na widok, jaki przedstawia się jego oczom. Wytłuczona szyba w jednym z okien pracowni. Drzwi zwisają na jednej zawiasie. Wszędzie odłamki szkła i drzazgi.

— Jasna cholera! — mówi Jesse.

OHver zeskakuje z roweru i podbiega do wyłamanych drzwi. Otwiera je z rozmachem, szorując spodem o betonowy próg. Zagląda do pracowni.

Jakieś sukinsyny rozwaliły jedną z rzeźb mamy. Wszędzie walają się odłamki drewna, części rozbebeszonego silniczka i strzępy drucianej siateczki. I nagle OHver zauważa krew, krew na rączce szpadla i na podłodze.

— Mamo!

Wybiega na zewnątrz, odpycha z drogi oniemiałego Jes-sego. Nogi ślizgają mu się na drobnym żwirze podjazdu.

295

„Mamo, mamo!” — krzyczy. Otwiera kluczem drzwi do bungalowu i wpada do środka, ale tam również panuje cisza. Woła ją znowu i wbiega po schodach na górę, ale nie ma jej tam i Oliver nie wie, co ma teraz robić. Jeśli zadzwoni na policję, jeśli odważy się wezwać gliniarzy... czy ten facet nie zrobi mamie czegoś, jeśli wezwie

gliniarzy? Dlaczego ten sukinsyn miałby jej coś zrobić, czyż nie wywiązała się ze wszystkiego, czego od niej żądał?

— Mamo!

Zerka przez okno i w tym samym momencie pod dom zajeżdża subaru. Jesse spogląda w górę, dostrzega go w oknie i woła:

— Hej, człowieku, uspokój się! Przyjechała. Subaru trąbi. Pogodny, cichy szczebiot.

Oliver zbiega na złamanie karku po schodach. Wypada przed dom, widzi mamę czekającą w samochodzie i krzyczy:

— Mamo! — Płacze. Podbiega do samochodu od jej strony. — Co się stało?

Mama opuszcza szybę. Zupełnie jakby nie dostrzegąła jego łez. Policzek ma czymś rozcięty, zadrapane czoło nad brwią. Ufarbowała sobie włosy na rudo. Po jej wargach błąka się mglisty uśmieszek.

— Wsiadaj — mówi. — Ty, Jesse, też, odwiozę cię do domu. Jak było w szkole?

— Mamo, co się stało?

Czuje za plecami oddech Jessego.

Mama obrzuca obojętnym spojrzeniem swoją pracownię.

— Ach, to? Dostałam napadu złego humoru. No, wiesz, zdarza mi się to czasem. Bagażnik jest otwarty, ładujcie rower Jessego i jedziemy.

Chłopcy robią, co im kazała.

Mama wyprowadza wóz na Seminary Lane i częstuje ich miętusami.

Jadą brzegiem jeziora. Mama prowadzi z tym dziwnym uśmiechem na ustach. Z włączonego radia leci jakaś muzyczna papka, a ona ssie swojego miętusa i nie odzywa się słowem.

296

W pewnej chwili Oliver ogląda się na siedzącego z tyłu Jessego, a Jesse wywraca oczami jak paranoik, jakby chciał powiedzieć: „Twojej matce odbiło”.

Kiedy podjeżdżają pod dom Jessego, Oliver wysiada i pomaga mu wyładować rower. Mama też wysiada. Kiedy Jesse żegna się z nimi, mama ni z tego, ni z owego pyta:

— Hej, Jesse? Wiesz, gdzie jest twój paszport? I — Słucham?

— Twój paszport. Zdaje się, że w zeszłym roku jeździliście z rodzicami do Walii. Gdzie jest teraz twój paszport?

Jesse ogląda się na OHvera.

— Eee — bąka niepewnie — mama trzyma wszystkie paszporty w szufladzie. W living roomie.

— Mógłbyś mi pokazać swój? — pyta mama. — Tylko na minutkę... pracuję teraz nad taką rzeźbą i chciałam wykorzystać w niej paszport Olivera. Potrzebuję wzoru.

— To dlaczego nie obejrzy sobie pani paszportu Olivera?

— OHver nie ma paszportu.

— Mój jest idiotyczny — mówi Jesse. — To znaczy zdjęcie, wyglądam na nim jak ofiara losu.

— Tylko zerknę.

Jesse wzrusza ramionami.

Wchodzi do domu po paszport. Wraca po chwili i wręcza go mamie.

— Naprawdę drętwo wyszedłem na tym zdjęciu. Mama przygląda się uważnie fotografii. Otwiera torebkę,

wyjmuje z niej własny paszport i porównuje zdjęcia.

— Jesteś bardzo do mnie podobny — stwierdza. — Nie uśmiechasz się... taki poważny.

OHver pragnie gorąco, żeby otrząsnęła się wreszcie z tej dziwaczności i żeby już stąd odjechali. Ale mama ogląda zdjęcie Jessego i kręci głową.

— Wyglądasz tu, jakby przed chwilą zdechł ci pies. Oddaje Jessemu paszport i wsiadają z Oliverem do samochodu.

Kiedy jadą już Old Willow, Oliver pyta:

— Po co było to wszystko?

297

Ale mama kładzie palec na ustach. Kiedy wysiadają pod domem z samochodu, mama przyciąga go natychmiast do siebie i szeptem:

— Chodźmy na spacer.

— OK — mówi Oliver. — Dokąd?

— Pamiętasz ten skrót przez las? Ten prowadzący do starych torów kolejowych?

— Tak. Pewnie.

— Pokaż mi go.

Obchodzą pracownię. Mama ogląda się co chwila za siebie — i nagle puszcza się biegiem i wpada między drzewa. Oliver biegnie za nią.

Mama zwalnia dopiero przy przecince, którą przebiega linia wysokiego napięcia. Zatrzymują się na chwilę, żeby złapać oddech. Potem mama każe Oliverowi iść przodem, każe prowadzić się jego tajnym szlakiem przez jeżyny.

— Mamo — odzywa się Oliver — dlaczego podmieniłaś Jessemu paszport?

— Zauważyłeś?

— Tak.

— Myślisz, że on też to zauważył?

— Uhu. Patrzył na ciebie. Myślał, że zwariowałaś. Ale po co ci jego paszport?

— Bo ty nie masz paszportu — mówi mama. Oliver zatrzymuje się.

— A będzie mi potrzebny?

Mama po prostu go mija, schyla się pod winoroślą i idzie dalej. Śpieszy się. Oliver rusza za nią.

— A co — pyta — wyjeżdżamy za granicę? Mamo, co się dzieje? Co się stało z twoją pracownią? O co chodzi?

— Innym razem — mówi mama.

— Mamo, proces się przecież skończył. Faceci z mafii już się tobą nie interesują. Chyba nie uciekasz, co? Chyba zdajesz sobie sprawę, że już po wszystkim?

— Prawie — mówi mama.

— Powinniśmy o tym porozmawiać, mamo.

298

— Nie chcę o tym rozmawiać.

— No, dobrze, ale może powinnaś porozmawiać z Juliet? Dlaczego nie zadzwonisz

do Juliet?

Mama nie odpowiada.

Wychodzą na stare tory kolejowe. Zwyczajne tory prowadzące prosto przez las.

— Gdybyśmy wzdłuż nich poszli, to gdzie dojdziemy? — pyta mama.

— Do Morris Road — mówi Oliver.

— Tak, ale dalej — mówi mama. — Jak przetniemy Morris Road i pójdziemy dalej.

— Nie wiem. Chyba do Croton Falls.

— To świetnie.

— Ale to będzie z siedem, osiem mil.

— No to przyśpieszmy.

Idą. Po chwili zaczyna mżyć. Szara mżawka i szare zięby przemykające nad szarym murem. Oliver jest oszołomiony i sfrustrowany milczeniem mamy. Ale kiedy tak idą, ogarnia go dziwne zadowolenie. Czyżby uciekali? Jeśli uciekają na zawsze, to ma wreszcie z głowy klasówki z matmy i Laurel Paglinino. Jedyne problem w tym, że będzie mu brakowało Juliet. Już jej mu brakuje.

Idą tak przez kilka godzin. Długi, tajemniczy marsz ramię w ramię przed siebie poprzez październikowe lasy i łąki, w siąpiącym deszczu.

— Nie mogliśmy zabrać czegoś z domu na drogę? — pyta w pewnej chwili Oliver.

— Czegokolwiek?

— A co byś zabrał, Oliver? Potrzeba ci czegoś?

— Nie wiem. Chyba niczego. Ale po chwili dodaje:

— Chciałbym tę czaszkę, którą dostałem od Juliet. Fajnie byłoby ją wziąć ze sobą. Na szczęście. Czy Juliet wie, dokąd się wybieramy?

— Nie.

Kiedy docierają do Croton Falls, do miejsca, gdzie stare tory łączą się z czynną linią kolejową, jest już po południu i Oliverowi burczy z głodu w brzuchu. Kupują

299

sobie kanapki w wiejskim sklepiku, po czym idą na stację i wsiadają w pociąg do Nowego Jorku.

Z Grand Central Station jadą taksówką do sklepu z walizkami. Mama kupuje im po walizce. Następnie krótka wizyta w sklepie z tanią odzieżą. Potem taksówką na lotnisko La Guardia. Mama kupuje bilety na nazwisko Juliet Applegate. Posługuje się paszportem Juliet — nie mówi Oliverowi dlaczego. Zmieniła w nim kilka danych. Zmieniła wzrost z 6 stóp 2 cali na 5 stóp 3 cale, ujęła trzydzieści funtów wagi.

W kasie biletowej płaci gotówką. Podając na bramce paszport Jessego, mówi:

— To mój siostrzeniec. — Czochra Oliyerowi włosy i mówi do kobiety w bramce: — Muszę mu je wreszcie obciąć. Nie sądzi pani, że będzie mu lepiej? — Kłamie z taką swobodą, pewnością siebie i beztróską.

Samolot do Gwatemali odlatuje za trzydzieści minut. /Mama sadza go na plastikowym krześle za bramką i idzie / zatelefonować.

CAREW przykręca dźwięk gry Islanders. Żona stawia aparat telefoniczny na stoliczku przed nim i podaje mu słuchawkę. To Annie Laird. Carew słyszy w tle jakiś gwar i zamieszanie.

— Zdecydowałam się na współpracę z wami — mówi Annie.

— Cieszę się.

— On zabił Juliet — ciągnie Annie. — Wiecie już? Upozorował to na samobójstwo, ale ją zabił.

— Nic mi o tym nie wiadomo, eeee, o kim pani mówi? Annie milczy.

— A więc zabili kogoś? — podejmuje Carew. — Może pani powtórzyć nazwisko?

— Juliet Applegate — mówi powoli Annie. — To moja przyjaciółka. Lekarka. Nie wiedział pan, że nie żyje?

300

— Nie wiem o niej nic — mówi Carew.

— Jak to?

— Nie rozumiem, pani Laird.

— Jak to pan nie wie? On wie. On wie wszystko o moim życiu.

— Cóż, być może wie tyle, bo szuka pani czułych punktów. Co do mnie, to nie chcę wyrzucić pani żadnej krzywdy.

— Ale mimo to krzywdzi mnie pan — mówi Annie.

— Teraz, skoro zdecydowała się pani na współpracę, powstrzymamy go.

— To dobrze — mówi Annie. W jej głosie nie ma śladu ironii. Ani też śladu entuzjazmu. Carew nie potrafi się w nim doszukać żadnej emocji.

— Czy zechciałaby pani wpaść teraz do biura? — pyta.

— Nie teraz.

— OK. To może umówimy się na jutro rano?

— Wkrótce — mówi Annie.

— Kiedy?

Ale w tym momencie na aparacie zapala się lampka sygnalizująca rozmowę na drugiej linii i Carew mówi do Annie: — Mogłaby pani poczekać chwileczkę?

Przełącza się na drugą linię i słyszy głos Harry'ego Bearda:

— Annie Laird związała — mówi Harry.

— Co?

— W jej domu nie pali się światło. Sprawdziliśmy, nie ma jej. Dzieciaka też. Samochód stoi. Ktoś zdemolował jej pracownię...

— Harry, właśnie rozmawiam z nią przez telefon.

— O, cholera! Gdzie ona jest?

— Nie wiem — mówi Carew. — Zaraz zapytam.

Ale, naturalnie, po przełączeniu się na rozmowę z Annie słyszy w słuchawce już tylko ciągły sygnał. Annie Laird nie zaczekała.

301

ANNIE z OHverem siedzą z tyłu autobusu, który lawiruje ulicami rozległego Guatemala City. Jadą na północ, w góry, do Huehuetenango, gdzie rozejrzą się za jakimś transportem do wioski Żółwia. Muszą dzielić siedzenie z dwoma tęgimi majańskimi kobietami. Oliver siedzi przy oknie, Annie obok niego, a dalej te dwie kobiety w barwnych huipiles o skomplikowanych wzorach.

Cała czwórka tłoczy się na ławeczce szerokości podwójnego siedzenia w szkolnym autobusie.

Annie próbuje drzemać. Głowa opada jej na piersi.

Na siedzeniu przed nimi niesforna kura wyłazi ze swojego koszyka. Próbuje usadowić się na oparciu siedzenia, które Annie ma przed sobą. Autobus podskakuje na wyboju, kura rozpościera skrzydła i trzepie nimi Annie po twarzy. Annie wzdyga się. Kura popatruje na nią zalotnie jednym okiem. Annie nigdy nie udusiła kury i zastanawia się teraz, jakie by to było uczucie. Ale kura chyba czyta jej w myślach, bo zeskakuje z oparcia z powrotem do koszyka.

Annie modli się o sen. Bez rezultatu. Dobrze by jej zrobił chociaż mały odlot poza obrzeża miotającej nią wściekłości.

Spędzili z Oliverem całą noc na dworcu autobusowym, czekając na ten autobus. Bała się wynajmować samochód. Nie miała ani jednej karty kredytowej Juliet, a nie chciała używać własnych — bo gdyby to zrobiła, agenci mogliby ustalić, że tu była.

Gdyby to ustalili, on też by się dowiedział.

Radio kierowcy ryczy muzykę salsa. Okna są pootwierane i wpada przez nie woń stanowiąca mieszaninę smrodu spalin, dymu drzewnego, kwaśnego odoru zgnilizny i zapachu jakichś tropikalnych nocnych kwiatów.

Zresztą on i tak wie. Bo oni wszyscy pracują dla Nauczyciela. Cała ta szopka z agentami była podstępem, mistyfikacją. Nawet sam proces był fortelem. Potrzebny im był pretekst, żeby zabić moje dziecko, zaaranżowali więc ten proces i morderstwo Juliet, a teraz czekają, aż noga mi się powinie.

302

Oliver parska śmiechem.

— No, dobra, kto go puścił?

Nikt tutaj nie zna angielskiego, ale wszyscy rozumieją pociąganie nosem Olivera — zde gustowane i znaczące. Śmieją się kobiety, śmieje się właściciel kury. Wiadomość, przekazywana z ust do ust, rozchodzi się po autobusie. W końcu jakiś pijak z okruchami chleba i grudkami masła w szczecinie zarostu na policzku wstaje i kłania się Olive-rowni. Chyba przyznaje się do winy.

Reszta pasażerów śmieje się z niego, a Oliver śmieje się tak samo serdecznie jak oni. Najwyraźniej dobrze się tu bawi. Annie rzadko widuje go tak ożywionego, tak wesołego. Nie poskarżył się ani razu od czasu, kiedy znaleźli się na pokładzie samolotu. Odciągnąć go od ekranu komputera, zabrać na tę paniczną ucieczkę w nieznane, a rozkwita. Teraz śmieje się tak serdecznie, że aż trzyma się za brzuch.

Ale Annie podejrzewa, że Nauczyciel go obserwuje.

Podejrzewa, że Nauczyciel dokładnie wie, gdzie są. Podejrzewa, że znalazł jakiś sposób, by przysłuchiwac się teraz śmiechowi Ohvera. Ta obawa jest tak dojmująca, że Annie kładzie O1iverowi rękę na ramieniu i mówi:

— Nie tak głośno.

— Dlaczego?

' — Ci ludzie nie wiedzą, z czego się śmiejesz.

— Śmiejemy się wszyscy z tego samego. Z tego faceta, który puścił baka.

— OK.

Autobus zatrzymuje się, by zabrać na wcisk jeszcze paru pasażerów. Za oknem zbiera się horda sierot. Wdzięcząca się, skamląca, żebrząca gromada szkrabów. Jedno z dzieci nie ma nóg i jeździ odpychając się od ziemi rękami na czymś w rodzaju nisko zawieszzonego wózka z kartonu po mydle. Kiedy autobus rusza, dzieciak puszcza się za nim w pogoń, wbijając kłykcie w asfalt, by nie zostać w tyle. Spogląda z dołu na O1ivera i Annie. Nic nie mówi, patrzy tylko.

303

— Jezu, mamó — mówi O1iver. Jest wstrząśnięty i zafascynowany zarazem. — Co za koszmarne miasto, nie?

Annie tego wszystkiego nie zauważyła.

NAUCZYCIEL tankuje, po czym parkuje wóz i wchodzi do całodobowej kafejki w zajeździe przy stacji benzynowej. Korzysta z toalety dla mężczyzn. Następnie kieruje się ku tylnemu wyjściu prowadzącemu na plac postojowy, na którym zatrzymują się wszystkie ciężarówki. Wielki parking jest oświetlony rzęsiście jak stadion piłkarski. Nauczyciel idzie na jego skraj, gdzie wśród ciemnego bukowego lasu stoi drewniany stół piknikowy.

Czeka tam na niego Eddie.

— Vincent, ona zniknęła — mówi Eddie. Nauczyciel czuje, jak napina mu się skóra na karku, tuż

pod linią włosów.

— Nie chciałem ci tego mówić przez telefon — ciągnie Eddie. — Nie możemy już korzystać z telefonów, Vincent. Pewnie mają już nas na oku. Siedzimy po uszy w gównie. Po uszy w tym cholernym gównie.

— Zniknęła? — pyta spokojnie Nauczyciel. Eddie kiwa głową.

— Kiedy?

— Dzisiaj rano. Podejrzewam, że ci cholerni federalni umieścili ją w jakimś bezpiecznym domu. Albo ci stanowi, ona współpracuje pewnie ze stanowymi. Murowane, że ona teraz z kimś współpracuje.

Nauczyciel rozważa przez chwilę tę ewentualność. Potem kręci stanowczo głową.

— Nie. Ona jest zbyt pojętna i potrzebuje tylko trochę oddechu. Ale nie zdradzi nas.

— Zwariowałeś, kurwa? Dobrali się do niej, Vincent. Pora nam się zmywać. Jedźmy do Curacao, tam nas nie znajdą. Co jest, do cholery, zrobiliśmy dla Louiego, co mogliśmy. Spływajmy. I to już. Zostaw tutaj swój wóz. Zabierzemy po drodze moją córkę, złapiemy pierwszy samolot do Miami.

304

— Gdzie Frankie? — pyta Nauczyciel. Eddie wzrusza ramionami.

— Teraz? O czwartej nad ranem? Kima w najlepsze.

— Będzie mi potrzebny. Musi sprawdzić tę kobietę, właścicielkę galerii. Annie jest z nią blisko, może się u niej ukrywać. Albo pojechała do człowieka, którego nazywa Żółwiem. Z tego zdjęcia, na którym go widziałem, wynika, że facet przebywa gdzieś w Gwatemali. Musimy ustalić, czy...

— Musimy stąd przyskać, do jasnej cholery!

— Nie. Nie zwijamy jeszcze kramiku. Nie wolno nam zaniechać presji. Annie jest ogłuszona, i tyle. Straciła chwilowo odporność. Wczorajszej nocy umarła jej przyjaciółka.

— Jaka przyjaciółka?

— Ta lekarka.

— Umarła?

— W gazetach piszą, że odebrała sobie życie.

— Ty ją załatwiłeś? Jezu, Vincent, po coś to zrobił?

— Nikt niczego na podejrzewa.

Eddie wpatruje się w niego szeroko otwartymi oczami. Światła przejeżdżających

autostradą samochodów przesuwają się po pniach buków.

— Eddie!

— Co?

— Mędrzec jest bezstronny. Mędrzec postrzega ludzi jako sforę słomianych psów. A więc nie patrz tak na mnie. Jeśli czegoś nie rozumiesz, spróbuję ci to wyjaśnić.

— Nie potrzebuję twoich pieprzonych wyjaśnień, Vin-cent. O jednym tylko marzę: żeby skończyło się wreszcie taplanie w tym całym gównie. Jak przyskrzynią cię, przyskrzynią i mnie. Wiesz, co myślę? Myślę, że ci padło na mózg. Kocham cię, ale pora, żebyś zbastował.

Nauczyciel patrzy w podkrążone oczy Eddie'ego i na tę jego zmiętą twarz.

— Nie spałeś ostatnio, Eddie?

— A co to ma, kurwa, do rzeczy?

— Czy to marzenia nie dają ci zasnąć?

20 — Zabij go, mamó

305

OHver pokazuje palcem i mówi:

— Cygaro.

Juan Calmo pokazuje palcem i mówi: „Sich”. Strzepuje gestem Groucho wymaginowany popiół. Oliver pokazuje palcem i mówi:

— Kobieta.

Juan Calmo gimnastkuje sobie na tym słowie język i wargi:

— Ku-bi-ta. Ku-bi-ta. OHver wzdryga się i mówi:

— Zimno.

Juan Calmo nie rozumie.

— Mamó, jak jest „zimno” po hiszpańsku?

— Nie pamiętam. Fria?

— Si, si, frio — podchwytuje skwapliwie Juan Calmo. Przygląda się ich cienkim koszulkom. Odwraca się, wychyla nad kabiną pick-upa, zagląda w okno od strony

kierowcy i coś krzyczy.

Po chwili zatrzymują się przed małym przydrożnym sklepikiem, krytym strzechą. Juan Calmo wprowadza Olivera

306

i jego mamę do środka. Pomaga mamie się targować, i mama kupuje Oliverowi grubą, bawełnianą koszulę w czerwono-białe pasy, taką, jaką ma na sobie Juan Calmo — jak koszule wszystkich mężczyzn z Tui Cuch. Do tego jeszcze wełnianą kurtkę z wyhaftowaną sylwetką nietoperza.

Sobie kupuje grubą, wełnianą płaszcz oblamowany futerkiem królika.

Kiedy wdrapują się z powrotem na skrzynię pick-upa, pozostali pasażerowie witają ich aplauzem.

Ci z Tui Cuch nie są ani trochę podobni do okrągłoliczych mieszkańców nizin, z którymi podróżowali zeszłej nocy autobusem. Są wysocy, mają wydatne kości policzkowe, silnie zarysowane brody, z ich postawy bije pewność siebie. Siedzą nieruchomo, z podanymi do przodu torsami, chociaż na wyboistej drodze niemiłosiernie trzęsie.

Droga pnie się na szczyt góry, po czym znowu opada. W trzewia chmury. Oliver i Juan Calmo stoją ramię w ramię za kabiną kierowcy i patrzą przed siebie, a biały tuman omywa im twarze. Stoją tak w milczeniu, podskakując, przez blisko godzinę.

Potem mgła się unosi i widzą pod sobą tę długą dolinę soczyście zielonych pól aż po wzniesienie okolone górskim pierścieniem. I tam, pośród poletek kukurydzy, ziemniaków i karłowatych jabłonek, przycupnęła wioska Tui Cuch. Skupisko strzech i jedna stara gliniana wieża. Dym. Ze stromych górskich zboczy wałę w dół wodospady.

Oliver ogląda się.

— Mamo?

— Tak?

— Jesteśmy.

Mama podnosi wzrok. Wyraz twarzy jej się nie zmienia.

— Conoce, conoces... — zwraca się do Juana Calmo — ...un gringo... se llama...

Żółwi

— Como? — mówi Juan Calmo.

— Albo Walter Reisinger?

— Como? — powtarza Juan Calmo.

307

— Walter Reisinger! — wrzeszczy mama, próbując przekrzyczeć wiatr.

Juan Calmo kręci głową.

Mama pyta innych. Nikt nie zna tego nazwiska.

— Es un... un medico? — mówi mama. Dalej kręcą głowami.

OHver wyjmuje swój kieszonkowy słownik i szuka w nim słowa „żółw”.

— Tortuga? — próbuje.

— Ach! Claro! — Odzywa się kilka głosów jednocześnie: — Tortuga!

Kierowca trąbi przeraźliwie i zjeżdża na złamanie karku w kierunku wioski.

Włochaty prosiak wybiega z zagrody i chrząka na nich. Tym chrząkaniem prowokuje wszystkie świnię i psy w wiosce.

Pick-up zatrzymuje się na głównym placu i Juan Calmo ze swoją matką ofiarują się z własnej woli zaprowadzić ich do casa El Tortuga. Dołącza do nich większość towarzyszy podróży. Idą przez pola kukurydzy wąskimi ścieżkami. Walizka obija się Olwerowi o nogę. Co jakiś czas mijają grupkę t'ui cuchanów, wymiana paru słów, i ich orszak pęcznieje. Oliver wychwytuje słowa novia i esposa.

— Mamo!

— Co?

— Oni chyba myślą, że jesteś żoną Żółwia. Tak mi się wydaje.

OHver rozgląda się i widzi, że towarzyszy im już ze trzydziestka albo i czterdziestka uśmiechniętych i roześmianych t'ui cuchanów.

Mijają wodospad i schodzą cały czas w dół. Mijają ogromny, zrujnowany kamienny kościół. Podcienia zarosły mchem. Dochodzą wreszcie do długiego, przysadzistego budynku z dachem krytym blachą cynkową i wywieszka „Clinica” nad wejściem. Sąsiaduje z nim mały domek z ogródkiem i kurczakami.

Przed drzwiami wartę trzyma wyrzeźbiony w drewnie żółw.

— Tortuga! — krzyczy tłum. — Tortuga!

Z domku wychodzi ten, którego wołają, i Oliver czuje się przez chwilę nieco rozczarowany. Przejechać taki szmat drogi dla takiego lebiegi o świńskich oczkach? Który prezentuje się jeszcze marniej od Ohvera i który łysieje na czubku głowy, ma włosy związane w koński ogon i zmierzwioną, długą brodę, i który naprawił sobie ułamany zauszniak okularów kawałkiem taśmy izolacyjnej? I który do tego wszystkiego uśmiecha się do mamy jakimś baranio-ckliwym uśmiechem.

Czy to jest facet, dla którego przejeżdża się tysiące mil? No, chyba tylko wtedy, kiedy się ucieka, tak jak my. Tylko kiedy nie ma się innego wyboru.

SARI w swoim gabinecie w agencji podróży. Drzwi są zamknięte na klucz, a Eben napiera na nią. Za drzwiami dzwonią telefony, terkoczą drukarki biletów. Ale to jest gdzie indziej. Cała uwaga Sari skupiona jest na ustach tego mężczyzny, na irytujących guzikach jego koszuli.

Eben bierze jej dłonie, unosi do ust i delikatnie całuje. To chyba subtelny sposób na przywołanie jej do porządku, na ostudzenie jej żaru.

— Nie chcesz się ze mną teraz kochać? — szepce Sari. — Możemy się teraz kochać, proszę, Eben.

Nie odpowiada. Sunie czubkami palców w górę jej ręki do miejsca, w którym jego kciuki napotyka jej piersi. Gładzi je, ale w jego spojrzeniu jest jakaś nieobecność.

— Eben? — mówi Sari. — Dobrze się czujesz?

— Wpadłem się tylko z tobą zobaczyć.

— Coś się stało?

— Nic, a właściwie tak. Cóż. Interesy...

— Powiedz mi.

— Mam kłopoty.

— Kochanie, jakie kłopoty?

— Jeden z moich znajomych podpisał kontrakt z Pe-mexem na budowę nowego rurociągu z Meksyku. Pete

Mordacai. Kontrakt z Pemexem na półtora miliarda dolarów.

— To chyba dobra wiadomość.

— Byłaby dobra. Ale wczoraj ten fundusz powierniczy, któremu doradzam, wykupił masę obligacji terminowych West Texas Intermediate. Przed ogłoszeniem. Obligacje terminowe dają uprzywilejowaną pozycję przy zakupie akcji i wykorzystaliśmy to. Wygląda to tak, jakby dostali cynk, i mam teraz straszne nieprzyjemności.

— A naprawdę dostali cynk?

— Nie ode mnie. Znasz mnie już na tyle, Sari, żeby wiedzieć, jaki ze mnie skrupulant. Ale, owszem, jestem przekonany, że prezes tego funduszu powierniczego wybrała się w ostatnich dniach w potajemną podróż do Gwatemali. Bawiło tam w tym samym czasie na Targach Obu Ameryk kilka osób z Pemexu. Sądzę, że odbyła z nimi nieoficjalne spotkanie, posmarowała, komu trzeba, i dowiedziała się, czego chciała.

— To dlaczego ty masz kłopoty?

— Nie potrafię dowieść, że to ona. Gdybym... gdybym potrafił dowieść, że była w Guatemala City, to mógłbym oczyścić swoje nazwisko. Ale nie potrafię.

— Zaczekaj. Chcesz się dowiedzieć, czy w ciągu ostatnich kilku dni ta kobieta wyjeżdżała do Gwatemali?

— Tak, ale nie wiem, jak się do tego zabrać.

— Może potrafię ci pomóc — mówi Sari. — Pozwól, że zadzwonię w kilka miejsc.

— Odwraca do siebie monitor komputera. — Jak ona się nazywa?

— Annie Laird.

— Wiesz, gdzie mieszka?

— W Pharoah. Przy Seminary Lane.

— Czy nie telefonowałeś do mnie pewnej nocy z Pharoah? Powiedziałeś wtedy, że jesteś w trasie i...

— Tak. To właśnie z nią miałem wtedy spotkanie, z Annie Laird. Uważałem ją za uczciwą klientkę. Myślałem, że można jej zaufać. Teraz rozerwą mnie przez nią na sztuki.

— Nie — mówi Sari. — Nie pozwolę im na to. Ale to trochę potrwa. Zadzwońię do ciebie.

— Sari, jesteś aniołem.

ANNIE budzi w środku nocy pianie koguta. Z początku jest przerażona. Ale po chwili przypomina sobie, gdzie się znajduje. Chata Żółwia. Gwatemala, daleko od domu, bezpieczna. Odzyskuje oddech, uspokaja się i jest nawet rada, że się obudziła.

Śniło jej się, że jest kierowcą śmieciarki, jeździ po szpitalach i zabiera stamtąd pełne skrzynie potłuczonego szkła.

Poświata księżycy jest o wiele przyjemniejsza od tego snu.

Koronkowe cienie liści. Zaczyna śpiewać nocny ptak i jego trele brzmią jak woda płynąca po kamieniach. Annie unosi się na łokciach i patrzy na posłanie pod ścianą naprzeciwko, gdzie śpi jej dziecko. Nie widzi wiele. Podłużny, obły zarys pod kołdrą. Ta połyskliwa gałka to chyba łokieć. Nastawia ucha, żeby posłuchać jego oddechu.

OHver oddycha swobodnie, wzgórek pościeli unosi się i opada miarowo.

— Annie? — szepce leżący obok niej Żółw.

Teraz, z rozpuszczonymi włosami, z ustami napuchniętymi od snu, wygląda korzystniej.

— Wszystko w porządku — mówi do niego. — Przytul mnie.

Żółw wyciąga ramię spod koca i przyciąga ją do siebie. Annie czuje jego policzek przy swoim. Czuje zapach jego włosów, znajomy zapach Żółwia. Ale jego ręka dalej się porusza. Wślizguje się jej pod plecy. Zsuwa wzdłuż kręgosłupa, odbywa jakąś ekspedycję.

— Nie, proszę — mówi cicho Annie.

— OK.

Żółw rozluźnia się. Przez jakiś czas leżą obok siebie nieruchomo i w końcu Annie słyszy, jak jego oddech się pogłębia. Tak mi teraz dobrze — myśli. Zwyczajnie leżeć i nasłuchiwać. Jaki sens bać się na zapas poranka? Nie ma

311

jeszcze rana. Słuchać oddechu OHvera i oddechu Żółwia, i tego wodnego ptaka, niech ta noc trwa bez końca.

Ale słońce wschodzi gwałtownie.

Żółw robi im heuvos rancheros i pastę z czarnych frijoles. Jakaś stara kobieta przynosi koszyk ciepłych, ogromnych, żółtych ziaren kukurydzy.

Wpada Juan Calmo i zabiera Olivera na wycieczkę po okolicy.

Potem Annie schodzi z Żółwiem cedrowymi gajami i otwartymi polami na dół, do ukrytego wąwozu, którym płynie strumień, pod wodospad. Słońce oślepia, niebo jest nieskazitelnie niebieskie i tak ciemne, że wcale by się nie zdziwiła widząc na nim gwiazdy, konstelacje białego dnia.

Siadają na omszałym głazie nad brzegiem strumienia i Żółw mówi:

— No, dobrze, opowiesz mi teraz wszystko? Opowiada mu.

Opowiada mu wszystko — ale jest to właściwie opowieść o jednym. O Nauczycielu. Opowiada Żółwiowi wszystko, czego udało jej się dowiedzieć o jego metodach, i to, czego się domyśliła. Jak uwodzi. Jak zastrasza. Jak zawsze potrafi przewidzieć każde posunięcie ofiary, jak nigdy nie można mieć pewności, do czego się posunie.

Kiedy kończy, zbliża się południe. Niebo nie jest już takie niebieskie. Z gór zaczyna spływać lekka mgiełka.

— A więc nikt nie wie, że tu jesteś? — pyta Żółw.

— Jeszcze nie. Nie sędzę. Żółw rozważa coś przez chwilę.

— Tak, przybyłaś do właściwego miejsca. Zmiatać stamtąd gdzie pieprz rośnie, od razu powinnaś tak zrobić. Tutaj jesteś bezpieczna, Annie. Już dalej od Westchester nie da się chyba uciec. Tutejsi ludzie to moi przyjaciele.

— Wiem — mówi Annie.

— Większość mężczyzn walczyła w szeregach armii albo przeciwko armii. Albo i jedno, i drugie. Mają karabiny. Nie zawahają się ich użyć. Ten, kto waży się tu zapuścić, żeby cię skrzywdzić, pożałuje, że się urodził.

312

— OK.

— Podoba ci się tutaj? Zabiorę cię jutro na wycieczkę w góry. Na wszystkich szczytach są ołtarze Majów.

Annie uśmiecha się.

— Szkoda, że nie mam więcej czasu.

— Więcej czasu? Boże, Annie, posłuchaj, możesz tu zostać, jak długo...

W tym momencie dociera do niego sens jej słów.

— Zaczekaj. Nie możesz...

— Muszę, Żółw. Muszę tam wrócić. Chciałam cię tylko prosić, żebyś zaopiekował się Oliverem. Nie ma na świecie nikogo innego, komu mogłabym zaufać.

— Annie, chwileczkę...

— Jeśli wróci ze mną, ten człowiek go zabije. Musisz go przyjąć.

— Nie. Zaczekaj. Nigdzie nie wyjeżdżasz! Nie puszczę cię!

— Nie możesz mnie zatrzymać.

— Annie!

— Nie ty tutaj decydujesz. Do ciebie należy tylko decyzja, czy zaopiekujesz się Oliverem, czy raczej pozwolisz mu wrócić ze mną do domu na pewną śmierć. Ja cię proszę, żebyś się nim zaopiekował.

— Na jak długo?

— Dopóki nie będzie po wszystkim.

— Co to znaczy: dopóki nie będzie po wszystkim? Jezu, o co ty mnie prosisz, Annie?

— Proszę cię, żebyś się zajął wychowywaniem mojego dziecka. Wystarczy, żeby rósł zdrowo. Nie zależy mi na tym, żeby odniósł w życiu jakiś wielki sukces. Daj mu po prostu tyle, ile możesz. Jest mi obojętne, czy zostanie artystą; jest mi obojętne, czy skończy college; jest mi obojętne, czy zostanie tutaj i przez resztę życia będzie pasł owce. Powtarzaj mu tylko co wieczór, jak bardzo go kocham, tylko o to cię proszę.

— Ale dlaczego? Dlaczego chcesz tam wrócić? Annie patrzy przez chwilę w zadumie na wodospad.

313

— Muszę.

— Zostawiłaś tam coś? Pieniądze? Ubrania?

— Muszę wrócić.

— Ale dlaczego? Spotkać się znowu z tym mężczyzną?

— Tak.

— Po co?

— Żółw, powiedz Oliverowi o Juliet. Powiedz mu, co się stało. Powiedz mu, że bardzo mi przykro, iż się z nim nie pożegnałam, ale nie mogłam. Gdybym spróbowała się pożegnać, nie potrafiłabym... jak miałabym to zrobić? Co bym mu powiedziała? „Życzę ci wspaniałego życia, dziecko”? Nie wymagaj tego ode mnie. Nie wymagaj. Nie jestem wystarczająco silna. Przekonałby mnie, żebym została. Albo ty byś mnie przekonał. A wtedy Nauczyciel wcześniej czy później odnalazłby nas tutaj.

— Nie, on was nie znajdzie, Annie. Zaniecha poszukiwań.

— Nigdy nie zaniecha.

— Skąd to wiesz? Nie możesz tego wiedzieć.

— On nigdy nie da nam spokoju. Żółw, to, przez co razem przeszliśmy, Nauczyciel i ja, to coś w rodzaju małżeństwa.

OLIVER i Juan Calmo są na górze w starym, zrujnowanym kościele. Wąska, kamienna galeryjka zachodzi za róg i widać z niej coś, co swego czasu było nawą — ale teraz nie ma dachu, nie ma ławek i tam w dole roztacza się coś w rodzaju ubitego, spalonego słońcem dziedzińca. Przed sękatym, prowizorycznym krzyżem klęczy starzec i śpiewa. U podstawy krzyża dymi ognisko. Starzec trzyma w dłoniach żywego indyka, unosi go w górę. Indyk wyrywa się, wykręca szyję, drżą mu korale. Oliver z Juanem Calmo obserwują to wszystko z galeryjki. Przykucnęli za kamienną balustradą i wyglądają zza niej ukradkiem. Widzą, jak starzec podrzyna indykowi gardło, strząsa krew w ogień. W górę wznoszą się długie smugi dymu.

314

, — Kurczę — szepce Oliver.

j Szepce cichutko. Ale ruiny pamiętają jeszcze, jak roznosić

echo, i ten szept dociera do uszu starca.

Podnosi wzrok na chłopców.

Ci chowają głowy i chichocą. Juan Calmo rusza w kucki galeryjką. Oliver idzie w jego ślady.

Skręcają w lewo za róg i zrywają się do biegu. Biegną szczytem ściany, która pozostała po jakimś przykościelnym budynku. Wokół roztacza się zapierający dech w piersiach widok na Tui Cuch i góry. Ściana kończy się wykutymi z grubsza w kamieniu białymi schodami. Juan Calmo zatrzymuje się u ich szczytu. Siada na stopniu. Wyjmuje z kieszeni dwa podobne do gruszek owoce i podaje jeden OHverowi. Sam kwas — OHverowi wykręca twarz, a Juan Calmo uśmiecha się do niego. Okolicę zalewa ostre słoneczne światło. Od strony wioski dobiegają tony muzyki. OIiver patrzy w dół i widzi zespół marimb grający na małym placyku. Odbywają próbę przed jakimś festiwalem, który wkrótce się rozpoczyna, chyba w dzień Wszystkich Świętych. Na tym samym placyku, niedaleko ćwiczącego zespołu, dostrzega poobijanego pick-upa, tego samego, którym tu przyjechali. Skrzynia wypełniona szczelnie t'ui cuchanami wybierającymi się do Huehuetenango. Silnik pick-upa pracuje, z rury wydechowej strzelają małe obłoczki czarnego dymu. Rozkosznie siedzieć tak na tych schodach w tym soczystym blasku dnia, ssać ten nieprawdopodobny owoc i patrzeć, jak tam, w dole, płynie dzień...

Do pick-upa podchodzą kobieta z mężczyzną. Kobieta niesie walizkę.

To mama.

Wyjeżdża. Zostawia go tutaj.

OJiver podnosi się ze schodka. Podnosi się powoli. Nie może w to uwierzyć. Patrzy. Stoi w bezruchu. Obserwuje, jak mama dotaszcza tę walizę, jak kierowca pick-upa bierze ją od niej i podaje mężczyznom z Tui Cuch siedzącym już na skrzyni. Do mamy wyciągają się stamtąd ręce, żeby

315

pomóc jej wsiąść. OHver patrzy na to wszystko, jakby go tu wcale nie było, jakby ze wszystkich zmysłów pozostał mu tylko wzrok.

— Que pasa? — odzywa się Juan Calmo i OIiver przypomina sobie, że on również ma głos.

— Mamo! — krzyczy.

Ale przez tę muzykę, przez wiatr i z tej odległości nikt go tam nie może usłyszeć. Nikt nie spogląda nawet w stronę ruin.

Rusza w dół po schodach. Po trzy stopnie naraz, potem ogromnymi, karkołomnymi susami zбочem wzgórza. Obok wąskiego poletka fasoli. Przyglądają mu się ciekawie kozy, obszczekują podniecone psy. Ślizga się na błocie i omal nie wywraca, ale odstawia dziki taniec z rozpaczliwymi wymachami rąk i nóg, i udaje mu się

jakoś odzyskać równowagę, pędzi dalej. Stadko kur, osiołek obładowany kolbami kukurydzy. Potem prosty odcinek bitego traktu, potem ostry zakręt i wpada na plac.

Żółw, zespół marimb, tłum.

Ale pick-up już odjeżdża.

Sylwetka mamy miga mu po raz ostatni.

— MAMO! MAMO! MAMO!

Mama ogląda się i Oliver wie, że chociaż nie daje tego po sobie poznać, dostrzega go.

Chwytane spazmatycznymi haustami powietrze szoruje mu płuca jak papier ścierny. Wściekły i zdezorientowany, rzuca w przelocie spojrzenie Żółwiowi i biegnie dalej. Nadaremnie, bo nie dogoni już pick-upa, ale jak ona mogła mu, do cholery, coś takiego zrobić, wywieźć w tę głuszę i tutaj zostawić? Biegnie jednak za nią, chociaż pick-up znikł mu już z oczu. Psy depczą mu po piętach, dzieci gapią się, nie słyszy już nawet silnika pick-upa, uszy rozsadza tylko świst własnego oddechu i piskliwe tony muzyki marimb. Prosiak, który ochrzakał ich wczoraj, znowu wybiega z zagrody i chrząka na niego.

316

ANNIE następnego ranka w siedzibie nowojorskiego Stanowego Biura Śledczego odmawia odpowiedzi na pytanie agenta Carewa.

Czyżby wyobrażał sobie, że potrafi nakłonić ją wzrokiem do mówienia? Daj sobie spokój, człowieku.

W końcu agent Carew krzywi się i spuszcza oczy na biurko.

— Pani Laird, jeśli nie chce nam pani powiedzieć, gdzie przebywa obecnie pani syn, to jak mamy go chronić?

— Nie chcę, żebyście go chronili. Róbcie lepiej to, co do was należy.

Agent zjeża się.

— Znaczy się, co mamy według pani robić, pani Laird? Proszę mnie oświecić.

— Wszczęć śledztwo w sprawie morderstwa. W sprawie morderstwa popełnionego na Juliet Applegate.

— Właśnie je prowadzimy.

— No i co?

— To musi trochę potrwać — mówi agent.

— Nic?

— Jak na razie. — Agent zwija jedną dłoń w pięść i przeciąga palcem drugiej po kłykciach. Tak tam i z powrotem, wielokrotnie.

— Ale wierzy pan, że została zamordowana? — naciska Annie. — Że zabił ją Nauczyciel?

— To, w co ja wierzę, nie ma tutaj żadnego znaczenia. Liczą się tylko dowody.

— To niech pan znajdzie jakieś dowody.

— Staramy się, pani Laird. Pomoże nam pani?

— Tak. Co mam robić, nosić przy sobie jedno z tych, z tych elektronicznych urządzeń podsłuchowych?

— Nie, to zbyt ryzykowne. Gdyby odkrył, że ma pani założoną pluskwę...

— Nie odkryje.

— Jeśli przyjdzie mu do głowy obszukać panią...

— Nie przyjdzie — mówi z przekonaniem Annie. — Uważa mnie za bojaźliwą, przywykł do mojej bojaźliwości.

317

Nie dotknie mnie, jeśli mu na to nie pozwolę. Lubi pozować na dżentelmena.

— Pani Laird, sądzę, że lepiej, bezpieczniej będzie, jeśli zwabi go pani do jakiegoś miejsca, gdzie my wcześniej zainstalujemy mikrofon...

Annie kręci głową.

— My też tam będziemy — dorzuca Carew.

— Ale jego nie będzie. Nie pójdzie ze mną nigdzie tam, gdzie ja zaproponuję... zwęszy pismo nosem. Znam go lepiej od was. Zróbcie, proszę, jak mówię. Załóżcie mi podsłuch. Proszę. Jeden raz, to mi wystarczy, tylko raz. Dostarczę wam takiego materiału dowodowego, że będziecie mogli dobrać się do nich wszystkich. Boffana wsadzić na resztę życia. Nauczyciela i jego przydupasa usmażyć na krześle elektrycznym, Jezuu! Prosiłście mnie o pomoc, oto ona. Zdaję sobie sprawę z ryzyka.

Podjęmę je. Bardziej ryzykuję, kiedy on pozostaje na wolności.

NAUCZYCIEL słyszy na swoim podjeździe samochód. Podchodzi do drzwi domku i czeka w progu na Eddiego.

— Rozmawiałem właśnie z Tonym Marettim — mówi Eddie. — Annie do niego dzwoniła. Wróciła. Tak jak przewidziałeś. Powiedziała, że chce się z tobą spotkać jutro o pierwszej.

Vincent zaczyna oddychać trochę szybciej, głośne wydechy, prawie się śmieje. Śmiech podszyty tryumfem.

— Wejź — mówi. Eddie kręci głową.

— Nie, chciałem ci tylko przekazać tę wiadomość. W ogóle nie powinienem się tu pokazywać.

— Nikt prócz ciebie nie wie, gdzie mieszkam, Eddie. Wejź.

— Muszę lecieć.

— Będę potrzebował w tej sprawie twojej pomocy. Eddie krzywi się.

— Wiesz, że nie za bardzo się palę do ciągnięcia tej zabawy.

318

— Wiem.

— Według mnie powinienes zbastować.

— A ja nadal proszę cię o trochę cierpliwości.

— Zbastować z tymi gównianymi podchodami i zmywać się.

— Eddie, ona wróciła.

— Na mnie nie licz. Słyszysz? Najwyższy czas dać jej już, kurwa, spokój. Jej i dzieciakowi.

— Eddie?

— No?

— Spójrz na mnie.

— No?

— Jesteś moim przyjacielem. Potrzebuję twojej pomocy.

— Jezu!

— Eddie!

CAREW przygląda się, jak jego koleżanka, Sue Ranzi, maca Annie pod pachą. Wyczuwa tam maleńki nadajniczek Technodyne, nie większy od pudełka zapalek, i jego miniaturową baterijkę. Antena biegnie pod ściągaczem stanika ku plecom. Annie ma mikrofon zainstalowany z przodu, między piersiami.

Sue Ranzi odwraca się do Carewa i kiwa głową.

— OK, pani Laird — mówi cicho Carew. — Niech pani pamięta, że będziemy przez cały czas prowadzili nasłuch sygnału pani nadajnika. Może pani wzywać pomocy bez względu na to, gdzie akurat będzie, pani Laird, a my zjawimy się natychmiast.

— Ale będziecie trzymali się z dala? — upewnia się Annie. — Nie zauważy was?

— Obiecuję.

Carew odwraca się, a jego kolega, Murray Randall, który siedzi ze słuchawkami na uszach, kiwa głową — odbiór jest idealny.

— A więc OK — mówi Carew. — Jesteśmy gotowi.

— Mogę chodzić do łazienki? — pyta Annie.

319

— Naturalnie.

Annie nikle się uśmiecha. Oddala się korytarzem.

— I co ty na to? — pyta Harry Beard.

— Sam nie wiem — mówi Carew. — Zazwyczaj na parę godzin przed taką akcją zaczynam się denerwować, dostaję tremy. Tym razem niczego takiego nie odczuwam. Tym razem nic. Nie potrafię rozgryźć tej kobiety. Nie wiem, z kim właściwie mamy do czynienia.

Beard kiwa głową.

— Raz sprawia wrażenie, że stoi mocno nogami na ziemi, innym znowu razem — że buja gdzieś w obłokach.

— Chciałbym wiedzieć tylko jedno: czy ona jest po naszej stronie?

— Do diabła, nie robiłaby tego, gdyby tak nie było.

— Jesteś pewien? — Carew zastanawia się. — Mówisz, że jest po naszej stronie?

— Na sto procent.

— A może tak długo skakała, jak jej zagrał ten skurwysyn, że zaczęło jej się to w końcu podobać.

EDDIE zjeżdża do krawężnika przed stacją kolejową w Brewster. Annie wychodzi szybkim krokiem z budynku i wsiada do samochodu.

Kiedy ruszają, Eddie pyta ją, jak się czuje.

— Świetnie — mówi Annie, ledwie poruszając ustami. — Wspaniale.

Przejeżdżają kilka mil w kierunku północnym.

— Annie, chciałem... chciałem ci coś powiedzieć — odzywa się w pewnej chwili Eddie. — To znaczy, chciałem ci powiedzieć, co myślę o tym wszystkim...

— Wiesz co, Johnny?

— Co?

— Naprawdę gównu mnie obchodzi, co ty o tym wszystkim myślisz — mówi Annie.

I więcej się nie odzywa. Ani słówkiem. Eddie gotuje się ze złości. Nienawidzi tej suki. A jednocześnie żal mu jej.

320

Zdaje sobie też sprawę, że nadal ma na nią chrapkę. Boi się też, bo niewykluczone, że dziewczyna kombinuje teraz z organami ścigania.

Eddie trzyma gębę na kłódkę, ale głowa przerabia cały czas ten groch z kapustą.

Jadą w milczeniu aż do zarośniętego chwastami nawrotu za North Stoneleigh. Naprzeciwko stoi stara, zamknięta meksykańska restauracja, przed którą skrzypi na wietrze gigantyczny kaktus. Eddie skręca tam i zatrzymuje się. Niedługo potem nadjeżdża Vincent.

Annie wysiada z samochodu Eddie'ego. Vincent opuszcza szybę i ma już coś do niej powiedzieć, ale ona kładzie palec na ustach i kręci głową.

Wskazuje palcem na swoje piersi.

Przemiata wzrokiem drogę nr 22. Żadnych pojazdów, nikogo.

Rozpina bluzkę. Do stanika, między piersiami, ma przypięty miniaturowy mikrofon.

Jest na podsłuchu. Kurwa, ma założony podsłuch.

Jezu Chryste! Eddie usiłuje odtworzyć sobie w pamięci, co mówił po drodze, co mogło pójść w świat przez ten mikrofon — ale zaraz przypomina sobie, jak zamknęła mu gębę, jak nie pozwoliła mu nic powiedzieć.

Annie wręcza mu karteczkę i Eddie czyta:

: Johnny, nic nie mów. Pojeździ] sobie w kółko. Jedź dokądkolwiek, daj nam pół godziny, a potem wróć tu po mnie.

Tymczasem Annie wsuwa rękę pod pachę i pociąga lekko za chirurgiczny plaster. Odrywa od ciała nadajnik i odpina antenę od stanika. Vincent obserwuje to z nikłym uśmiechem na ustach. Annie kładzie całą instalację podsłuchową na siedzeniu obok Eddie'ego. Potem zatrzaskuje drzwiczki i wsiada do wozu Vincenta. Dzisiaj przyjechał rangę roverem.

Ha. Cholerny Vincent, od początku miał co do niej rację.

Cholerny Vincent. Co w nim takiego jest, że te kobiety zawsze się na to łapią?

21 — Zabij go. mamó

321

Vincent puszcza do Eddie'ego oko i odjeżdża z Annie. Eddie siedzi i patrzy za nimi.

NAUCZYCIEL zwraca się do Annie:

— Co o nich myślisz?

— O kim?

— O strażnikach. Agentach.

— To dupki — mówi Annie.

— Próbują cię tylko chronić. — Skręca w wąską polną dróżkę i dojeżdżają nią do łąki obsypanej jesiennymi dzikimi kwiatami. Nauczyciel zatrzymuje samochód.

— Błądzą po omacku — podejmuje Annie. — Są niekompetentni, to biurokraci. Denerwują mnie. Najbardziej denerwuje mnie ich słabość.

Ruszają spacerowym krokiem przez pola tej starej farmy, którą kupił kilka lat temu. Zdaje sobie sprawę, że dużo ryzykuje przywożąc ją tutaj, ale to tylko jedna z tysiąca ryzykownych decyzji. Ta myśl przywołuje na jego wargi uśmiech. Wszystkie te niewidzialne, otaczające ich zewsząd zagrożenia... a oni z Annie przechodzą

malowniczą kładką nad strumieniem i wkraczają na zarośniętą ścieżkę. Strumień płynie szpalerem amerykańskich topoli, niemal już nagich. Stado wron tam na wiśni. Ryzyko, czym jest ryzyko? Ryzyko to dar, dzięki któremu dowiadujemy się, co kochamy.

— Mimo to, Annie — odzywa się Nauczyciel — wydaje mi się, że powinnaś im wybaczyć. Są słabi, ponieważ odwracają się od Tao. A odwracają się od Tao, bo się boją. Ale serca mają dobre, kochają cię...

— Nie opowiadaj mi takich rzeczy — przerywa mu Annie.

Zatrzymuje się.

— Mówisz mi, żebym im przebaczyła? — podejmuje. — Ty? Ty sukinsynu! Nienawidzę cię, wiesz? Zabiłabym cię, gdybym potrafiła! Mówisz o czyichś sercach, czy to ma być lekcja na dzisiaj, Nauczycielu? A może chcesz mi uświadomić, jak dobrze mi służy przerażenie, jaka silna staję się

322

dzięki temu? A może chcesz mi otworzyć oczy na to, jak twoja miłość ocali moje dziecko...

— Annie...

— Zamknij się!

Stoją pod bezlistnymi topolami. Nauczyciel cierpi, widząc Annie tak rozgniewaną, ale kocha te jej falujące na wietrze włosy, i kocha te falujące poźółkłe trawy na zboczu widniejące za jej plecami.

— Nie uśmiechaj się tak do mnie — wyrzuca z siebie Annie. — Zabraniam ci się do mnie uśmiechać, zabiłabym cię, gdybym potrafiła! Myślisz, że słuchałam tego twojego pieprzenia? Nie waż się nawet na mnie patrzeć!

Nauczyciel wzrusza nieznacznie ramionami i spuszcza oczy. Ale zdaje sobie sprawę, że nie zgasił zupełnie swojego zniewalającego uśmiechu.

— NIENAWIDZĘ CIĘ!

Annie rusza z miejsca. Nauczyciel idzie jakiś krok za nią. Jednak po chwili Annie przystaje, żeby zerwać brązowy liść z białego dębu.

— Wiesz, czego najbardziej nienawidzę? — odzywa się. — Największą nienawiść wzbudza we mnie to, że masz rację. Jestem silniejsza. Tak, masz rację. Czy to cię

uszcęśliwia?

— Tak.

— Wiesz — mówi Annie, i teraz do jej głosu wkłada się coś łagodniejszego, jakaś rezygnacja — kiedy wróciłam znowu do pracowni i popatrzyłam na te moje wszystkie dotychczasowe prace, wydały mi się jakieś niedojrzałe. Uproszczone. Wiesz, o co mi chodzi? Bez ikry, pozbawione bólu, pozbawione ognia. I, prawdę mówiąc, takie jest całe moje życie. Wyprane z namiętności. Coś mnie przeraża, natychmiast wyrzucam to ze świadomości. Oczy w ziemię, idę dalej. Rozumiesz? Nie chcę już tak żyć. Czy to cię zadowala, pojętną jestem uczennicą? Co ty na to?

— Tak.

— A nie powinno. Bo przez to jeszcze bardziej cię nienawidzę.

323

Nauczyciel przełyka ślinę. Euforia rozsadza mu klatkę piersiową.

\

— Annie!

Wypowiadając jej imię stwierdza, że nie starcza mu tchu, by mówić głośniej niż szeptem.

— Czy to wszystko, Annie, czy to wszystko, co czujesz?

— Przestań — mówi Annie. Nie patrzy na niego. — Proszę cię, przestań.

Ale on wie, co ciśnie się jej na usta.

Podchodzą w milczeniu pod rozległe wzniesienie. Wokół tracące barwę krwawnicę i nawłocie. I ziela łąkowe. W połowie zbocza Annie przystaje znowu, odwraca się i spogląda na rozciągający się pod nimi widok.

— Ale jednego nie rozumiem, Zach — odzywa się. — Tyle w tobie siły, a pracujesz dla Louiego Boffano. Dla tego, tego...

— Tego zbira?

— No, właśnie. Jeśli jest twoim przyjacielem... Zach wybucha śmiechem.

— Louie Boffano nie jest niczym przyjacielem. To szaj- I bus. Potwór. Ale intryguje mnie. Czy w mojej fascynacji I tym człowiekiem jest coś... chorego?

— Nie wiem. Tak. A może nie...

— Fascynuje mnie wszystko, co dotyczy tej rodziny. Od początku.

— To dlaczego sam nie staniesz na czele tej rodziny? Annie rzuca mu przelotne spojrzenie.

Chłodne, uważne spojrzenie. Mój Boże — myśli Zach — czy to ta sama Annie? Głodująca artystka Annie, moja Annie? Znowu wybucha śmiechem i mówi jej:

— Może pewnego dnia to zrobię. — Niedługo?

— Być może. Nie śpieszy mi się. Relaksuję się. Pozyskuję sobie sprzymierzeńców, przygotowuję ich. Naprawdę niewiele robię, Annie. Tylko się przeciągam. Moje działania są z tych najbardziej trywialnych, jakie można sobie wyobrazić. Jednak władza sływa powoli ku mnie.

324

I

— Pozbędziesz się Boffana?

Jej bezpośredniość znowu go zachwyca.

— Och, nie wiem jeszcze. Sądzisz, że zrobiliby to jakąś różnicę? Może pozbędę się poczciwego Louiego, a może nie. Zastanawiam się, czy nie przydałby mi się figurant. Który ściałałby na siebie wszystkie gromy. Niech on będzie górą, ja będę doliną.

— Ale jak... to znaczy, Zach, jak ty to wszystko robisz? W jaki sposób udaje ci się z nim kontaktować bez wiedzy policji?

Zach wzrusza ramionami.

— Grypsy. Kurierzy, pośrednicy.

— Nigdy się z nim nie widzisz?

— Raz na jakiś czas. W każdą niedzielę o piątej idzie na cmentarz w Greenview odwiedzić grób swojej rodziny. Fe-dzi, chłopcy z FBI, nigdy się tam za nim nie zapuszczają.

— A dzisiaj? — pyta Annie.

— Co?

— Dzisiaj jest niedziela. Spotkasz się z nim dzisiaj?

— A powinienem?

— Ja tylko... no, nie wiem. To podniecające, Zach. To wciąga. Chciałabym

zrozumieć, dlaczego to tak wciąga.

— Kochamy doczesną władzę — mówi Zach — bo cała ona wypływa z Niezmiennej Siły, z Tao. To właśnie nas do niej przyciąga.

— Chyba nie rozumiem. Zach uśmiecha się.

— Ja chyba też nie. I wiesz co, zdarzają się chwile, kiedy wydaje mi się, że przerobiłem ich już pod dostatkiem — tych lekcji władzy. Chwile, kiedy wydaje mi się, że jestem już gotowy je zarzucić, ukryć się w jakimś klasztorze. Może w jaskiniach Ajanta niedaleko Hajderabadu. W jakimś czystym, odosobnionym i pełnym prostoty miejscu. Albo jeszcze lepiej... jeszcze lepiej. Chodź, coś ci pokażę.

Bierze ją za rękę.

Przyśpieszają kroku. Prowadzi ją na szczyt wzniesienia.

Widzą stamtąd stary, rozpadający się wiejski dom wśród

325

kępy cukrowych klonów. Wszystkie szyby w oknach są wybite, kolumnienki ganku przegniłe. Patrzą tak, a Zach wciąż trzyma Annie za rękę. Gładzi jej dłoń czubkami palców. To dotyk najlżejszy z możliwych — ale Zach czuje, że przygotowia Annie o dreszcz.

— Chcę odremontować ten dom — mówi jej. — Będzie mnie to kosztowało więcej niż budowa od podstaw. Ale zawsze marzyłem o własnym wiejskim domku z perkalowy-mi zasłonkami i fotelem na biegunach na ganku. I wy-froterowanymi podłogami. I z rodziną, z kobietą, którą mógłbym kochać. Z dzieckiem. Takim jak Oliver. A wtedy koniec igraszek z władzą. Wtedy już nic, tylko miłość. Jak sądzisz, Annie, stać mnie na prawdziwą, czystą miłość? Sądzisz, że mam tę siłę?

Nie patrzy na nią bezpośrednio, ale wie, że Annie się uśmiecha.

— Pragnę znaleźć kobietę twórczą i wrażliwą, ale mocno stojącą nogami na ziemi — podejmuje. — Kogoś bardzo odważnego. Ale zrównoważonego. Annie? Annie, przykro mi, że mnie nienawidzisz. Bo ja cię kocham.

Stoją tak i patrzą na dom. Czy jest tak samo przestraszona jak ja? — zastanawia się Zach. Bo on sam jest przestraszony, ale przecież on żyje ze swoim strachem za pan brat. Jest za pan brat z uczuciem, jakie towarzyszy łomotowi tej wielkiej pompy w pustej klatce piesiowej.

Odwraca głowę, żeby na nią spojrzeć, a ona unosi ręce, kładzie mu dłonie na

skroniach i pochyła jego głowę.

Dotykając wargami jego ust, szlocha.

Bez języka, bez nacisku. Tylko zetknięcie warg, smak jej łez.

Nigdy w życiu nie był całowany tak delikatnie.

Pochyla się ku niej, ale Annie odsuwa się.

— Nie — mówi. — Nie.

Odwraca się i ucieka od niego w stronę rozległego stoku. Dopędza ją przy samochodzie. Annie stoi przy drzwiczkach. Unika jego wzroku.

— Odwieź mnie — mówi.

326

— Kiedy się znowu zobaczymy?

Trudno mu prosić. Ale przecież jej też jest trudno. Nie może mówić. Zach odnosi wrażenie, że Annie zaraz pokręci głową, ale ona mówi:

— Wkrótce. Ale nie jutro. Wkrótce. Daj mi trochę czasu, Zach. Proszę.

ANNIE czterdzieści minut później w swoim ulubionym pokoiku FBI wysłuchuje cierpliwie piekłącego się Carewa. Carew jest czerwony ze złości, mruży oczy, krzyczy ochryple:

— Do jasnej cholery, co pani zrobiła najlepszego urywając się nam spod Papa Taco?

— Przepraszam — mówi Annie.

— Na drodze nr 22. W Stoneleigh. Jechała pani samochodem z facetem, którego nazywa pani Johnny, i on zjechał tam z drogi. Słyszeliśmy, jak otwierają się drzwiczki, słyszeliśmy, jak się zatrząskują. Dlaczego? Co tam się działo?

— Kazał mi wysiąść.

— Czyżby? A jak to się stało, że my tego nie słyszeliśmy?

— Pokazał mi na migi, w porządku? Myślałam, że to miejsce spotkania z Nauczycielem. Ale kiedy upłynęła minuta i nikt się nie pojawił, on powiedział... skinął na mnie, żebym wsiadła z powrotem.

— I co było potem?

- I potem jeździliśmy w kółko.
- Nie odzywając się do siebie słowem?
- Nie chciał ze mną rozmawiać.
- Może dlatego, że kazała mu pani być cicho.
- Może. Chcieliście, żebym rozmawiała z Johnnym? Wydawało mi się, że miałam rozmawiać z Nauczycielem.
- I pół godziny później wróciliście w to samo miejsce?
- Tak. Powtórzyło się znowu to, co za pierwszym razem.
- Ja nie dostrzegam w tym żadnego sensu.

327

- Z jakiegoś powodu — mówi Annie — Nauczyciel się nie zjawił. Podejrzewam, że domyślił się, co jest grane.
- Skąd miałby się domyślić? Annie wzrusza ramionami.
- Nie wiem. Wy to ustalcie. Ja wracam do domu. Carew kręci głową.
- Mamy jeszcze mnóstwo spraw do omówienia.
- Wspaniale. — Annie uśmiecha się. — Porozmawiamy jutro. Przygotujemy następną akcję, co? O rany! To dopiero będzie majstersztyk. Ale w tej chwili jestem zmęczona i chcę iść do domu.

Wstaje.

- Jeszcze nie skończyliśmy, pani Laird.
- Idę do domu.
- Proszę siadać. Chcę się dowiedzieć, co, u diabła, ch<j dzi pani po głowie.
- Co mi chodzi po głowie? Moje dziecko. Myślę o moim dziecku. To wszystko. Nic więcej.
- Proszę siadać.
- ! — Nie. — Annie wbija wzrok w Carewa. — Jeśli chce mnie pan tu jeszcze zatrzymać, to niech mnie pan aresztuje. Sprowadzi mi adwokata. W przeciwnym wypadku wrócę tu jutro. Jutro po południu, powiedzmy: o czwartej.

— Annie...

— Proszę nie nazywać mnie Annie.

— Pani Laird...

— Do tego czasu niech się pan odpieprzy. Wychodzi.

Wsiada do swojego samochodu i jedzie na cmentarz Greenview.

FRANKIE z Archangelem trzymają straż przy mauzoleum rodziny Boffano, podczas gdy Louie Boffano obcuje duchem ze swoją ukochaną zmarłą matką. Frankie patrzy właśnie wzdłuż długiego szpaleru aniołów, kiedy nagle na jego końcu pojawia się ta kobieta. Ma na sobie czar-

328

ną wiatrówkę z kapturem, idzie szybkim krokiem w ich stronę.

— Co to, kurwa, za jedna? — warczy Frankie do Archangela i Louiego.

Nie przyszła na czyjś grób. W niedzielę o tak późnej porze na cmentarz nie wpuszcza się już nikogo. Z wyjątkiem Louiego Boffano.

Louie odwraca się i też patrzy.

— Zaraz — mruczy.

Frankie wie, że gdyby komuś odbiło na tyle, by załatwić Louiego Boffano, miałby teraz po temu wyśmienitą okazję. Przesiedziawszy tyle czasu w pierdłu, Louie jest obecnie łatwym celem. Nie odzyskał jeszcze w pełni fizycznej sprawności. A ta mała się zbliża, nadchodzi tak szybko nie wiadomo skąd... ta mała może oznaczać kłopoty.

Frankie cofa się i zasłania sobą Louiego.

— Stać! — woła. Kobieta wciąż się zbliża.

Frankie sięga za pazuchę marynarki i zaciska dłoń na kolbie swojego glucka.

— Stać! — powiedziałem. Kobieta nie słucha.

— Panie Boffano — woła z daleka. — Chciałam z panem porozmawiać.

Ręce ma puste. Torebkę przewieszoną przez ramię... więc żadnego bezpośredniego zagrożenia. O ile nie zamierza udusić Louiego gołymi rękami, to żyjemy — myśli Frankie.

Ale Archangelo jest mniej ufny. Wrywa z kabury swojego gnata, przyjmuje postawę

strzelecką i wrzeszczy:

— STÓJ, BO ŁEB ROZWALĘ! Zupełnie jak policjant.

Jezu!

Ale to skutkuje, kobieta się zatrzymuje. Dziesięć jardów od nich. Stoi tam w trawie, pośród szpaleru aniołów.

— Archangelo — upomina łagodnie swojego goryla Louie. Daje mu znak, żeby opuścił pistolet. Potem zwraca się do kobiety: — Czym mogę pani służyć?

329

— Poznaje mnie pan? — pyta kobieta.

— Tak, oczywiście. Pani przysięgła. Czego pani chce?

— Mam coś dla pana. Kobieta sięga do torebki.

— NIE DOTYKAJ TEJ TORBY! — krzyczy Frankie. Kobieta wzrusza ramionami i torebka zsuwa się sama z lewego ramienia.

v

— To podejdź i sam ją weź.

— Co to jest?

— Oferta zawarcia pokoju — mówi kobieta. — Chcę zawrzeć z panem pewien układ. Dam panu to, co znajduje się w mojej torebce. I obiecuję, że nie będę współpracowała z agentami stanowymi. A pan zostawi mnie w spokoju. Mnie, moją rodzinę i moich przyjaciół.

— Przecież ja i tak nigdy nie skrzywdziłbym pani rodziny — mówi uprzejmie Louie.

— Ani pani, ani nikogo. Nie wiem nawet, dlaczego miałbym...

— Przysięgnij, Louie, a dam ci coś w prezencie.

— Eee, nie interesuje mnie twój pieprzony prezent.

— Owszem, interesuje — mówi kobieta i sięga znowu po torebkę.

— NIE RÓB TEGO! — krzyczy Frankie. Kobieta uśmiecha się do niego.

— Myślisz, że chcę zabić Louiego Boffano? — Wymawia to nazwisko z pogardliwym uśmieszkiem. — Przecież on jest dla mnie niczym. Po co miałabym go zabijać?

Louie daje Frankie'emu znak, żeby się uspokoił.

Kobieta otwiera torebkę. Wyjmuje z niej miniaturowy magnetofon kasetowy i wciska klawisz odtwarzania.

Słyszą śmiech Nauczyciela.

Louie Boffano nie jest niczym przyjacielem. To kuriozalna postać. Potwór. Ale intryguje mnie. Czy w mojej fascynacji tym człowiekiem jest coś... chorego?

Kobieta zatrzymuje taśmę.

— Podobało się, panie Boffano? Chciałby pan usłyszeć więcej?

— Kiedy to nagrałaś? — pyta Louie.

330

— Dzisiaj.

— Kto ci założył podsłuch?

— Sama sobie założyłam. To Olympus coś tam... kupiłam wszystko, co potrzeba, wczoraj wieczorem na Czterdziestej Drugiej Ulicy.

Louie wyciąga rękę. Chce, żeby dała mu magnetofon. Frankie widzi, że ręka mu drży.

— Louie — mruczy ostrzegawczo Frankie — to może być jakieś gówniane szachrajstwo. Nauczyciel nie dałby sobie, nie dałby...

— Weź to od niej — mówi mu Louie.

— Nie — odzywa się kobieta. — Nie oddam ci tego, dopóki nie przysięgniesz. Przysięgnij, że nigdy mnie nie skrzywdzisz. Ani mnie, ani mojego dziecka, ani moich przyjaciół...

— Dawaj tę taśmę — wpada jej w słowo Louie. — Przysięgam, że znikam na zawsze z twojego życia.

Kobieta mierzy go spojrzeniem ogromnych, podpuchniętych oczu. Czy to czasem nie ta, którą Eddie nazwał ślicznotką? — myśli Frankie. Jaka tam z niej ślicznotka! To zwyczajna, wystraszona cholerna dziwka.

Kobieta podchodzi do Louiego i wręcza mu magnetofon.

— Nie trać czasu — mówi mu.

Potem odwraca się i odchodzi. Louie odnajduje tymczasem klawisz odtwarzania i

wciska go. Wszyscy trzej odprowadzają wzrokiem kobietę oddalającą się alejką między grobowcami. Z taśmy leci jej głos pytający Nauczyciela: To dlaczego sam nie staniesz na czele tej rodziny?

I słyszą, jak Nauczyciel wybucha śmiechem i odpowiada jej: Może pewnego dnia to zrobię.

Kobieta znika im z oczu między grobami.

Taśma przemawia głosem Nauczyciela: Może pozbędę się poczciwego Louiego, a może nie. Zastanawiam się, czy nie przydałby mi się figurant. Który ściągałby na siebie wszystkie gromy. Niech on będzie górą, ja będę doliną.

ROZDZIAŁ 14

Możesz walczyć ze wszystkich sił, a ja i tak nie przestanę cię kochać...

NAUCZYCIEL, w doskonałym nastroju, wypoczęty, podjeżdża w poniedziałek rano samochodem Eddie'ego długą alejką dojazdową pod budynek nad Hudsonem. Była to swego czasu siedziba prywatnej żeńskiej szkoły Świętej Teresy. Szkoła przed kilku laty splajtowała. Kampus szkolny jest nadal wykorzystywany latem przez Fundację Świeżego Powietrza, ale przez resztę roku stoi pusty.

Eddie zatrzymuje wóz przed stołówką z drewna cedrowego i szkła. Wsiadają i czekają. Nauczyciel kładzie neseser na masce samochodu Eddiego i patrzy na rzekę prześwitującą między pniami dębów, między ciemnymi jak ołów konarami, które odbijają się w brudnych oknach stołówki. Czekają spokojnie, nie odzywają się.

Ale Eddie zerka co chwila na zegarek, mruży coś pod nosem i w końcu nie wytrzymuje:

— Hej, Vincent — mówi — jeśli coś ci tu śmierdzi, to spływajmy.

— Nie, wszystko w porządku.

— W porządku?

— Boisz się, Eddie?

— Tak. Prawdę mówiąc, tak? Nauczyciel uśmiecha się.

— Louie nic nie knuje. Znamy się z Louiem od dawna.

— Tak, wiem.

— Mówi, że chce pogadać o tej transakcji z Kalabryjczykami. Dlaczego miałbym mu nie wierzyć?

— Bo niby dlaczego to takie, cholera, pilne? Czemu chce się z tobą spotkać właśnie dzisiaj?

— Louie siedział w więzieniu. Ponosi go. Chce ruszyć wreszcie z miejsca z naszymi planami. Dla mnie to całkiem zrozumiałe.

— No, nie wiem, Vincent.

Nauczyciel podchodzi wolno do drzwi stołówki, żeby przyjrzeć się z bliska alabastrowej Dziewicy w alabastrowej niszy. Czemu ją czczą — myśli — przecież nie ma w niej niczego pociągającego? Może tylko te oczy patrzą trochę jak oczy Annie.

Czeka.

W końcu nadjeżdża czarny lincoln. Louie Boffano ze swoją świtą — z bratem, Frankie'em i Archaniołem. Frankie wysiada z tyłu i staje przy otwartych drzwiczkach. Louie, siedzący obok kierowcy, zwraca się do Nauczyciela:

— Co masz w tym neseserze?

— Dokumenty. Plany transakcji z Kalabryjczykami. Czy nie po to...?

— Sprawdź to, Frankie.

Frankie podchodzi, otwiera neseser, wertuje papiery, maca dno, czy nie jest fałszywe.

— Nic, same papierzyska, tak jak mówi.

— Obszukaj go.

Frankie oklepuje Nauczyciela.

— Czysty.

— W porządku. Ostrożności nigdy za wiele, Vincent, nie? Wskakuj.

Nauczyciel wsiada z tyłu. Ale kiedy Eddie też rusza w stronę lincolna, Louie mówi:

— Ty nie. Nic tu po tobie, Eddie.

Eddie zagląda z niepokojem do wnętrza samochodu.

— W porządku, Eddie — mówi Nauczyciel. — Zobaczymy się później.

— No, dobra — bąka Eddie. — To ja tu na ciebie zaczekam.

— Nie, jedź do domu — wtrąca się Louie. — Po co masz czekać? Na co? Zrób sobie wolne. Jak tam córka? Co u Roseanne?

— Po staremu, Louie. Ale...

— Poświęć jej trochę czasu. Przekaż pozdrowienia od wujka Louiego. Odwieziemy Vincenta do domu.

Odjeżdżają wąską alejką.

Nauczyciel siedzi na tylnej kanapie ściśnięty między Fran-kie'em a Archangelem. Louie z przodu, obok kierowcy. Prowadzi jego brat, Joseph.

— Vincent — odzywa się Louie i odwraca głowę, żeby się do niego uśmiechnąć. — Cieszę się, że przyszedłeś.

Nauczyciel wzrusza ramionami.

— To był rozkaz, jak mogłem nie przyjść? Zjeżdżają ku rzece i droga robi się bardziej wyboista.

Skręcają w lewo na zryte boisko do piłki nożnej. Zatrzymują się pośrodku.

Louie znowu odwraca głowę.

— Pracujemy już razem ponad dwadzieścia lat, prawda, Vincent? Ty miałeś dobre pomysły, ja dawałem ludzi, dawałem organizację, realizowaliśmy je. Wzbogaciliśmy się obaj. Ponad dwadzieścia lat takiej współpracy, wiesz?

— Tak, niezwykle związek — mówi Nauczyciel z błyskiem w oku.

— Ale wiesz co? — podejmuje Louie. — Nie mam, kurwa, zielonego pojęcia, dlaczego ty to robisz. Nie rozgryzłem cię przez te dwadzieścia lat.

— Dla mnie to proste — mówi Nauczyciel.

— Naprawdę?

— Całkiem proste.

— Jestem wczoraj na grobie matki — mówi Louie — a tu podchodzi do mnie ta kobieta, ta przysięgła, i mówi, że wygadujesz o mnie paskudne rzeczy.

— Annie do ciebie podeszła?

— Wyrażałeś się o mnie paskudnie?

334

— Och, to za mocno powiedziane, Louie. Już prędzej niepochlebnie. Nazwałem cię chyba głupcem czy szajbussem, czy jakoś tak...

— Nazwałeś mnie, kurwa, potworem! I tylko mi się tu, kurwa, nie wypieraj, gówniarzu, bo mam to na taśmie.

Nauczyciel chichocze.

— Ani myślę się wypierać. Zaprzeczam tylko, że mówiłem to w złej wierze. Nie. Stwierdziłem tylko fakt.

— Powiedziałeś, kurwa, że się mnie pozbędziesz...

— Powiedziałem, że być może się ciebie pozbędę. Że może się pozbędę, a może nie. Powiedziałem, że nie przywiązuję do tego specjalnej wagi. Poczuliś się tym urażony?

— Urażony? Ty skurwielu!

— Nie łączą nas więzy krwi, Louie. Nigdy nie udawaliśmy, że jesteśmy pokrewnymi duszami. Jestem przekonany, że ty i twój obecny tutaj brat obrzucacie mnie między sobą epitetami gorszymi niż „szajbus”.

— Chcesz wiedzieć, jak ja cię nazywam? — wtrąca się Joseph. — Nazywam cię pierdolonym, jebniętym zbokiem. Już jako dzieciak miałeś narąbane we łbie. Mówiłem Louiemu, mówiłem: trzymaj się z dala od tego chuja.

— Bardzo ci jestem wdzięczny, Joseph — mówi Nauczyciel. — Dziękuję ci, że podzieliłeś się ze mną tymi odczuciami. Prowadzimy tutaj bardzo pouczający dialog.

Joseph przechyla się przez oparcie fotela i pluje Nauczycielowi w twarz.

— Chuj ci w dupę, palancie! Wyciągajcie go z wozu. Kończmy już z tym.

Archangelo otwiera drzwiczki od swojej strony i wysiada.

— Idziemy — rzuca.

Frankie wciska lufę swojego glucka w skroń Nauczyciela.

— Wyłaż!

Nauczyciel przesuwa się po siedzeniu i wysiada.

Ruszają przez puste boisko. Frankie kroczy po jednej ręce Nauczyciela, Archangelo po drugiej. Louie z bratem zostają w samochodzie.

335

Dochodzą do kamiennego murku i rzędu drzew. Nauczyciel widzi w dole, za drzewami, tory kolejowe i rzekę.

— Hej, chłopcy — odzywa się. — Czy mam prawo do ostatniego życzenia?

— Czego chcesz?

— Chciałbym was prosić, żebyście coś dla mnie zrobili.

— Co takiego?

— Obejrzyjcie się na samochód Louiego.

Uderza w udo wnętrzem dłoni — wdusza przycisk nadajnika, który ma w kieszeni. Nie odwraca się, by obserwować eksplozję bezpośrednio. Wystarcza mu widok błysku rozświetlającego na chwilę pnie drzew, a potem powietrzem targa huk i brzęk rozpryskującego się szkła, a w chwilę później przejmujący wrzask bólu — i Nauczycielowi przemyka przez myśl, że to chyba Joseph Boffano.

Spogląda na Archangela, który gapi się zbaraniałym wzrokiem na wrak samochodu. Odbiera mu pistolet. Potem Frankie pakuje trzy kulki w lewe ucho Archangela.

Frankie z Nauczycielem podbiegają z powrotem do samochodu. Drzwi od strony pasażera są otwarte, Louie wypełził na zewnątrz i leży teraz na ziemi. Ma urwaną rękę. Jest pokryty szczątkami brata. Ciało zdarte z twarzy zwisa mu z brody na strzępku skóry niczym śliniak. Nauczyciel klęka obok niego i mówi:

— Przepraszam za ten bałagan. Nie zmieściło mi się do nesesera więcej plastyku. Wybaczysz?

Strzela Louiemu Boffano w głowę. Oslania się otwartą dłonią przed rozbryzgiem krwi zmieszanej ze strzępami mózgu. Potem zbiegają z Frankie'em z boiska i kłusują pod górę.

— Słuchaj, Frankie — sapie po drodze Nauczyciel —jestem ci wdzięczny za ten cynk, naprawdę wdzięczny.

— Nie ma za co.

— Cenię sobie lojalność.

— Nie ma o czym gadać.

— Ale muszę ci coś powiedzieć, Frankie, jeśli chodzi o te moje obietnice przejęcia interesów Louiego i awan-

336

sowania ciebie na szefa. Doszedłem do wniosku, że to były wszystko zamki na lodzie. Czy mamy dostateczne poparcie w organizacji? Ty i ja? Bo mnie się wydaje, że nie. Poza tym jestem teraz rozkojarzony... mam na głowie tę tragedię Annie Laird i jej syna.

— Zaraz, chwileczkę — dyszy Frankie. Zatrzymuje się pod drzewami.

— Co ty mi tu, do kurwy nędzy, za kit wciskasz? Wszystko zaplanowaliśmy, mieliśmy...

— Chcesz znać prawdę? Nie wydaje mi się, żebym miał teraz cierpliwość do użerania się z jakąś nąrowistą rodzinką. Wybaczysz mi?

— O czym ty, do cholery...

Frankie sięga za pazuchę marynarki po pistolet. Nauczyciel strzela mu w tętnicę szyjną i z szyi Frankie'ego zaczynają buchać długie strugi krwi. Nauczyciel musi odskoczyć na bok, żeby uniknąć ochłapania. Wali Frankie'ego w głowę kolbą swojego H&K i słyszy cichy chrzęst miażdżonych kości. Frankie'emu pistolet wypada z dłoni i Nauczyciel chwyta go w powietrzu.

— Kurwa mać — rzeźi Frankie. Te bluzgi krwi, jeden po drugim.

Nauczyciel rusza szybkim krokiem pod górę. Ale Frankie znowu puszcza się truchtem za nim.

— Co z tobą, do cholery?! — chce się dowiedzieć. Słowa te są rozmyte przez krew, ale zrozumiałe. Nauczyciel, nie zwalniając kroku, ogląda się i uśmiecha do niego z niedowierzaniem.

— Frankie, jak ty, u licha, możesz jeszcze mówić?

— Nie ufam ci — charczy Frankie. Przyśpiesza ostatkiem sił i próbuje chwycić go za rękaw.

Nauczyciel odtrąca jego rękę.

— Odczep się, Frankie.

— Milcz. Nie ufam ci już — mówi Frankie, a potem oczy mu się wywracają w głąb czaszki i pada jak długi twarzą w błoto.

22 — Zabij go, mamó

337

SARI jedzie powoli polną drogą w okolicach Garrison. Eben powiedział jej, że mają się gdzieś tu spotkać. Ale tu chyba nikogo nie ma — tylko te nagie drzewa, szyny kolejowe i rzeka w dole. I nagle wyrasta przed jej samochodem, stoi na środku drogi. Sari ciśnie po hamulcach, wóz ślizga się na błocie. Eben wsiada. Uśmiecha się. Ma krew na marynarce i na koszuli. Włosy zmierzwił, źrenice błyszczą jak krążki kutego złota. Całuje ją namiętnie.

— Jedź, kochanie — mówi.

Sari dojeżdża do końca polnej drogi i skręca na asfaltową szosę, która biegnie łukiem u stóp wielkich posiadłości. Tu i ówdzie migają im rezydencje w stylu Tudorów.

— Myślałem już, że nie przyjedziesz — odzywa się Eben.

— Jak mogłeś wątpić? Powiedz mi, co się stało. — Serce zaczyna jej się uspokajać.

— Nie, chyba nie powinienem.

— Powiedz mi, Eben.

— Wolę cię w to nie mieszać.

— Ścigają cię?

— Tak.

— Policja?

— Tak.

— Jesteś winny?

— Czego?

— Tego, o co cię posądzają.

— Czy człowiek zrodzony z kobiety może z ręką na sercu powiedzieć, że nie ma nic na sumieniu? Ale ja próbowałem tylko ocalić życie dziecka. Walczyłem w imię miłości.

Wjeżdżają w lasek i Sari zatrzymuje wóz. Pobocze jest za wąskie, by zjechać

zupełnie z szosy, ale to mało uczęszczana droga — teraz nie ma na niej żadnego ruchu.

Sari odwraca się do Ebena.

— Przeleciałeś ją?

Uczucia, jakie do niego żywi, nie można już nazwać miłością. Nie ma dla niego nazwy. Po prostu te usta w jej głowie wsysające się w mózg — tak można by to ewentualnie opisać. Zupełnie jakby jej mózg był zgniłą, czarną cytryną.

338

Eben wzdycha.

— Czemu mnie o to pytasz?

— Przeleciałeś ją?

— Chcesz wiedzieć, czy kochałem się z Annie? Nie.

— No to kim ona dla ciebie jest? Tylko nie wciskaj mi kitu, bo...

— Sari! Nie będę cię okłamywał. Ale nie mogę ci powiedzieć, kim ona dla mnie jest.

— Nie? To szkoda, Eben. Bo wiesz co? Gdybyś wyznał mi całą prawdę, zrobiłabym coś dla ciebie. Powiedziałabym ci coś. Coś o pewnym wypadku do Gwatemali.

Sari odwraca głowę, by spojrzeć na te złote cętki w jego oczach. Widzi, jak połyskują, niczym uderzony przed chwilą gong.

— A konkretnie? — pyta Eben.

— Nic z tego. — Sari kręci głową. — Najpierw powiedz mi, dlaczego chcesz to wiedzieć.

— Bo wiem, że mogę ją ocalić. Ją i jej dziecko. Mogę ocalić ich oboje.

— Przed czym?

— Nie przed tragedią. Nie unikną swego losu. Ale przed zakłamaniami i obłądą, owszem. Więcej nie mogę ci jednak powiedzieć. Musisz mi zaufać. Nie ufasz mi?

— Nie.

— To po prostu kochaj mnie, Sari.

— Chyba na głowę upadłam, że cię pokochałam.

— Powiedz mi — mówi Eben — dokąd pojechała Annie?

— Nie! — Sari jest nieugięta. — Najpierw muszę zrozumieć, co tu się dzieje.

— Co się dzieje? — Eben parska śmiechem. — Na niebie płoną pewne konstelacje. Przypalają sklepienie niebieskie, niszczą wszystko na swej drodze. Oto co się dzieje w tym właśnie momencie. I cóż w całym tym wszechświecie może uchronić nas przed takim zagrożeniem? Wiesz? Wiesz to, Sari? — Bierze ją palcem pod brodę i zmusza, żeby znowu na niego spojrzała. — Miłość — mówi. — Naturalnie.

339

Tylko miłość. Miłość nas wybawi. Dokąd ona pojechała, Sari? Kochanko? Powiedz mi.

Sari patrzy przez okno. Po chwili odwraca głowę i spogląda na niego. Może to prawda myśli — może powinna przestać z tym walczyć i pójść po prostu za głosem serca.

Nie! Serce jest złym doradcą. On kłamie. On jest jak nowotwór.

Ale kocha go. A miłość nas wybawi.

Eben uśmiecha się do niej.

— Do jakiego miejsca w Gwatemali pojechała Annie Laird? — pyta.

,

Sari nienawidzi go.

Spuszcza wzrok na kolana i mówi:

— Ona nigdzie nie pojechała. Czuje na sobie jego wzrok.

— Mam znajomych w liniach lotniczych — ciągnie — poprosiłam ich, żeby przejrzyli wszystkie listy pasażerów ze wszystkich zeszłotygodniowych lotów do Guatemala City. Nakłamałam im co niemiara. Łamałam prawo i ryzykowałam utratę licencji, ale chciałam to dla ciebie zrobić, Eben, bo mnie prosiłeś. Nazwisko Annie Laird nie figuruje na żadnej z tych list.

Eben mruczy coś pod nosem.

— Ale wiesz co? — ciągnie Sari. — Do Guatemala City poleciała inna osoba z Pharoah w stanie Nowy Jork. Doktor Juliet Applegate. Wciąż pamiętam, jak spotkaliśmy ją w tej kafejce poetyckiej i jak z nią flirtowałeś, a więc jej nazwisko od razu mi się skojarzyło. Może to przyjaciółka Annie Laird? Może poleciała zamiast

niej? Znam trochę agentkę, która sprzedawała jej bilet. Zadzwoiłam do niej i powiedziałam, że zmarł ojciec Juliet i że muszę się z nią koniecznie skontaktować. I dowiedziałam się, że Juliet Applegate chciała kupić bilet łączony do wioski o nazwie Tui Cuch, ale tam nic nie...

Eben rozpromienia się.

— Sari — mówi cicho. — Sari, jesteś niesamowita! Ujmuje w dłonie jej głowę i całuje tak ciepło, tak namięt-

340

nie, a potem śmieje się tak serdecznie, że jej serce mimowolnie znowu się ku niemu skłania.

— Czy to cię uszczęśliwia? — pyta Sari.

— O, tak! To rewelacyjna wiadomość. Otwiera aleje, które uważałem za całkowicie wyłączone z ruchu.

— Ale kim są te kobiety, Eben? Jeśli Juliet Applegate i Annie Laird nie są twoimi kochankami...

Ale Eben już jej nie słucha. Myśli. Wpatruje się w deskę rozdzielczą.

Po jakimś czasie porusza wolno głową, kiwa nią ledwie dostrzegalnie. Odzywa się ze zdecydowaniem w głosie:

— Sari, potrzebny mi ten samochód.

— Dokąd cię zawieźć?

— Nie, źle mnie zrozumiałaś. Potrzebuję tego samochodu, ale bez ciebie. Chcę być teraz sam.

— Co? Czy ty... to ma być jakiś żart? Eben śmieje się.

— Owszem! Tak. Ale jest również prawdą, że nie mogę już znieść twojej paplaniny. Sari, kochanko moja.

— Ty sukinsynu! To ja urywam się w środku dnia z pracy, staram ci się pomóc, jak mogę, a ty masz, cholera, czelność...

— Oddaj mi, proszę, kluczyki i wysiadaj.

— Odpieprz się! Co ty wygadujesz? Co, mam wracać piechotą?

Eben wzdycha.

— Nie. — Wzdycha znowu. — Nie, to nie byłoby chyba praktyczne. No, dobrze, zaczekaj.

Sięga do kolumny kierownicy i wrywa kluczyki ze stacyjki. Wysiada z samochodu, idzie do tyłu i otwiera bagażnik. Potem podchodzi i otwiera drzwiczki od jej strony. Sari czuje na karku lufę pistoletu.

— Wsiadaj — mówi Eben. — Przesiądziesz się do bagażnika.

Sari zerka na niego z ukosa.

— Eben!

— Wsiadaj, Sari. Bo cię zabiję.

— Eben!

341

— Sari, jestem ci wdzięczny za pomoc i kocham cię, nie chcę wyrządzić ci krzywdy, ale Tao jest dzisiaj niespokojne, dzisiaj cała cierpliwość Tao płynie w innym kierunku.

Bierze ją za łokieć, wywleka z samochodu. Oszołomiona, pozwala mu się podprowadzić do bagażnika. Wpycha ją do niego głową naprzód. Sari zapiera się dłońmi o filcową wykładzinę i próbuje stawiać opór. Ale to jakiś sen, nic z niego nie rozumie, nie wie, co robić. Eben stoi za nią, podnosi za nogi, zgina je w kolanach i Sari opada na łokcie.

— Sari — mówi Eben — przepraszam cię za to. Błagam o wybaczenie. Ale jeśli mi tylko zaufasz, nic złego ci się nie stanie.

Nie powinna mu była ufać.

Nie powinna go była kochać. f

Nie powinna się zwijać w pozycji płodowej w tej zakurzonej, ciasnej przestrzeni, ale robi to, bo boi się panicznie tego człowieka.

Lufa pistoletu dotyka teraz jej policzka. Sari kieruje na nią oczy. Próbuje skupić na niej wzrok, ale lufa jest za blisko.

— Obiecuję ci — mówi Eben — że jeśli posłuchasz ten jeden raz Tao, jeśli

pozostaniesz w centrum i całym sercem przyjmiesz śmierć, żyć będziesz wiecznie.
Wiecznie, dobrze?

Czeka chwilę na jej odpowiedź, ale Sari milczy, odpowiada więc za nią:

— Tak — mówi. I są to ostatnie słowa, jakie słyszy w swym życiu Sari.

EDDIE odbiera telefon od Vincenta.

— Muśnięcie chaosu, Eddie — mówi Vincent. — Radzę ci zmienić klimat. Wywieź córkę na południe, znajdź jej spokojniejszy dom.

— O czym ty, u diabła, gadasz? Vincent śmieje się.

— To było trudne spotkanie. Różniliśmy się poglądami w pewnej dyskusyjnej sprawie.

342

— Co to ma, kurwa, znaczyć?

— Klarowanie. Sytuacja się skomplikowała i trzeba ją było naprostować.
Wyklarować. Szukaj sobie kryjówki, Eddie.

— Ty też pryskasz?

— Dobiję za parę dni. Mam tu jeszcze coś do załatwienia.

— Znaczy się, co?

— Jestem ciekaw, Eddie. Zastanawiam się, czy Annie nie uważa czasem, że prawdziwa miłość do mnie nie pasuje? Albo jest za pospolita? Ciekaw jestem, czy nie ma mnie czasem za coś w rodzaju ducha, który wędruje po Ziemi głosząc ponadczasową mądrość.

— No, ja nie wiem... — mruczy Eddie.

— Czy nie sądzi, że grzechem byłoby zapraszanie mnie do swego stołu?

— Ale mnie wisi, co...

— Eddie, mówiłem ci już, że dowiedziałem się, gdzie wywiozła swoje dziecko? Do małej wioski w Gwatemali, w góry. Na kraniec świata. A czyż jej nie ostrzegałem? Czy nie tłumaczyłem jej cierpliwie, że przede mną nie ucieknie? Czy nie poruszyłem Nieba i Ziemi, żeby zapobiec tej tragedii?

— Odbiło ci — mówi Eddie.

— Ale nie, nie będę interweniował, to bezcelowe. Bo wszystko jest pod skrzydłami Tao. Klamka zapadła. Ja nie mam tu już nic do powiedzenia. Annie też. Wkrótce się spotkamy, Eddie. Przekaż córce moje pozdrowienia.

Przerywa połączenie.

— Ty szajbusie — mówi Eddie do sygnału w słuchawce. Odkłada słuchawkę.

A potem mówi w przestrzeń:

— Rozwalasz, skurwysynu, moją rodzinę? Rozwalasz moich kuzynów, a potem dzwonisz do mnie, jakby nic się nie stało? Przez całe moje zasrane życie traktujesz mnie jak jakiegoś pieprzonego pudła i myślisz, że podaruję ci ROZWALKĘ MOJEJ RODZINY? O żeż ty szajbnięty pierdolcu!

343

ANNIE zawiesza akurat zasłonki w oknie pracowni, kiedy w radiu podają tę wiadomość. Wstawiła już w okna powybijane szyby, uszczelniła je. Teraz stoi z uniesionymi rękami na poręczy wystrzępionego fotela klubowego i usiłuje wcisnąć w szczelinę aluminiową końcówkę pręta, na którym wisi zasłona. W tym momencie tylko to jej w głowie, tylko ten pręt. Nagle z radia płynie znajomy sygnał muzyczny. Wiadomości lokalne:

Eksplozja samochodu pułapki w pobliżu Cold Spring. Policja podejrzewa porachunki w łonie mafii. Szczegóły potem... Annie wypuszcza z ręki pręt z zasłoną. Pręt spada z brzękiem na podłogę, podskakuje. Annie schodzi z poręczy fotela. Składa dłonie jak do modlitwy. Podchodzi do radia. Zagryza dolną wargę, oczy jej błyszczą. O, Jezu! Wyszadzili go w powietrze? W powietrze? Widzisz, sukinsynu? W powietrze, wysadzili cię W POWIETRZE.

Wspina się na palce. Z głośnika leci jakaś reklama. Ładnie pachnie w tej pracowni, co to takiego? To ten lakier. I to świeże, chłodne październikowe powietrze wpadające przez kilka dni przez wybite okno. Błagam, żeby to był on. To musi być on, prawda? Rozerwali sukinsyna na strzępy? Annie próbuje powstrzymać się od śmiechu i opanować, ale nie może. Nie, zaczekaj, aż wymienię jego nazwisko. Śmieje się jednak tym niepohamowanym, dziecinnym śmiechem, jakby reklama nadawana teraz w radiu była najśmieszniejszą reklamą w dziejach radiofonii. Na antenę wchodzi znowu komentator. Mówi: Z samochodu wysadzonego silnym ładunkiem wybuchowym w powietrze na boisku nieczynnej szkoły w pobliżu Cold Spring wydobyto cztery ciała. Policja twierdzi, że jest w posiadaniu dowodów świadczących o mafijnym tle zamachu. Na razie zidentyfikowano dopiero dwie ofiary. Dla dobra śledztwa nie ujawniono ich tożsamości... Cztery osoby?

Zabili cztery osoby? Dlaczego? Louie, miałeś załatwić tylko jedną. A może zginął też ten jego koleś, Johnny. No, dobrze, to daje dwóch, ale...

344

Dzwoni telefon.

Annie odbiera i głos w słuchawce mówi:

— On wie, gdzie jest twój dzieciak.

— Kto mówi? — pyta.

Ale zadaje to pytanie tylko po to, żeby zyskać na czasie, żeby pozbierać myśli. Od razu rozpoznała głos Johnny'ego.

— On wie, że twój dzieciak jest w jakiejś wiosce w Gwatemali. Musisz go powstrzymać. Ja nie dam rady. Ja też mam dziecko. Nie mogę ci pomóc. Sama musisz to zrobić. Musisz go powstrzymać, Annie.

AGENTKA z kasy biletowej American Airlines patrzy przez chwilę ze współczuciem na tę biedną kobietę, która przed nią stoi. Potem zerka na zegar i kręci głową.

— Nie, obawiam się, że ten samolot właśnie startuje. Ale za godzinę ma pani lot liniami Aviateca, to powinno...

— Ale ja nie mogę czekać! Moje dziecko. Tam jest moje dziecko!

— Proszę pani, ten samolot chyba już kołuje.

— Moje dziecko, błagam! Moje dziecko... Muszę się tam jak najszybciej dostać. On umiera.

— Pani dziecko jest w Gwatemali?

— Umiera. Błagam. To... zdarzył się wypadek, jest ranny. Mąż do mnie dzwonił.

Istnieją oczywiście przepisy, ścisłe wytyczne i agentka z kasy biletowej je zna, wie, że może wpakować się w kłopoty. Ale ma przed sobą tę kobietę, a ta kobieta to najbardziej zrozpaczona, zdenerwowana i roztrzęsiona istota, jaką w życiu widziała.

— Niech pani zaczeka — mówi. Sięga przez kontuar i ściska kobietę łagodnie za nadgarstek, a drugą ręką podnosi słuchawkę telefonu.

ANNIE trzy minuty później pędzi co sił wielkim, szerokim, wyludnionym korytarzem. Steward stojący na jego

końcu macha na nią ręką, wbiegają oboje na pokład maszyny.

— Dziękuję, dziękuję, dziękuję — powtarza Annie, kiedy prowadzą ją na jej miejsce. Samolot rusza spod rękawa przejściowego, kiedy ona zapina jeszcze pas bezpieczeństwa. Ma miejsce przy oknie. Fotel obok jest, dzięki Bogu, pusty. Dobrze, że ma ten prostokąt szarego okna. Siateczka mikroskopijnych zadrapań na plastikowej szybie. Coś obojętnego, na czym może zatrzymać wzrok. Po co ja go w ogóle prowokowałam? Skąd mi przyszło do głowy, że potrafię z nim walczyć? Jest potężny, potrafiłby zmiażdżyć nas oboje jednym palcem... dlaczego go nie posłuchałam? Dlaczego? Dlaczego? Samolot startuje i w dole przesuwiają się przedmieścia. Ponura zabudowa z cegły, ulice przecinające się i splątane, jak te rysy na szybie.

I w tym momencie na fotelu obok niej siada Nauczyciel.

NAUCZYCIEL mówi:

— To niesamowite, nieprawdaż? Że wybraliśmy dzisiaj to samo połączenie lotnicze?

Czuje jej wściekłość, czuje ten krzyk, który w niej narasta. Kładzie dłoń na jej dłoniach, nakłaniając tym gestem Annie do powściągnięcia emocji.

— Nie podnoś głosu — mówi. Uchyła połę marynarki na tyle, by zobaczyła broń. — Mam przyjaciół, którzy pozwolili mi wnieść ten pistolet na pokład. Nie zawaham się go użyć. Zabiję ciebie, zabiję pilota, zabiję załogę, zabiję siebie. Czy to pomoże Oliverowi? Wręcz przeciwnie, przypieczętuje jego los. Mój znajomy jest w tej chwili w drodze do Tui Cuch. Leci z Kalifornii. Będzie tam rano. Twoja jedyna szansa na ocalenie syna to pozostać przy życiu. Dotrzeć na miejsce przed nim. Jeśli podejdziesz do tego na chłodno, jeśli to sobie przeanalizujesz, to chyba przyznasz mi rację.

Ale z Annie nadal emenuje strach. Strach i niezdecydowanie. Nauczyciel wie, o czym ona teraz myśli: a jeśli nie ma żadnego znajomego, jeśli Nauczyciel ją okłamuje?

I rzeczywiście ją okłamuje. Czyni to z odrazą, ale takie są zasady Tao — Tao, które doraźne kłamstwa przemienia w wieczną prawdę.

— Uwierz mi, Annie. Posłuchaj mnie tym razem, proszę. Gdybyś wcześniej mnie słuchała, mnie, a nie tej głupiej, postrzelonej lekarki, nie doszłoby chyba do tego.

Wcisną przycisk nad głową, żeby przywołać stewardesę. Kiedy ta podchodzi, mówi do niej:

— Siedziałem w pierwszej klasie, miejsce numer 12. Ale spotkałem właśnie starą przyjaciółkę, nieprawdopodobny zbieg okoliczności, i chciałbym z nią chwilę porozmawiać. Mogę?

— Proszę bardzo, sir. Oczywiście.

— Może nam pani przynieść dwa drinki?

— Czego się państwo napiją?

— Dla mnie dzin z tonikiem. — Zwraca się do Annie: — A dla ciebie?

Annie nie odzywa się.

Nauczyciel zamawia więc dwa dziny z tonikiem.

— Śniłaś mi się dzisiaj — mówi, kiedy stewardesa odchodzi. — Zasnąłem w taksówce i przyśnił mi się koszmar. Byłaś pijana, Annie. Byliśmy razem na przyjęciu w domu w Bay Ridge, w którym mieszkałem jako dziecko, i upiłaś się, a ja wyszedłem i odszukałem twój samochód. W środku siedział Oliver. Zamknąłem go tam i podpaliłem. Potem wróciłem na przyjęcie i powiedziałem ci, co zrobiłem, ale do ciebie to nie docierało. Dalej próbowałaś zdmuchnąć świeczki na urodzinowym torcie. „Oliver się pali!” — krzyknąłem, a ty chlusnęłaś swoim drinkiem na tort. Obudziłem się złany zimnym potem. W taksówce. Aż się wierzyć nie chce, jaki to był przerażający sen — a teraz siedzisz obok mnie, Annie, i wszystko jest w porządku. Annie! Nie winię cię, Annie. Za nic.

— Ja nie... — mówi Annie. — Przepraszam za to, co zrobiłam, Zach.

— Bałaś się.

— Ja cię nie rozumiałam. Teraz rozumiem, Zach...

347

— Wiem to. Ale przeznaczenia nie da się uniknąć. Prawda? To zrozumiałe samo przez się. Siła jednej orchidei karmionej deszczem skruszy cały wszechświat. Przeznaczeniem Ohvera jest zginąć rano. Teraz chyba oboje to rozumiemy. Boże, a my staraliśmy się temu zapobiec. Prawda?! Ty i ja. Czyż nie zbłązniliśmy się, próbując się przeciwstawić przeznaczeniu? I czy Juliet, wkraczając na ścieżkę tego losu nie wyszła na błazna? Byliśmy jak trupa cyrkowych błaznów...

|

Wraca stewardesa z drinkami. Nauczyciel daje jej dwadzieścia dolarów napiwku, dziewczyna uśmiecha się do niego zalotnie. Kiedy odchodzi, Annie pyta:

— Zach, czy zamiast, zamiast...

— Zabić Ohvera?

— Tak. Nie mógłbyś zabić mnie? To znaczy zabrać mnie gdzieś, poddać torturom i zadać śmierć w jakiś wyszukany sposób? Czy nie dałoby się tego załatwić właśnie tak? I

Nauczyciel spogląda na nią z troską.

j

— Posłuchaj, Annie, ja nie chcę nikogo zabijać. Ja tylko wiem, do czego będę zmuszony. Pamiętasz tamten wieczór w twojej pracowni? Kiedy powiedziałem ci, że jeśli mi tylko zaufasz, Oliver będzie bezpieczny — ale jeśli mnie zdradzisz, to bez względu na to, ile będzie mnie to osobiście kosztowało, OHver ucierpi. I błagałem cię, żebyś mi uwierzyła, błagałem. Ale jak mogłem cię prosić, żebyś mi zaufała, skoro nieufność i zdrada, i wiarołomstwo są tak głęboko zakorzenione w tym, czym jesteś? Miałem zmienić twój charakter? Równie dobrze mógłbym cię prosić, byś zmieniła swój układ gwiazd. Rozumiesz? Wiem, że nie mogę zmienić tego, co ma się stać. Mogę być tylko świadkiem. Mogę tylko patrzeć z bólem, jak tulisz w ramionach ciało martwego syna.

— Ale Zach, Zach, błagam... Nauczyciel kładzie palec na ustach.

— Ciii. Odpręż się. Daj wszechświatowi trochę wytchnienia, OK, Annie?

Ujmuje jej rękę w dłonie i ściska mocno. Myśli, jaka to

348

będzie długa i dziwna podróż. Tylko ich dwoje siedzących tak obok siebie, i to morze tematów do rozmowy. Tyle pytań, które pragnie jej zadać. Strach, smutek i uniesienie zarazem. Pociąga mały łyżeczek drinka, który smakuje jak płynne srebro.

ANNIE schodzi cztery godziny później na tarmakową płytę lotniska w Gwatemali. Przeciska się przez tłum pasażerów zmierzających w kierunku terminalu. Nauczyciel idzie dwadzieścia kroków przed nią. W pewnej chwili ogląda się, mruga do niej, i znowu podejmuje slalom wśród ciżby.

Wchodzą do długiego, szerokiego korytarza, na którego końcu znajdują się stanowiska odprawy paszportowej. Nau-; czyciel idzie szybko, ustawia się niemal na początku for-|i, mującej się kolejki.

Celniczka przywołuje go do siebie. - Teraz — myśli Annie — teraz powinnam wezwać policję. } Ale nie, on mnie jeszcze widzi. Mógłby jeszcze zabić mnie, zabić siebie, a tamten morderca dotarłby do Olivera.

Annie musi więc stać cierpliwie i obserwować, jak Nauczyciel obdarza celniczkę swoim promiennym, krzywym uśmiechem, jak przechodzi przez bramkę.

Znika w hali bagażowej.

Teraz.

Nauczyciel odbierze za chwilę wóz z lotniskowej agencji wynajmu samochodów. Ruszy w kierunku Tui Cuch, a wtedy będzie już za późno.

Teraz.

Annie wychodzi z kolejki. Pasażerowie stojący przed nią protestują. Nie zważa na to. Mija stanowisko odprawy paszportowej. Celniczka wołają.

— Morderca — mówi Annie w przestrzeń. — Ten człowiek ma broń! To morderca!

Pokazuje palcem. Nagle ktoś zastępuje jej drogę, ktoś w mundurze. Nadbiegają inne mundury.

— On ma broń! — krzyczy Annie. — Zatrzymać go!

349

Trajkoczą coś po hiszpańsku.

— Nie znam hiszpańskiego. BRONŃ! Tamten mężczyzna w granatowym garniturze! Czy ktoś tu mówi po angielsku? Zatrzymajcie go, proszę! Zatrzymajcie go!

Jeden z mundurowych próbuje ją przytrzymać. Annie wyrywa rękę z jego uścisku i idzie dalej. Po prawej dostrzega oszklone pomieszczenie biurowe, z którego wypada kilku mundurowych, biegną do niej. Skręca w ich stronę, krzyczy.

Znowu ją osaczają.

Jakiś głos tuż przy jej uchu mówi po angielsku:

— Co tu się dzieje?

Niski, schludny funkcjonariusz policji.

— Tam idzie człowiek z bronią! — mówi Annie. — O, tam! Tam! W granatowym garniturze, czerwonym krawacie, Amerykanin. Zatrzymajcie go! Powiedział, że chce kogoś zabić. ZATRZYMAJCIE GO!

— Kim pani jest?

— Siedział obok mnie! Błagam, on chce kogoś zabić.

— Kto?

— Ten w granatowym garniturze! W czerwonym kra wacie!

— W jakiego koloru garniturze?

— Granatowym! Czerwony krawat! Przystojny! GUA PO! MORDERCA!

Policjant mówi coś cicho do swoich ludzi. Zamieszanie ze wszystkich stron biegną gliniarze.

— Skąd pani zna tego mężczyznę?

— Morderca! Ma broń! — Jak to się nazywa w ic języku? — Pistoła? PISTOLA! PISTOLA!

Teraz krzyczą już wszyscy w kolejkach do odprawy celnej Wrzawa rozprzestrzenia się jak pożar burszu. Wrzaski i ech tych wrzasków są ogłuszające.

— Skąd pani wie, że on ma pistolet?! — krzyczy po licjant.

— POKAZAŁ GO MI! NA MIŁOŚĆ BOSKĄ! T MORDERCA! ZABÓJCA!

350

NAUCZYCIEL stoi w kolejce do kontroli bagażu, słyszy narastające za jego plecami zamieszanie, zgiełk. Wie, co to znaczy: Annie znowu walczy.

Uznaje jej szamotaninę za przejaw głupoty, ale kocha tę jej głupotę. Uśmiecha się. Nie ogląda się. Oddycha głęboko.

Celnik odchodzi od swego stanowiska, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Nauczyciel zatrzaskuje walizkę. Rusza w kierunku ściany przeszklonych drzwi.

— Señor?

Odwraca się. Za nim stoi policjant. Z głębi sali nadchodzą dwaj ludzie z ochrony lotniska. Sygnalizują na migi, że ma podnieść ręce.

Jeszcze dwaj policjanci nadbiegają od strony karuzeli bagażowej.

Nauczyciel wrywa zza pazuchy swojego H&K i eliminuje jednego z policjantów. Strzela do drugiego, ale chybia. W następnej chwili staje się sprawcą erupcji, fala uderzeniowa mająca swe źródło w mięśniach jego serca, rozprzestrzeniając się na wszystkie strony świata, kładzie pokotem setki ludzi.

Oddaje jeszcze dwa strzały, i rozchodzą się kręgami kolejne dwie fale szalonej

paniki. Wybiega na ulicę. Wystarczy, że unosi swojego H&K, a droga staje przed nim otworem. Dziesięcioma susami przecina jezdnię. Zbiega po jakichś schodach, przesadza jakiś płot, pędzi wzdłuż rynsztoka i wpada w gąszcz bud krytych blachą cynkową — mrowisko, labirynt, jest tu zupełnie bezpieczny. Annie, możesz walczyć ze wszystkich sił, a ja i tak nie przestanę cię kochać, ale nie trwój całej energii na walkę, zachowaj jej trochę na medytacje, powinnaś się przygotowywać na jutrzejszy ranek.

ANNIE błaga tego policjanta, Fonceę, żeby wreszcie zrozumiał:

— Musicie go znaleźć jeszcze dzisiaj. Dziś wieczorem. Moje dziecko... dziś wieczorem!

351

— Przecież mówi pani, że dziecko pani przebywa w Tui Cuch. Ten człowiek, ten nauczyciel, jak go pani nazywa, jest tutaj, w stolicy.

— Ale wybiera się do T'ui Cuch.

— T'ui Cuch leży setki kilometrów stąd. Ten nauczyciel pani syna jest zdany tylko na własne nogi. Uprzedziliśmy agencje wynajmu samochodów, nikt mu nie pożyczy wozu. Dziś wieczorem pani synowi nic nie zagraża. Rano powiadomimy Guardię w Huehuetenango. Pojadą do Tui Cuch. Wezmą pod ochronę pani syna...

— Dzisiaj! Błagam!

— Dzisiaj?

— Tak! Muszą tam pojechać jeszcze dzisiaj. Och, proszę!

— Dzisiaj to niemożliwe. Dziś jest wigilia Wszystkich Świętych. W Tui Cuch trwa fiesta. Dzisiaj do Tui Cuch nie dotrze żaden telegram.

— Przecież może pan tam zadzwonić!

— Jestem przekonany, że w Tui Cuch nie ma'ani jednego telefonu.

— No, dobrze, ale do Huehuetenango może pan zadzwonić. Niech tam pojadą.

— Owszem. Fakt. To jest, jest... myśl.

— Zadzwoni pan?

— Tak, tak.

— Kiedy?

- Jak tylko się da. /
- Teraz! Błagam. Zaklinam pana na Boga. Proszę zadzwonić tam teraz.
- Teraz nie mogę.
- Dlaczego?
- Nie mogę tam dzwonić stąd.
- Dlaczego?
- Mogę dopiero z komisariatu.
- Nie, stąd, błagam. Zapłacę za połączenie.
- Najpierw muszę spisać protokół zajścia.
- Jasna cholera! Żeby cię szlag trafił!

Annie odwraca głowę. Patrzy przez szklaną ścianę biura

352

na stanowiska odprawy paszportowej. Tłoczy się tam już tłum gringo z innego samolotu, innej linii lotniczej.

- Czy to rejs z Kalifornii? — pyta.
- Ten? Nie, to Aviateca. Z Miami. Maszyna z San Diego lądowała dwie godziny temu.
- Dwie godziny? Dwie godziny?
- Niech się pani uspokoi — mówi policjant. — Znajdziemy tego nauczyciela pani syna, szybko go znajdziemy, na pewno.
- Ale jest jeszcze jeden! Jeszcze jeden morderca! Przyleciał tamtym samolotem z Kalifornii.
- Żeby zabić pani dziecko? Dlaczego tak się zawzięli na pani dziecko?
- Błagam! Niech pan posłucha. Nowy Jork, nowojorskie Stanowe Biuro Śledcze! Niech pan tam zadzwoni, porozmawia z agentem Carewem z nowojorskiego...
- Do Nowego Jorku...? Przykro mi...
- Oni znają tego człowieka! To morderca! Proszę pana!

— Dobrze, zadzwonię tam.

— Stąd? Teraz?

— Stąd nie mogę.

— Dzwon tam w tej chwili, palancie jeden! Ci ludzie są mordercami! Jeśli nie zrobisz, jak mówię, to przysięgam, że złożę na ciebie skargę i wylecisz na zbity pysk z roboty!

— Co pani zrobi? Grozi mi pani?

— Tak! Grożę utratą pracy!

— Za takie pogrożki mogę panią aresztować. Myśli pani, że jeśli jest ze Stanów Zjednoczonych, to...

— Nie grożę panu, ja pana błagam, proszę mi chociaż pozwolić zadzwonić do agenta Carewa, zapłacę za telefon, proszę, co panu szkodzi pozwolić mi zadzwonić...

— To jest Gwatemala. Policjant z Nowego Jorku nie ma w Gwatemali nic do roboty.

Nagle policjant podnosi wzrok.

— Annie? — słyszy Annie zza pleców. Odwraca się. To Johnny.

— Gdzie on jest, Annie?

23 — Zabij go. mamó

353

— Uciekł. Skąd się tu....?

— Przyleciałem właśnie Aviateką. Musiałem odwiedzić najpierw córkę do przyjaciela z Curacao. Gdzie twój dzieciak, Annie? Musimy dotrzeć do twojego dzieciaka. Czego ci tutaj od ciebie chcą?

— Kim pan jest? — pyta Foncea.

— Jestem znajomym tej pani. A ty?

— Funkcjonariusz policji Rogerio Foncea.

— Dobra, kapitanie Foncea, mogę zamienić z panem słówko na, eee... na osobności?

Dwadzieścia minut później Johnny z Annie pędzą małą, wynajętą toyotą celiką. Johnny prowadzi, Annie wzięła na siebie funkcję pilota. Są już za miastem i pną się

krętą szosą biegnącą stromo pod górę. Johnny lawiruje między pojazdami, zmieniając co i rusz pas ruchu, a czasami zjeżdżając nawet na wąskie, prawe pobocze drogi, żeby wysforować się przed jakąś wlokącą się ciężarówką. Gna jak szatan. Ale dla Annie to jeszcze za wolno.

— Dzięki Bogu znał Cabra — odzywa się Johnny. — Dzięki Bogu starczyło dwieście dolców, żeby zatkać skurczybykowi gębę.

— Johnny — mówi Annie.

— Nie jestem żaden Johnny. Mam na imię Eddie.

— Eddie, musimy się gdzieś zatrzymać. Muszę zadzwonić do Carewa.

— Jakiego znowu Carewa?

— Z nowojorskiego Stanowego Biura...

— Daj sobie z tym spokój.

— Ale oni mogliby... mogliby wysłać helikopter...

— Może by i mogli, ale nie wyślą. A nawet jak wyślą, to będzie to już musztarda po obiedzie. Zastanów się. Ten Carew musiałby najpierw zadzwonić do swojego szefa. Potem ten szef musiałby zadzwonić do swojego szefa. Potem ten szef szefa musiałby zadzwonić do pieprzonego FBI. FBI musiałoby zadzwonić do Departamentu Stanu. Jeszcze dwa-

354

dzieścia takich telefonów i za jakieś sześć tygodni ktoś wysłałby helikopter do Brazylii. Daj sobie z tym spokój, dziewczyno. Na Boga, możemy liczyć tylko na siebie.

Przez szosę przechodzi stado bydła. Eddie wali dłonią w przycisk klaksonu, skręca ostro kierownicę, wóz niemal * kładzie się na bok i przemykają na dwóch kołach między parą rogatych wołów. Ale Annie ledwie to zauważa.

— Czy istnieje drugi morderca? — pyta. — Powiedział mi, że leci tu ktoś z Kalifornii.

— Gdzie tam, to podpucha. Bajka na dobranoc, żebyś cicho siedziała. Nie, nikt tu z Kalifornii nie przyleci. Oprócz niego nikt się tam nie wybiera. Ale on sam wystarczy, nie uważasz?

ROZDZIAŁ 15

Ścieżka wypalanej ogniem, oczyszczonej miłości

NAUCZYCIEL przejeżdża starym garbusem przez szczyt wzgórza, sunie wzrokiem po opadającym w dół pasie ubitej ziemi, który służy tu za drogę, i daleko przed sobą dostrzega na nim inny samochód.

Tylne światła pozycyjne prześwitujące poprzez gęstą kurtynę kurzu.

Jest wciąż porażony absurdalną nedorzecznnością faktu, że musiał zabić, by zdobyć tego rzecha, którym jedzie — że musiał wpakować dwie kulki w głowę rozbałamuconej córeczce jakiejś bogatej gwatemalskiej mamuśki, kiedy ta stała na czerwonym świetle na skrzyżowaniu, niedaleko lotniska. Nie jest to z pewnością samochód, za który warto zabić. Rozregulowane zawory. Luzy w kierownicy, za grube opony. Szybkościomierz nie działa. Zagłówek nieprzyjemnie lepki od krwi byłej właścicielki.

Ale przecież to tylko środek transportu. Nauczyciel się nie skarży. Ten garbus nie jest w niczym gorszy ani mniej stosowny niż jakikolwiek inny pojazd wybrany przez Tao do transportowania swojego ładunku. I pomimo wszystkich swoich usterek jest szybszy od poprzedzającego go wozu. Nauczyciel bez trudu zmniejsza dystans. A zbliżywszy się na dostateczną odległość dostrzega plaketkę na tylnej szybie tamtego samochodu i już wie, że wóz jest wynajęty.

Doznaje bolesnego skurczu żołądka.

Przyśpiesza. Brakuje mu jej, pragnie znaleźć się znowu

356

blisko niej. Nie zdejmując nogi z pedału gazu wchodzi w zakręt, zbliża się.

Błyska reflektorami.

Tamtym samochodem jedzie dwoje ludzi. Miga mu zarys %

głowy Annie w fotelu pasażera. Rozmyty, otoczony aureolą. Przechodzi go dreszcz. Kablem przeciągniętym między przeciwległymi krańcami wszechświata wali prąd. Tam gdzie ten kabel skrzyżuje się z innym takim kablem, tryska iskra. Oślepiające wyładowanie napiętności, ogłuszające wycie w ciemnościach. Ale każdy z tych kabli chroniony jest bezpiecznikiem. Twoje czyny nie mają znaczenia, moja ty uparta wybranko.

Annie ogląda się, by spojrzeć w blask jego reflektorów.

Widzi na jej twarzy zwierzęcy strach, a także zdumienie. Jest wrażliwa, dziecinna i

przestraszona. Jej obraz drga i jest zamazany, bo Nauczyciel ma łzy w oczach. Annie mówi coś do swojego kierowcy, a potem unosi rękę, w której ściska pistolet. Celuje z niego przez tylną szybę w samochód Nauczyciela.

Naciska spust, i tylna szyba jej wozu rozpryskuje się w drobny mak. Pocisk idzie w niebo.

Nauczyciel przyhamowuje, na razie odpuszcza.

Czeka do zakrętu na drodze, długiego ostrego meandra w kształcie litery S, i tam dociska pedał gazu. Kierowca samochodu Annie usiłuje go zablokować, usiłuje nie dać się wyprzedzić, to najwyraźniej wytrawny kierowca, ale Nauczyciel odbija w prawo, zaraz potem w lewo, i kiedy wychodzą z zakrętu, redukuje bieg, wyrzywa do przodu, jak wystrzelony z procy, i zrównuje się z jadącym przed nim samochodem, pędzi z nim łeb w łeb od strony Annie. Nauczyciel nie ma włączonego radia, ale w głowie dźwięczą mu tony jakiegoś allegro. Opuszcza szybę i wyciska precyzyjnie odmierzoną sekwencję strzałów ze swojego H&K. Nie chce zranić Annie. Nawet mu to przez myśl nie przeszło. Ale musi rozwiązać jej rojenia, że potrafi go powstrzymać. Strzela jej więc nad głową, kolejne pociski roztrzaskują szyby w oknach tamtego samochodu. Ale ona, pomimo że wokół sypie

357

się szkło. Nie łamie się. Z zimną krwią bierze go na muszkę. Nauczyciel nie może wyjść z podziwu dla jej odwagi. Jest z niej taki dumny. Oddaje ostatni strzał, pocisk przelatuje nad jej głową i uderza w przednią szybę przed kierowcą.

Kierowca chwytą Annie za głowę, zmusza, by się schyliła. I jednocześnie hamuje ostro.

I Nauczyciel skwapliwie korzysta z nadarzającej się sposobności. Wciska gaz do dechy, wysforowuje się przed nich i zostawia ich za sobą w kurzu drogi.

Ale przedtem widzi wnętrze samochodu Annie, widzi tylko przez moment, ale to wystarczy, by rozpoznać kierowcę Annie. By rozpoznać w nim swojego najstarszego na tym świecie przyjaciela.

ANNIE jedzie z Eddie'em poprzez ciemności. Pną się coraz wyżej i wyżej, wdzierają coraz głębiej w góry. Zimne powietrze wpada ze świstem przez powybijane szyby. Ale dla Annie ten świst jest zbyt cichy. Jest napięta do granic szaleństwa. Dlaczego ten kretyn zwalnia przed każdym najmarniejszym zakrętem drogi? Czasami zwalnia do tego stopnia, że wcale nie słycać świstu powietrza, ani nawet pisku opon. Opony powinny piszczeć, bo kiedy nie piszczą, oni tracą dystans, przegrywają, od Tui Cuch

dziela ich wciąż godziny jazdy i nigdy go nie dogonią, jeśli opony nie będą pisać, czy to do niego nie dociera?

— Proszę cię, daj mi poprowadzić — powtarza po raz piąty.

— Nie — odburkuje Eddie.

— Proszę cię! Dlaczego nie?

— Zabiłabyś nas. Jechałabyś tak szybko, że byś nas zabiła.

Annie milczy przez chwilę.

— Nadal dla niego pracujesz — zarzuca mu w końcu.

— Nikt by nie dał rady szybciej tędy jechać, do cholery! — warczy Eddie. — Chyba i tak się rozwalimy, za

358

szybko jadę. Ale dopóki ja siedzę za kółkiem, to mamy przynajmniej jakąś szansę.

*

— Nadal dla niego pracujesz.

— Jezu!

— Jeśli dla niego nie pracujesz, to dlaczego nie pozwoliłeś mi go zabić?

— Kiedy do ciebie strzelał? To on ciebie by zabił. Jezu Chryste, zamkniesz ty się wreszcie?

— On by mnie nie zabił — mówi Annie.

Pędzą wąską przełęczą, z obu stron napierają czarne zbocza, droga wiję się między nimi.

— Tak, rzeczywiście, masz rację — mruży Eddie. — Może i masz rację, on by ciebie nie zabił. Rozumiesz go? Bo ja znam go całe życie i za cholere nie mogę rozgryźć.

— Mogłam go zabić.

— No dobrze już.

— Daj mi poprowadzić.

— Nie.

Mijają jakieś skupisko górskich chat, potem następne. Tablica przydrożna z nazwą jakiejś wsi. Annie wciąż trzyma na kolanach pistolet i zastanawia się, czy nie zagrozić nim Eddie'emu mówiąc, że do niego strzeli, jeśli nie przyspieszy — czy starczyłoby jej na to odwagi?

Ale nagle coś przed nimi przyciąga jej wzrok, światła. Mrowie świateł.

Eddie hamuje ostro.

— Nie, nie zatrzymuj! — krzyczy Annie. — Cokolwiek to jest, jaka różnica, co to jest, jedź!

Ale jak Eddie ma jechać? Droga jest zatarasowana. Dojeżdżają do jakiegoś małego miasteczka i drogę zagradza przeciągnięty w poprzek łańcuch, a za łańcuchem kłębi się świętujący tłum. Marimby i tancerze, i najmniejszy diabelski młyn, jaki Annie w życiu widziała. Wszystko to na samym środku drogi, a nad nimi wisi prowizoryczna girlanda słabych, paskudnych, żółtych żarówek.

I tablica z nabazgranym ręcznie napisem: Via Cerrada. Ta droga jest zamknięta dla ruchu.

359

Z powodu głupiego festynu ludowego.

— Jedź przez nich! — prosi Annie. Eddie spogląda na nią.

— Przez diabelski młyn nie przejadę.

— No to zawracajmy! Jedźmy z powrotem, musi być jakiś objazd!

Eddie kręci głową.

— Gdyby był, on by go zauważył.

Odrywa od niej wzrok i wskazuje coś ruchem brody. Annie spogląda w tamtym kierunku. Obok białej stiukowej ściany małego sklepiku stoi samochód Nauczyciela.

— Jest tutaj? — szepce Annie. — Czeka na nas?

— Niech mnie diabli, jeśli wiem, Annie. Daj mi moją sfluwę. Idziemy.

Wysiadają z wozu, przekraczają łańcuch, wtapiają się w pijaną, rozbawioną cizbę. W świetle pochodni ustawiono w rzędzie trzy marimby, na każdej gra trzech zalanych w trupa Majów. Dziewięciu pogrążonych w transie mężczyzn. Wal z zapamiętaniem w instrumenty, wkładając w to wszystkie siły, kaskada rozgrzanych do białości rytmów.

Nie oświetlon diabelski młyn obraca się hipnotyzująco, wszystkie gondol są puste. Tancerze tańczą sami ze sobą, spoglądając w roz gwieźdzone niebo i wyjąc. Co i rusz któryś potrąca przeciska jąca się między nimi Annie. „Przepuście mnie! Proszę mni przepuścić!” Spocony pijak w masce osła na twarzy wpada n nią i przykleja się. Bełkocze jej coś w policzek. Mieszananin odorów, których Annie nie potrafi rozpoznać. Eddie odryw od niej opoja, popycha go w kłębowski ciał, bierze Annie z rękę i rusza przodem, torując drogę niczym taran.

Na skraju świętującego tłumu, na drewnianej ławie po drzewem siedzi gringo. Niski, łysiejący, niepozorny czło wieczek pociągający jakiś bezbarwny płyn z piersiówki.

Eddie zatrzymuje się jak wryty i wybałusza na niego oczy

— O, cholera! Nie, to nie może być. Siurnik? Przecież t nie żyjesz!

360

— Co? — odzywa się mężczyzna. — Ja nie żyję? To pewna informacja? — Cedzi powoli słowa, ma akcent z południa Stanów Zjednoczonych. — Czy mojamamusia już wie?

— Nie, mniejsza z tym — mówi Eddie. — Jesteś podobny do jednego takiego dupka, którego kiedyś znałem. Nie masz czasem brata, który jest prywatnym łapsem? Znaczy się, w Nowym Jorku? Znaczy, był?

Południowiec pociąga z trzymanej w ręku flaszki.

— Mam brata w Nahunta w Georgii — mówi. — Zdaje się, że handluje teraz aluminiowymi rusztowaniami. Dawniej pracował w jakimś zakładzie, gdzie robili beseballowe czapeczki. Usztywniał tekturą daszki. A jeszcze wczesiej był w...

— Niech pan posłucha — przerywa mu Annie — jedziemy właśnie do Tui Cuch. Ale to tutaj... cokolwiek to jest...

— Wigilia Wszystkich Świętych — wpada jej w słowo południowiec. — Halloween. To wielkie wydarzenie w tej głuszy.

— Jest tu jakaś inna droga?

— Jesteście samochodem?

— Samochodem.

— A, to dobrze, jasne, że jest — mówi południowiec. Wracajcie do Autostrady Panamerykańskiej, skręćcie w prawo...

— Mówi pan o tej dużej autostradzie? — pyta Annie. Spogląda na Eddiego. — Tam gdzie tankowaliśmy? To było... to było jakąś godzinę temu.

— Tak, coś koło tego — przytakuje południowiec. — A co, śpieszy się wam? Jeśli wam się śpieszy, to trafiliście do niewłaściwego kraju, malutka.

— Czy oni nie mogą zejść nam z drogi? Tylko na chwilę, nie mogą...?

— To zależy, czym podróżujecie. Może czołgiem?

— A ty czym podróżujesz, przyjacielu? — pyta Eddie. Południowiec wybucha śmiechem.

— Ja nie mam samochodu — mówi.

361

— A są jakieś samochody w tej pipidówce? — pyta Eddie.

— Była jedna taksówka. Ale on ją chyba zabrał.

— Jaki on?

— Facet, z którym prowadziłem przed chwilą identyczną durną rozmowę. Skąd ten owczy pęd do Tui Cuch? To cała noc jazdy. A wiecie, co zastaniecie, kiedy już tam dojdziecie? Powiem wam, co zastaniecie. Traficie na wielkie pijaństwo. Będą tam walić w te cholerne marimby. Będzie tam taka sama pieprzona fiesta jak tutaj, moje dzieci.

Annie nachyla się nad mężczyzną. Mówi powoli i głośno jak do głuchego:

— Nie ma tu żadnych innych samochodów?

— Zgadłaś, malutka.

— Żadnych?

— Zaraz, zaraz. Tak, jest jeden, Chino ma wóz. Chino ma starego plymoutha. Ale wam go nie da, a zresztą ta kupa złomu i tak by się tak daleko nie doturlała...

— Gdzie jest ten samochód?

— Idźcie tą uliczką. Przy tiendacita skręćcie w prawo. Potem w pierwszą ulicę w lewo...

— Chcesz zarobić? — pyta Eddie.

— Nie chcę.

- Sto dolarów, jeśli zaprowadzisz nas do tego China.
- Chcecie, żebym z wami poszedł?
- Sto dolarów.
- Nie.
- Dlaczego?
- Wolę zostać tutaj. Dobrze się bawię, nie widać po mnie?
- Pięćset.
- A na co mi pieniądze? Co innego za big maca, gdybyście mi go skombinowali.
- Niech pan nas zaprowadzi — wtrąca się Annie — bo ten człowiek, który był tu przed nami, chce zabić moje dziecko, a moje dziecko jest w T'ui Cuch....
- Szkoda gadać, Annie — przerywa jej Eddie. — On nam nie pomoże. Chodźmy.

362

Bierze ją za łokieć.

— Bardzo pana proszę. Chodzi o moje dziecko, on chce zabić moje dziecko — błaga Annie, odciągana przez Ed-die'ego.

Odchodzą w mrok. Południowiec beka, a potem woła za nimi:

— Poczekajcie.

Ciemna uliczka pełna dymu z cedrowego drewna. Pod ścianami leżą pijani: czarne, pojękujące sylwetki.

— Dlaczego on chce zabić twoje dziecko? — pyta południowiec.

— Nie wiem — mówi Annie.

Smuga światła z otwartych drzwi, kantyna, nowa fala walenia i wycia.

— Jakiś wariat? — pyta południowiec.

— Tak.

— Ale dlaczego chce zabić akurat twoje dziecko?

— Czy możemy iść szybciej? — zwraca się do niego Annie.

— Idę, jak mi się podoba — mówi południowiec.

— Wiek panu nie pozwala, tak? — pyta Annie.

— Młodszy jestem od ciebie, mała.

— Ale staro pan wygląda. Wygląda pan na takiego zmęczonego, zupełnie jakby był pan bardzo stary i...

— Przystaniesz wreszcie, do cholery? Południowiec przechodzi w trucht. Przeskakuje śpiącego

pijaka. Eddie z Annie biegną obok niego, Eddie trzyma się jedną ręką za serce.

— Hej, przyjacielu — zwraca się zasapany do południowca — a co ty tutaj właściwie porabiasz?

— Oprowadzam wycieczki po nocy. Widzicie ten zaciek na tamtej ścianie? To od szczania. Dobrze się bawicie?

— Tak tylko pytam — mówi Eddie. — Nie wyglądasz mi na członka Korpusu Pokoju. Nie wyglądasz na hipisa. Nie wyglądasz na turystę.

363

— Naprawdę? To na kogo wyglądam? — pyta południowiec.

— Szczerze? Wyglądasz na takiego od narkotyków.

— Tak? A wiesz, jak jest taki od narkotyków po hiszpańsku?

— Nie. Jak?

— Morda w kubel.

Skręcają w lewo w wąską uliczkę.

— Ale nadal nie wiem, jaką działką tego interesu się zajmujesz — ciągnie Eddie. — Kręcić to nim raczej nie kręcisz. Chemikiem nie jesteś, nie rafinujesz towaru, a więc...

— Wiesz, jak jest po hiszpańsku: rafinować? — pyta południowiec.

— Tak — mruczy Eddie. — OK.

— I ja nie żartuję — mówi południowiec.

— OK. OK. Zastanawiałem się tylko, czy nie zajmujesz się czasem przerzutem...

— Gadanie.

Eddie kładzie dłoń na ramieniu południowca i zatrzymuje go. Zaciska chwyt.

— Myślę sobie tylko — mówi — że bardzo nam się śpieszy, że chcemy się jak najszybciej dostać do T'ui Cuch i że może mógłbyś nam pomóc. Albo znasz kogoś, kto by nam pomógł.

Południowiec wzrusza ramionami.

— Nie znam tu nikogo prócz China. O czym ty gadasz?

— Tak się tylko zastanawiam...

— Bujasz w obłokach — mówi południowiec. — Tui Cuch to mały spłachetek niczego. Nie ma tam kawałka płaskiego miejsca. Nic, tylko góry. A do tego jest środek nocy. Można się tam dostać tylko samochodem. Coś jeszcze, nasz jeszcze jakieś genialne pomysły? Bujasz w obłokach. Ja ci to mówię, frajerze.

— Eddie — wtrąca się Annie. — Chodźmy, nie ma czasu. Szybciej!

Ale Eddie dalej patrzy południowcowi w oczy.

— Pomóż nam — mówi — a nie będziesz wiedział, co robić z forszą.

364

— Mówię ci, że bujasz w obłokach — powtarza południowiec. — Pomagam wam, jak mogę. Mam to robić dalej czy nie? Mam was zaprowadzić do China? Czy może wolisz porozmawiać z nim sam?

— A pies z tobą tańcował — rriSwi Eddie i puszcza ramię południowca. Ruszają.

Zatrzymują się w połowie następnej przecznicy przed maleńką restauracyjką. Chińsko-latynosko-majańską. Stary Chino podnosi się na ich widok od swojego stołu obok chłodziarki. Południowiec trajkocze coś do niego po hiszpańsku tak szybko, że Annie nic z tego nie rozumie. Ale słyszy wyraźnie odpowiedź China:

— Esta noche?

— Si — mówi południowiec. — Tylko esta noche.

— Dónde?

— T'ui Cuch.

Chino śmieje się, kręci głową i odwraca do nich plecami.

— Tysiąc dolarów — mówi Eddie. Chino odwraca się ku nim, krzywi twarz.

Po dwóch minutach godzi się na trzy tysiące dolarów za wypożyczenie na jedną noc swojego samochodu. Wręcza Annie kluczyki. Pokazuje kciukiem na zaplecze restauracji. Przebiegają przez obskurną kuchnię, płosząc po drodze z tuzin psów, wypadają w zaułek za restauracją.

Stoi tam starożytna bryka.

Południowiec zatrzymuje się w progu.

— Na wstecznym lusterku wisi taki mały troll — mówi. — Nazywa się Pepe. Jak będziecie mieli kłopoty ze skrzynią biegów, zagadajcie do niego. Miłej podróży, kochani. Zobaczymy się jutro wieczorem.

Annie rusza do drzwiczek od strony kierowcy, ale Eddie chwyta ją za ramię.

— Zaczekaj, ja poprowadzę.

365

— Nie.

— Mówię ci, że nas zabijesz. Jeśli upierasz się, żeby prowadzić, to ja nie jadę.

— No to zostań tutaj. Pojadę sama...

Jakieś poruszenie w ciemnym wnętrzu plymoutha. Otwierają się drzwiczki od strony kierowcy. Z wozu wysiada Nauczyciel.

— Obawiam się, że nigdzie tym gratem nie pojedziecie. Brakuje kopułki rozdzielacza. Ale może zabierzesz się ze mną, Annie?

Annie nie patrzy na niego. Odwraca się i spogląda na Eddie'ego.

— Za rogiem czeka taksówka — ciągnie Nauczyciel. — Mogę cię podwieźć do samego T'ui Cuch. Uczynię to z największą przyjemnością. Z przyjemnością. A co do ciebie, Eddie, najstarszy przyjacielu, drogi judaszu, to może wybierzesz sobie inną trasę? Może wybierzesz się do królestwa tych kopających lokas, które tak czcisz, powłóczysz się po nim jakiś czas, a do nas dołączysz, kiedy twoja dusza odbędzie pokutę i zostanie oczyszczona, i wyświęcona w ty-] siącu reinkarnacji, OK, Eddie?

Strzela Eddie'emu w pierś.

— NIE! — krzyczy Annie.

Kłęką przy leżącym na ziemi Eddie'em przy akompaniamencie ujadania wszystkich

psów z restauracji i wszystkich] psów z całego miasteczka.

i

— No, Annie, komu w drogę, temu czas — mówi Nauczyciel. — Zostaw go. On wybiera się w swoją własną podróż.

Annie pochyła się nisko nad Eddie'em. Słyszy charkot wydobywający się z jego piersi. Żadnych innych oznak życia.

— Eddie — szepce. Wsuwa dłoń pod marynarkę Ed-die'ego. Szuka pistoletu.

— Wstań! — rozlega się za jej plecami rozkazujący głos Nauczyciela. — Nie ruszaj pistoletu Eddie'ego, dość tych głupstw. Dobrze wiesz, moja miłości, że mógłbym cię zabić, nim mrugnęłabyś okiem.

366

Ale tego nie zrobisz — myśli Annie.

Przygarbia się nad Eddie'em, żeby Nauczyciel nie mógł widzieć, co robi. Wsuwa pistolet z kabury.

Wkłada palec wskazujący w osłonę spustu. Zaraz się odwróć i zastrzelę cię — myśli. — Wiem, że mnie nis* powstrzymasz.

Głos Nauczyciela:

— Dokonaj teraz właściwego wyboru, Annie. Zastanów się. Ważą się losy twego dziecka, nie możesz sobie pozwolić na bohaterszczyznę. Czy tego nie rozumiesz? Musisz jechać ze mną. Musimy współpracować. Jak mnie powstrzymasz, jeśli ja będę w Tui Cuch, a ty...

Annie odwraca się błyskawicznie i strzela na oślep.

Ciemność. Obok samochodu nikogo nie ma. W drugim końcu zaułka, na wprost maski samochodu, wznosi się kamienny łuk prowadzący do przejścia, z którego dobiega zanikające echo kroków Nauczyciela.

Annie rzuca się za nim w pościg.

— Zaczekaj! — krzyczy. Zatrzymuje się, nasłuchuje. Kroki ucichły. Słyszą tylko ujadanie psów. Po chwili rozlega się warkot zapuszczanego silnika i Annie puszcza się biegiem w tamtą stronę. — Zaczekaj, idę! Zaczekaj! Przepraszam! — Pędzi długim patio, przebiega pod jakimś kamiennym łukiem, wypada na mroczną, wyludnioną uliczkę.

Taksówka z Nauczycielem w środku oddała się z rykiem.

— ZACZEKAJ!

Ale samochód zniknął jej już z oczu za zakrętem.

Utknęła tutaj na dobre.

Odjechał. Wkrótce będzie w Tui Cuch, i ona nic na to nie poradzi, pokpiła sprawę...

Słyszysz czyjeś kroki za plecami i odwraca się: to południowiec.

— Błagam pana — mówi Annie. — Błagam. Ja nie, nie, nie...

— Widziałem wszystko — odzywa się południowiec. — Cholera, nie wierzyłem ci, ale ty nie zalewałaś, co? Ten skurwysyn naprawdę chce zabić twojego dzieciaka.

367

— Błagam — jęczy Annie.

— Chodźmy stąd.

— Gdzie jest, gdzie...?

— Twój przyjaciel? On nie żyje. Chodź.

— Dokąd?

— Do T'ui Cuch. No, chodź. Annie kręci głową.

— To ten samochód jest na chodzie?

— Plymouth? Pluj na plymoutha. Chodź. Szkoda czasu.

— Ale nie mamy samochodu.

— Nie potrzeba nam samochodu. Masz szczęście, kochana. Co do mnie, to pakuję się w cholerną kabałę, ale ty masz naprawdę szczęście.

— Nie mamy samochodu!

— Nie potrzebujemy samochodu. Mamy samolot.

BUDDY BAUMGARTNER zaczyna podejrzewać, iż powodów do zmartwień ma tyle, że głowa mała. Niepokoi się, jak znajdzie T'ui Cuch w tych ciemnościach. Niepokoi się, jak posadzi na ziemi swój samolot, ponieważ T'ui Cuch jest zagnieżdżone w górach i nie ma tam niczego, co chociaż przypominałoby lądowisko. Niepokoi go lewy silnik, który dostaje dziwnych drgawek podczas nabierania

wysokości. Niepokoi go możliwość natknięcia się na jakiś przypadkowy patrol Gwatemalskich Sił Powietrznych — tych Nielicznych Dumnych Fanatycznych. Niepokoi go historia, jaką przed chwilą opowiedziała mu ta Annie, niepokoją go wszyscy ci żyjący jeszcze bracia, kuzyni, bratankowie, siostrzeńcy oraz synowie bratanków i siostrzeńców Louiego Boffana. No i niepokoi go ten jakiś Nauczyciel na drodze pod nimi.

Do tego dochodzi oczywiście obfity bagaż typowych powodów do zmartwień: gniew krwiożerczego szefa, sześć kilo heroiny, z którymi właśnie w tej chwili powinien lądować w Biloxi, nakazy aresztowania ważne jeszcze w stanach Georgia, Alabama i Rhode Island... rany boskie, ze świecą

368

szukać drugiego takiego dupka poszukiwanego listem gończym na jakiejś zsranej Rhode Island.

Ale mimo to czuje się cudownie.

Nie czuł się tak od lat.

Ta kobieta, ta Annie Laird, tak działa na niego. Uczucia tego nie nazwałby raczej miłością, już prędzej czymś zbliżonym do miłości, jakąś głęboką opiekuńczością. I pomimo strumienia cierpkich słów samokrytyki, które jego mózg bez ustanku miele, wie, że ona spowodowała coś jeszcze: wprowadziła jakieś cholerne poczucie celu do jego życia. Może tylko na jedną noc, ale to jednak i tak coś. Kiedy opowiadała mu swoją historię, to ilekroć wspomniała o dziecku, myślał: „Tak, ale może jeszcze uda nam się je ocalić, Annie. Może zdołam dolecieć tam na czas”.

I ilekroć przemyka mu przez głowę ta myśl, czuje się tak doładowany, że zapomina o wszystkich swoich zgrzyotach i o tym, jaki z niego palant, i o pannie Kellie O'Keefe z Folkston w stanie Georgia, która rzuciła go dla jakiegoś weterynarza o ziemistej cerze, specjalizującego się, kurwa, w kaczkach, Kellie, na miłość boską, naprawdę nie mogłaś już sobie znaleźć kogoś lepszego od tego cholernego kaczk-koznawcy?

Ale jeśli uda mi się znaleźć jakiś skrawek miejsca do lądowania? Jeśli uda mi się ocalić życie temu Oliverowi?

Tak, to powinno zmyć od cholery dużo gówna ze wszystkich zaszłości. Powinno wypłukać na dobre tego kaczk-koznawcę z mojej głowy.

Na razie pragnie, by ta Annie mówiła. Jakby mniej się zamartwiał, kiedy słucha jej głosu.

Ale ona milczy jak głaz.

Milczy, zapatrzona w czarne fałdy rozciągającego się w dole krajobrazu.

Silnik pochrapuje.

Buddy'emu nie przychodzi do głowy żadna odzywka. Nigdy nie był dobry w prowadzeniu konwersacji z kobietami.

— Annie? — próbuje w końcu.

24 - Zabij go, mamó

369

— Tak?

— Opowiedz... opowiedz mi...

— Co?

— No... opowiedz mi jeszcze o swoim dziecku.

— Na przykład co? — Rozdrażnienie w jej głosie.

— Wszystko jedno. No, jaki jest.

— Dziecko jak dziecko. Koniec wywiadu. Horyzont na wschodzie zaczyna jaśnieć. Nieco granatu, j

kilka pasm szkarłatu. Właśnie tego nam trzeba — myśli Buddy. Ale, cholera, lepiej szybciej tam z tym świtem. Nie j wyląduję tym gratem po ciemku.

I w tym momencie coś dostrzega.

Mała smużka białego światła na dywanie czerni | pod nimi.

— Widzisz? — Pokazuje palcem.

— Co?

— Tam, w dole. Widzisz to światło? To reflektory samo-1 chodu.

— To on? — pyta Annie.

— O tej godzinie? W tych górach? To nie może być nikt | inny. Tak, to on.

Annie ożywia się nagle, nie ukrywa podniecenia.

— Co robimy? — pyta. Buddy wzrusza ramionami.

— Jak to co? Z tego starego trupa już więcej nie wycisnę...

— A nie możemy zejść niżej? Nie możemy go zatrzymać? |

— Niby jak?

— Nie możemy, nie możemy... sama nie wiem, nie możemy czegoś na niego zrzucić?

— Na przykład, czego?

— Albo ja do niego strzelę — ciągnie Annie. — Tyl przelecisz mu tuż nad głową, a ja go zastrzelę. Przez dach! samochodu. — Unosi pistolet, który do tej pory trzymała j na kolanach.

— On jedzie wąwozem, Annie. Jest w połowie wąwozu,!

370

tamtędy prowadzi droga. Nie dam rady tam zejść. A nawet gdyby mi się udało, to i tak byś go nie trafiła. Co tam masz, trzydziestkę ósemkę? Gdybyś miała karabin. Gdybyś była snajperem. Gdybym dał radę tam zejść...

— No, już dobrze! — wpada mu w słowo Annie. Po dziesięciu minutach odzywa się znowu:

— Przepraszam. Wiem, że masz rację. Widzę go, ale nie mogę go zatrzymać. Wiem. To oczywiste. Jak daleko do Tui Cuch?

— No... widzisz, w samej dolinie nie możemy wylądować. Już ci to mówiłem.

— Wiem.

— Na zachodzie jest taka grań, biegnie nią coś w rodzaju drogi, wysoko nad miasteczkiem. Tam spróbuję. O ile w ogóle uda mi się znaleźć to miejsce. Potem będziemy musieli zejść stamtąd na dół piechotą.

— Zbiec.

— Tak, zbiec, ale to mimo wszystko kawał drogi.

— Jaki kawał?

— Nie wiem. W każdym razie cały czas w dół.

Przez kilka minut słycać tylko monotonne buczenie silników.

— Chcesz, żebym ci opowiedziała o moim dziecku? — pyta w końcu Annie. — O Oliverze?

— O, tak, chętnie posłucham.

— Nie mogę.

— Rozumiem, w porządku.

— Ten agent, o którym ci mówiłam — ciągnie Annie — zapytał mnie raz, co mi chodzi po głowie. Odparłam, że myślę o Oliverze, tylko o Oliverze. Ale to nie była prawda, okłamałam go. Wcale wtedy nie myślałam o Oliverze. Kiedy z nim jestem, staram się nawet na niego nie patrzeć. A kiedy nie ma go ze mną, to ilekroć przychodzi mi do głowy myśl o nim, odpędzam ją. Zaczynam myśleć o czym innym. Stawiam sobie w głowie rodzaj zapory. Chcesz, żebym o nim pomyślała?

— Nie, tak właściwie to ja nie chciałem...

371

— Jak mogę myśleć o moim dziecku? Kiedy tylko o nim pomyślę, widzę zaraz oczami wyobraźni jego śmierć. A ta wizja rozdziera mi serce. Gdybym go kochała, serce by mi pękło. Nie kocham go. Nie kieruję się miłością. Chcesz wiedzieć, co mną powoduje?

— Jeśli chcesz...

— Nienawiść. Tylko ona. Tylko o niej myślę. Te reflektory tam w dole, te jego nikłe światełka tam w dole, są mniej więcej wielkości karalucha, prawda? Gdybym tak mogła sięgnąć tam w dół ręką i namacać go w ciemności, to by mi wystarczyło, macałabym w mroku, dopóki bym go nie namacała, i ścisnęła w palcach, rozgniotła sukinsyna na śmierć. Wiesz co? Wiesz, co sobie właśnie uświadomiłam? Nie obchodzi mnie, czy zabije moje dziecko, czy nie. Nie kocham swojego dziecka, nie myślę już o nim, a więc co mi za różnica?

— Zaraz, Annie, przestań, to nieprawda...

— Cicho siedź! Jakie masz prawo mówić mi, co jest prawdą, a co nieprawdą? Co mnie obchodzi, co jest prawdą, a co nie jest? Ja chcę go tylko zabić. Jedyne tego pragnę, zabić go, zabić, zabić. Proszę cię, doleć tam, posadź ten samolot na ziemi.

— Już niedaleko.

— Wyląduj!

— Wylądujemy.

— On chce zobaczyć, jak tulę w ramionach ciało mojego syna, a niby po co miałabym to robić? To tylko ciało, po co miałabym je tulić? Żeby jemu sprawić tym przyjemność? Nie zrobię tego, nie zrobię. To jego ciało wezmę w ramiona, ciało tego skurwiela, wezmę i wyrwę mu serce, błagam, przyśpiesz, doleć tam, wyląduj, zaklinam cię! Chcę pożreć serce tego człowieka! Może sobie zabić tyle dzieci, ile tylko chce, mnie to nie obchodzi, niech go zabije, niech zabije OHvera, proszę bardzo! Niech zabije, niech zabije, jeśli chce, niech zabije, ale kiedy już to zrobi, to ja wyrwę mu serce z piersi i pożrę je. Rozumiesz? Chcę pożreć serce tego człowieka! Błagam! CHCĘ POŻREĆ SERCE TEGO

372

Stoi tam stół, przy którym trójka Majów spożywa śniadanie. Robią mu miejsce. Zamawia sobie jaja z salsą oraz gulasz z baraniny, płatki kukurydziane i słodką, słodką kawę. Kawa jest tak słodka, że chce mu się śmiać.

— Hay una fiesta hoy? — zwraca się do mężczyzn. — En Tui Cuch?

— Si — odpowiada jeden z nich. Wszyscy trzej są pijani w trupa. — La fiesta.

— Empieza muy temprano? — pyta Nauczyciel.

— Si. La carrera. Temprano.

Wyścigi, końskie wyścigi w Tui Cuch, zaczynają się z samego rana. Ściągną na nie tłumy, będzie tam też Oliver, i łatwo go znajdzie.

373

ANNIE oddała się biegiem od rozbitego samolotu, pędzi w różowym świetle brzasku przez nagie czarne kartoflisko, i zatrzymuje się jak wryta na jego skraju. Spogląda w dół ze szczytu urwiska.

Daleko w dole spowita we mgle wioska.

— Za daleko — mówi Annie.

Buddy dokuśtykał już do niej i stoi obok.

— Rozpieprzyłem sobie kolano — mówi. — Moje kolano, mój samolot, moje całe życie, wszystko rozpieprzone.

— To zajmie parę godzin.

— Daliśmy dupy, nie ma co — mówi Buddy.

Annie ogląda się. Na kartoflisku zebrała się grupka Majów. Jedni gapią się na rozbity samolot, inni na Annie.

Jest wśród nich chłopiec na siwym koniu.

Chłopiec ma na sobie paradną kurtkę jeździecką. Włosy zaplótł sobie w warkoczyki i ozdobił długimi, tęczowymi wstążkami.

— Widzisz tego chłopca? — mówi Annie do Buddy'ego. — Czemu tak się wystroił?

— Na fiestę. Chyba bierze udział w dzisiejszym wyścigu konnym.

— W jakim wyścigu?

— W Tui Cuch. Urządzają tam, zdaje się, jakiś koński wyścig. Nie wiem.

— Zapytasz go o coś w moim imieniu? — mówi Annie.

— Czemu nie? — mruczy Buddy.

— Zapytasz go, czy jego koń jest szybki?

NAUCZYCIEL zabawia w sklepiku nieco dłużej. Kupuje sobie ładną wełnianą kurtkę z wyszytym na plecach nietoperzem i małą drewnianą figurkę miejscowego czarnego świętego, San Simona.

Następnie zwraca się z pytaniem do trzech mężczyzn przy stole, którzy dopijają właśnie słodką kawę:

— Quieren ir conmigno? A T'ui Cuch Tengo un auto. Mężczyźni naradzają się chwilę między sobą.

374

— Si. Gracias, señor.

Ładują się wszyscy do taksówki.

Jeden z mężczyzn podaje Nauczycielowi flaszkę miejscowego samogonu. Nauczyciel pociąga zdrowy łyk i oczy zachodzą mu łzami. Mężczyźni śmieją się. W taksówce panuje świąteczna atmosfera, a świadomość i pamięć Nauczyciela utrwala każdy moment. Wspinają się na górską przełęcz i zjeżdżają w dolinę Tui Cuch.

Przed samą wioską Nauczyciel zwalnia i lawiruje, omijając szwendające się kury, śpiących na drodze pijaków i rodziny zdążające na rynek, skąd rozpocznie się koński

wyścig. Znajduje miejsce do zaparkowania i żegna się ze swoimi pasażerami. Salutuje wioskowemu policjantowi, który ledwo trzyma się na nogach. Wchodzi różnym krokiem na rynek.

Kakofonia marimb, trąbek i bijącego kościelnego dzwonu. Zakurzone drzewa, oblepione chmurami kosów z długimi ogonami, które drą się jeden przez drugiego, do wtóru dzieciarni. Trwa jakiś taniec kostiumowy. Tancerze potykają się i słaniają na nogach, wygląda na to, że przetańczyli całą noc. Ach, jak tu gwarno, jak kolorowo, i przy innej okazji z pewnością byłoby uroczo. Gdyby przybył tu jako turysta, dajmy na to, z Annie i Oliverem, rodzina gringo podziwiająca z otwartymi ustami miejscowe osobliwości — wtedy cały ten nonsens tak by go nie drażnił. Bo teraz pragnie tylko ciszy. Pragnie zupełnej jasności. Wyczekuje objawienia. Pragnie, by świat był tak czysty i prosty jak niebo tam w górze.

Podchodzi do niego obdarty chłopiec z tacą gotowanych orzeszków ziemnych.

— *Mantenidas? No quiere mantenidas, joven?* Nauczyciel uśmiecha się.

— *Si, por favor.*

Kupuje torebkę orzeszków i daje chłopcu pięć *quetzali* napiwku.

I kiedy dzieciak, mrugając z niedowierzaniem oczami, przygląda się monetom, Nauczyciel pyta go:

375

— *Conoce un muchacho, un gringo, se llama Oliver?*

— *Oliver? Si. El gringito? Si, si.*

— *Y dónde esta?*

— *Ahorita?* — Chłopiec rozgląda się po zatłoczonym rynku, wypatruje w tłumie Olivera. Przenosi wzrok na strome zbocze wzgórza. Nagle wyciąga rękę i pokazuje palcem: — *Oliver* — mówi.

Gromadka pięciu chłopców w uliczce odchodzącej od rynku. Oglądają konie. Trudno stwierdzić, który z nich jest Oliverem. Ale dwaj chłopcy są schludnie ubrani i mają na twarzach maski. Jeden rogatego byka, drugi jelenia o długim pysku.

Jeden z nie zamaskowanych urwisów wymachuje koszulą i byk zaczyna grzebać nogą w ziemi, a potem szarżuje na płachtę.

— *Yo no puedo verlo* — mówi Nauczyciel.

— Esta alli — mówi chłopiec. — El Toro. Chłopiec-matador okręca się wokół własnej osi, a byk

krąży wokół niego i krąży, aż w końcu doznaje zawrotu głowy i przewraca się na zakurzoną ziemię. Zbiera się powoli. Unosi maskę. To Oliver. Śmiejąc się odgarnia włosy z oczu, nasuwa maskę na twarz i znowu jest bykiem.

— OLEVAR! — wrzeszczy sprzedawca orzeszków. Ale na szczęście marimby, kościelne dzwony i wydzierające się kosy zagłuszają go. Oliver nie słyszy, nie ogląda się.

— Por favor — mówi Nauczyciel. Kładzie dłoń na ramieniu sprzedawcy orzeszków.
— Mi visita... es una... sor-presa.

Chłopiec wzrusza ramionami.

— OK.

Teraz byk i jeleni rozstają się z resztą chłopców. Ruszają w górę zbocza, wspinają się długimi schodami z ubitej ziemi.

— A dónde van? — pyta Nauczyciel. Chłopiec znowu wzrusza ramionami.

— No se. Probablemente las ruinas.

Wskazuje na rozsypujące się ruiny kamiennego kościoła wysoko na zboczu wzgórza.

376

WWłym>mmmfMmiimmwmmmwvm**«w«m»>,,

— Gracias — mruczy Nauczyciel. — Idealnie się składa.

Przeciska się przez skłębioną cizbę, przecina rynek, podbiega do długich schodów. Wstępuje na nie. Wspina się szybko. W górę wąskim przejściem między dwoma krytymi strzechą chatami. Zagląda do ogrodu ponad płotem z ociosanych z grubsza młodych drzewek do ogrodu, gdzie przy warsztacie tkackim pracuje jakaś kobieta. Obok siedzi w kucki córka. Kobieta uśmiecha się i Nauczyciel odwzajemnia ten uśmiech. Unosi w górę torebkę z orzeszkami, rzuca dziewczynce, a ona zwinnie ją łapie. Tak by chciał, żeby była tu z nim Annie. Podejmuje wspinaczkę.

Schody spotykają się z drogą, która pnie się meandrami pod strome zbocze. Spogląda w górę i znowu migają mu tam byk z jeleniem.

Ta maska rozprasza. Ta maska przeszkadza. Chcę widzieć twoją twarz, Oliverze. Twoją otwartą, czystą twarz.

Ale mimo to Nauczyciel jest zadowolony, bo czuje przyływ siły. Dzika wrzawa zamiera w dali, wyłania się kształt wioski. Podoba mu się jej geometria. Konstrukcja tej drogi przywodzi na myśl drabinę Jakuba. Z lubością kontempluje przemierzaną odległość między nim a Ohverem, odległość, która maleje z każdym jego długim krokiem. Wspina się coraz wyżej, mija parę krytych strzechą chatek i wychodzi na polanę.

Znowu dostrzega Olivera.

Ale tylko na moment, kiedy chłopiec brnie przez wysuszone ściernisko kukurydzianego pola. Tym razem jest sam. Jego przyjaciel jeleń musiał skręcić do domu, mieszka pewnie w jednej z tych chatek. Teraz jesteśmy tylko my dwaj. Coraz prościej i prościej.

Tylko jedno dziecko i jeden mężczyzna, wspinający się solennie ku miejscu spotkania.

Nauczyciel przyśpiesza kroku. Jest teraz trochę zniecierpliwiony, pobudzony, to silniejsze od niego. Przebiega truchtem przez ściernisko, przez sad i wypada na otwartą przestrzeń. Wznoszą się tu ruiny kościoła. Ohver zatrzymał się, stoi na zrujnowanej ścianie nośnej kościoła i podziwia

377

roztaczający się pod nim widok. Nauczyciel podejrzewa, że chłopiec go zauważył, ale przez tę maskę trudno mu to stwierdzić na pewno.

Zresztą to i tak bez znaczenia, nigdy przecież nie widział mojej twarzy, nie rozpozna mnie. Jestem dla niego po prostu jeszcze jednym gringo, turystą, który idzie zwiedzić kościół.

Ohver odwraca się i wchodzi do środka. Nauczyciel poci się obficie, ale nie może zdjąć tej wełnianej kurtki, bo odsłoniłby H&K, który pod nią chowa. Zatrzymuje się na chwilę, bierze głęboki oddech, ociera rękawem twarz. Potem przecina trawersem zbocze wzgórza i wstępuje na kamienne schody kościoła.

Przechodzi pod łukiem i wkracza do wielkiej, szerokiej nawy. Nie ma tu dachu i nawa jest po prostu zaśmieconym, wyłożonym kamiennymi płytami dziedzińcem. Cisza. Zielsko pieniaące się w pęknięciach kamiennej posadzki. Nikogo tu nie ma.

Oliver! Gdzie jesteś?

Zbroczony krwią krzyż pośrodku dziedzińca.

I nagle dostrzega Olwera, jego rogi i jego schludna tunika w drugim końcu nawy. Na

zniszczonej galerii dla chóru. Chłopiec stoi tam oparty o mur. Co on robi? Sika?
Czyta jakiś napis na ścianie? Co on tam robi?

Płacze? Czyżby płakał z tęsknoty za domem?

Ja cię pocieszę.

Nauczyciel postępuje krok w kierunku chłopca i odzywa się najłagodniej, jak potrafi:

— Oliver! Twoja matka, twoja matka przeprasza, że cię zostawiła. Wraca po ciebie.
Będzie tu dzisiaj, Oliverze. Dzisiaj się zobaczycie.

Chłopiec ani drgnie.

— Oliver!

Nauczyciel zauważa teraz, że z rękawów tuniki nie wystają dłonie. To bez sensu. Do kościoła wpada powiew wiatru, tchnienie czystego chaosu idące od gór, i porusza brzegiem tuniki, i Nauczyciel widzi, że pod tuniką nie ma również nóg — tylko patyki.

378

Mówi do stracha na wróble.

Wyrywa zza pazuchy pistolet i odwraca się na pięcie.

Nikogo.

I w tym momencie z zachodzącego na boczne ściany balkonu nad jego głową rozlega się męski głos, południowy akcent:

— No, dobra. Rzuć broń.

Przy kamiennej balustradzie balkonu pojawiają się twarze. Ludzkie twarze i maski, wiekowe strzelby i karabiny.

— Rzuć broń.

Ale przecież Nauczycielowi potrzebny jest ten pistolet.

Maski małp, maski sów, maski jaguarów, maski świń. I ci bez masek też noszą maski. Muszę uśmiercić wszystkie zwierzęta z tego zoo, żeby nie męczyły się już ani chwili na tym okrutnym, zamaskowanym, chaotycznym świecie. W tym nie znającym miłości zamęcie! Gdzie miłość jest w pogardzie! Ta dżungla, ta rozpasana orgia sprzecznych celów, pogardzam nią tak samo jak wy, biedne stworzenia.

Pada strzał. Pocisk trafia go w dłoń. H&K razem z trzema palcami lądują na kamiennej posadzce i rozsypują się po niej. Nauczyciel macha wzgardliwie ręką, by odpędzić nieznośne skurcze bólu, i rozbryzgi krwi wpadają mu w oczy. Rozbryzgi. Kiedy Miłość jest w pogardzie, Porządek się Rozbryzguje.

I nagle dostrzega na balkonie Annie.

Annie?

Och, Annie, to było tak płomienne, że porażało wzrok! Orion i Plejady, Nauczyciel i Przysięgła, rwące kaskady Tao ryczące w naszych sercach, oczyszczające nas płomieniem, wypalające cały ten brud i zepsucie, Annie, a jeśli doszło do jakiegoś błędu, przysięgam, że gdybym zboczył choć na krok z tej ścieżki Wypalonej Ogniem i Oczyszczonej Miłości...

Annie unosi pistolet, trzydzistkęósemkę, i bierze go na cel.

Ale kiedy ma już nacisnąć spust, podbiega do niej Oliver.

379

Maskę byka ma podsuniętą na czubek głowy, staje przy balustradzie i spogląda w dół.

— Cofnij się! — mówi do niego Annie. — Nie powinno cię tu być.

— Ale jestem — odpowiada hardo Oliver.

— No to się chociaż odwróć.

Ale on nie słucha. Jest pochłonięty widokiem tego krwawiącego mężczyzny na dziedzińcu. Nauczyciela z odstrzelonymi palcami — który przykuca teraz powoli, bo chce w ten sposób przybliżyć zdrową rękę do tęponosej dwu-dziesiątkiwójki przypasanej do łydki.

— Odwróć się, Oliver — powtarza Annie, tym razem dużo głośniej.

Tak głośno, że teraz wszyscy to słyszą. Jednak chłopiec nadal się ociąga.

Nauczyciel uśmiecha się do niego i myśli: „Musisz przezwyciężyć swoje wahanie, Oliverze. Marzycielstwo jest dobrą rzeczą, ale ty musisz się również nauczyć działać. Zanim będzie za późno, zanim umknie ci okazja”.

Gdybyś posłuchał matki, ona mogłaby mnie zabić — i wiem, że by to zrobiła, zobaczyłem to w jej oczach — a wtedy potęga Tao uleciałaby z wiatrem, a ty nadal wiódłbyś to nędzne życie, które tak sobie cenisz.

Teraz do Annie zwraca się gringos:

— Odłóż już ten pistolet. — To pewnie ten jej dawny chłopak, Żółw. — Odłóż go. Mamy faceta. OK? Nic ci już nie zrobi!

Annie nie zwraca na niego uwagi.

— Oliver — mówi — nie wolno ci na to patrzeć! Odwróć się.

— Annie — próbuje znowu Żółw — nie możesz, on jest nie uzbrojony! To by było morderstwo. Nie możesz. Opamiętaj się.

•— Ale ja muszę — mówi Annie.

— Annie, do cholery, mamy go! Już po wszystkim! Odłóż ten pistolet!

— On zabije moje dziecko.

380

— On pójdzie do więzienia!

— Ale kiedy z niego wyjdzie, zabije Ohvera.

— ODDAJ MI PISTOLET!

Żółw wyciąga rękę, ale Annie cofa się.

— Ja muszę — mówi.

Teraz Nauczyciel cichym głosem — ale w tych starych ruinach głos dobrze się niesie — woła do niej:

— Nie, posłuchaj tego człowieka. Posłuchaj nas wszystkich, Annie, bo my cię kochamy. Jeśli pójdziesz do więzienia, to kto będzie wychowywał Ohvera? Pomyśl o swoim dziecku. Zapomnij o zemście, zemsta nic nie daje, zgodzisz się chyba ze mną? Pomyśl o, pomyśl o...

Sięga do pamięci, próbuje sobie wyobrazić, co powiedziała by teraz Lao-tse, szuka słowa, które przywołałoby ją do rzeczywistości, jakiegoś przebłysku mądrości, który przywróciłby porządek. Ale tyle tu rozpraszających czynników! Ta menażeria myślących zwierząt. Ten odległy rytm marimb. To drzenie własnej dłoni sunącej do mankietu spodni po ukrytą na łydce dwudziestkędwójkę. Ta stroma, zalana słońcem góra. Ta chmara kosów śmigająca na jej tle...

Zbyt wiele oświetlonych słońcem powierzchni. Nauczyciel nie potrafi się skupić. Moment zawahania — i tę lukę wypełnia Oliver.

— Mamo — mówi — masz rację. Zabij go, mamo. Z tymi słowami odwraca się tyłem do Nauczyciela. Och, ale za późno to powiedziałeś, moje dziecko, o wiele za późno, bo teraz Annie jest znowu moja. Mam jej wspaniałe, szare oczy we władzy moich oczu. Trzymam na uwięzi jej nieuporządkowaną duszę, zdominowałem ją głosem, tym moim głosem, który z taką swobodą wydobywa się z mych ust:

— Pomyśl o O1iverze! Co się stanie z OHverem, jeśli wsadzą cię do gwatemalskiego więzienia? — Wsuwa dłoń pod mankiet, koniuszki palców dotykają gładkiej skóry dwudziestkidwójki. — Co ci to da? Przez wzgląd na własne dziecko...

Może nie powinien był tego mówić. Widzi, jak jej ręka

381

drga silnie od kopnięcia pistoletu. Jemu z gardła wrywa się skowyt i uświadamia sobie, że stracił panowanie nad własnym językiem. Słyszy wielki ryk. Uświadamia sobie, że stracił panowanie nad połową swego ciała, nad połową świata. Jakąś jego częśćkę zalewa krew. Chce wypluć tę krew, ale nie ma pewności, czy czuje ten wir krwi w ustach, czy w oczodole, i obawia się, że mógłby wypluć sobie oko. Całkowita dezorientacja. Podniebny szlak Tao blednie. Światło przygasa, przygasa, przygasa. Jest go już tak mało, że ledwie widzi plecy połyskliwej tuniki O1ivera.

Nauczyciel oplata palcami kolbę tęponosego rewolweru. Wyciąga go z kabury. Próbuje unieść w górę.

Ale w tym momencie kościół rozbrzmiewa kanonadą.

Cały ten szary, niechlujny wiejski motłoch obraca w nonsens wszystko, czego próbował go nauczyć. Strzela do niego sowa. W gęstniejącym mroku strzela do niego świnia. Strzela do niego zapyziały, ciemny wiejski cham. Strzelają do niego małpa, kłown, wesolek. Strzela nawet jego uparta, poszukująca, posępna, ziemską wybranka Annie. Annie, Annie, Annie, Annie, córa chaosu, zadaje mu śmierć.

mmffi^mmMmmmmw*)»m#*<a<wf*>><*>»>~<~*~-

ROZDZIAŁ 16

dziki,

morderczy rytm marimby

ANNIE czeka w ciemnościach. Oczy ma zamknięte, bo te ruiny nagle stały się dla niej za jasne, ten wykwit krwi oślepia ją.

Czeka, aż zamrze echo wystrzałów.

Ktoś odbiera jej pistolet. Bez oporu pozwala wyjąć go sobie z ręki.

W tej mrocznej ciszy zaczyna przemawiać dolina.

Część marimb umilkła, ale jedna wciąż gra, wciąż zanosi się dzikim, morderczym rytmem. Stłumiony krzyk ptaka w górze. Potem, gdzieś po lewej, parska koń. Szczekają psy. Nie ma w tym żadnych współbrzmień, żadnej celowości, rozsądku ani zasady, ani porządku. Do uszu Annie docierają po prostu oderwane strzępy dźwięków. Wyciąga rękę. Dotyka Olivera. Przyciąga go do siebie. Jakiś okrzyk od strony doliny i odpowiadający mu okrzyk kogoś stojącego obok niej. To nie hiszpański, lecz miejscowy język, gardłowy, przypominający brzęczenie pszczół. Annie dotyka ustami włosów Olivera. Zaraz otworzę oczy, ale najpierw chcę sobie przypomnieć, jak cudownie było widzieć tego człowieka w strzępach, widzieć, jak na cały ten kościół bucha jego krew, i chcę najpierw posłuchać wycia psów z Tui Cuch. Chcę przesunąć palcami po rzęsach mojego dziecka, a potem po jego skroniach, w dół koło uszu, zarysem szczęki, aż do dołeczka pod brodą, a potem musnąć meszek na karku Olivera, musnąć leciutko, tak leciutko,

383

żeby załaskotało, żeby się roześmiał. Żeby usłyszeć jego śmiech, a zaraz potem posłuchać jeszcze tego jazgotu psów z Tui Cuch i muzyki z Tui Cuch, tego czystego rozpasa-nego zgiełku. Posłuchać jeszcze tych psów. Posłuchać jeszcze tego wszystkiego, zanim otworzę oczy. Porozkoszować się tym milczącym ciężarem słonecznego światła, tą krwistą czerwienią przesączającą się przez zamknięte powieki. Powdychać jeszcze zapach jego włosów. Posłuchać jeszcze okrzyków przypominających brzęczenie pszczół. Posłuchać jeszcze tego parsającego konia. Jeszcze tylko chwileczkę.

George Dawes Green jest młodym amerykańskim poetą i prozaikiem, autorem wysoko ocenionej przez krytykę powieści *The Caveman's Valentine*. Mieszka na wyspie St. Simon's u wybrzeży Georgii.

Kiedy Annie Laird, młoda kobieta samotnie wychowująca dwunastoletniego syna, znalazła się w składzie ławy przysięgłych w sprawie o podwójne morderstwo, nie miała pojęcia, że na uniewinnieniu oskarżonego bardzo zależy tajemniczemu człowiekowi zwanemu Nauczycielem — szarej eminencji miejscowej mafii. Annie zostaje poddana brutalnemu, a jednocześnie perfidnie przemyślanemu naciskowi, aby nakłoniła ławę przysięgłych do orzeczenia niewinności oskarżonego. Przyjaciółkę Annie zmuszono do samobójstwa, Nauczyciel grozi także zamordowaniem chłopca.

Wreszcie ten swoisty geniusz zbrodni osiąga swój cel — oskarżony wychodzi na wolność. Annie ucieka z synem do Gwatemali, wciąż bojąc się o jego życie, ale i tam odnajduje ich prześladowca. Dochodzi do ostatecznej rozgrywki...